

S.M. Stirling

David Drake

KOWADŁO

The Anvil

Tłumaczenie: Marta Koniarek

GENERAL - KSIĘGA III





Rozdział pierwszy

– Raj! – wykrztusił Thom Poplanich.

Raj Whitehall uśmiechnął się krzywo. – Brzmisz, jakbyś tym razem był bardziej zaszokowany – powiedział.

Jestem bardziej zaszokowany tym, jak wyglądasz, pomyślał Thom, mrugając i przeciągając się trochę. Nie istniała po temu potrzeba fizyczna. Jego mięśnie nie zeszywniały, gdy Centrum utrzymywało go w bezruchu. Jednak na swój sposób psychologiczna satysfakcja z tego ruchu była wystarczająco prawdziwa.

Odbicie w srebrzystej kuli ukazywało niezmienionego Thoma – widać było nawet to samo zacięcie na brodzie, które przytrafiło mu się przy goleniu i rozdarcie w tweedowych spodniach. Z lustra spoglądał drobny, młody dżentelmen, mężczyzna o oliwkowej skórze, w ubraniu do polowania, wyglądający trochę młodziej niż na swoje dwadzieścia lat. Zaciął się w brodę, zanim wyruszył, by zbadać rozległe tunele katakumb pod pałacem gubernatora we Wschodniej Rezydencji. Spodnie zostały rozdarte przez rykoszet pistoletowego pocisku, gdy Raj strzelał, próbując się wydostać z pułapki. Wszystko było takie jak wówczas, gdy Raj po raz pierwszy znalazł się w środku bytu, który nazywał sam siebie strefową jednostką dowódczo-kontrolną AZ 12-b 14-c000 Mk.XIV.

Było to wiele lat temu.

To Raj się zmienił, żyjąc w zewnętrznym – rzeczywistym – świecie. Było to oczywiste przy pierwszej wizycie, dwa lata po ich rozstaniu. Tym razem stało się to o wiele bardziej widoczne. Byli w podobnym wieku, ale ktoś, kto spotkałby ich razem po raz pierwszy, uważałby, że Raj jest o dziesięć lat starszy.

– Ile czasu? – spytał Thom. Częściowo obawiał się odpowiedzi.

– Kolejne półtora roku.

Zaskoczenie Thoma było widoczne. *Tak bardzo się postarzał w tak krótkim czasie?* – pomyślał. Jego przyjaciel był wysokim mężczyzną, mającym sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu, szerokie barki i wąskie biodra oraz grube nadgarstki szermierza. W

jego czarnych kędziorach przyciętych „na donicę” widniało teraz kilka siwych włosów, a w jego szarych oczach nie było śladu młodości.

– Cóż, od tego czasu widziałem titanosauroida – ciągnął Raj.

– Gubernator Barholm wysłał cię przecież do Południowych Terytoriów?

Raj skinął głową. Rozmawiali o tym w czasie pierwszej wizyty. Po jego zwycięstwach nad Kolonią na wschodzie, wybór Raja był rzeczą naturalną.

– Ciężka kampania, sądząc po twoim wyglądzie.

– Nie – powiedział Raj, zwilżając wargi. – Czasami trochę szarpiąca nerwy, ale nie nazwałbym jej *ciężką*.

>>Obserwuj.<< powiedział komputer. Ściany wokół nich zdrząły. Doskonale odbicie rozpląnęło się w dymie, który uleciał...

* * *

– ...i powrócił jako poszarpany całun, tryskający z wylotów luf strzelających salwami karabinów. Schowani za murkiem okalającym dziedziniec, Raj Whitehall oraz żołnierze noszący czerwono-pomarańczowe chusty Piątego z Descott strzelali w uliczkę biegnącą ku dkom Port Murchison. Każda para rąk pracowała rytmicznie nad dźwignią języka spustu, *ting*, i pusty, mosiężny pocisk leciał do tyłu, *klik*, gdy kciukiem wpychali nowy ładunek w otwór i podnosili znowu w górę kurek, *krak*, gdy strzelali.

Na bruku leżały rzędy ciał: wojownicy Eskadry, zabici zanim zdali sobie sprawę z zagrożenia. Ci, którzy przeżyli, kucali za trupami swoich pobratymców i z desperacją odpowiadali ogniem. Ich niezgrabne karabiny skałkowe wolno się ładowały i były niecelne nawet z takiej odległości. Musieli się odsłonić, by przeładować, gmerając przy rożkach z prochem i wyciorach. Często padali martwi, gdy wypalił strzelec wyborowy Descotczyków. Kilku odrzuciło broń palną z okrzykami pełnej frustracji i natarło, wymachując swymi długimi mieczami o pojedynczych ostrzach. Jakimś cudem jeden z nich dotarł aż do murku i zatrzymał go dopiero bagnet, który przebił mu brzuch. Mężczyzna upadł do tyłu, zsuwając się z ostrza. Jego oczy były pełne zaskoczenia.

Kula odbiła się rykoszetem od jednej z kolumn i drasnęła Raja w pośladek, zanim wbiła się w kark oficera znajdującego się obok niego w szeregu strzelców. Trafiony mężczyzna upuścił rewolwer i macając na oślep, próbował dotknąć swojej rany. Nogi zadrgały mu po raz ostatni. Raj wystrzelił starannie, stojąc w zgodnej z regulaminem odległości, z jedną ręką na

plecach, pozwalając wylotowi lufy się cofnąć, zanim wystrzelił kolejny pocisk w środek ludzkiej masy.

– *Marcy!* – zawołali barbarzyńcy w swoim rodzimym nameryjskim dialekcie. *Litości!* Rzucili broń i zaczęli podnosić ręce. – *Marcy, migo!* – Litości, przyjacielu!

* * *

Obydwaj mężczyźni zamrugali, gdy wizja zbladła – Raj po to, by pozbyć się wspomnienia, a Thom z zaskoczenia.

– Odzyskałeś Południowe Terytoria? – spytał Thom z lekkim podziwem w głosie. *Eskadrowcy* – Eskadra pod dowództwem swego admirała – rządili Terytoriami od czasu, gdy półtora wieku temu nadciągnęli z rykiem z Obszaru Bazy i pokonali Morze Śródświatowe. Jedyna poprzednia próba odzyskania Terytoriów przez Rząd Cywilny okazała się spektakularną katastrofą.

Raj wzruszył ramionami, a potem skinął głową. – Tak, dowodziłem Korpusem Ekspedycyjnym. Ale nie osiągnąłbym niczego bez dobrych żołnierzy – i Ducha.

– Centrum nie jest Duchem Człowieka Gwiazd, Raj. Jest centralną jednostką dowódczo-kontrolną sprzed Załamania – Upadku, jak my to teraz nazywamy.

Żaden z nich nie potrzebował kolejnego zestawu holograficznych scenariuszy Centrum, by pamiętać, co zostało pokazane. Ziemia – Bellevue, jak zawsze twierdził komputer – widziana ze świętej orbity, wisząca niczym niebiesko-biała tarcza na tle gwiazd. Punkciki termonuklearnego ognia pochłaniające miasta... i następujące potem stoczenie się w dzikość. Musiało do niego dojść wszędzie w rozległym gwiazdnym królestwie, którym władala niegdyś Federacja, inaczej bowiem ludzie z gwiazd by powrócili.

Raj zadrżał bezwiednie. Jako dziecko był przerażony, gdy domowy kapłan opowiadał o Upadku. Było to jeszcze bardziej wytrącające z równowagi, gdy wyświetlało mu się w głowie. A gorsza jeszcze była wiedza, którą obdarzyło go Centrum. Upadek *nadal* trwał. Jeśli plan Centrum by zawiódł, to Upadek ten ciągnąłby się, aż nic, poza krzeszącymi ogień dzikusami-kanibalami, nie pozostałoby na Bellevue – i gdziekolwiek w ludzkim wszechświecie. Minie piętnaście tysięcy lat, zanim cywilizacja znowu się podniesie.

Thom ciągnął dalej – Centrum jest po prostu komputerem.

Raj skinął głową. Komputery były święte, były narzędziami Ducha, ale akcent położony przez Thoma na to słowo oznaczał teraz coś innego. Innego, jako że był on unieruchomiony

tu w dole, a Centrum pokazywało mu wszystko, co wiedziało. Prawie cztery lata ciągłej edukacji.

– Wiesz to, co wiesz, Thom – rzekł łagodnie Raj. – A ja wiem to, co wiem. – Potrząsnął głową. – Urządziliśmy rzeź całej Eskadrze – ciągnął. *Dosłownie*. – Zmusiliśmy ich do zaatakowania nas, a potem żeśmy ich powystrzelali.

– A jak zareagował gubernator Barholm? – spytał sucho Thom. Zgodnie z prawem Thom Poplanich powinien był zasiąść na Krześle; jego dziad zasiadał. Jednakże wuj Barholma Cleretta był dowódcą Sił Rejonu Rezydencji, kiedy zmarł ostatni gubernator, co okazało się o wiele ważniejsze.

– Cóż, z pewnością był zadowolony, odzyskawszy Południowe Terytoria – powiedział Raj, odwracając wzrok. Było to trudno zrobić wewnątrz doskonale odbijającej kuli. – Ekspedycja opłaciła się z nawiązką i to nie wliczając przychodów z podatków.

>>Obserwuj.<< powiedziało Centrum.

* * *

– ludzie w czarnych mundurach gwardii gubernatora odprowadzali Raja, podczas gdy wymierzone karabiny utrzymywały w bezruchu Suzette Whitehall i jego ludzi...

– Raj stał w opasce lędźwiowej więźnia i łańcuchach przed trybunałem trzech sędziów w ceremonialnych kombinezonach i okrągłych hełmach...

– Raj siedział przywiązany do żelaznego krzesła, gdy rozżarzone pręty zbliżały się coraz bardziej do jego oczu...

* * *

Raj westchnął. – Tak *mogło się* stać, tak. Według Centrum, a ja nie mam co do tego wątpliwości. *Obawiałem się...* nieco... czegoś takiego. Już się nie obawiam. Wieści, które doszły do mnie wojskową pocztą pantoflową, były całkiem przekonywujące. A właściwie to jestem pewien, że podczas narady wojskowej dzisiejszego popołudnia otrzymam kolejne poważne dowództwo.

– Zachodnie Terytoria?

– Jak żeś się domyślił?

– Nawet Barholm nie jest na tyle szalony, by próbować zdobyć Kolonię. Jeszcze nie.

– Tak. – Raj skinął głową i przesunął dłonią po włosach. – Problem w tym, że jest prawdopodobnie zbyt podejrzliwy, by dać mi tylu ludzi, abym tego dokonał.

Thom znowu zamrugał. *Raj się zmienił*, pomyślał. Młodzieniec, którego niegdyś znał, był ambitny – marzył o, powiedzmy, zwycięskim najeździe na Kolonię, na wschodniej granicy. Ten ogorzały, doświadczony dowódca miał w sobie swobodną pewność siebie, iż uda mu się najeżdzać na drugie co do potęgi królestwo nad Morzem Śródświatowym, pod warunkiem jednak odpowiedniego wsparcia. Brygada panowała nad Zachodnimi Terytoriami od prawie sześciuset lat. Byli niemalże cywilizowani... jak na barbarzyńców. Dziwnie było myśleć, że byli potomkami żołnierzy Federacji, którzy pozostali na Obszarze Bazy po Upadku.

– Barholm – ciągnął Raj beznamiętnie, przez chwilę brzmiąc niemal jak Centrum – myśli, że albo poniosę klęskę...

* * *

Martwi ludzie leżeli z rozwartymi oczami wokół rozwalonej armaty. Proporzec Rządu Cywilnego Świętej Federacji z Rozbłyskiem Gwiazdy litościwie spowijał niektóre ciała. Raj podpełzł do przodu. Kikut jego lewego ramienia był poszarpany i czerwony. Wciąż kapłała z niego krew, mimo zaimprovizowanego krępulca. Jego prawa ręka ledwo co dotknęła rękojeści rewolweru, gdy wojownik Brygady ściągnął wodze swego wierzchowego psa i stanął w strzemionach, by wbić lancę w jego plecy. Wbijał ją raz po raz...

* * *

– ...albo odniosę sukces i wówczas będzie się mógł mną zająć.

>>Obserwuj.<< powiedziało Centrum.

* * *

Raj Whitehall stał na przyjęciu przy wazie z ponczem. Thom Poplanich rozpoznał górną promenadę pałacu i kratkę kafli leżącego dalej tarasu. Błyszczące lampy gazowe oświetlały pary wirujące w formalnych układach dworskiego tańca – ich połyskujące mundury i ozdoby, suknie dam i biżuterię. Thom niemalże czuł zapach perfum, pomady i potu. Z boku grała orkiestra. Miękki rytm stalowych bębnow prznikał łagodny dźwięk mosiężnych trąbek i grzechot *marachazów*. Cisza rozeszła się falą pośród tłumu, gdy żołnierze gwardii gubernatorskiej weszli z chrzęstem do sali. Ich czarno-srebrne mundury i pokryte niklem napierśniki lśniły, lecz karabiny, które mieli w dłoniach, były bardzo funkcjonalne. Prowadzący ich oficer skłonił się przed Rajem.

– Generale Whitehallu – zaczął, unosząc list zapieczętowany purpurą i złotem gubernatorskiego nakazu.

* * *

– Barholm nie zasługuje na to, by służył mu człowiek taki jak ty – wybuchł Thom.

– Och, zgadzam się – powiedział Raj. Przez chwilę jego smutny uśmiech sprawiał, iż wyglądał znowu chłopięco, z wyjątkiem oczu.

– To zostań tutaj – namawiał go Thom. – Centrum mogłoby utrzymywać cię w bezruchu tak jak mnie, aż Barholm zmieni się w proch. A kiedy będziemy czekać, możemy nauczyć się *wszystkiego*. Całej wiedzy o ludzkim wszechświecie. Centrum uczyło mnie o rzeczach... rzeczach, których nie mógłbyś sobie wyobrazić.

– Problem w tym, Thom, że służę Duchowi Człowieka Gwiazd, którego wiceregentem na Ziemi...

>>Bellevue.<< powiedziało Centrum.

– ...wiceregentem na Bellevue jest właśnie Barholm Clerett. Poza tym czekają na mnie żona i przyjaciele, i szczerze mówiąc, nie chciałbym, aby moi żołnierze znaleźli się w cudzych rękach. – Westchnął. – Większość z nich... cóż, zawsze byłeś uczonym, Thom. Ja jestem żołnierzem, a Duch wezwał mnie, abym służył jako żołnierz. Jeśli zginę, to jest to związane z moją profesją. W końcu wszyscy ludzie umierają.

>>W sumie prawda.<< stwierdziło Centrum, a głos maszyny był bardziej ponury niż zwykle. >>Przywrócenie międzygwiazdnej cywilizacji na Bellevue i wśród ludzkości rozproszonej w kosmosie jest celem wartym więcej niż jednego żywota.<< przerwa >>Więcej niż miliona żywotów.<<

Raj skinął głową. – A poza tym... za rok mogę umrzeć. Albo Barholm może umrzeć. Albo pies może się nauczyć śpiewać.

Dotknęli się policzkami – *embrhazo* bliskich przyjaciół. Thom znowu zastygł w bezruchu. Raj przełknął ślinę i odwrócił wzrok. Widział, jak ginęło wielu ludzi. Zbyt wielu, by ich zliczyć. Widywał ich w snach, o wiele częściej, niż by sobie tego życzył. Ta zastygła poza przyjaciela niepokoiła go w sposób, w jaki nie niepokoiły go stosy trupów po bitwie. Żadnego oddechu, żadnego uderzenia serca, chłód trupa – a mimo to Thom żył. Żył i nie starzał się.

Raj wyszedł przez drzwi, które ukazały się cicho w lustrzanej kuli, w tunel z dywanem z kości – kości tych, którzy przez lata zostali odrzuceni przez Centrum, czekające na człowieka, który byłby jego mieczem w świecie.

Z drugiej strony, pomyślał Raj, bezruch nie jest taki zły, kiedy się weźmie pod uwagę alternatywy.

* * *

– Kurwa mać – powiedział major Ewardo Poplanich. – Jak długo to będzie trwało? Gdybym chciał siedzieć na tyłku i się nudzić, to zostałbym w domu. – Mężczyzna przesunął ręką po swoich brązowych, rzędzących włosach.

Poplanich stanowił częściowo powód, dla którego Raj Whitehall i tuzin jego towarzyszy miało dla siebie mnóstwo miejsca na wyściełanej ławo-sofie biegnącej z boku sieni. Nikt na dworze nie chciał siedzieć *zbyt* blisko bliskiego krewnego ostatniego gubernatora z Poplanich. Paru zastanawiało się, dlaczego Poplanich zadaje się z Rajem. Thom Poplanich zniknął, przebywając w towarzystwie Raja, a brat Thoma, Des, zginął, gdy Raj zdławił próbę przewrotu wymierzoną przeciwko gubernatorowi Barholmowi.

Kolejną przyczyną, dla której dworzanie ich unikali, były oczywiście wątpliwości dotyczące pozycji Raja u Krzesła.

Reszta powodów związana była z pozostałymi towarzyszami, tuzinem albo i więcej bliskich Rajowi ludzi, których zebrał w czasie swojej pierwszej kampanii na wschodniej granicy oraz w Południowych Terytoriach. Wielu dworzan spędziło swoje dorosłe życie w pałacu, czekając w korytarzach tak jak dzisiaj. Z początku towarzysze wydawali się być częścią tego obrazu, w galowych lub wyjściowych mundurach, podobnie jak liczni mężczyźni nie będący w dworskich szatach ani religijnym ubiorze. Chyba że podeszło się bliżej i zobaczyło blizny i ich oczy.

– Będziemy czekać tak długo, jak będzie tego chciał Jego Wysokość – powiedział pułkownik Gerrin Staenbridge, kiwając elegancko stopą przełożoną przez kolano. Wyglądał dokładnie na tego, kim był: na przystojnego, zawodowego żołnierza ze szlacheckiej rodziny o umiarkowanym bogactwie, człowieka z dowcipem i wykształceniem, a przy tym bezlitosnego zabójcę. – Uważaj się za szczęśliwca, że masz posiadłość w hrabstwie, które jest nudne. W rodzinnych stronach w hrabstwie Descott...

– ...bandyci włączą przez komin raz w tygodniu w Gwiazdodzielę – dokończył Ewardo. –

Czyż nie, M'lewis?

– Nic mi o tym nie wiadomo, ponie – rzekł niewielki mężczyzna o szczurzej twarzy.

Towarzysze byli nieuzbrojeni, pomimo paradnych mundurów – żołnierze Straży Życia przy drzwiach i rozstawieni po korytarzu byli w pełni wyposażeni – ale Raj podejrzewał, że kapitan Grupy Zwiadowczej 5 z Descott miał coś w rękawie.

Prawdopodobnie drucianą garotę, pomyślał. M'lewis wstąpił do wojska, będąc o krok od stryczka, po tym, gdy w parafii Bufford – najbardziej bezprawnej części niezbyt przestrzegającego prawa hrabstwa Descott – zrobiło się dla niego za gorąco. Raj uznał jego talenty za na tyle użyteczne, by go awansować do rangi oficera, choć przy pierwszym spotkaniu niemalże go wychłostał – sprawa zwędzonej rolnikowi świni. Grupa Zwiadowcza pełna była przyjaciół, krewnych i sąsiadów M'lewisa. Była też znana reszcie 5 z Descott jako Czterdziestu Złodziei, i to nie bez powodu.

Kapitan Barton Foley podniósł hak, który zastąpił jego lewą rękę. Kiedy Raj zobaczył go po raz pierwszy cztery lata temu, jego twarz była po chłopięcemu śliczna. Oficjalnie był on adiutantem Gerrina Staenbridge'a, nieoficjalnie stałym kochankiem. Wtedy miał obie dłonie.

– A dlaczego ci nie wiadomo? – spytał M'lewisa. – To znaczy, nie wiadomo o bandytach włączających przez komin?

Nierówne, żółte zęby ukazały się w uśmiechu. – We kominie nie ma żadnej owcy ni bydła, ponie – odpowiedział M'lewis z chrapliwym, nosowym akcentem z Descott. – A psy pod wierzch są głównie we stajni. Po co więc włączyć przez komin, a?

Pozostali towarzysze się zaśmiali, a potem powstali jak jeden mąż. Tłum odsunął się od nich i rozstał, gdy wkroczyła Suzette Whitehall.

Messa Suzette Emmenalle Forstin Hogor Wenqui Whitehall, pomyślał Raj. *Pani Hillchapel. Moja żona.*

Nawet teraz ta myśl przyprawiała go o lekkie ukłucie pod mostkiem. Była małą kobietką, ledwo sięgającą mu do ramion, ale siła osobowości kryjącej się za tymi skośnymi, orzechowo-zielonkawymi oczami była oszałamiająca. Siedemnaście pokoleń szlachty Wschodniej Rezydencji obdarzyło jej szczupłe ciało charcją gracją, a skłonowi jej głowy o oliwkowej cerze i pięknych rysach nadało nieświadomą arogancję. Na swych krótkich, czarnych włosach miała dworską, długą blond perukę pokrytą siateczką z platyny i diamentów. Jeszcze więcej klejnotów błyszczało na jej staniku, palcach i złotym łańcuszku u

pasa. Legginsy z wyszywanego jedwabiu *torofib*, zrobionego z kokonów kopiących jamki owadów z dalekiej Azanii, połyskiwały zachęcająco przez modnie rozciętą spódnicę z keldeńskiej koronki.

Raj ujął jej dłoń i podniósł do ust. Małżonkowie stali przez chwilę patrząc na siebie.

Podkuta metalem laska uderzyła o podłogę i otworzyły się wysokie skrzydła drzwi prowadzących do Sali Audiencyjnej. Przepysznie ubrana postać lokaja – nadwornego odźwiernego – skłoniła się i wysunęła swą laskę z gwiazdą na czubku, symbolem Rządu Cywilnego.

Suzette wzięła Raja pod ramię. Towarzysze ustawili się za nim, bezwiednie formując dwójkową kolumnę. Głos odźwiernego rozbrzmiewał z wyszkoloną precyzją przez tubę ze złota i *niello* – Generał, czcigodny messer Raj Ammenda Halgern da Luis Whitehall, z Whitehallów z Hillchapel, dziedziczny zarządca parafii Smythe w hrabstwie Descott! Jego dama, Suzette Emmenalle...

Raj ignorował hałas, ignorował wspaniale wystrojony tłum czekający po obu stronach wyłożonej dywanem, biegnącej środkiem ścieżki, i ignorował zapachy wypolerowanego metalu, słodkich kadzideł i potu. Jak zwykle czuł lekką irytację wobec ucisku galowego munduru: przylegających szkarłatnych spodni i pozłacanej klapy zasłaniającej krocze, płaszcza z sięgającymi podłogi połami koloru indygo i wysokimi epoletami oraz posrebrzanego hełmu...

Sala Audiencyjna miała dwieście metrów długości i pięćdziesiąt wysokości, a na łukowym suficie widniała mozaika ukazująca galaktykę, z Duchem Człowieka unoszącym głowę i ramiona w tle. Ogromne, ciemne oczy także były wypełnione gwiazdami, wpatrując się w twoją duszę.

Wzdłuż ścian stały automaty ubrane w obcisłe mundury noszone przez żołnierzy Ziemskiej Federacji tysiąc dwieście lat temu. Automaty, zasilane przez ukryte przewody ze sprężonym powietrzem, zabuczały i z chrzęstem stanęły na baczność, unosząc w salucie swe archaiczne i zupełnie niefunkcjonalne bojowe lasery. Żołnierze gwardii stojący wzdłuż ścieżki unieśli swoje całkowicie funkcjonalne karabiny w tym samym geście. Ignorowali automaty, ale ci z tłumu, którzy od dawna nie byli na dworze, wzdrygnęli się na tę budzącą nabożny podziw technologię, i drgnęli zaniepokojeni, gdy lampy łukowe zapaliły się błękitno-białym blaskiem nad każdym spiczasto zakończonym witrażowym oknem.

W dalekim końcu komnaty audiencyjnej znajdowała się półkula ze starego złota,

oświetlona przy pomocy luster przez ukryte w łukach lampy. Błyszczała oślepiającą aurą, lekko pulsując. Samo Krzesło znajdowało się cztery metry nad ziemią na kolumnie z rzezanego srebra, i stanowiło punkt skupienia dla światła, luster i wszystkich oczu w olbrzymim pomieszczeniu. Zajmujący je mężczyzna siedział sztywno niczym kapłan, a światło załamywało się na metalicznej wspaniałości jego szat, wysadzanej klejnotami klawiaturze i igle gramofonowej w jego dłoniach. Skądś, spoza zasięgu wzroku, dobiegł chór głosów intonujących hymn, nieludzko wysokich i słodkich, śpiewający *castrati*, i akompaniujące soprany młodych dziewcząt.

On oręduje za nami...

Wiceregent Ducha Człowieka Gwiazd!

Dzięki niemu jesteśmy wyniesieni na orbitę spełnienia...

Najwyższy! Najpotężniejszy pan suweren!

W jego dłoniach spoczywa moc Kościoła Świętej Federacji...

Władca nie mający sobie równych! Jedyne, prawowity autokrata!

On dzierży miecz prawa i bat sprawiedliwości...

Jego Najwyższa Wysokość! Ojciec państwa!

Zapiszcie jego słowa i wykonajcie program, o ludzie...

– Koniec pliku! Koniec pliku! Kooniec... pliiiku.

Po drugiej stronie łuku obramowującego Krzesło znajdowały się złote drzewa trzykrotnie większe od człowieka, z liśćmi tak misternie wykutymi, że ich skraj wywijał się i drżał przy najlżejszym wiatorku. Pomiedzy nimi wily się pasma białego dymu z kadzielnic, którymi wymachiwali kapłani w śnieżnobiałych kombinezonach, z ogolonymi głowami połyskującymi diagramami z obwodów. Gałęzie drzew także zabłysły, gdy ptaki wyrzeźbione z turmalinu, ametystu i lapis lazuli zaświergotały i zaśpiewały. Ich pieśń wzniosła się do przenikliwego trelu, gdy kolumna podpierająca Krzesło opadała ku białym, marmurowym stopniom. Z tyłu świetlnego łuku podniosły się na całe trzy metry dwa posągi prawdziwej wielkości gorgosauroidów, i ryknęły, gdy siedzenie gubernatora Rządu Cywilnego osiadło na miejscu z lekkim westchnieniem hydrauliki. Wysocy ministrowie wyszli półkołem zza swoich biur – każdy z nich miał ceremonialny ekran o starannie zróżnicowanej wielkości – i padli na twarz, chwytając się za ręce ponad swoimi głowami. Tak samo uczynili wszyscy w sali, poza

uzbrojoną strażą.

Towarzysze zatrzymali się kilka metrów z tyłu. Raj poczuł, jak Suzette puściła jego rękę i zobaczył, jak pochyliła się z dworską elegancją, sprawiając, iż gest czci wydawał się niczym taniec. Raj przeszedł jeszcze trzy kroki do skraju dywanu i przypadł na jedno kolano, skłaniając nisko głowę i przykładając rękę do piersi – był to przywilej związany z jego rangą, jako generała i jednego z wybranych strażników Barholma. Mogło być lepiej dla niego, gdyby wykonał trzy padnięcia na twarz przychodzącego po prośbie. Z drugiej jednak strony mogło to zostać przyjęte jako przyznanie się do winy.

Z Barholmem nigdy nic nie wiadomo, pomyślał Raj. Nigdy nie wiadomo. Centrum?

>>Zbyt niepewny efekt, aby dokonać użytecznej kalkulacji.<< powiedział beznamiętny głos. A po przerwie: >>W przypadku Barholma nawet teoria chaosu daje ograniczone możliwości przewidywania.<<

Raj zamrugał. Były takie chwile, kiedy *myślał*, że Centrum nabiera poczucia humoru. Na swój sposób było to nieco niepokojące. Niech ciemność to pochłonie, i tak nigdy nie był najlepszy w sztuce błagania. Przeleciały mu przed oczami przebłyski holograficznych wizji: Barholm rzucający na jego głowę klątwę Ducha, Barholm przypinający wysokie odznaczenie do piersi Raja...

Złota materia szat wyszywanych szmaragdami i szafirami zawirowała Rajowi przed oczami. Spod nich ukazały się czubki równie bogato zdobionych pantofli. Pełna oczekiwania cisza wypełniła salę. Raj czuł spojrzenia spoczywające mu na plecach. *Jak stado carnosauroidów, czekające, aż krowa się potknie*, pomyślał.

– Powstań, Raju Whitehallu!

Głos Barholma, głęboki i łagodny, był precyzyjnym instrumentem. Mając za sobą wspaniałą akustykę sali, jego słowa rozchodziły się bardziej wyraziście niż słowa odzwiernego przez megafon. Szelest westchnień oznaczał spadek napięcia u tłumu.

Raj podniósł się, pochylając lekko ku ceremonialnemu uściskowi i dotknięciu policzkami. Generał miał kilka centymetrów wzrostu więcej niż gubernator, choć obydwaj byli Descotczykami. Barholm był zbudowany jak cegła i to on miał ciemną cerę i ciężkie rysy tam rozpowszechnione – ojciec Raja poślubił szlachciankę z północnego-zachodu, z hrabstwa Kelden. Ludzie byli tam prawie tak samo wysocy i jaśni jak mówiący nameryjskim barbarzyńcy Rządów Wojskowych.

Obydwaj mężczyźni się odwrócili – wysoki żołnierz i przysadzisty autokrata. Dłoń Barholma spoczywała na ramieniu generała. Była to oznaka wielkiej łaski. Za nimi ukryty chór wysoko zaintonował bez słów.

– Szlachto i kapłani Rządu Cywilnego, zobaczcie oto człowieka, którego nazywamy *zbawcą państwa!* Zobaczcie, oto *miecz Ducha Człowieka!* – Zaintonował ponownie głos oratora. A za nim rozbrzmiał chór – Chwała mu! Chwała mu! Chwała mu!

Raj przyglądał się, jak tłum podniósł się, przykładając otwartą dłoń do ucha i podnosząc drugą ku niebu, przywołując Ducha Człowieka Gwiazd i krzycząc – Sława! Sława! – oraz – Zwyciężaj, Barholmie!

Każdy z nich wiwatowałby na cześć jego doraźnej egzekucji z równym entuzjazmem, albo i większym.

Raj spotkał się wzrokiem z lśnącymi oczami Suzette.

>>Niezupełnie wszyscy.<< przypomniało mu Centrum. Stojący za Suzette towarzysze uśmiechali się, wiwatując. >>Znacznie mniej niż wszyscy.<<

Wiwaty ustały, gdy Barholm uniósł rękę. – W następną Gwiazdodziele będzie wielki dzień świętowania w świątyni i całym mieście. Przez kolejne trzy dni we Wschodniej Rezydencji zostanie zorganizowany festiwal ku czci generała Whitehalla i dzielnych ludzi, których poprowadził do zwycięstwa nad barbarzyńcami z Eskadry. Na każdym skrzyżowaniu dróg zostaną ustawione beczki z winem, a magazyny gubernatorskie będą wydawać je ludziom. Trzeciego dnia łupy i więźniowie zostaną wystawieni na pokaz w Canidromie, a potem nastąpią wyścigi i igrzyska ku czci zbawcy państwa.

Tym razem wiwaty były ogłuszające. Jeśli istniała rzecz, którą uwielbiał każdy we Wschodniej Rezydencji, to było nią widowisko. Chór był ledwo słyszalny, a aplauz osiągnął szczyt, gdy Barholm jeszcze raz objął Raja.

– Zaraz po tym przedstawieniu będzie narada wojskowa – powiedział Rajowi do ucha beznamytnym głosem. – Trzeba zaplanować kampanię w Zachodnich Terytoriach.

Gubernator odwrócił się, a wszyscy pokłonili się nisko, gdy oddalił się przez prywatne wyjście za Krzesłem.

I tak przemija sława tego świata, pomyślał Raj. Śmierć albo zwycięstwo, a jeśli zwycięstwo...

>>Obserwuj.<< powiedziało Centrum. Holograficzna wizja zabłysnęła mu przed oczami, niewidoczna dla nikogo poza nim samym.

* * *

Rozpoznanie nagiego mężczyzny zajęło Rajowi chwilę. Był to on sam, z wykrzywioną twarzą, lśniąca i lepka od przypalonego płynu jego własnych gałek ocznych, po tym, jak potraktowano je rozżarzonym żelazem. Grube, skórzane pasy przytrzymywały jego nadgarstki i kostki, rozciągając go w „X”.

Zakapturzeni kaci właśnie przywiązywali każdą z kończyn do łańcucha w jarzmach wołów. Tłum zamruczał, powstrzymywany przez szereg wymierzonych bagnetów.

Rozdział drugi

Gubernator Barholm stał, podczas gdy służący zdejmowali jego ciężkie szaty. Pokój Negrina pamiętał panowanie Negrina III sprzed trzech wieków. Ściany były z bladego kamienia, poprzecinane delikatnymi freskami z trzcinami, latającymi dactosauroidami i wodnym ptactwem. Znajdowała się tam tylko jedna, mała gwiazda, symboliczny hołd złożony religii, jak było to powszechne w tym bezbożnym wieku. Były tam ministerialne głowy: Mihwel Berg, administrator nowo zdobytych Południowych Terytoriów i przedstawiciel Służb Administracyjnych oraz, oczywiście, kanclerz Tzetzas, generał Klostermann, mistrz żołnierzy; Bernardino Rivadavia, minister ds. barbarzyńców; a także pani Anna Clerett, żona gubernatora. Anna rzuciła Rajowi szczerzy uśmiech, gdy czekali, aż gubernator skończy się rozbierać.

Na dworze jest jeden prawdziwy przyjaciel, pomyślał. Właściwie to przyjaciółka Suzette.

Barholm usiadł, a pozostali skłonili się i dołączyli do niego.

– Cóż, messerowie – zaczął gwałtownie, otwierając teczkę, którą położył przed nim adiutant. – Jako że spacyfikowaliśmy Południowe Terytoria dzięki pomocy Ducha Człowieka Gwiazd i jego miecza, generała Whitehalla, nadszedł czas, by zająć się Zachodnimi Terytoriami i barbarzyńcami bezbożnie panującymi nad Starą Rezydencją, pierwotną siedzibą Rządu Cywilnego Świętej Federacji.

Dał się słyszeć pomruk aplauzu, a Raj spuścił wzrok na dłonie. – Miałem dobrych żołnierzy i oficerów – powiedział.

– Wasza Wysokość – odezwał się Tzetzas. – Wszyscy składamy dzięki Duchowi – nastąpiło masowe dotykanie amuletów, większość osób w tym zgromadzeniu miała prawdziwe, starożytne komponenty komputerowe – i naszemu generałowi Whitehallowi oraz twej mądrej polityce, iż barbarzyńscy heretycy zostali pokonani z taką łatwością. Mimo to zaniedbałbym swe obowiązki, gdybym nie wskazał, iż Rząd Cywilny wciąż nie pozbiierał się po wydatkach na południową kampanię, zakończoną niecały rok temu. Tak właściwie to posłużyła ona jedynie wzbogaceniu się oficerów biorących udział w operacji.

>>Obserwuj.<< powiedziało Centrum.

* * *

Muzzaf Kerpatik znajdował się w dokach Port Murchison, stolicy podbitych Południowych Terytoriów. Był małym, ciemnym mężczyzną z Komar. Kiedyś był kupcem i narzędziem kanclerza Tzetzasa, aż knowania tego ostatniego urosły zbytnio nawet jak na jego elastyczne sumienie. Od tego czasu udowodnił przed Rajem swoją użyteczność na różne sposoby... choć Raj nie wiedział o tej konkretnej sprawie. Kerpatik nadzorował załadunek statku, średniej wielkości kupieckiego trójmasztowca. Szły na pokład zwoje jedwabiu, płócienne worki wypełnione kryształkami nie obrobionej saletry, bele skór rosauroidów i zbite z deseczek, drewniane pudła wypchane czymś, co wyglądało na srebrną i złotą zastawę stołową. Karawana kobiet spiętych łańcuchami za szyję czekała, by zaokrętować się później: wszystkie młode i ładne, niektóre olśniewająco piękne, w resztkach bogatych strojów w krzykliwym stylu szlachty Eskadry. Były to zmierzające na targi niewolników Rządu Cywilnego rodziny tych barbarzyńskich wielmożów, którzy odmówili poddania się Duchowi Człowieka Gwiazd lub których ominęła amnestia po poddaniu się.

Raj pomyślał, że potrafi określić ten moment. To musiało być jakiś miesiąc po ostatniej bitwie w dokach. Tyle czasu, oraz wielodniowego szorowania, trzeba było, żeby gnijąca krew przestała przyciągać roje much.

Słyszałem przedtem o ulicach spływających krwią, przypomniał sobie. Nigdy tego nie widziałem aż do tamtej chwili. Wiceadmirał Curtis Auburn wylądował w tych dokach z dziesięcioma tysiącami wojowników Eskadry, nieświadomy, iż główny zastęp Eskadry został pokonany i że Raj kontroluje miasto. Curtis miał szczęście, został bowiem pochwycony niemal natychmiast, ale mniej niż jeden na dziesięciu z jego ludzi przeżyło ten dzień.

Ta wizja nie mogła być późniejsza niż miesiąc po tym, bowiem Suzette podjeżdżała i pochylała się, aby przyjrzeć się liście załadunkowej znajdującej się w ręce Kerpatika, a obydwójce Whitehallowie odpłynęli do domu, gdy Raj został odwołany niby to w niesławie.

* * *

– Czy nie powinniśmy poczekać i przegrupować nasze środki? – zakończył kanclerz. – Zwłaszcza, gdy nasza wewnętrzna sytuacja jest tak delikatna.

W dużej mierze przez wzgląd na Waszą Rażącą Korupcjogenność, pomyślał z ironią Raj. Istniała popularna we Wschodniej Rezydencji legenda o jadowym kłogębie, który ukąsił Tzetzasa na przyjęciu w ogrodzie, po czym zdechł w straszliwych konwulsjach w przeciągu

paru minut. Kanclerz zbierał ogromne sumy na wojny Barholma i projekty robót publicznych, a sporo z tego przyłgnęło do jego pięknie wymanikiurowanych palców.

Beznamiętna twarz Raja wyrażała szacunek i uwagę. W czasie ekspedycji na Południowe Terytoria Tzetzas dopilnował, by Raj wypłynął z zarobaczonymi sucharami i węglem do pieca będącym w połowie łupkiem. Raj odpłacił mu za tę przysługę podczas ostatniego przystanku na terytorium Rządu Cywilnego, wymieniając towar na dobra z posiadłości Tzetzasa i kopalni wedle pełnej księgowej ceny.

>>Obserwuj.<< powiedziało Centrum.

* * *

Sesar Chayvez stał przed swoim patronem. Pulchny, mały człowieczek pocił się, gdy Tzetzas siedział, przeglądając dokumenty w teczce.

– I tutaj, mój drogi Sesarze, dochodzimy do twojego podpisu, tuż obok ówczesnego brygadiera Whitehalla i Mihwela Berga ze Służb Administracyjnych, na dole nakazu rekwizycji. Podpis zatwierdza wymianę bezużytecznego śmiecia na dobra z moich posiadłości w dystrykcie Kolobassa.

Mówił lekko, nawet z pewnym rozbawieniem. – Wymianę, która, jako że omawiane suchary nadawały się na żarcie dla świń, a węgiel był nie do sprzedania w centrum eksportowym takim jak Hayapalco, kosztowała mnie około czternaście tysięcy złotych FedKredytów. Nie wspominając o wydatkach poniesionych na naprawy posiadłości zniszczonych, gdy Whitehall zakwaterował w nich Skinnerów, po to, by... powiedzmy, zmotywować ludzi do współpracy.

– Wasza Dostojna Czcigodność – odezwał się Chayvez, splatając palce.

Jego oczy biegały po pokoju: po biblioteczkach z mocno podniszczonymi od czytania księgami, osobliwych ozdobach i po skromnej mozaice na podłodze. Co dziwne, była ona w większości przykryta kwadratem nawoskowanego płótna. Chayvez przełknął ślinę i zmusił się do kontynuowania – Ten... bandyta ze wzgórz Descott okupował moją kwaterę wraz z żołnierzami lojalnymi tylko wobec niego! – wybuchł. – Jeden z jego zbirów *dusił* mnie drucianym postronkiem, dopóki nie podpisałem. Co mogłem zrobić?

– Och, rozumiem – powiedział Tzetzas, machając z lekceważeniem ręką. Chayvez zaczął się odprężyć. – To nie pierwszy raz, gdy Whitehall i jego towarzysze wyrządzili mi znaczne szkody. Wcześniej potraktowali brutalnie kilku moich urzędników i pracowników w

Komarze. Tak brutalnie ich potraktowali – sędzę, iż nawet zaczęli *obdzierać ze skóry* jednego z nich – że ci wyjawili o wiele, wiele za dużo, i byłem zmuszony oddać wszystkie moje inwestycje w prowincji Krzesłu, by uniknąć popadnięcia w poważną niełasę.

Barholm był nieźle rozzłoszczony. Plan polegał na wstrzymywaniu wydawania ziemi, zwykle przyznawanej żołnierzom piechoty z garnizonu, a potem chowaniem do kieszeni dochodów z należących do państwa farm. Mogło to ujść nie zauważone, gdyby Raj Whitehall nie został wysłany, by wzmocnić tę właśnie granicę.

Chayvez skinął głową z entuzjazmem. – Ten człowiek to zagrożenie pokoju i porządku rządów, Wasza Dostojna Czcigodność – powiedział.

– To prawda. Zatem zrozumiesz.

– Ach... – Pulchny gubernator prowincji zawahał się. – Zrozumiem, Wasza...

– Tak, tak. Zrozumiesz, że *nie mogę* pozwolić, by moi słudzy bardziej obawiali się Whitehalla niż mnie. O ile wiem, jego oswojony zbir *zaczął* cię dusić?

Cień wysunął się z kąta zaciemnionego pokoju. Wyrósł on na mężczyznę, czarnego mężczyznę w długim, ciemnym płaszczu. Olbrzym nie pochodził z wysoce cywilizowanych miast państw Zanj. Jego plemienne blizny wskazywały, iż był z południowego zachodu, z sawann Majingi. Niewolnik miał prawie dwa metry wzrostu, a ramiona jak byk. Pozbawione języka usta zabełkotały z ogromnej radości, gdy zacisnął palce wokół szyi małego mężczyzny i podniósł go z podłogi. Przez chwilę ramiona i nogi Chayveza machały, uderzając o solidną jak głaz postać czarnego mężczyzny, a potem zadrgały bezsilnie. Masywne ręce zaciskały się stopniowo coraz mocniej. Gdy w końcu trzasnął kark, urzędnik pozostał nieruchomo przez kilka minut. Mocz i inne płyny kapały na nawoskowane płótno na podłodze.

– Owiń ciało i porzuć je w jakiejś uliczce – powiedział Tzetzas w języku zupełnie nie przypominającym cywilizowanego sponglijskiego. Niemowa skłonił się milcząco i pochylił, aby zająć się swoim zadaniem, a kanclerz podkręcił węglowo-naftową lampę i wziął z wykonanego z kości sauroida stojaka na biurku kolejną teczkę.

* * *

Raj spotkał się wzrokiem z Tzetasem i pochylił głowę. Kanclerz odpowiedział na ten gest ruchem niemalże równie nieznacznym i o wiele bardziej pełnym wdzięku.

Barholm wyjaśnił Rajowi – W Cereście doszło do kolejnego wybuchu herezji przeciwników kopiowania twardych dysków. – Nie było to nic poważnego, tylko czyrak.

Kiedy miałeś czyrak na tyłku, przecinałeś go i zapomniałeś o nim.

Dało się słyszeć zszokowane szept. Raj dotknął swego amuletu, ozdobionej złotem płytki z chipami, pobłogosławionej przez samą świętą Wu. – Czy ta herezja nie została wyklęta dwa wieki temu? – spytał.

– Tak, ale to jest jak czarna zaraza, zawsze znowu wybucha – powiedział gubernator. – Tym razem stosują inną taktykę. Sami nazywają diagramy obwodowe „fałszywymi schematami” i uszkodzonymi danymi, a nie tylko odrzucają alegoryczne przedstawienie. Nie możemy sobie pozwolić na kłopoty w Cereście...

Raj skinął głową. Przywożono stamtąd sporą część ziarna dla stolicy, a dolina Tarr stanowiła szlak handlowy prowadzący do bogatych tropikalnych ziem państw miast Zanj. A przynajmniej był to jedyny szlak nie biegnący przez wrogą Kolonię.

– ...toteż wysyłam brygadę i sysupa Czyścicieli Wirusów, by raz na zawsze dokonał oczyszczenia ich podprocedur herezji. – Gubernator potrząsnął głową o kwadratowej szczęce. W jego czarnych włosach widniało więcej siwizny, niż Raj pamiętał. Bycie gubernatorem także stanowiło bardzo stresujące zajęcie.

>>Obserwuj.<< powiedziało Centrum.

* * *

Oślepiające światło słoneczne na głównym placu Cerest, zamożnie wyglądającej stolicy prowincji. Kopuła świątyni Gwiazdy, z wieloramiennym symbolem na szczycie. Po przeciwnej stronie kwadratowa bryła pałacu regionalnego prefekta, a wokół fontanny i arkady. Tłum wypełniał większość wybrukowanej przestrzeni. Z gardeł zgromadzonych ludzi wydobył się jęk, gdy mężczyźni – i kilka kobiet – zostali poprowadzeni do długiego rzędu żelaznych słupów wbitych głęboko w chodnik. Skazańcy potrząsnęli głowami i odmówili przyjęcia podanych słuchawek, stanowiących symboliczne połączenie z terminalami do spowiedzi. Dwaj z nich splunęli na posługujących kapłanów. Żołnierze pognali ich dalej, wspierając i jednocześnie popychając. Na nagich stopach większości więźniów widać było sączące się rany, tam, gdzie powinny znajdować się paznokcie.

Żelazne słupy były połączone w zamkniętą pętlę grubymi, miedzianymi kablami. Końcówki kabli znikwały w umieszczonym na wozie pudle, na zewnątrz którego znajdowało się koło zamachowe z pasem transmisyjnym, napędzanym mocą parowego silnika holowniczego. Gdy stalowe łańcuchy przykuwały ich do słupów, więźniowie zaczęli śpiewać

jakiś hymn w ciężkim, lokalnym dialekcie, którego Raj nie rozumiał. Pieśń podjęli inni w tłumie, mężczyźni w szorstkich, brązowych szatach pustynnych mnichów, kobiety w archaicznych kombinezonach i tunikach umartwionych sióstr, a potem obszarpany tłum *dezpohblado*, miejskich robotników. Oficer rzucił rozkaz i żołnierze blokujący dostęp do miejsca egzekucji ustawili się. Pierwszy szereg przypadł na jedno kolano, a oba szeregi wymierzyły swoje karabiny.

Pas transmisyjny prowadzący do generatora zawył i zakapturzony kat położył rękę na przycisku. Sysup w swojej wyszywanej złotem komży stał, jakby w modlitwie – z jedną ręką przy uchu, a z drugą wyciągniętą z palcami poruszającymi się niczym na klawiaturze – a potem jego ręka powędrowała w dół. Mężczyzna w skórzanej kapturze powtórzył ten gest z wyczuciem czasu zawodowca i z wiszących kabli trysnęły niebieskie iskry. Więźniowie przestali śpiewać, ale nie mogli krzyczeć, gdy prąd stały przebiegał przez ich ciała. Ich ciała tylko zadrgały na żelaznych słupach.

Kamień zatoczył łuk w powietrzu i trafił jednego z żołnierzy w usta. Ten osunął się do tyłu zwiotczały. Pozostali zwarli szeregi. Byli regularnymi żołnierzami, dragonami...

Poleciało więcej kamieni. Raj zobaczył, jak usta oficera poruszyły się bezgłośnie, w modlitwie albo przekleństwie. A potem oficer wykrzyczał rozkaz – Salwą pal! – Tłum się cofnął. Wszyscy poza tymi, których zwały z nóg kule. Żołnierze przesunęli dźwignie spustowe swoich karabinów, przeładowali. Kolejny rozkaz i z wysuniętymi bagnetami zaczęli nacierać zwartym szeregiem.

* * *

Raj zamrugał. Jak zawsze holograficzna wizja trwała o wiele krócej, niż się wydawało. Kanclerz Tzetzas ułożył piramidkę z palców.

– ...konieczne posunięcia, to prawda. Prowincja Cerest jest zbyt cenna, by ryzykować jej utratę.

Zwłaszcza biorąc pod uwagę to, co nasz drogi kanclerz zarabia, mając monopol na czekoladę, torofib i kave, pomyślał ironicznie Raj. I założę się, że robi machlojki z procentem, jaki powinien otrzymać skarb.

>>Prawdopodobieństwo 97% plus minus 2%.<< powiedziało Centrum. >>Jednakże całkowite dochody przekazywane skarbowemu wzrosły, od kiedy Tzetzas ma monopol, ze względu na wzrost ilości transakcji.<<

– Jednak podjęcie kolejnej kampanii w tej chwili, kiedy, jak już wspomniałem, musimy jeszcze powetować koszty ostatniej, cóż... – Tzetzas machnął ręką.

Mihwel Berg, będący teraz administratorem Południowych Terytoriów, prychnął. Berg był małym, cichym i nieśmiałym mężczyzną i przyglądanie się, jak przeciwstawia się Tzetzasowi, było niczym patrzenie na owcę rzucającą się na carnosauroida. – Wasza Dostojność, chciałbym podkreślić, że wszystkie doraźne wydatki na Korpus Ekspedycyjny już się zwróciły, dzięki łupom, sprzedaży jeńców i innym wpływom gotówkowym, pozostawiając nadwyżkę dla skarbu nie mniejszą niż siedemset pięćdziesiąt cztery tysiące FedKredytów. W złocie.

Barholm wyprostował się na siedzeniu, rzucając z ukosa spojrzenie na kanclerza. Była to znaczna suma, nawet jak na standardy Rządu Cywilnego. Gubernator mógł mieć obsesję co do odzyskania terytoriów utraconych wieki temu na rzecz Rządów Wojskowych, ale był on bardzo uważny, jeśli chodziło o kwestie finansowe.

– Co więcej, nawet bez nieocenionych usług, jakie świadczą skarbowi syndykaty dzierżawców podatkowych Waszej Dostojności, przychody z Południowych Terytoriów pod kontrolą Służb Administracyjnych z pierwszych sześciu miesięcy, w kalkulacji rocznej, zajmują dziesiątą pozycję wśród dwudziestu dwóch hrabstw i terytoriów znajdujących się obecnie pod efektywną kontrolą Rządu Cywilnego.

– I – ciągnął Berg, zapalając się do tematu – nie wchodzi w to przychody z posiadłości skonfiskowanych od zmarłych lub pochwyconych członków Eskadry – stanowiących prawie połowę rolnej areału w dystrykcie, jeśli wliczymy w to konfiskatę jednej trzeciej ziemi szlachty Eskadry, która poddała się przed klęską, i oczywiście ziemie samego admirała. To znaczy eks-admirała. Same tylko przychody z tego podwoją całkowite dochody z Terytoriów i to już po odjęciu ziem mających zostać przekazanych wiejskiej milicji, działek garnizonu piechoty i posiadłości dla Kościoła. Co więcej, Terytoria mają w sobie dużo niewykorzystanego potencjału, zaniedbanego pod rządami admirałów. Jeśli nasz suweren, potężny pan, zaznajomi się z propozycjami...

Przesunął po stole paczuszkę dokumentów. Barholm rozwiązał wstążkę i zaczął przeglądać je z zainteresowaniem. Palce Tzetzasa zakrzywiły się niczym szpony. Kanclerz zwykle miał coś do powiedzenia w sprawie tego, co docierało na biurko gubernatora i cenił sobie tę władzę. Gubernator Barholm był pracowitym administratorem i entuzjastą pożytecznych prac publicznych.

– ...sama tylko kolej do kopalni saletry podniosłaby całkowity zysk z Terytoriów o piętnaście procent – saletra należała do monopolów Krzesła, a pokłady na południe od Port Murchison były najbogatsze w znanym świecie – poza tym uczyni zyskownymi znajdujące się tam kopalnie miedzi i cynku, zamknięte od trzech pokoleń. Trzeba też przywrócić do pracy systemy irygacyjne, naprawić drogi... Wasza Wysokość, wysłanie Korpusu Ekspedycyjnego było najbardziej lukratywnym posunięciem politycznym, jakie wykonał gubernator od dwustu lat.

Klostermann pociągnął za swoje rozszerzające się ku dołowi bokobrody. – Mimo to, nawet jeśli Kolonia zachowuje się spokojnie, to nie chciałbym, aby zbyt wielu żołnierzy oddalało się od granicy – powiedział. Ostatnim regionalnym, polowym dowództwem mistrza żołnierzy były Siły Wschodnie. – Ali nie jest głupcem, ale jest próżny i jest jak wygłodzony carnosauroid gotowy do plądrowania.

Barholm wzruszył ramionami. – Mógł zabić swojego brata Akbara, ale otrząśnięcie się z wojny domowej zajmie im chwilę.

Łut szczęścia dał Rządowi Cywilnemu czterech silnych gubernatorów pod rząd, bez uzurpacji albo wewnętrznych konfliktów – co stanowiło główną przyczynę obecnej siły i nie mającego precedensu dobrobytu – ale dyskusyjna sukcesja była problemem, które znały zarówno Rząd Cywilny jak i Kolonia.

>>Obserwuj.<< powiedziało Centrum.

* * *

Jednooki mężczyzna stał pośród wypalonych ruin. Raj rozpoznał go natychmiast – Tewfik bin-Jamal, syn zmarłego Osadnika Kolonii i dowódca wszystkich armii. Raj przegrał z nim jedną mniejszą bitwę i wygrał większą z niewielką przewagą. I każdego dnia w swych modlitwach generał dziękował Duchowi Człowieka za panujący wśród Kolonistów przesąd, który sprawiał, że Tewfik nie nadawał się na tron Osadnika, ponieważ brakowało mu oka.

Przysadziste, muskularne ciało wypełniało z potężnym autorytetem regulaminową, szkarłatną jellabę, a pieczęć Salomona znaczyła opaskę na oko. Oficerowie kolonialnych regularnych sił i odziana na czarno osobista straż, składająca się z Mameluków, podążali za muzułmańskim generałem, gdy ten kroczył pośród roztrzaskanych budynków. Tewfik kopnął we framugę ze zwęglonych desek. Te rozpadły się w popiół, który unosił się widmowo w jasnym słońcu, odsłaniając wygięty mosiądz i żelazo w kształcie tokarki. Inne maszyny stały

pośród ruin, tak jak i odlane w żelazie słupy z przymocowanym wałem napędowym od silnika parowego.

Twarz Tewfika była beznamiętna pod spiczastym hełmem, ale kostki zaciśnięte na mosiężnej rękojeści szabli zbieleły od powstrzymanego gniewu. Kolonia uzbroiła swoje siły w operowane kurkami powtarzalne karabinki, a warsztaty rusznikarskie, które je produkowały, były rzadką i cenną zdobyczą. Teraz mieli o jeden mniej.

Tewfik odwrócił się, a punkt widzenia odwrócił się wraz z nim. Za zawalonym łukiem drzwi do fabryki znajdowało się jeszcze więcej ruin. Dalej znajdowały się nietknięte budynki i długa skarpa schodząca ku wielkiej rzece. Płaskie dachy i minarety, kominy, wieże połyskujące kolorowymi dachówkami, wąskie, wijące się uliczki i nieregularne skwery wokół pluskających fontann: Al-Kebir, stolica Kolonii i najstarsze miasto na Bellevue. Z pół tuzina ogromnych mostów przecinało rzekę, a na wodzie roiło się od dhowów* i sambuków* oraz barek, tratw i parowców. Po drugiej stronie rzeki rosły palmy i drzewa jacarandy, znajdowało się tam też wielkie, połączone skupisko niskich, ozdobnie rzeźbionych marmurowych budynków, zajmujących dziesiątki hektarów. Nie kończące się niskie dudnienie niosło się w powietrzu. Był to dźwięk miliona istot ludzkich i ich poczynań, przesywany przenikliwym zawodzeniem muezina.

Mężczyźni opadli na kolana w modlitwie. Tewfik poczekał chwilę, aż jego służący rozciągnęli dywanik modlitewny, zanim pochylił głowę w kierunku odległego świętego miasta Sinnar, dokąd pierwsze statki, które dotarły na Bellevue, zawiozły fragment Kaaby z płonącej Mekki.

Kiedy powstał, zwrócił się do człowieka w cywilnym ubraniu składającym się z workowatych pantalonów, szarfy, turbanu i wywiniętych na palcach pantofli. Na znak dany przez niego palcem dwaj Mamelukowie, żołnierze-niewolnicy – jeden blondyn, drugi czarny, obydwaj będący potężnymi mężczyznami poruszającymi się lekko jak koty – stanęli za cywilem. Ciężkie, zakrzywione szable w ich dłoniach spoczęły lekko na jego ramionach.

– Sa'id – zaczął mężczyzna.

Książę. Tyle to Raj i tak by wiedział, ale Centrum zawsze w jakiś sposób dostarczało mu wiedzy, czyniąc arabski równie zrozumiałym jak jego rodzimy sponglijski.

. Dhow – arabskim jednomasztowy statek, poj. 150-200 ton [przypis tłum.].

* Samouk – mniejszy dhow [przypis tłum.].

– Książę – ciągnął mężczyzna. – Cóż mogliśmy zrobić? Zwolennicy twego brata Akbara przybyli i zażądali wyszykowanej broni, a potem zaatakowali ich domowi żołnierze twego brata Aliego. Nie jesteśmy wojownikami.

Tewfik skinął głową, gładząc się dłonią po brodzie. – *Kismet* – powiedział, taki los. – Kiedy *kapharowie*, niewierni z Rządu Cywilnego zabili naszego ojca, los sprawił, że to Akbar sięgnął po władzę i poniósł klęskę – pozostawiając swą głowę na słupie przed Wielkim Meczetem – a ty naprawiłeś szkodę tak szybko, jak się dało. Gdybym naprawdę uważał cię za odpowiedzialnego, to bym ci nie groził.

Kierownik skinął bezwiednie głową. Jeśliby Tewfik myślał, że personel się leni, to już dawno na słupie zawisłyby kolejne głowy.

– Ile czasu? – spytał Tewfik, a jego głos był niczym kamienie młyńskie cierpliwości, które samą tylko siłą woli wyduszą wyniki z czasu i losu.

– Jeśli Osadnik Ali, niech Allah obsypie go błogosławieństwami, wyłoży tytułem zaliczki konieczne fundusze, to będziemy znowu produkować karabiny w przeciągu sześciu miesięcy – powiedział kierownik.

Prawa dłoń Tewfika spoczęła na kolbie rewolweru. Gest palca wskazującego i Mamelukowie rzucili kierownika fabryki na kolana, pchając płazami swych szabli. Klingi skrzyżowały się przed jego szyją, gotowe przeciąć ją niczym sekator ogrodnika łodygę tulipana.

– Sześć miesięcy! – wykrzyknął mężczyzna, po czym rozerwał swą kurtę, obnażając pierś i pokazując swą gotowość na śmierć. – Książę Tewfiku, jesteśmy adeptami sztuk mechanicznych, a nie derwiszami albo magami! Narzędzi mechanicznych nie można zmusić do posłuszeństwa batożeniem – sześć miesięcy i nie więcej, ale też nie mniej. Niech zostaną ugotowany żywcem a ciała moich dzieci pożarte przez dzikie psy, jeśli kłamię!

– To da się załatwić... jeśli kłamiesz – rzekł ponuro Tewfik. Mężczyzna spotkał się z nim wzrokiem, ignorując klingi znajdujące się obok jego ciała. Generał Kolonii westchnął i dał znak szermierzom, by się odsunęli.

– Nie ma innego Boga poza Bogiem i wszystko dzieje się zgodnie z wolą Boga. W imię miłosiernego, litościwego, nie każę ci dźwigać ciężaru gniewu, na który zasłużył ktoś inny. Dalej, mój przyjacielu, powstań i omówimy szczegóły nad sorbetem wraz z moimi ludźmi. Wkrótce Dar'as-Salaam będzie potrzebował broni. W Domu Wojny zawrzało.

* * *

Raj skinął głową. – Ali zaczeka. Rok, może dwa, jeśli ma na tyle rozumu, by posłuchać Tewfika.

– A jednak – ciągnął – Brygada jest o wiele bardziej poważnym przedsięwzięciem niż Eskadra. Mieli dłuższy kontakt z cywilizacją i mają swego rodzaju stałą armię. Plus mają nieco świeżego doświadczenia w walce.

Głównie przeciwko Oddanym na północy. Ci byli dzikusami, ale licznymi, zaciekłymi i zdradzieckimi aż do przesady.

– A poza tym Zachodnie Terytoria są większe, nie tylko pod względem samej ziemi, ale i ludności. Nie za wiele pustyni. Powiedziałbym, że do naprawdę porządnej pacyfikacji... trzeba czterdzieści tysięcy żołnierzy. Piętnaście tysięcy kawalerii.

Dało się słyszeć oburzone krzyki wokół stołu. – Wykluczone! – warknął Tzetzas, wytrącony ze swojej zwykłej uprzejmości, a Barholm patrzył przez przymrużone oczy.

– To *byłyby* nieco duże siły – rzekł ostrożnie. – Zwłaszcza, gdy mamy nadzieję, że generał Forker nie będzie walczył.

– Suwerenie, potężny panie, Forker może nie walczyć, ale wątpię, by Brygada poddała się tak łatwo – rzekł Raj.

– Piętnaście tysięcy to tyle, ile możemy poświęcić – powiedział Barholm, stukając kostką dłoni o stół, pokazując, że kwestia została zamknięta. – Okazało się to wystarczające przy Eskadrze. Kolejny batalion albo dwa kawalerii, może więcej dział.

Władca odchylił się do tyłu. – Poza tym – ciągnął – nie jest powiedziane, że generał Forker – władca Brygady zachował starożytny tytuł, choć w Zachodnich Terytoriach zaczął on oznaczać bardziej *króla* niż rangę wojskową – jest wrogo nastawiony wobec Rządu Cywilnego. Spędził ponad rok, negocjując, podczas gdy wykonywał manewry, by zastąpić zmarłego generała Welfa.

– Udało mu się tego jednak dokonać *bez* naszej pomocy, czyż nie, suwerenie, potężny panie?

Minister ds. barbarzyńców przejrzał swoje notatki. – Tak, generale Whitehallu. Właściwie to wykazał się niemalże, cóż, *cywilizowaną* subtelnością w trakcie negocjacji. A potem poślubił Charlotte Welf, wdowę po zmarłym generale. To uczyniło jego wybór na

stanowisko generała nieuniknionym. Przyznam, że byliśmy zaskoczeni.

– Nie tak zaskoczeni jak ona, gdy ją zamordował zaraz po tym, jak umocnił swoją władzę – powiedział Barholm, uśmiechając się. Zaśmiano się grzecznie.

>>Obserwuj.<< powiedziało Centrum. Tym razem tylko szybki przebłysk. Kobieta w kąpieli. Ładna w grubokościsty sposób, z siwizną w długich blond włosach. Podniosła gniewnie wzrok, gdy umknęła służąca szorująca jej plecy, a potem próbowała wstać, zobaczywszy wielkich, brodatych mężczyzn, którzy wdarli się przez drzwi. Dół twarzy mieli zasłonięty szarfami, ale krótkie, skórzane kurtki z frędzlami zdradzały, iż należeli do szlachty Brygady. Woda trysnęła na marmurowe kafle łazienki, gdy chwycili ją za głowę i przytrzymali pod powierzchnią. Jej nogi kopały nieskrępowane, przez chwilę bijąc o wodę, aż ciało zwiotczało. A potem były tylko ramiona wojowników, sztywne kraty w unoszących się mydlanych bańkach...

Kanclerz Tzetzas uniósł palec wskazujący w udawanym przerażeniu. – Całkiem gotycka opowieść – powiedział. – Barbarzyńcy.

Raj skinął głową. – Z pewnością możemy poświęcić siedemnaście albo i osiemnaście tysięcy ludzi – ciągnął. – W Południowych Terytoriach jest całkiem spokojnie. Wszystko, czego potrzebują, to siły garnizonowe, aby trzymać w szachu pustynnych nomadów. Prysłani tutaj wojskowi jeńcy z nawiązką zastąpią wszelkie wycofane siły. Moglibyśmy przewieść statkami znaczne siły na wyspę Stern – znajdowała się ona prosto na północ od odzyskanych Południowych Terytoriów i stanowiła najbardziej na wschód wysuniętą własność Brygady – i... hmm. Czy nie mamy do niej jakiegoś prawa, będąc dziedzicami admirałów? Stanowiłaby pierwszorzędną bazę do natarcia na zachód.

Minister ds. barbarzyńców pochylił się do przodu. – Zaiste – rzekł, poprawiając okulary. – Poprzedni admirał Eskadry – ojciec poprzednika eks-admirała Auburna – poślubił Mindy-Sue Grakker, córkę ówczesnego generała Brygady i wszedł w posiadanie rozległych posiadłości na wyspie Stern stanowiących jej posag. Tamtejszy dowódca Brygady odmówił przekazania administracji przysłanym przeze mnie emisariuszom.

– Doskonale – powiedział Barholm, odchylając się do tyłu i składając palce w piramidkę. Mógł być z pochodzeniem Descotczykiem, ale miał w sobie rozwinięte upodobanie rodowitego mieszkańca Wschodniej Rezydencji do porządnego, prawnie umotywowanego szwindlu. – Stamtąd możemy wykorzystać szansę, gdy się nadarzy.

– Wasza Wysokość – rzekł Raj. – Moglibyśmy przesunąć większość żołnierzy z

Południowych Terytoriów? Jest ich więcej niż trzeba i są bliżej, a ja wiem, co potrafią. Już nadchodzi lato, wchodzi więc w grę czynnik czasu.

– Ach – rzekł Barholm, rzucając mu długie, pełne namysłu spojrzenie. – Cóż, generale, na pewno wycofałbym część tych sił... ale niedobrze byłoby sprawiać wrażenie, jakbyś miał jakąś swoją własną armię. Ludzie mogą to źle zrozumieć...

Raj uśmiechnął się uprzejmie. – Całkowita prawda, Wasza Wysokość – powiedział.

Wszyscy rozumieją, że jak przychodzi co do czego, to armia dysponuje Krzesłem. Trzy pokolenia bez przewrotu to byłby swego rodzaju rekord – jeśli nie liczyć wuja Barholma, Verniera Cleretta. Dokładnie rzecz biorąc, to nie dostał się na Krzesło, strzelając, ale *był* dowódcą Sił Wschodniej Rezydencji, gdy ostatni gubernator z Poplanich zmarł z przyczyn naturalnych.

Prawdopodobnie z przyczyn naturalnych.

– Z pewnością nie chcemy, by ludzie *tak* myśleli – ciągnął Raj. – Zatem połowa batalionów kawalerii z Południowych Terytoriów? – Barholm skinął głową.

– I piechota?

– Ależ oczywiście – rzekł gubernator, nieco zaskoczony, iż Raj podniósł tę kwestię. Piechota stanowiła drugorzędnych żołnierzy i Barholm nie dostrzegał zbyt dużej różnicy pomiędzy jednym batalionem a drugim.

Nie widziałeś, co ja i Jorg potrafimy z nimi zrobić, pomyślał Raj. – Zatem wezmę pozostałe bataliony kawalerii i artylerię z Sił Rezydencji?

Barholm dał znak zgody. – Posyłam także mego bratanka Cabota Cleretta – powiedział gubernator. – Został awansowany na majora dowodzącego 1 Batalionem Rezydencji. – Jednostka Straży Życia bardzo rzadko opuszczała Wschodnią Rezydencję, ale wielu służących w niej ludzi było weteranami z innych jednostek. Ostatnimi czasy większość pochodziła z posiadłości rodowych Clerettów. – Już czas, by Cabot nabrał trochę wojskowego doświadczenia.

Raj rozłożył ręce. – Wedle rozkazu, Wasza Wysokość. Poznałem go. Wydaje się być inteligentnym, młodym oficerem i bez wątpienia także odważnym. – Subtelne przypomnienie: *nie wiń mnie, jeśli dostanie gdzieś kulą.*

– Zaiste. Choć mam nadzieję, że nie będzie oglądał *za* dużo akcji. – Równie subtelna

wskazówka: *on jest moim dziedzicem*. Barholm dobiegał prawie czterdziestki, a w ciągu piętnastu lat małżeństwa nie wydali z panią Anną na świat dziecka. Gubernator uśmiechnął się jak rekin na tę wymianę słów. Było to warte ryzyka, jako że miał innych bratanków. Gubernator nie *musiał* być generałem, ale potrzebował tyle doświadczenia polowego, by szanowali go walczący mężczyźni. Kontynuował – A właściwie, tylko niech to nie wyjdzie poza te ściany, właściwie to negocjujemy teraz z generałem Forkerem. Tak, ach, śmierć Charlotte Welf... Charlotte Forker... wzbudziła znaczną niechęć wśród niektórych wielmożów Brygady. Zwłaszcza, iż główne prawo Forkera do członkostwa w rodzinie Amalsona opierało się na niej. Generał Forker wyraził zainteresowanie naszą propozycją znacznych apanaży i posiadłością koło Wschodniej Rezydencji w zamian za abdykację na rzecz Rządu Cywilnego.

– On może abdykować, suwerenie, potężny panie, ale wątpię, by jego szlachta się na to zgodziła. Monarcha Brygady może zostać wybrany spośród domu Theodore’a Amalsona. Rada Wojskowa składa się ze wszystkich dorosłych mężczyzn, a oni mogą go usunąć ze stanowiska i osadzić kogoś innego na jego miejscu.

– Dlatego – rzucił sucho Barholm – wysyłamy armię.

Raj skinął głową. – Zatem od razu się za to zabiorę, Wasza Wysokość, jak tylko otrzymam gubernatorski kwit – ogólny rozkaz zatwierdzający – za twym pozwoleniem, suwerenie, potężny panie.

Rozdział trzeci

Jakże całkowicie głupio postępuje, pomyślała Suzette Whitehall, patrząc na przybyłego z petycją.

Pani Anna oparła głowę na rękę, z łokciem spoczywającym na poręczu krzesła z satynowego drewna. Jej audyencje były o wiele zwyczajniejsze niż gubernatora, jak przystało na małżonkę władcy. Poza żołnierzami ze Straży Życia przy drzwiach obecnych było tylko parę dam dworu, a pokój urządzone z przepychem, choć był niezbyt obszerny. Przez otwarte okna dochodził przyjemny zapach kwiatów i dźwięk brzdąkającej *gittary*. Chłodny, wiosenny wiaterek trzepotał jedwabnymi, nakrapianymi zasłonami.

Mimo tego znamienity Deyago Rihvera się pocił. Był pulchnym, małym mężczyzną, którego brzuch wypychał do granic wytrzymałości wyszywaną kamizelkę i frak z wysokim kołnierzem, i którego ręka wciąż wędrowała, by pobawić się szmaragdową szpilą w koronkowym krawacie.

Suzette pomyślała, że prawdopodobnie nie powiązał wspaniałej pani Anny Clerett z Gibką Anką, dzieckiem-akrobatą, aktoreczką i kurtyzaną. Był jej klientem zaledwie raz czy dwa, z tego, co Suzette słyszała – nawet wówczas Anna była wybredna, kiedy mogła. Jednak od tego czasu Rihvera został współnikiem Tzetzasa, a *wszyscy* wiedzieli, jak bardzo małżonka władcy nienawidziła kanclerza. A ludzie, którzy byli winni Rihverze pieniądze, których desperacko potrzebował – by zapłacić za swe artystyczne pretensje – znajdowali się pod patronatem Anny. Nie było sensu przedstawiania żądań przed zwykłym sądem, podczas gdy ona ich chroniła.

– ...zatem widzisz, prześwietna pani, proszę tylko o zwykłą sprawiedliwość – zakończył, ocierając sobie twarz.

– Znamienity Rihvera... – zaczęła Anna.

Głosy chóru dobiegły zza jedwabnej zasłony. Głosy były cichsze, ale poza tym w niesamowity sposób przypominały śpiewaków z Sali Audiencyjnej, *castrati* i młode dziewczęta.

O cierpiący na wzdęcia, znamienity Deyago

Z wydatnym brzuchem.

O nieustająco pierdzący, brzuchaczu!

Srebrzyste dzwoneczki zadźwięczały w dłoniach słodkim kontrapunktem. Anna wyprostowała się na siedzeniu i rozejrzała.

– Czy coś słyszeliście? – wymruczała.

Suzette odchrząknęła. – Zupełnie nic, prześwietna pani. Jest jednak jakiś nieprzyjemny zapach.

– Poślijcie po kadzidła – powiedziała małżonka władcy. Zwróciła się z powrotem do Rihvery z poważnym wyrazem twarzy. – A teraz, znamienity...

O znamienity Deyago, masz usta ropuchy

I oczy robala.

O ropuchousty z oczami robala!

Tym razem srebrzystym dzwonom towarzyszyło parę realistycznych rechotów.

Zastanawiam się jak długo będzie to znosił? – pomyślała Suzette, wachlując się powoli.

Ręce mu się trzęsły, gdy zaczął znowu.

* * *

– Czy dobrze się czujesz, moja droga? – spytała z niepokojem Suzette, gdy zniknęli służący i przychodzący po prośbie ludzie.

– To nic – rzuciła energicznie Anna. – Tylko odrobina grypy.

Żona gubernatora wyglądała na nieco bardziej chudą i wyczerpaną niż zwykle, teraz, gdy rozbawienie znikło z jej twarzy. Była wysoką kobietą, która nosiła swe długie, ciemnorude włosy przetykane perłami na przekór dworskiej modzie i protokołowi. Miała też na sobie tiarę i wyszywany klejnotami stanik, rozciętą, falbaniastą spódnicę z jedwabiu, legginsy i pantofle, jakby się w nich urodziła. Zamiast wspinania się na szczyt, od akrobatki i dziecka-dziwki przy carnidomie i cyrku...

Suzette zdjęła swoją blond perukę i pozwoliła wiosennemu wiatrkowi wpadającemu przez wysokie drzwi potargać jej mokre od potu czarne włosy. Wiatr niósł zapach zieleni i kwiatów z dziedzińca i pałacowych ogrodów, ze śladem dymu z miasta w tle.

– Dziękuję ci – powiedziała Suzette do Anny. – To nic takiego – stwierdziła Anna. – Radzę Barholmowi dla jego własnego dobra, a oddanie dowództwa Rajowi *jest* najlepszym posunięciem. – Zawahała się. – Zdaję sobie sprawę, że mój mąż potrafi być czasami... trudny.

Potrafi być histerykiem, pomyślała chłodno Suzette, uśmiechając się i klepiąc dłoń Anny. Szalejąc ze strachu w czasie Zamieszek Zwycięstwa, Anna powiedziała mężowi, by uciekał, jeśli chce, ale że ona woli zostać i podpalić pałac wokół siebie, niż wrócić do doków. To dodało mu nieco odwagi, to i fakt, że Raj przejął dowództwo nad gwardią i zdusił zamieszki salwami ognia, kartaczami i natarciem bagnatów.

Potrafi też stanowić paranoidalną groźbę. Barholm był najlepszym administratorem, jaki od pokoleń zasiadał na Krześle, i demonem pracy, ale podejrzewał każdego oprócz Anny. Nigdy też nie był tak naprawdę wojownikiem i zazdrość, jaką budził w nim Raj, zatruwała resztki jego zdrowego rozsądku w tej sprawie. Gubernator posiadał teoretycznie na poły boski status, mając władzę nad życiem i śmiercią swoich poddanych. W praktyce utrzymywał tę władzę do momentu, aż posługując się nią zbyt często i w stosunku do zbyt wielu wpływowych poddanych, przestraszył resztę na tyle, by zabili go, pomimo niebezpiecznego okresu niepewności, który zawsze następował po przewrocie. Barholm nie zbliżył się jeszcze to tego punktu.

Jeszcze nie.

– Poza tym – ciągnęła Anna – wspieram swych przyjaciół.

I było to prawdą. Kiedy Anna była tylko ladacznicą, którą z niewytłumaczalnego powodu poślubił bratanek gubernatora Verniera Cleretta, pozostałe messy z pałacu ledwo ją zauważały, a jeśli już, to jak coś paskudnego, co zeskrobuje się z buta. Suzette miała więcej rozsądku niż one. *A może po prostu byłam mniejszą snobką*, pomyślała. Jej rodzina była równie starożytna jak każda w mieście. Należała do szlachty, gdy Clerettowie i Whitehallowie byli pomniejszych przywódcami bandytów na wzgórzach Descott. Stali się także całkowicie zubożali do czasu, gdy Suzette osiągnęła pełnoletność, lata przed spotkaniem Raja. Na ostatnie kilka farm została zaciągnięta hipoteka, by zakupić suknie i klejnoty, jakich potrzebowała do pokazywania się na dworze.

– Znowu będziesz towarzyszyła Rajowi? – spytała Anna.

– Jak zawsze – odparła Suzette.

Anna skinęła głową. – Obydwie – powiedziała – mamy zdolnych mężów, ale nawet najzdolniejszy mężczyzna...

– ...potrzebuje pomocy – dodała Suzette. Żona gubernatora uniosła koniuszek palca i pojawili się służący z papierosami w firkach z wyrzeźbionych kości sauroida.

– *Mogę* potrzebować pomocy w sprawie młodego Cabota – powiedziała Suzette. – Nie pojawiał się zbyt często na dworze?

– Głównie siedzi w Descott – powiedziała Anna. – Utrzymuje imię Barholma na ustach wszystkich w rodowych posiadłościach.

A te były skromne. Descott było zapadłym, ubogim, wyżynnym hrabstwem wulkanicznych płaskowyżów i nagiego, zniszczonego przez erozję krajobrazu, oddalonym miesiąc jazdy na psie na północny wschód od stolicy. Było głównie krainą pastwisk, produkującą niewiele poza wełną, psami do jazdy i dekoracyjnymi kamieniami. Innym jego towarem eksportowym byli waleczni ludzie, dumni, ubodzy właściciele ziemscy z zapadłych dziur i towarzyszący im twardzi *vakaro* i ranczerzy-dzierżawcy, ludzie urodzeni do strzelby i siodła, do polowania i krwawych waśni. Zupełnie niepodobni do złamanych podatkami wyrobników środkowych prowincji. Żył tam tylko ułamek ludności Rządu Cywilnego, ale jedną piątą elity dragonów stanowili Descotczycy. Większość pozostałych pochodziła z podobnych przygranicznych terenów albo była najemnikami z *barbaricum*.

Nie było przypadkiem, że ostatnimi czasy Descotczycy zasiadali tak często na Krześle, ani też to, iż Clerettowie starali się utrzymać bezpośrednie powiązania z klanową szlachtą hrabstwa.

– Poważnie, moja droga – ciągnęła Anna – powinnaś się opiekować młodym Clerettem. On jest... cóż, ostatnio gryzie wędziło. Ma dwadzieścia lat i głowę pełną romantyzmu i starych opowieści. Najpewniej da się zabić, co byłoby *nieszczęściem*. Barholm, ach, jest do niego całkiem przywiązany.

Dwie kobiety wymieniły spojrzenia – obydwie bezdietne, obydwie pozbawione złudzeń. Wiele mówiło o Annie to, że Barholm jej nie odsunął, pomimo że nie dała mu dziecka, co było wystarczającym powodem do rozwodu zgodnie z prawem Rządu Cywilnego.

– Postaram się dopilnować, by wrócił, Anno – powiedziała Suzette. *Jeśli to możliwe*, dodała sama do siebie z kliniczną obojętnością. Romantyczni, ambitni, młodzi szlachcice nie

byli trudni do kontrolowania. Dowiedziała się o tym na długo przed swoim małżeństwem. Mogli również stanowić kłopot, kiedy chodziło o poważne sprawy, takie jak dobro własnego męża.

– Jestem pewna, że potrafisz poradzić sobie z Cabotem – powiedziała Anna. Tego rodzaju manipulacja była ich wspólną umiejętnością, w ich nieco innych kontekstach.

– Poplanich nie musi wracać – ciągnęła Anna.

Uśmiechnęła się. Suzette odwróciła wzrok z dobrze skrytym wzdrygnięciem. Zabłąkany wół mógł dostrzec taki wyraz pyska u ostatniego carnosauroida, jakiego kiedykolwiek zobaczył.

Anna klasnęła w ręce. – Thom Poplanich, Des Poplanich. Ehwardo pasowałby pięknie do zestawu, nie sądzisz? – I pozostawiłoby to ród Poplanich bez znaczącego męskiego potomka. Przodek Thoma był kochanym przez wszystkich gubernatorem.

– Des był buntownikiem – rzekła ostrożnie Suzette. – Nigdy nie wiedziałam, co się stało z Thomem. Ehwardo jest lojalnym oficerem.

– Oczywiście, oczywiście – rzekła, zaśmiewszy się Anna i ścisnęła Suzette za rękę.

Żona Raja sama się zaśmiała. *Oto ironia*, pomyślała. *Ja naprawdę nie wiem, co stało się z Thomem.*

Raj po prostu odmawiał rozmowy na ten temat i był *inny* od czasu powrotu z tunelów, które poszli zbadać. Ziemia pod Wschodnią Rezydencją była poprzecinana tunelami. Suzette mogłaby doradzić ciche zgładzenie Thoma Poplanicha i pozostawienie go w katakumbach jako posunięcie na drodze do kariery i osobiste zabezpieczenie – gdyby nie to, iż wiedziała, że Raj nigdy by tego nie wziął pod uwagę. Zmienił się, ale nie aż tak.

Jesteś zbyt dobry dla tego upadłego świata, mój aniele, zwróciła się w myślach do nieobecnego Raja. Nie jest on stworzony dla tak szlachetnego rycerza.

A potem usta pani Clerett się wykrzywiły. Zasłoniła je rękoma, zanosząc się kaszlem.

– *Anno!* – zawołała Suzette, powstając.

– To nic – rzekła ta, przygryzając wargę. – Idź, będziesz miała sporo do zrobienia. To tylko kaszel, minie z wiosną. Zajmę się tym.

Na jej palcach była krew, ukryta nie do końca przez jej mocno zaciśnięte dłonie. Suzette skłoniła się lekko i oddaliła.

– *Na wąskiej drodze nie ma ani brata, ani przyjaciela* – przytoczyła cicho cytata. I żadnych sojuszników przeciwko niektórym wrogom.

* * *

– Zatem, co dostaniemy? – spytał pułkownik Grammeck Dinnalsyn, specjalista od artylerii. Zajrzał już do swoich ukochanych siedemdziesięciopięciomilimetrowych dział polowych i był gotowy zainteresować się mniej techniczną stroną następnego Korpusu Ekspedycyjnego.

Raj i pozostali oficerowie jechali obok siebie główną ulicą bazy szkoleniowej na przylądku, u zachodnich podnóży Wschodniej Rezydencji.

– 5 Gwardyjski z Descott, 7 Zwiadowczy z Descott, 1 Rzeźników z Rogor, 18 Pograniczników z Komar, 21 Dragonów z Novy Haifa i Jednostkę Własną Poplanich z kawalerii Południowych Terytoriów. I całą piechotę oraz działa.

– Jorg się ucieszy, mogąc wyrwać się z Terytoriów. Duch wie, że poszedłem i *wprowadziłem* swoje podziękowania, gdy dostałem rozkazy wymarszu do domu. Niewiele się tam teraz dzieje, poza tym, że ten idiota, którego przysłali, by cię zastąpił, wydaje cholernie głupie rozkazy.

– *Cieszę się*, że dostajemy Jorga. Nie znam nikogo, kto tak potrafi zajmować się piechotą jak Menyez.

Większość dowódców nawet nie próbowała. Piechota była zwykle wykorzystywana jako linia komunikacyjna i do pracy w garnizonach armii Rządu Cywilnego. Jorg miał pod swoją pieczę od czasu Sandoralu, cztery lata temu, swój własny 17 Piechoty z Kelden i 24 z Valencii. Wraz z Rajem wykonali spory kawałek roboty z pozostałymi batalionami piechoty podczas kampanii w Południowych Terytoriach, a Menyez ćwiczył ich mocno przez rok od tego czasu.

– A reszta kawalerii to: 1 i 2 Batalion z Rezydencji, Dragoni Maximilliano oraz 1 i 2 Kirasjerów stąd. – Specjalista od artylerii uniósł brew, słysząc nazwy dwóch ostatnich jednostek.

– Tak, są *Eskadrowcami*, ale ładnie się sprawiają. Są też pełni chęci do walki. Z jakiegoś powodu nie mają nam za złe, żeśmy ich sprali na *scramento*. A właściwie to przeciwnie, z chęcią się od nas uczą.

>>Obserwuj.<< powiedziało Centrum.

* * *

– Dobra, wy ohydne gnojki – rzucił sierżant. – Kto następny?

Zakreślił karabinem w rękach, aż ten obrysował w powietrzu zamazany krąg. Bagnet był nasadzony, ale klinga osłonięta pochwą. Przed przysadzistym Descotczykiem leżało na ziemi trzech potężnych mężczyzn trzymających podobną broń, łapiących ze świstem oddech lub pojękujących. Znajdująca się za nimi kompania stała w pozycji spoczynkowej w podwójnym szeregu z pochylonymi karabinami. Żaden z nich nie wyglądał na zbyt entuzjastycznie nastawionego, by posłużyć za przedmiot lekcji...

– Uważajta! – wykrzyknął sierżant. Mężczyźni byli rozebrani aż do workowatych, bordowych spodni, płóciennych pasów i butów; on miał dodatkowo niebieską szarfę, szarą, bawełnianą koszulę bez rękawów oraz chustę pod szyję w pomarańczowo-czarną kratę 5 z Descott. – A teraz *nauczmy się, jak posługiwać się pieprzonym bagnitem, co nie?*

– TAK, SIERŻANCIE! – wrzasnęli.

– Dobra. A teraz dziabnąć w oczy *tak*, a potem dźgacie w brzuch *tak*. Bagnity w przód! I *raz*, i *dwa*...

* * *

– Chętni, by uczyć się od *ciebie*, panie – rzekł artylerzysta. Był szczupłym mężczyzną średniego wzrostu, z krótko przyciętymi, czarnymi włosami, czarnymi oczami i bladą karnacją, oraz o ściągającym słowa akcencie ze Wschodniej Rezydencji. – To łagodzi ich zranioną dumę – ciągnął. – Nazywają cię awatarem Ducha. A jaki człowiek wstydzi się poddania Duchowi? Nie, żebym ja odmawiał ci tego tytułu.

Raj zmarszczył brwi, dotykając swojego amuletu. Swobodnie rzucone bluźnierstwo było naturalne dla człowieka urodzonego w mieście, ale Raj został wychowany w starym stylu w rodzinnym Hillchapel. Żołnierz Rządu Cywilnego był także wojownikiem Ducha.

>>Dawni ludzie Eskadry przechodzą transformację.<< powiedziało Centrum.
>>Powszechne zjawisko psychologiczne. I technicznie rzecz biorąc, jesteś awatarem.<<

– Mówiąc o bezgwiazdnych – stwierdził Dinnalsyn.

Skierowali z Rajem swoje psy na bok, jako że obozową ulicą zmierzał ku nim batalion. Najpierw chorąży, trzymający długie drzewce osadzone w pierścieniu w prawym strzemienu (sztandar był zwinięty w skórzanym, cylindrycznym pokrowcu). Potem trębacze i dobosze.

Następnie dowódca batalionu i adiutanci w grupce wraz ze starszym sierżantem jednostki. Potem sześciuset pięćdziesięciu ludzi w kolumnach po czterech. Każdy człowiek znajdował się dokładnie trzy metry od strzemion znajdujących się po obu stronach towarzyszy z oddziału, w odległości połowy psa od tych z przodu i z tyłu. Potrójne przerwy pomiędzy kompaniami, chorągiew kompanii, sygnalista i dowódca w każdej z nich. Przed każdym prawym kolanem karabin ze zbrojowni w pochwie oraz długa, lekko zakrzywiona szabla przypięta do siodła po drugiej stronie.

Ludzie nosili okrągłe hełmy w kształcie misek, ze skórzanymi ochraniaczami na szyję pokrytymi kolczugą, ciemnoniebieskie kurtki o długich połach, workowate, bordowe spodnie wsadzone w sięgające kolan buty. Ich wierzchowce były hodowane na farmach. Były to głównie alzatczyki i ridgebacki, osiągające tysiąc funtów wagi i piętnaście dłoni w kłębie. Wszystko według regulaminu i podręczników, tym bardziej zdumiewające, ponieważ mężczyźni noszący mundury Rządu Cywilnego *nie* należeli do zwykłego typu. Dominujący we Wschodniej Rezydencji typ fizyczny to niski, drobny człowiek z kolorem skóry wahającym się pomiędzy oliwkowym a jasnobrązowym, z ciemnymi włosami i oczami. Istniały regionalne wariacje. Descotczycy zwykle byli ciemniejsi niż normalnie, z kwadratowymi szczękami, zbudowani masywnie, z klatką piersiową niczym beczka, podczas gdy mężczyźni z hrabstwa Kelden byli wyżsi i jaśniejsi. Żołnierze jadący w stronę Raja i jego towarzyszy wyglądali jeszcze inaczej. Wielkie chłopcy, głównie wzrostu Raja – sto dziewięćdziesiąt centymetrów, z brodami – co kontrastowało z lokalnym zwyczajem, jasnoskórzy, pomimo opalenizny, wielu blondynów lub o jasnobrązowych włosach.

Zmasowane walenie łap, a od czasu do czasu wycie albo pomruk, były jedynymi dźwiękami, które dochodziły do kolumny. Wtem zadźwięczał ostry rozkaz – 2 Kirasjerów, na prawo *patrz!* Salut generałowi!

Dało się słyszeć przebiegające falą łupnięcie. Głowa każdego mężczyzny obróciła się gwałtownie, a pięść powędrowała do piersi, gdy mijali Raja. Ten odpowiedział tym samym gestem. Oglądanie barbarzyńskich twarzy w mundurach armii wciąż stanowiło pewien szok. A jeszcze bardziej szokująca była pamięć o zastępie Eskadry toczącym się ku szeregowi żołnierzy Rządu Cywilnego – poszczególni wojownicy wyjeżdżający do przodu, by ryknąć wyzwanie, bezkształtne skupiska wokół sztandarów szlachty, pył i ruch oraz wszechobecny chaos...

Większość z tych, którzy nie potrafili się nauczyć, zginęła, pomyślał.

Dowódca batalionu wyłamał się z szeregu i zatrzymał koło nich, gdy kolumna mijała ich z łomotem łań o żwir i dzwonieniem uprzęży.

– Bwenya dai, seyhor! – powiedział Ludwig Bellamy.

On też się zmienił, pomyślał Raj, podając mu rękę po salucie. Karl Bellamy poddał się wcześniej Korpusowi Ekspedycyjnemu, by zachować posiadłości, i ponieważ nienawidził Auburnów, którzy uzurpowali sobie władzę nad Eskadrą. Jego najstarszy syn posunął się znacznie dalej. Nie miał brody, a jego żółte włosy przycięte były „na donicę” jak u oficerów Descotczyków. Jego sponglijski zawsze był dobry na klasyczny sposób Wschodniej Rezydencji (nauczyciele w dzieciństwie), teraz jednak nabrał śladu chrapliwości hrabstwa, sposobu, w jaki mówiła klasa messerów z Descott. Właściwie to przypominał sposób mówienia Raja. Dolna połowa twarzy szlachcica Eskadry była wciąż nieopalona i sprawiała, że wyglądał nieco młodziej niż na swoje dwadzieścia trzy lata.

– Rozkazy wymarszu? – spytał pełen chęci. – Zabieram ich – wskazał głową w kierunku swoich żołnierzy – żeby popracować nad problemem w polu, ale moglibyśmy...

– *No es so hurai* – powiedział Raj, zduszając uśmiech, *nie tak szybko*. Sam też był kiedyś młodym, niecierpliwym dowódcą batalionu. – Ale owszem, wyruszamy. Najpierw wyspa Stern. Będziesz miał szansę pokazać w akcji, że twoi ludzie nauczyli się lekcji.

– Nauczyli – rzekł stanowczo Bellamy. Część ożywienia znikła z jego twarzy. – Pamiętają, i wiedzą, że sama odwaga nie wystarcza.

Powinni, pomyślał Raj.

Ich rodziny zostały osadzone zgodnie z wojskowym prawem własności na państwowej ziemi, co oznaczało, że ich domy także tutaj były.

– I niecierpliwią się, by się wykazać.

Raj skinął głową. Nic dziwnego. W Południowych Terytoriach byli członkami klasy rządzącej, potomkami zdobywców. Dumni mężczyźni, niecierpliwiący się, by odzyskać swoją dumę wojowników.

Mam tylko nadzieję, że pamiętają, iż teraz są żołnierzami, pomyślał Raj. Oddanie dowództwa eskadrowskiemu szlachcicowi było pewnym ryzykiem; przeniósł towarzysza imieniem Tejan M’Brust z 5 z Descott, by dowodził 1 Kirasjerów. Jak do tej pory ryzyko związane z Drugim zdawało się opłacać.

Powiedział na głos – Mówiąc o edukacji, Ludwigu, mam dla ciebie małe zadanko, aby zająć ci wolny czas, którym obdarza się hojnie dowódcę batalionu. Będziemy mieć ze sobą młodego człowieka imieniem Cabot.

Jasne brwi uniosły się pytająco.

– Cabot Clerett. Chciałbym...

Rozdział czwarty

Kil długiej łodzi osiadł na plaży, zgrzytając o szorstki piasek. Żeglarze wyskoczyli za burzę, w sięgającą im do pasa wodę, zapierając się ramionami o deski kadłuba. Raj zeskoczył na piasek, ignorując wodę kipiącą mu wokół kostek i pochwycił swą żonę w ramiona, by przenieść ją poza zasięg przyływu. Wzeszły zarówno Miniluna, jak i Maxiluna, a widmowy zmierzch był niemal tak jasny, że można było czytać nawet wówczas, gdy słońce chyliło się za horyzontem.

Na morzu zabarwionym ciemną purpurą zachodu słońca flota podniosła żagle dotknięte szkarłatem przez gasnące światło. W jej skład wchodziły głównie trójmasztowe statki kupieckie z eskadrą sześciu parowych okrętów wojennych napędzanych kołami łopatkowymi. Nie bano się zbytnio. W przeciwieństwie do Eskadry, która miała znaczących piratów, Brygada nie posiadała marynarki. Niektóre z mniejszych transportowców osiadły na plaży, aby wylądować zawartość, reszta wylądowywała ekwipunek do łódeczek i łodzi wiosłowych. Poza psami. Półtonowe zwierzaki były po prostu spychane przez burzę, zwykle przy pomocy kagańca i piętnastu albo i dwudziestu mężczyzn. Żałobne wycie rozbrzmiewało na wodzie. Kiedy już się w niej znalazły, inteligentne zwierzaki podążały za łodziami swoich panów ku brzegowi. Kilka, które brało udział w ekspedycji przeciwko Eskadrze, skoczyło z własnej woli.

Tak jak zrobił to Horace. Wielki, czarny pies otrząsnął się, obryzgując po równi Raja i Suzette, opadł na piasek, położył łeb na łapach i zapadł w sen. Raj się zaśmiał, tak jak i Suzette przy jego uchu. Raj podskoczył, gdy na chwilę przebiegła mu po uchu językiem.

Przeszedł jeszcze parę kroków i postawił ją. W płóciennym ubraniu do konnej jazdy, ze zrobionym w Kolonii powtarzalnym karabinkiem przerzuconym przez plecy, Suzette Whitehall nie wyglądała za bardzo na dworską damę ze Wschodniej Rezydencji. Raj jednak uważał, że wyglądała bardzo dobrze, naprawdę bardzo dobrze.

– Do roboty – powiedział.

Obóz był już w pełni rozstawiony. Stanowił on kwadrat o boku pół kilometra, otoczony rowem i skarpią ziemną z palisadowymi stopniami strzeleckimi na szczycie. Wewnątrz

znajdowała się regularna sieć bitych dróg, otoczonych przez skórzane namioty ośmioosobowych oddziałów, które stanowiły podstawową jednostkę armii Rządu Cywilnego. Szersze aleje oddzielały bataliony, każda z kwaterą dla oficerów oraz kapliczką-namiotem na sztandary jednostek. Dwie główne drogi biegnące z północy na południe i ze wschodu na zachód krzyżowały się na środku szerokiego placu, tuż obok znajdował się dom tutejszego właściciela ziemskiego, który miał być kwaterą dowódcy. Na wschodzie szeregi przywiązanych psów powarkiwały, gdy podawano wieczorne żarcie. Na zachodzie sadowiła się artyleria, a nieopodal, pod nieprzemakalnym płótnem, spiętrzano góry zapasów...

– Niezła robota – powiedział Raj. I *dokładnie tam, gdzie obozowaliśmy ostatnim razem*, pomyślał z mieszanymi uczuciami.

Wysoki, smukły i długonogi mężczyzna z wąsami zatrzymał się – jechał na wykastrowanym samcu, co nie było często spotykane. Zwłaszcza że mężczyzna miał osiemnastoramienną, złoto-srebrną gwiazdę pułkownika na hełmie i pagonach. Zaczerwienione otoczki wokół jego oczu mówiły dlaczego – miał ostrą alergię na psy. Nieszczęście dla szlachcica, katastrofa dla szlachcica chcącego robić karierę wojskową. Chyba że zadowoliliś się pogardzaną piechotą. Prawdopodobnie stanowiło to źródło zmartwienia dla tego człowieka, ale było szalenie korzystne dla Raja Whitehalla. Zwykle piechota dostawała popłuczyny oficerskiego korpusu, ludzi nie mających powiązań albo zdolności, by zrobić karierę w jednostkach kawalerii.

– Dobra robota, Jorg – powtórzył Raj, gdy mężczyzna zsiadł.

Jorg Menyez wzruszył ramionami. – Mieliliśmy trzy dni, a ja nie zmarnowałem czasu, jaki spędziliśmy koło Port Murchison – powiedział. Zasalutowali i wymienili *embhrazo*. – Na Ducha *Człowieka*, ale się cieszę z wydostania z Terytoriów! Dziewiętnaście batalionów piechoty, pięć kawalerii, trzydzieści dział, raporty zgodnie z rozkazami, *seyhor!* I obóz, jedzenie, pasza i opał jeszcze dla pięciu batalionów żołnierzy wierzchem. – Pochylił się ku ręce Suzette. – Jestem oczarowany, messa.

– Doskonale – rzucił znowu Raj. Było *cholernie* dobrze mieć podwładnych, na których można było polegać, że wykonają robotę bez trzymania za rączkę. Zgromadzenie takich zajmowało lata.

>>Rzeczywiście<< powiedziało Centrum.

– Wszyscy starzy *kompaydres* znowu razem, co? – ciągnął Jorg, gdy podszedł Gerrin Staenbridge. Oczy rozwarły mu się nieco szerzej, gdy dołączył do nich Ludwig Bellamy,

ociekając wodą.

– Dziura odpływowa – rzucił dawny członek Eskadry i kichnął.

– Teraz to będzie sześćdziesiąt dział polowych – stwierdził Grammeck Dinnalsyn. – Przywieźliśmy kolejne trzydzieści i trochę moździerz. Mogą się przydać.

– Narada przy obiedzie – powiedział Raj. Wbił stopy w boki Horace’a. – W górę, ty sukinsynu.

Pies westchnął, ziewnął i przeciągnął się przed powstaniem.

* * *

– Za poległych towarzyszy – powiedział Barton Foley, powstając i proponując toast jako młodszy oficer. Pozostali byli dowódcami batalionów i wżwyz, dwa tuziny mężczyzn, którzy od tego dnia tworzyli rdzeń Korpusu Ekspedycyjnego do Zachodnich Terytoriów. Plus czcigodny messer Fidal Historiomo, głowa drużyny Działu Administracyjnego, który zajmie się kontrolą cywilną, ale on zachowywał milczenie.

– Za poległych towarzyszy – odparli pozostali, unosząc kielichy z winem. Służący zabierali właśnie deser, który nastąpił po pieczonym prosiaku i warzywach.

Z kolei podniósł się Raj. – Messerowie, za gubernatora!

– Za gubernatora! – A potem wszyscy wstali. – Za zwycięstwo! – Przy tym kielichy poleciały kaskadą przez wysokie, szklane drzwi mieszczące się po trzech stronach jadalni willi dowódcy. Po brzęku i huku roztrzaskującego się kryształu doleciało ciche przekleństwo jednego ze strażników. A po nim głośniejsze od jednego z podoficerów.

Damy oddaliły się, trzepocząc wachlarzami i nakryciami głowy z udrapowanej koronki – były nazywane damami przez grzeczność, oprócz Suzette, a ona została. Nikt nie wyglądał na zaskoczonego tym faktem, może poza Cabotem Clerettem, a *on* przez cały wieczór przyglądał się jej z wyrazem twarzy jak po uderzeniu, gdy delikatnymi kpinami pokonywała jego nieśmiałość. Służący postawili likiery oraz kawe i oddalili się.

Raj powstał i podszedł do mapy rozpiętej na sztaludze, która pewnie służyła córce lokalnego dziedzica, zanim wylądowała armada Rządu Cywilnego. Teraz znajdowała się na niej przybita mapa wyspy Stern, w kształcie tępego klina wielkości około trzydziestu tysięcy kilometrów kwadratowych. Dół klina wskazywał na południe, a Korpus Ekspedycyjny obozował na północnym wybrzeżu. Była to doskonała mapa. Kartograficzne służby Rządu

Cywilnego stanowiły jedną z większych przewag, jakie mieli nad barbarzyńskimi przeciwnikami. Centrum mogło dostarczyć mu więcej danych, w jakiej tylko chciało formie... choć część z nich miała tysiąc lat.

Zapadła cisza, gdy wziął wskaźnik. – W porządku, messerowie – rzekł cicho. – Większość z was była już ze mną na kampanii, a ci, którzy nie byli, znają moją reputację.

Dlatego też nastąpił szereg rezygnacji i zmian na stanowiskach wśród dowódców przypisanych mu jednostek. Gdy po raz pierwszy przewodził armii na polu bitwy, usunął jednego na sześciu oficerów, zanim kampania się jeszcze zaczęła. Tym razem zgłaszało się na ochotnika na otwarte stanowiska więcej oficerów, niż było trzeba. Dochodziło nawet do pojedynków i łapówkarstwa na szeroką skalę, aby *dostać* się do Korpusu Ekspedycyjnego. Tak nie było za pierwszym razem, na wschodniej granicy. Oczywiście ten typ człowieka, który *chciał* się przyłączyć do sił polowych pod dowództwem Raja Whitehalla, niósł swoje własne problemy.

Lepiej być zmuszonym do powstrzymywania ognistego psa bojowego niż poganiania niechętnego woła, pomyślał Raj i ciągnął dalej – Pozwólcie mi zarysować ogólną sytuację. Mamy jedenaście tysięcy regularnej piechoty, około siedmiu tysięcy regularnej kawalerii, jako że niektóre bataliony mają nadwyżkę ludzi, i około tysiąca szczepowych sił pomocniczych. Większość wierzchem. Włączając w to sześciuset Skinnerów, którzy będą pożyteczni w czasie walki, a przez resztę czasu będą stanowić *cholerne* utrapienie. – Dało się słyszeć parę chichotów. – Skinnerzy dołączą do nas, kiedy, i jeśli, wyruszymy w głąb lądu – pozostawienie ich na tej wyspie byłoby dla niej wyrokiem.

– Całkowita ludność na terytoriach Brygady to około trzydzieści milionów. – Mniej niż jedna trzecia obywateli Rządu Cywilnego, wciąż jednak znaczna liczba do zaatakowania dla trzydziestu jeden batalionów. – Z tych przemożna większość to cywile – czciciele Ducha Człowieka Gwiazd, blisko spokrewnieni z ludnością Rządu Cywilnego. Teoretycznie będą oni – czyli właściciele ziemscy, kapłani i kupcy – po stronie najeźdźców.

– Brygadowców jest półtora miliona. W przeciwieństwie do nieodżałowanej Eskadry, Brygada ma regularną armię, poza prywatnymi wojami wielmożów – a niektórzy z nich mają ich całe regimetry. Pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy generała znajduje się pod bronią. Istnieje tu system obowiązkowej służby. Kolejne dwieście tysięcy może zostać zwołane w potrzebie, nie licząc najemników – a wszyscy oni będą mieli *jakieś* doświadczenie wojskowe. Brygada ma problem z wrogimi szczepami na północnych granicach i większość stałej armii brała udział

w działaniach bojowych.

– Co więcej – ciągnął dalej – w przeciwieństwie do Eskadry żołnierze Brygady *nie* są uzbrojeni w nie gwintowane karabiny skałkowe. – Raj skinął na ordynansów stojących z tyłu pokoju. Mężczyźni rozłożyli pół tuzina długich muszkietów na stole pomiędzy filiżankami kawy.

– Zewnętrzna spłonka umieszczona pod kurkiem – powiedział, gdy oficerowie oglądali broń nieprzyjaciela. – Ładowany przez wylot lufy papierowym ładunkiem i kulą z wydrążoną podstawą i spiczastym czubkiem. Dwa pociski na minutę, ale ekstremalny zasięg aż do tysiąca metrów. Zwróćcie uwagę na regulowane celowniki. W odległości mniejszej niż sześćset metrów jest on celny na tyle, by zabijać poszczególnych ludzi. Brygadowcy są głównie posiadaczami ziemskimi, nawet ci będący pełnoetatowymi żołnierzami. Lubią polować i większość z nich jest doskonałymi strzelcami.

Czego nie można było powiedzieć o siłach Rządu Cywilnego, a zwłaszcza o piechocie, nawet po ponad roku szkolenia Jorga Menyeza.

Cabot Clerett się poruszył. Podobnie jak wuj był on mężczyzną o kwadratowej szczęce i baryłkowej klatce piersiowej. W przeciwieństwie do niego, mimo swoich dwudziestu paru lat, miał wygląd ogorzałego człowieka, przebywającego dużo na powietrzu.

– Karabin ze zbrojowni wystrzeliwuje ponad sześć pocisków na minutę – powiedział. – W razie potrzeby dwanaście.

– Wiem o tym, majorze Cleretcie – odparł sucho Raj. Rumieniec rozlał się pod naturalnym oliwkowym brązem skóry młodzieńca. Suzette pochyliła się bliżej, szepnęła mu coś do ucha i znowu się odprężył.

– Jednakże, oznacza to, że nie będziemy mogli stać na pełnym widoku i powystrzelać ich, znajdując się poza zasięgiem ich broni, tak jak zrobiliśmy to z Eskadrowcami. Nie możemy też liczyć na to, że po prostu rzucą się na nas jak byk na bramkę. Są barbarzyńcami i będą walczyć jak barbarzyńcy...

Lepiej, żeby tak było, dodał sam do siebie, inaczej, Centrum czy nie, mamy przesrane.

– ...ale nie będą *aż tak* głupi.

>>Obserwuj.<< powiedziało Centrum.

* * *

Bęben zadudnił *rat-tat-tat*. Szereg ubranej w niebieskie kurtki piechoty Rządu Cywilnego rozciągał się po polach. Żołnierze brodzili przez sięgającą do pasa pszenicę, pozostawiając po sobie stratowane łąny. Sztandar batalionu powiewał dumnie ponad podwójnym, zębatym rzędem bagnetów. Oficerowie kroczyli przed swoimi jednostkami z szablami przerzuconymi przez ramię. Słońce połyskiwało na ostrzach stali, gorące i jasne. Pociski przelatywały nad głową z rozdzierającym świstem, aby wybuchnąć w kłębach brudno-białego dymu i pióropuszech czarnej ziemi na skraju linii drzew przed nimi. Poza hukem pocisków i szelestem przechodzących strzelców na polu bitwy panowała cisza.

A potem złośliwe, czerwone ogniki zamrugały w cieniu drzew. Tysiące ogników w białawym dymie prochowym z karabinów ładowanych czarnym prochem. Mężczyźni w szeregu Rządu Cywilnego chwiali się i padali w milczeniu lub krzyżąc. W odpowiedzi na wykrzywane rozkazy karabiny powędrowały jednocześnie w górę, i grzmotnęła salwa ognia. Potem wymierzono bagnety i mężczyźni natarli do przodu ze sztandarami pochylającymi się przed nimi. Zza linii drzew i otaczającego je płotu błysnęło jeszcze więcej ogników, raz po raz mrugając przez rosnącą chmurę prochowego dymu i czyniąc wyrwy w nacierającym szeregu. Ten zachwiał się, znalazłszy się w strefie śmierci.

* * *

Raj zamrugał. Słuchacze wciąż uważali. Minęło tylko parę sekund, a ludzie przywykli do dziwaczych chwili introspekcji Raja Whitehalla. Zapadła noc i połyskujące, sześcioskrzydłe owady wlatywały przez otwarte okna, by objąć się o węglowo-naftowe latarnie na ściennych filarach.

– Mamy zatem dwa problemy, taktyczny i operacyjny. – *Ja się będę martwić strategią.*

– Taktycznie, będziemy musieli wykorzystać nasze mocne punkty. Mamy dwukrotnie więcej dział niż zwykle siła takich rozmiarów. Większa szybkość strzału karabinu ze zbrojowni jest jeszcze ważniejsza oraz fakt, że można go załadować, leżąc. Polowe umocnienia wszędzie, gdzie się da; zauważycie, ile wydano łopat. Zauważycie także, że kawalerii rozkazano zawiesić szable u sodeł, a nie u pasa. Kult chłodnej stali jest dobry wyłącznie dla barbarzyńców, messerowie. Nie chcę, by ktokolwiek o tym zapomniał.

– Naszą prawdziwą przewagą jest nasza dyscyplina i manewrowość, i odnosi się to zarówno do działań taktycznych, *jak i* operacyjnych. Zamierzam posuwać się szybko, wytrącać wroga z równowagi i nie walczyć, chyba że w czasie i miejscu, jakie sam wybiorę. Muszę wiedzieć – *muszę wiedzieć* – że moje rozkazy zostaną zawsze wykonane z szybkością,

precyzją oraz zdrowym rozsądkiem. Występując przeciwko porządnej broni, sensownej organizacji i przewyższającej nas liczebnie osiem albo i więcej do jednego armii, nie możemy sobie pozwolić na przegranie bitwy, nie możemy pozwolić sobie na przegranie nawet większej *potyczki*... A skoro nie możemy wygrać wojny, licząc na wyczerpanie przeciwnika, nie możemy również być przesadnie ostrożni. Czy to jasne?

Skinienia głowy i kilka nieprzyjemnie zamyślonych twarzy. – Dobrze. – *Dobrze, by ludzie uważali, że jestem niezwyciężony, ale niech nam Duch pomoże, jeśli ja tak będę myślał.*

Z Centrum szepczącym mu w myślach, raczej nie padnie ofiarą takiego własnego wyobrażenia. Okazjonalne wątpliwości dotyczące własnego zdrowia psychicznego były odrębną kwestią. Poczul się jak szczur, gdy pomyślał o tym, że Duch ma bezpośrednie połączenie z jego skażoną duszą. Choć jak się o tym więcej pomyślało, to zgodnie z ortodoksyjną doktryną *każdy* miał Komputer Osobisty.

– Co prowadzi nas – ciągnął dalej, balansując wskaźnikiem pomiędzy otwartymi dłońmi – do wyspy Stern. Uważam to za swego rodzaju ćwiczenie szkoleniowe, zakładając, że negocjacje z przywódcami Brygady zawiodą i będziemy musieli zdobyć ziemie na lądzie. Bowiem, panowie, jeśli nie uda nam się szybko przejąć tej wyspy od Brygady, to lepiej, żebyśmy, kurna, palnęli sobie w łeb i posłali żołnierzy do domu, zanim wyrządzimy *prawdziwą* szkodę Rządowi Cywilnemu.

– Zgodnie z teczkami ministerstwa ds. barbarzyńców i raportami wywiadowczymi pułkownika Menyeza – zestawionymi i zinterpretowanymi przez Centrum – na wyspie jest około dwunastu tysięcy mężczyzn Brygady zdolnych do służby wojskowej. Nie więcej niż trzy tysiące to prawdziwi, zawodowi wojownicy, włączając w to znajdujących się w służbie u poszczególnych wielmoży. Wyłapiemy większą szlachtę i ich wojów przy pomocy mobilnych kolumn. Chcę, abyście, messerowie, zwracali szczególną uwagę na doskonalenie manewru przechodzenia z batalionu w kolumny kompanii i z kolumn w szereg bitewny w każdym kierunku. Wróg jest w tym dosyć powolny, a nam będzie potrzebna każda przewaga.

– Przesuniemy wówczas główną grupę armii na południe – pokazał trasę biegnącą przez środek wyspy – do stolicy prowincji nad zatoką Wager. Samo miasto nie powinno stanowić zbytniego problemu. Nieprzyjaciel nie ma dosyć ludzi, aby utrzymać mury.

Przerzucił płachtę, ukazując mapę samej zatoki Wager. Centrum malowało holograficzny diagram, obracając nim, aby pokazać ją pod różnymi kątami. Raj zamrugał, przywracając obraz płaskiego papieru, który widzieli jego oficerowie. Miasto było w kształcie „C”, z

zagłębieniem wychodzącym na południe, na ocean. Położone było wokół zatoki stanowiącej trzy czwarte okręgu.

– Przez zatokę Wager przechodzi większość wyspiarskiego handlu. Okolice zamieszkuje ze czterdzieści tysięcy ludzi, prawie żaden z nich nie jest Brygadowcem. Zatem nie ma problemu... poza fortecą.

Jego wskaźnik postukał w nieregularny wielokąt znajdujący się na szczycie wzgórza zamykającego wschodnią flankę zatoki. Raj nauczył się na pamięć schematycznych rysunków wszystkich większych fortec w Rządzie Cywilnym i jeszcze paru poza nim. Centrum powiększyło tę wiedzę z trójwymiarową precyzją. Zobaczył głębokie, wyłożone kamieniem fosy wokół i stromy spadek aż do żwirowych plaży przy wodzie, gdzie łuk klifów wychodził naprzeciw morzu. Za fosami znajdowały się przysadziste, współczesne mury z grubego kamienia i umocnienia ziemne, zbudowane tak, by wytrzymać ogień dział oblężniczych. Osadzono w nich dziesiątki ciężkich, nie gwintowanych dział, mogących ogarnąć ogniem zatokę. Bastiony, zewnętrzne okopy i forty pozwalały na zabójczy ogień od strony lądu, na gładkie, wznoszące się podejście, nie dające ani osłony, ani pewnego gruntu pod nogami.

– Z pewnością nie zdobędziemy fortecy z marszu. Ale musimy ją zająć, i to wkrótce.

>>Obserwuj.<< powiedziało Centrum.

* * *

– ...a statki wpływały do zatoki Wager. Ich tępe, drewniane dzioby wyrzucały pióropusze białego pyłu wodnego z niebieskiego oceanu. Białe grzywacze lśniły na szerokim przestworze zatoki. Wiał spory wiatr, na tyle mocny, by wydać brązowe płótno żagli i zafurkotać flagą Brygady z podwójną błyskawicą. Na pokładach czerniło się od żołnierzy. Pływały dziesiątki statków, z tysiącami ludzi na pokładach.

Parowy taran Rządu Cywilnego przedzierał się przez fale. Woda wylatywała skrzydłami spod stalowego ostrza na dziobie, tuż pod powierzchnią tafli wodnej, pieniać się. Czarny dym unosił się z komina. Z tyłu płynęło jeszcze pięć taranów. Za nimi, znad wody, białymi i pastelowymi tarasami wznosiło się miasto, z dachówkami błyszczącymi w słońcu. Forteca na przyłładku została zbudowana z burrej skały. Przycupnęła na brzegu niczym zwinięty smok na wysokościach. Żadna strzelająca z wody armata nie mogła sięgnąć tak wysoko. Mury zaś były szerokie, przysadziste i zapadłe za rowem fosy, zbudowane, by oprzeć się ogniewi z dział o wiele cięższych niż poprzerałbane działka polowe, jakie tarany wiozły na swoich pokładach.

Dział tak ciężkich jak te osadzone w podwalinach fortu. Pierwsze z nich zahuczały jak odległy grzmot. Długi dźwięk odbił się echem od klifów i budynków wychodzących na zatokę. Dźwięk przelatujących pocisków przypominał odgłos darcia płótna żeglarskiego. Długi pióropusz dymu z czerwonymi iskrami w środku wykwił z murów fortecznych od strony zatoki. Czterdziestokilogramowe, odlane z żelaza kule armatnie kreśliły rozmazane łuki w powietrzu, a potem rzeźbiły fontanny wodnego pyłu. Statki ignorowały strzały i posuwały się wciąż ku transportowcom Brygady znajdującym się o kilometr dalej. Formacja zaczęła się rozsuwać, gdy każdy parowiec wybrał sobie cel i wysunął się z szeregu. Zabrzmiał gwizdek, a silniki zabeczały głośniejsze, gdy statki przeszły do szybkości taranowania.

Staccato gromu przetoczyło się przez zatokę Wager. BOOM-BOOM-BOOM-BOOM, gdy armaty strzelały jedna po drugiej z dwusekundowymi przerwami, a potem *bambambambambambmbmmmm* – gdy echo śmigało w tę i z powrotem po wodzie. Świszczący skrzek pocisków stanowił słabnący dźwięk w tle bardziej chrapliwych odgłosów wystrzałów. Okręty wojenne poruszały się pośród lasu tryskającej wody, dziesiątki okrętów... poza dwoma statkami, które zostały trafione.

Ciężkie kule armatnie zostały wystrzelone z podwalni przeszło sto metrów ponad poziomem morza. Spadały prawie pionowo w dół i uderzały o pokładowe deski statków. Przebijały się przez gruby na cal pokład, nie zwalniając w widoczny sposób. Dookoła latały długie na stopę śmiertcionośne drzazgi drewna, poruszając się ruchem koszącym niczym szrapnele przez oba znajdujące się na równej płaszczyźnie pokłady.

Jeden statek został trafiony koło rufy. Część drzazg przeleciała przez szczelinę wizjera w żelaznej płycie szafki na busolę i odjęła twarz znajdującemu się tam sternikowi. Jego drgające ciało obróciło koło sterowe, ale statek już skręcał, tak gwałtownie, że jedno koło prawie się uniosło ponad wodę. Kula armatnia przerwała i zablokowała znajdujące się pod pokładem łańcuchy łączące koło ze sterem. Kapitan, trzymający się kurczowo mostka, mógł się jedynie przyglądać z pełną przerażenia fascynacją, gdy taran statku wbił się z całą siłą w kadłub znajdującego się koło niego okrętu wojennego – z precyzją, jakiej nie dorównywało żadne zamierzone posunięcie. Mężczyzna został wyrzucony wysoko przez siłę uderzenia, na chwilę przed tym, gdy stalowy czubek tarana rozpruł bojler parowca. Belki, ciała i kawałki maszynierii trysnęły w niebo.

Drugi statek został trafiony w śródokręcie. Jego koła zamarły w swoich pudłach, gdy bojler zadzwieczał, wygiął się i rozpruł wzdłuż linii nitów. Para wodna zalała przestrzeń

bliźniaczych pokładów, sparzając ludzi niczym homary w garnku. Woda ze skorupy bojlera spłynęła kaskadą na płonące żarem węgle w znajdujących się niżej ceglanych piecach. Te wybuchły parą. To rozerwało żelazne szkielety ceglanych pieców, odrzucając je na plecy wrzeszczącej obsługi, gdy ta uciekała ku drabinom. Statek zamarł na wodzie, przechylił się i zaczął tonąć.

Armaty zaczęły znowu strzelać, tym razem wolniej i trochę nierówno. Kolejny statek został dwukrotnie trafiony. Pociski grzmotnęły prosto w pokład i odbijając się od potężnych belek, przebiły się przez kadłub poniżej poziomu wody.

Jeden z okrętów wojennych zawrócił. Znajdujący się z przodu taran wpadł w środek statków Brygady. Brygadownicy ustawiali żagle pod wiatr, próbując go ominąć, ale okręt wojenny Rządu Cywilnego obrócił szybko i z gracją równą tej, jaką jego siostrzany statek pokazał przy ucieczce. Przemówiła armata na dziobie, gdy rzucił się ku burcie transportowca, a kartacze ścięły wojowników Brygady zgromadzonych wzdłuż balustrady. Potem transportowiec zanurzył się, gdy stalowy dziób grzmotnął go poniżej poziomu wody.

Tuż przed uderzeniem taran Rządu Cywilnego odwrócił bieg kół, starając się uwolnić dziób. Tym razem ciężki, transportowiec-żaglowiec zanurzył się zbyt szybko, a jego ciężar pochwyił stal podwodnego tarana, pociągając dziób okrętu wojennego w dół, aż woda zakotłowała się na jego pokładach. Strzelcy wyborowi Brygady podnieśli się i stłoczyli koło balustrady, a reje zaroili się od wojowników gotowych zalać pokłady parowca.

Reszta sił płynęła przed siebie, aby zakotwiczyć pod murami fortu, chroniona przez jego działa. Ludzie i zapasy zaczęli płynąć na brzeg.

>>Obserwuj.<< powiedziało Centrum i obraz się zmienił.

– Noc. Ciemno. Zaszły oba księżycy i tylko gwiazdy oświetlały nacierających ludzi. Żołnierze posuwali się w ciszy w górę długiego zbocza ku lądowym umocnieniom obronnym Fortu Wager, niosąc tuziny długich drabin oblężniczych i sznurów z supłami i żelaznymi hakami harpunowymi. Szli w ciszy, słychać było tylko stukot ekwipunku, oddechy i chrzęst podkutych ćwiekami butów na szorstkim żwirze.

Łukowe lampy zapaliły się wzdłuż parapetu z trzaskiem i deszczem iskier. Znajdujące się za nimi lustra odbijały światło, tworząc klujące niebiesko-białe promienie, które sparaliżowały tysiące nacierających żołnierzy równie skutecznie jak karbidowe latarnie, jakimi myśliwi posługiwali się, by unieruchomić światłem hadrosauroida. Nie minęła sekunda, a prawie setka armat wystrzeliła z głównych murów fortu, z bastionów w załomach

muru i trójkątnych okopów wysuniętych przed umocnienia. Wiele dział było ośmiocalowej średnicy i strzelało kartaczami z cienkiej blachy, pełnymi ołowianych, muszkietowych kul. Wybuchy pokryły każdy centymetr podejścia i większość żołnierzy Rządu Cywilnego padła jak trawa pod kosą...

* * *

– Zajmiemy się fortecą, kiedy do niej dojdziemy – zakończył Raj. Kwas przelewał mu się w żołądku. – A jutro wstajemy wcześniej. Gerrin, weźmiesz połowę 5 z Descott i 2 Kirasjerów...

* * *

– Za dużo myślisz, kochanie – wyszeptała w ciemności Suzette.

– Cóż, niech to pochłoną bezgwiezdne ciemności, *ktoś* musi – wymruczał z ręką na oczach. W sypialni i tak było ciemno, a ramię nie mogło zasłonić wizji, jakie zsyłało mu Centrum, ani obrazów, jakie podsuwał mu jego własny umysł.

Mają tam wodę artezyjską i zaopatrzenie na rok, pomyślał. Jak...

– Nie mogę ci powiedzieć, jak zająć fort – powiedziała Suzette. – Ale wymyślisz sposób, moje serce. Teraz potrzebujesz snu, a nie zaśniesz, jeśli nie przestaniesz na chwilę myśleć – powiedziała Suzette, ciepłym i chrapliwym głosem. Jej palce były chłodne i nieznośnie delikatne, jak trzepoczące motyle. – To *mogę* zrobić.

I na chwilę myśli ustały.

Rozdział piąty

– Z pewnością odważnie jest być królem i jechać tryumfalnie przez Persepolis – zacytował Barton Foley.

– Ponie? – odezwał się mistrz sierżant.

– Nic, nic – odparł młody oficer. Mało prawdopodobne było, żeby podoficer interesował się staronameryjskim dramatem klasycznym.

Foley skłonił się na lewo i prawo wiwatującym mieszkańcom Perino. Deszcz pąków pomarańczy i róż wzleciał w powietrze, sprawiając, że psy żołnierzy 5 z Descott, znajdujące się z tyłu, zjeżyły się i zatańczyły. Dwustu ludzi i para dział polowych wkroczało do miasta, nie licząc tych, którzy rozeszli się, aby zabezpieczyć bramy i magazyny. Perino było przyjemnym miasteczkiem pastelowych domków o płaskich dachach, schodzącym w dół ku małej, przytulnej zatoczce za falochronem. Miasto otaczały bujne winnice, a na pobliskich wzgórzach znajdowała się kopalnia siarki. Mury były starodawnymi, wysokimi i wąskimi kamiennymi umocnieniami, ale mieszkańcy i tak nie wykazali się specjalną chęcią bronięcia ich przed Rządem Cywilnym – nawet większość z nielicznych Brygadowców nie mogła wykrztusić słowa z radości, kiedy zdali sobie sprawę, że warunki poddania pozwalały im zachować życie, wolność i część własności.

Rajcowie miejscy czekali przy otwartej bramie. Stali boso, z ceremonialnymi sznurowymi stryczkami zaciągniętymi wokół szyi na znak poddania. Duchowieństwo także wyległo licznie, kropiąc święconą wodą i machając kadzidłem – oczywiście było to duchowieństwo ortodoksyjne, a nie kapłani Ducha Człowieka tej Ziemi, heretyckiego kultu Brygady, którzy rozsądnie usunęli się z widoku. Chór dzieci ze znaczących rodzin śpiewał powitalny hymn. Tak właściwie to jedno z dzieci jechało w tej chwili na łęku siodła Foleya, objęte jego lewym ramieniem. Dziewczynka miała około ośmiu lat, była zarumieniona z radości i machała energicznie do przyjaciół i krewnych. Wianek, który miała na włosach, przekrzywił jej się na twarz.

– Przestań się wiercić – wydał z siebie cichy, udawany pomruk. – To jest rozkaz, żołnierzu.

Dziewczynka zachichotała, a potem spojrzała na jego hak. – Mogę go dotknąć? – spytała.

– Ostrożnie, jest ostry – ostrzegł.

W końcu dzieci nie były takie złe. Tak właściwie to sam był ojcem dwojga, a przynajmniej miał 50% szansy, że jest ich ojcem. Nie spodziewał się tego, będąc mężczyzną, którego nie pociągały zbyt kobiety. Uśmiechnął się do siebie. Nie można było właściwie stwierdzić, że w czasie plądrowania El Djem uratował Fatimę przed grupą żołnierzy chcących dokonać grupowego gwałtu. To raczej arabska dziewczyna nalegała, żeby ją uratowano, kiedy, uciekając przed żołnierzami, dosłownie na niego wpadła. To Gerrin namówił z pomocą kilku butelek *slyowtz* żądnego krwi żołnierza z bagnetem w dłoni do pójścia gdzieś indziej. I to Gerrin chciał, żeby Barton przywykł do kobiet, jako że kiedyś będzie się musiał ożenić i począć dziecko dla zachowania honoru rodziny.

W jakiś sposób dziewczyna dotrzymała im kroku w czasie koszmarnego odwrotu spod El Djem, po tym jak Tewfik schwytał w pułapkę 5 z Descott i zmiotł drugi batalion, a nawet pomogła mu przywrócić do zdrowia rannego Staenbridge'a na zimowych kwaterach pod Sandoralem. Była w ciąży i Gerrin – którego żona, znajdująca się w domu w Descott, była wciąż bezdzietna mimo wynikających z poczucia obowiązku, przypadających dwa razy do roku wizyt – uwolnił ją i zaadoptował dziecko. Oba dzieciaki.

– Czy zabiłeś go swoją szablą? – ciągnęło z nabożną czią i żądnym krwi entuzjazmem dziecko, dotknąwszy haka jednym palcem. Znajdowali się niemal na placu miejskim. – Tego, który obciął ci rękę.

– Możliwe – rzucił surowo Barton.

Właściwie to był to pocisk z pom-poma, jeden z ostatnich, jakie wróg wystrzelił w bitwie pod Sandoralem. Było to zaraz po tym, jak poprowadził kontratak z bunkra dowódczego, mijając płonące wozy pancerne Kolonistów. Prawdopodobnie załoga działa została wyrznięta, gdy próbowała się dostać do mostu pontonowego przez Drangosh.

Kto to może wiedzieć? – pomyślał. Tego dnia było tyle trupów. Zabite szmaciane łby, wszelkich kształtów i rozmiarów, zabici żołnierze Rządu Cywilnego spiętrzeni w okopach. Barton Foley został zanieiony na noszach do stacji medycznej w mieście.

– Dobra, zrobimy – zaczął znajdujący się obok niego podoficer.

Krak. Kula przeleciała nad głową, o wiele za blisko. Krak. Krak. Krak. Jeszcze więcej wystrzałów z budynku po lewej – z heretyckiego kościoła Brygadowców. To musieli być

fanatycy.

Ktoś krzyczał; mnóstwo ludzi krzyczało, gdy tłum rozproszył się pod arkadami. Dziecko zakwiliło i chwyciło się mocniej. Foley przerzucił lewą nogę przez siodło i zeskoczył na ziemię.

– Kryć się! – krzyknął. – Odpowiedzieć ogniem! Poruczniku Torridez, zawróć i zajdź ich od tyłu.

Zatrzaśkały karabiny ze zbrojowni. Ich dźwięk był ostrzejszy niż muszkietów Brygadowców. Foley przemknął pod przeciwległą arkadę, a jego pies podążył za nim z wyuczonym posłuszeństwem. Oficer wepchnął dziewczynkę w ramiona matrony w koronkowej mantyli, stojącej cicho za kolumną – w przeciwieństwie do większości cywili, którzy uciekali z wrzaskiem i wystawiali się na rykoszety odbijające się ze świstem od bruku i stiuków budynków wokół placu. Foley nie zatrzymując się przebiegł na drugą stronę kolumny i wpadł z powrotem na plac, wyciągając strzelbę-obrzyna, którą nosił w olstrach przerzuconych przez prawe ramię.

– Zostań! – rozkazał zwierzęciu. A potem – Za mną, psi bracia! – Gruba, ołowiana kula z muszkietu nieprzyjaciela dziabnęła rękaw jego kurtki, rozcinając go zgrabnie niczym nożyce krawieckie. Chwilę potem Foley znalazł się w cieniu kościelnego portyku.

Tuzin żołnierzy i podoficer znajdowali się tuż za nim. Reszta oddziału okrążała budynek albo odpowiadała na ogień z dachu i górnego piętra, zza koryt do pojenia zwierząt, pni drzew, przewróconych wozów albo swoich przycupniętych psów. Kule odbijały się od kamienia nad głową, krzesząc iskry, a śmierzący siarką dym unosił się na ulicy obok stratowanych kwiatów i porzuconych kapeluszy, którymi tłum machał jeszcze chwilę przedtem.

Idioci, pomyślał. Strzelali z dzwonnicy, a strzały w dół były co najmniej trudne, i istniała szansa trafienia innego człowieka za twoim celem.

– Raz, dwa, trzy! – rzucił.

Dwóch żołnierzy rozwaliło zamek. Metal zadzwonił na kolorowych płytkach portyku i ktoś krzyknął z bólu. Foley zignorował go, zignorował wszystko, pozostało jedynie mocne, tunelowe widzenie czyniące wszystko kryształowo wyrazistym. Przedarli się przez wysokie drzwi z oliwkowego drzewa. Oficer przymknął oczy na sekundę i panujący wewnątrz mrok nie oślepił go. Pomieszczenie było długie, z drewnianymi ławkami i główną nawą prowadzącą do ołtarza z niebiesko-białą kulą, którą heretycy zastąpili wieloramienną

Gwiazdę prawdziwej wiary. Wzdłuż ścian, pod małymi, strzelistymi oknami, znajdowały się relikwiarze zawierające kości świętych lub wyposażenie świętych komputerów sprzed Upadku.

Po schodach, w obu odległych kątach pomieszczenia, zbiegali ludzie. Wyraźnie ktoś miał przebłysk inteligencji, kilka minut za późno. Było ich dziesięciu, w tym przywódca w niebieskim kombinezonie i wygolonej od ucha do ucha tonsurze kapłana Duchy Ziemia.

Foley zajął pozycję z lewym ramieniem założonym na plecy i wymierzył obrzyna niczym ogromny pistolet. Łup, i przepełniona nienawiścią twarz kapłana Brygady zniknęła, obryzgując czerwienią białe ściany. Gruby śrut roztrząsał szkło i poobtłukiwał złoto i srebro wokół ołtarza. Kula symbolizująca Ziemię potoczyła się w kawałkach na posadzkę. Potężny odrzut szarpnął nadgarstkiem Foleya. Dwóch nieprzyjaciół odpowiedziało ogniem. Karabin jednego z nich wypalił żelaznym wyciorem, którego strzelec zapomniał usunąć. Wycior poszybował przez kościół, aż wbił się w ławkę niczym olbrzymia strzała. Pociski nie wyrządziły żadnych krzywd, co nie było zaskakujące, jako że żołnierze strzelali na oślep w ciemnym pomieszczeniu. Kula łupnęła w drzewo.

Kolejny mężczyzna przeskoczył nad martwym kapłanem, nacierając muszkietem trzymany niczym pałka. Ostrożnie, pomyślał Foley w zakątku umysłu. Długi muszkiet, wielki mężczyzna. Okrutny zamach. Czekał – nigdy nie było się na tyle blisko, żeby nie chybić – i wystrzelił mu w brzuch z lewej lufy obrzyna. Znowu *łup* i mężczyzna poleciał metr do tyłu, zwalając się w kałuży krwi i wnętrzności. Kolejny Brygadzysta skoczył do przodu z uniesioną długą klingą o pojedynczym ostrzu. Foley rzucił mu strzelbę pod nogi i mężczyzna się potknął. Jego klinga odbiła się z brzękiem od haka oficera. Szermierz zadrgał spazmatycznie, gdy czubek haka wbił mu się w tył czaszki. Brygadowiec umarł, próbując wstać.

Wokół Foleya pulsowały błyski z wylotów luf. Jego żołnierze strzelali ku schodom. Ostatni Brygadowiec padł, a rewolwer wyleciał mu z rąk, zanim zdążył wypalić.

Foley oparł but o ramię martwego mężczyzny i wyszarpnął hak, pomrukując z wysiłku. Z góry, z drugiego piętra, dobiegł kolejny trzask karabinów ze zbrojowni, wrzaski, deszczyk pojedynczych wystrzałów, a potem krzyk Torrideza – Drugie piętro i wieża zabezpieczone, panie!

Foley zaczerpnął głęboki oddech, a potem następny. Wydawało mu się, że pierś ma skutą obręczą. W gardle go drapało, ale wiedział z doświadczenia, że pociągnięcie łyka z manierki

zanim mięśnie przestaną drgać, sprawi tylko, że zrobi mu się niedobrze. W powietrzu unosił się smród śmierci, gówna i krwi, podobny do zapachu wodorostów oraz mokrego, poszlachtowanego mięsa, mieszając się z wonią palonych od dziesiątków lat kościelnych kadzideł i pszczelego wosku. Była to szczególnie odpychająca wariacja na temat zwykłego odoru pola bitwy.

Zaciągnij się do wojska i zobacz świat, a potem spal go i wysadź w powietrze, pomyślał z obrzydzeniem. Jego adiutant podniósł obrzyna i wytarł go swoją opaską na czoło.

– Wstrzymać ogień! – zawołał przez drzwi Foley, otwierając broń i ładując ponownie pociskami z kieszeni kurtki. Była to sprytna sztuczka, ale uczyłeś się sprytnych sztuczek, by wykonywać różne rzeczy, gdy straciłeś rękę. – Wstrzymać ogień!

Bycie żołnierzem nie stanowiło bezpiecznej profesji, ale nie zamierzał ginąć od przypadkowej kuli Rządu Cywilnego. Na placu ziało pustką – choć, o dziwo, jacyś cywile już napływali z powrotem, pomimo że ostatnie kłęby prochowego dymu unosiły się z wylotów luf.

– Torridez?

– Panie – zawołał głos z góry. – Mam ludzi na dachach, cały teren jest pod obserwacją. Wygląda na to, że to byli tylko ci... ich rodziny są tutaj w pokojach z tyłu. Kilku więźniów jest mężczyznami.

– Trzymaj ich pod strażą, poruczniku – zawołał w odpowiedzi Foley. – Wystaw czujki w punktach obserwacyjnych stąd aż do murów miejskich. Sierzancie, sprowadź mi tutaj *halcalde*, rajców miejskich i...

Arkadami przed ratuszem biegł mężczyzna, a kilku innych go ścigało. Sądząc po brodzie i krótkiej kurtce był Brygadowcem. Ścigający wyglądali na zamożnych mieszczan, w szarfach, koszulach z falbanami, sięgających kolan bryczesach i butach z klamrami.

– Wy tam! – zawołał ostro Foley i dał znak oddziałowi zajmującemu się psami.

Szykujący się do linczu motłoch zatrzymał się, gdy skrzyżowane karabiny zagroziły mu drogę. Głębokie warczenie psów brzmiało jak toczące się kamienie młyńskie. Brygadowiec zatrzymał się, dysząc. Zbladł trochę, gdy podszedł do niego Foley. Młodzieniec wsadził swojego obrzyna w olstra na ramieniu i zaczął wycierać chusteczką spryskaną krwią twarz.

– Nie masz się czego obawiać – powiedział, przerywając paplaninę przerażonego człowieka. – Kapralu – ciągnął – moje uznanie dla starszego porucznika Morrsyna przy

bramie, i chęć podwojenia straży przy wszystkich domach Brygady. Mają strzelać ostrzegawczo, jeśli tłum się zbliży, i zabić, jeśli będzie nastawać.

Rozejrzał się dokoła. Kobieta, której przekazał dziecko, wciąż przyciskała się mocno do drugiej strony kolumny, stojąc z dziewczynką pomiędzy nią a kamieniem, aby chronić dziecko z obu stron.

Rozsądnie, pomyślał. – Znasz jej rodzinę? – spytał.

– Moi kuzyni – rzekła cicho kobieta.

Foley rozumiał ją całkiem dobrze, spanjolski z zachodnich prowincji był blisko spokrewniony z jego rodzimym sponglijskim, w przeciwieństwie do nameryjskiego barbarzyńców... choć mówił nim także, jak również starym nameryjskim i arabskim.

– Zabierz ją do domu. Ty, żołnierzu, eskortuj te messy. – Przerzucił nogę przez grzbiet przycupniętego psa i zwierzę podniosło się pod nim. – A teraz, gdzie na ciemności są ci...

Halcalde – burmistrz, w spanjolskim słowo brzmiało alcale – i rajcy wchodzili ostrożnie z powrotem na plac, jakby był to nieznany teren. Stronili od leżących przed kościołem ciał Brygady i grupki więźniów.

Żołnierze Piątego odwiązali arkany, jakie większość z nich wozila przy łęku siodła, i przerzucili je przez konary drzew okalających plac. Pozostali popychali dorosłych mężczyzn spośród więźniów pod stryczki. Większość z nich milczała, jeden czy dwóch szlochało. Jakiś nastoletni młodzieniaszek zaczął wrzeszczeć, gdy spleciony postronek dotknął jego szyi. Dłoń Foley'a powędrowała w dół. Żołnierze przyczepili arkany do kul siodła i cofnęli psy. Mężczyźni unieśli się w powietrze, szarpiąc się i kopiąc. Nikt nie zawracał sobie głowy wiązaniem im rąk. Jednemu z nich udało się chwycić duszący go sznur z nie wyprawionej skóry, aż dwaj żołnierze złapali go za kostki nóg i pociągnęli. Pozostali żołnierze przywiązali sznury do palików dla psów.

Foley poczekał, aż drgające ciała znieruchomieją, po czym zwrócił spojrzenie na miejskich notabli. Jego pies obnażył zęby, zdenerwowany wonią krwi. Foley przesunął uspokajająco ręką po jego szyi. Kłapanięcie zirytowanej bestii z półmetrowymi szczękami to nie żart, a psy bojowe były hodowane na agresywne.

– Messerowie – powiedział. – Zdajecie sobie sprawę, że zgodnie z wojennymi prawami byłbym usprawiedliwiony, oddając to miasteczko moim ludziom do plądrowania? Mam martwego człowieka i czterech mocno rannych, po tym, jak poddaliście się na podanych

warunkach.

Halcalde wciąż miał na szyi stryczek. Dotknął go, co było gestem odważnego człowieka, zważywszy, że tuzin mężczyzn huśtał się z wybałuszonymi oczami i wystającymi językami niecałe dwanaście metrów od miejsca, gdzie stał.

– To ja jestem odpowiedzialny, seynor – powiedział w sepleniącym zachodnim narzeczu.
– Nie sądziłem, że Karl Makermine będzie tak głupi... ale niech sam jeden odpowiem za to życiem.

Foley skinął głową z chłodnym szacunkiem. – Moi więźniowie – zaczął. Długi wrzask odpowiedział z kościoła, jakby na dany znak. – Moi więźniowie mówią mi, że była to robota heretyckiego kapłana i jego najbliższych ludzi. W związku z tym jestem skłonny okazać miłosierdzie. Oczywiście winowajcy stracą swoją własność i życie, a ich rodziny zostaną sprzedane. Wobec reszty, cywili i Brygadowców, będą obowiązywały takie same warunki jak przedtem, oprócz tego, że teraz domagam się zakładników z każdej z pięćdziesięciu najbardziej znaczących rodzin, a Brygadowcy z Perino mają zapłacić grzywnę tysiąca złotych FedKredytów w przeciągu dwudziestu czterech godzin pod karą utraty całej własności ziemskiej.

Niektórzy heretycy skrzywili się, ale huśtające się ciała stanowiły mocny argument. Tak samo jak descotyjscy żołnierze siedzący na psach z karabinami pod pachą lub też stojący na dachach wokół placu.

– Co więcej, spieszę się, messerowie. I lepiej, żeby zapasy, które określiłem – i za które zapłaci się kwitami Rządu Cywilnego, a wiadomo ile są one naprawdę warte – były załadowane i gotowe do wyjazdu za sześć godzin albo nie odpowiadam za konsekwencje. Czy to jasne?

Tłum się rozszedł. Foley przepłukał usta, a potem się napił. Woda była cierpka od octu, który dodał. Kolejna sztuczka starego żołnierza.

– Powinienem był zająć się teatrem – wymruczał.

* * *

– Tum-ta-dum – nucił pod nosem Antin M’lewis, unosząc lornetkę. Powietrze było gorące, oblepiało mu usta kurzem i pachniało nagrzaną skałą. M’lewis splunął na brązowo i zmrużył oczy. Przy sprzyjającym wietrze nie było wielkiej szansy, by wyczuły ich psy nieprzyjaciela.

Tu, w środku wyspy, teren nie dawał zbytnej osłony. Sady i winnice, które pokrywały wąską, nadbrzeżną równinę na północy i gaje oliwne dalej w głębi lądu przeszły w wysokie, pofałdowany płaskowyż. W dalekiej przeszłości był on zapewne z rzadka porośnięty drzewami. Kilka ziemskich dębów korkowych było rozsianych tu i ówdzie, a każdy przyciągał wzrok. Większość płaskowyżu stanowiła tarasowaty teren, na który wysuwały się półka rzadkiego jęczmienia i pszenicy, poprzecinane wyrzeźbionymi erozją parowami. Nie było stałych szlaków wodnych, a koryta rzek tworzyły łańcuszek jezior, teraz, gdy skończyły się zimowe deszcze.

Dwory, którymi usiane było wybrzeże, także zniknęły. Nikt tu nie mieszkał poza chłopami pańszczyźnianymi skupionymi w dużych wioskach, wokół z rzadka występujących źródeł i studni. Tak jak zboże, dochody były zawożone drogami do miast portowych, aby opłacać przyjemne życie w przyjemnych miejscach, leżących daleko stąd. Spływały wzgórzami niczym woda, górna warstwa gleby i nadzieja.

W przyjemnych miejscach, takich jak zatoka Wager i tam właśnie zmierzała długa kolumna. Kurz wzbijał się spod kopyt wołów, łap psów i nóg sług oraz spod kół wozów i karoc.

– Oto jedzie szlachta barbarzyńców – wymruczał do siebie M’lewis, regulując nastawiającą śrubę.

Wyskoczyły mu przed oczy obrazy: heraldyczny herb na drzwiach powozu ciągniętego przez sześć rasowych wilczarzy oraz wysoko spiętrzone sprzęty domowe na zaprzężonym w woły wozie. Eskortę stanowili uzbrojeni ludzie na dobrych psach, w liberiach, których podstawą była szaro-zielona kurtka i czarne spodnie. Niektórzy byli odzianymi w zbroje lansjerami, inni nie mieli żadnej ochrony poza hełmami z ochraniaczami na szyję. Wszyscy byli uzbrojeni po zęby. M’lewis zobaczył jednego z muszkietem, mieczem, buzdyganem, lancą i dwoma rewolwerami kapiszonowymi za pasem, jeszcze dwa miał wsadzone w wysokie buty i kolejną parę przy siodle. Dokonał szacunku, zrobił notatki – był umięjącym czytać i pisać obserwatorem, jeszcze zanim spotkał Raja Whitehalla i udało mu się podczepić swój wóz do jego wschodzącej gwiazdy.

Za nim zaszeptał mężczyzna. Jeden z Czterdziestu Złodziei, nowy rekrut z rodzinnych stron.

– Myślisz, że będzie łokazja na kobitki?

Odpowiedział mu cichy śmiech. – Łokazja na złoto i srebro, ano.

M'lewis przeczołgał się do tyłu niczym leopard, uważając, aby poranne słońce nie odbiło się od soczewek lornetki. Metal karabinu opartego na łokciach został pobrązowiony dawno temu.

– Dostaniecie ode mnie butem w łeb, jak ich wystraszycie – rzucił z cichą groźbą w głosie.

– Ponie – wyszeptał mężczyzna i zamknął się.

Ukazały się połamane, zabarwione tytoniem zęby M'lewisa. Mógł nie urodzić się jako messer, ale na Ducha, potrafił zmusić tę zbieraninę karmy dla kruków do posłuchu. A weterani spędzający podróż morską na obrazowym opisywaniu rekrutom całego tego chlania, dupczenia i plądrowania, jakie im się dostało w czasie ostatniej kampanii, tylko się do tego przyczynili. Spojrzał na ciągnącą się z północy na wschód grań skrywającą większość jego oddziału. Psy ukryte w parowie były trudne do dostrzeżenia pośród splątanych zarośli, nawet gdy wiedziało się, gdzie patrzeć. Większość ludzi była niewidoczna nawet dla niego, rozrzucona w odległości prawie stu metrów pomiędzy każdą parą. M'lewis zsunął się na brązowe, pokryte pyłem kamyczki na dnie parowu. Odrobina wody zalśniła, gdy jego stopy dotknęły ziemi.

– Obcięty Nos, Gaduła – zawołał bardzo cicho. Podniesienie głosu tak, żeby niósł się do nich, ale nie dalej, było sztuką. Jedną z wielu umiejętności, jakich wyuczył go ojciec, który wiedział, jak dobrze ciężki pas wpływa na motywację chłopców.

Dwaj mężczyźni wyczołgali się z gąszczu, a potem przemknęli od skały do skały, nie wzniecając drobinki kurzu. Obcięty Nos stracił większość swojego nosa od noża, kiedy próbował sprzedać psa pod siodło człowiekowi, któremu go ukradł – przykład nieroztropności wynikającej z picia w złym towarzystwie. Był on drugiego stopnia kuzynem M'lewisa i wyglądał na tyle podobnie do niego, że mógł uchodzić za jego brata. Gaduła był ogromny, wyższy niż Eskadrowiec, i w dodatku szeroki w barach. Może nieco pokręcony – przepuściłby okazję do podniesienia spódniczki albo sakiewki po to, by zabić – ale znał się na swojej robocie.

I na swój sposób był oddany Rajowi. Tam, gdzie messer Raj prowadził, tam szła śmierć.

– Masz. Zanieś no to tutaj messerowi i opowiedz mu. Cicho i szybko.

* * *

– Czy na tym raporcie można całkowicie polegać? – spytał Ludwig Bellamy.

Raj i Gerrin Staenbridge spojrzeli na niego, mrugając z niemal identycznym wyrazem zaskoczenia na twarzy. Raj podniósł rękę, by powstrzymać Gerrina przed odezwaniem się i sam zapytał – Dlaczego w niego wątpisz?

– Ahh – Bellamy odchrząknął. – Cóż, ten człowiek, M’lewis, był bandytą. Skąd możemy mieć pewność, że nie poszedł na łatwiznę i nawet nie zbliżył się do wroga? W końcu ludzie kradną, bo to jest łatwiejsze niż praca.

Obydwaj starsi mężczyźni się uśmiechnęli, ale nie złośliwie. Raj chwycił go na chwilę po przyjacielsku za ramię. Gerrin się powstrzymał, ponieważ zauważył, że jego dotyk denerwował dawnego Eskadrowca.

– Och, owszem, M’lewis był bandytą. Tam, skąd pochodzi, to właściwie dziedziczne – wyjaśnił Raj. – Tylko że... cóż, on był bandytą w moim rodzinnym hrabstwie.

Gerrin się zaśmiał. – A jeśli myślisz, że kradzież owiec Descotczykom to łatwe życie, majorze... ujmijmy to w ten sposób, nie znam lepszego przygotowania do zwiadu na terenie wroga.

Bellamy odpowiedział uśmiechem. – Jeśli tak mówisz, panie. – Skupił uwagę na mapie. – Jakie masz plany, generale?

Raj podniósł wzrok. Cztery kompanie 5 z Descott, tylko połowa jednostki, jako że miała prawie dwukrotnie zwiększoną liczebność, cały 2 Kirasjerów i cztery działa. Psy przysiadły, odpoczywając, a większość ludzi kuciała obok nich. Kilku poilo swoje zwierzaki, popijało z manierek albo paliło papierosy. Na tej spalonej słońcem równinie było niewiele kryjówek, a zupełnie żadnych na zakurzonym rozstaju dróg, gdzie się zatrzymali. Prawie tysiąc ludzi, więcej niż potrzeba, by...

– Posłuchajmy twojego planu, majorze Bellamy – rzekł oficjalnie.

Młodszy mężczyzna przerwał w trakcie przetykania, opuszczając manierkę i podnosząc gwałtownie wzrok. Raj beznamytnie odpowiedział na jego spojrzenie, a Ludwig skinął raz głową.

– Panie. – Prześledził palcem linię drogi. – Zgodnie z raportem, dwa tysiące wojowników. Powiedzmy, że razem sześć tysięcy ludzi posuwających się wolnym tempem. Hmm... nie wezwiemy ich do poddania?

Raj potrząsnął głową. Większość z nich pochodziła z zachodniego krańca wyspy, wokół miasteczek Perino i Sala. Wysłał już mobilne kolumny, żeby zebrały tych skłonnych do

poddania się bez walki, obiecując darowanie życia, wolność osobistą i pozostawienie jednej trzeciej bogactw ziemskich każdemu, kto przysięgnie wierność Rządowi Cywilnemu. Ci Brygadowcy przed nimi słyszeli warunki poddania i zamiast tego postanowili udać się do zatoki Wager, by schronić się za iluzorycznym bezpieczeństwem jej murów. Okazywanie zbytniego miłosierdzia było równie złe, jak okazywanie go zbyt mało. Raj nie potrzebował, by Centrum pokazywało mu nie kończące się rewolty, w obliczu których stawałby za linią frontu, gdyby ludzie myśleli, że mogą mu się przeciwstawić i otrzymywać za to amnestię. Miał siedemnaście tysięcy żołnierzy, aby opanować kraj o obszarze pół miliona kilometrów kwadratowych, pełen ufortyfikowanych miast i bitnych mężczyzn. Lepiej zacząć tak, jak zamierzał.

– Mieli już swoją szansę – powiedział.

– Cóż, zatem – skinął głową Bellamy. – Nie chcemy, żeby jacyś ludzie umknęli, nawet pojedynczy. Mogliby dotrzeć do zatoki Wager. Ta kolumna musi przejść tędy. Nie uda im się przeprowadzić wozów przez parów bez korzystania z mostu. Moglibyśmy...

* * *

Henrik Carstens obejrzał się przez ramię. Chmury pyłu rosły w oczach, trzy po jednej z obu stron drogi i jedna na niej. Są jakieś cztery, może pięć kilometrów, stwierdził, a w każdej chmurze przynajmniej kilkuset ludzi wierzchem. Odległości na tych nagich wyżynach były zwodnicze. Zbliżali się szybko. Dotrą do kolumny uciekinierów, zanim ci przejdą przez most. Nie mogło to być nic innego tylko kawaleria nieprzyjaciela. Przeklął ze znużeniem i zamrugał, pozbywając się pyłu z nabiegłych krwią oczu. Zawachłował swym skórzanym kapeluszem i na chwilę pot wysechł na jego rzednących, rudych włosach. Słońce jednak nadal paliło jego skórę, więc po chwili ciało znowu pokryło się kropelkami potu. Hełm mógł przez chwilę poczekać. Carstens potrzebował, żeby mózg mu funkcjonował, a nie gotował się.

Szkoda. Most stanowiłby doskonałe miejsce, by straż tylna ich powstrzymała, podczas gdy rodziny i tabor dotarłyby do zatoki Wager, a przynajmniej znalazły się w odległości, w której mógłby otrzymać wsparcie patrolów działających poza miastem.

Oczywiście kapitan dragonów Henrik Carstens i tak skończyłby, chroniąc tyły. Odchrząknął i wypluł pył na drogę. Człowiek żył tak długo, jak żył, i ani dnia dłużej. Czterdzieści pięć lat to i tak długo jak na kogoś, kto bywał w niebezpieczeństwie tak często jak on. Jego pokiereszowana twarz z mopsowatym nosem zastygła z wysuniętą szczęką pod prawie siwą, przyciętą brodą.

Problem w tym, że teraz nie mógł jedynie utrzymywać linii obrony. Otwarte pola pszenicy aż do mostu na Trabawacie nie stanowiły bariery dla ludzi na psach ani nawet dla dział polowych. Będzie musiał dokonywać manewrów, żeby utrzymać nieprzyjaciela z dala od uciekinierów na tyle długo, by ci przebyli most.

I nich diabli porwą tych, którymi ma manewrować, pomyślał.

Chodziło mu o setkę wojów rodziny fan Morton, których udało mu się jakoś ułożyć, odkąd się tutaj zatrudnił. Oczekiwał, że domostwo szlachcica na wyspie Stern będzie dobrym miejscem na przyjemną, spokojną emeryturę. Niech gwiazdne demony pożrą jego duszę za to, jakim był głupcem. Reszta była dość liczna, ale stanowiła zbieraninę przydupasów, domowych wojów, bardziej strażników i nadzorców niż żołnierzy. I do tego garnizonu, na których oszczędzano. Żaden z nich nie był wart prochu, który by ich sprzątnął! Carstens pochodził z północno-zachodniej części terytoriów Brygady, gdzie tylko chłopci pańszczyźniani mówili w spanjolskim. Tutaj niektórzy tak zwani bracia z jednostki ledwo znali dość nameryjskiego na oficjalne okazje. Jego zdaniem nawet członkowie Brygady na wyspie byli niewiele lepsi od tubylców.

Łącznie z jego pracodawcą. Na szczęście Jeric fan Morton znajdował się w zatoce Wager w interesach, kiedy nadeszło ostrzeżenie, a ze swoją odwagą i inteligencją jego żona była warta dwóch takich jak on. Razem z Carstensem wywieźli większość gospodarstwa, także sąsiadów, zanim przybyła kawaleria grisuh.

– Dalej, Jo! – zawołał, a podpalana suka rasy airedale, na której jechał, pojęła wskazówki, obróciła się i sadząc susami pognąła ku kolumnie uciekających członków Brygady. Chód miała lekki, ale w krzyżu wciąż go bolało, a słońce zmieniło jego napierśnik w piec, kąpiąc mu tors w jego własnym pocie.

Grisuh, pomyślał. Cywilniaki, tubylcy. Nikt w Rządach Wojskowych nie brał ich zbyt poważnie. Czyż nasi przodkowie nie opanowali bez problemu całej zachodniej połowy Rządu Cywilnego? Tubylcy nadawali się jedynie do uprawy ziemi, handlu i płacenia podatków lepszym od nich. Rząd Cywilny robił dobrą broń, ale prędzej zapłacą haracz, niż będą walczyć. A poza tym byli heretyckimi gnojkami. Carstens walczył już z Eskadrą – nie było to zbyt trudne, mieli większe jaja niż mózgi – i ze Strażą, która zaczęła jako część Brygady i pozostała na północy zamiast pokolenia temu wyemigrować na ziemie Morza Śródświatowego. I z Oddanymi, którzy ruszyli na południe z Obszaru Bazy za czasów jego dziadka – prymitywami, poganami, walczącymi pieszo toporkami do rzucania, ale

przerażająco licznymi, zaciekłymi i zdradliwymi. Będzie to pierwszy raz, kiedy zmierzy się z żołnierzami cywilniaków.

Z tego, co opowiadali przez ostatni rok oszołomieni uciekinierzy Eskadry, pomijanie grisuh należało do przeszłości. Zwłaszcza pod dowództwem nowego wojennego przywódcy, Raja Whitehalla. A właściwie to Whitehall brzmiało tak po nameryjsku...

Zatrzymał się obok powozu fan Mortona. Znajdowała się w nim pani fan Morton wraz ze swoją nastoletnią córką i pozostałymi dziećmi. Kobieta osłoniła wachlarzem oczy przed słońcem i wychyliła się. Wciąż ubrana była w przezroczystą, poranną suknię, jaką nosiła, kiedy kurier przybył do dworu na psie padającym z wyczerpania.

– Kapitanie? – powiedziała.

– Nacierają na nas, pani. Musimy się pospieszyć, i byłbym wdzięczny, gdybyś porozmawiała z innymi brazaz – rodzinami oficerów – bo potrzebuję trochę ludzi, żeby ich spowolnić.

Nozdrza Sylvie fan Morton zadrżała. W wieku trzydziestu ośmiu lat była wciąż ładnie wyglądającą kobietą i Carstens niejednokrotnie myślał z rozmarzeniem, jak miło by było, gdyby jej mąż spadł z psa i złamał kark. Było to całkiem prawdopodobne, często bowiem jeździł pijany na polowanie. Byłaby bardzo dobrą wdową na wydaniu.

– Nie podoba mi się myśl o uciekaniu przed tubylcami, kapitanie – powiedziała.

– Mnie też nie, pani – rzekł ze szczerością Carstens. – Ale wierz mi, nie mamy zbyt wiele czasu.

* * *

Zebranie tysiąca ludzi, uzbrojonych i na psach, zabrało w końcu prawie pół godziny – mniej więcej uzbrojonych, jako że niektórzy właściciele ziemscy skąpili, wyposażając swoich najemnych wojowników w strzelby zamiast przyzwoitych karabinów. Wystarczało to do trzymania w ryzach wyrobników, ale teraz zapłacą w dwójnasób za swoją oszczędność. A właściwie to ich ludzie zapłacą, jak to zwykle bywało. Pozostawiało to jakiś tyśiąc do eskortowania konwoju dalej.

– Rozproszyc się! Rozproszyc się! – wrzasnął, wymachując swoim mieczem. Zrobili tak ludzie fan Mortona, lansjerzy na tyły a dragoni do przodu. Z pozostałymi była to kwestia pokrzykiwania, popychania, a czasem zapędzania ludzi i psów na stanowisko płazem miecza albo pięścią. Tylko widoczna obecność wroga ocaliła go od tuzina pojedynków, i to ledwo co.

Dwóch młodych szlachciców obiecało go wyzwać, kiedy zastrzelił z pistoletu ich psy po tym, jak zwierzaki spanikowały i zaczęły ze sobą walczyć. W końcu ludzie Brygady ustawili się z północy na południe. To dało mu ponad kilometr linii frontu prostopadle do drogi, ale była to cienka linia. Ludzie stali rozciągnięci na pofalowanych polach jak łańcuch ciemnych lub połyskujących stałą paciorków. Nie ufał, iż potrafiliby zmienić linię frontu, a te niepokojące chmury pyłu z prawa i lewa i tak mogły zawinąć się za nim i uderzyć na uciekinierów.

Przez chwilę tylko chmura kurzu posuwała się prosto drogą. Powinni najpierw dotrzeć do niego. Jeśli uda mu się odpierać ich przez chwilę, to może zdoła skrócić i uderzyć na jedną z bocznych kolumn, zanim się skoordynują.

Trzeba było mieć nadzieję.

– Oto nadchodzą – wymruczał znajdujący się obok drugi rangą mężczyzna, szarpiąc za posiwiałą brodę. – Nadal mówię, że powinniśmy się byli pisać na kolejną wyprawę na Oddanych, szefie.

– Zamknij się. – Carstens uniósł mosiężną lunetę, spoglądając przymrużonym okiem przez porowate, niedoskonałe soczewki. – Cholera, mają armatę. – Toczącą się za zaprzęgiem sześciu psów, z ludźmi jadącymi na kilku pociągowych psach, na lawecie i obok niej. Reszta jechała czwórkami w kolumnach w swoich dziwnie wyglądających, okrągłych hełmach z ochroniaczami na szyję. – Nie więcej niż setka. Musi to być ich awangarda.

Oblizwał wargi, smakując słony pot i pył. Jo pomiędzy jego kolanami dyszała niczym miechy kowalskie, a dzień był gorący. Przeszyło go krótkie i ostre ukłucie nostalgii za falującymi, zielonymi wzgórzami, dębowymi lasami i jabłkowymi sadami jego młodości. Odsunął je od siebie wysiłkiem woli i nasadził swój hełm. Flanelowo-korkowa wyściółka ułożyła mu się na głowie, a nasadka na czoło wsunęła się w wyżłobienie wyciśnięte przez lata. Zamknął drucianą przyłbicę w kształcie litery „V” i umocował napoliczniki. Wraz z długim ochroniaczem na szyję ograniczały one słuch i wzrok, ale przywykł do tego. Zanim ten dzień dobiegnie końca, dojdzie do walki wręcz. Poświęcił chwilę, żeby sprawdzić pistolety i karabin i obejrzeć się do tyłu. Konwój nabrał pewnej szybkości za cenę utraty części ładunku i maruderów.

Dźwiękowi trąbki nieprzyjaciela, słabemu i metalicznemu, odpowiedział furkoczący ryk jego własnych bębnow kotłowych. Kolumna Rządu Cywilnego rozdzieliła się. Chwilę później nacierały na niego cztery mniejsze jednostki, posuwając się powolnym kłusem. Kolejny manewr i kolumny plutonu otworzyły się niczym wachlarz. Niecałe dwie minuty i stał przed

długim szeregiem. Kolejna trąbka i nieprzyjaciel znieruchomiał. Psy przysiadły pod jeźdźcami, a mężczyźni zrobili krok do przodu z karabinami w pozycji „prezentuj broń”. Stłumione przez odległość klik-klak broni, gdy żołnierze odsunęli dźwignie i sięgnęli do bandoletów po pociski. Jednoczesne klak, gdy wsunęli kciukiem pocisk na miejsce i załadowali. Z dala drobni jak laleczki, jak ołowiane żołnierzyki ustawione w niesamowitym porządku.

– Kurna – wymruczał Carstens w swoją brodę. Przebiegało to tak gładko jak u generała na paradzie w Koszarach Carson. I to szybciej – żołnierze Brygady zatrzymaliby się i zawrócili, aby zająć pozycję. Na głos krzyknął – Dragoni, z siodła i uformować linię ognia! – Ludzie fan Mortona tak zrobili, zsiadając z siodła i ustawiając się w szereg głęboki na dwóch chłopa. Jeden klęczał, a jeden stał. Niewielu innych zrobiło coś poza patrzaniem.

– Krwawiące rany umęczonych awatarów! – wrzasnął, wyjeżdżając przed rozwleczonym szeregiem. – Każdy z pieprzonym karabinem, gotować się do strzału!

Wsadził miecz do pochwy i wyciągnął swój karabin, odciągając kurek. Popędził psa za linię ognia. Nie zamierzał wystawiać swojej dupy przed tą zbieraniną, kiedy pociągali za kurki.

– Czekać na rozkaz. Nastawić celowniki, nastawić celowniki!

Karabin mógł zabić z tysiąca metrów, ale tylko wówczas, gdy dobrze oceniłeś odległość – naturalna trajektoria kuli biegła ponad głowami po jakiś trzystu metrach, zatem trzeba było unieść wylot lufy i rzucić kulę na swój cel. Dlatego też niektórzy dowódcy woleli zaczekać do stu metrów albo i mniej. Carstens tak wolał, chyba że stawał w obliczu jednej z ogromnych, mocno zwartych kolumn Oddanych, gdzie kula, która nie trafiła jednego człowieka uderzała w drugiego. Tutaj...

Wystrzały huknęły wzdłuż szeregu. – Wstrzymać ten cholerny ogień! – wrzasnął znowu. Z odległości dziewięciuset metrów szereg Rządu Cywilnego był zupełnie niezniszczalny. Wykrzyczany rozkaz i nieprzyjaciel padł na ziemię. Carstens poczuł, jak ściągają mu się jądra. Znajdował się w tej pozycji przedtem, ale po drugiej stronie, przeciwstawiając się wojennym bandom Oddanych, bardziej licznym, ale pozbawionym broni dalekiego zasięgu. Karabiny wroga można było ładować, kiedy człowiek leżał płasko na brzuchu, podczas gdy kule muszkietowe trzeba było wpychać przez lufę.

Jakby na potwierdzenie tej myśli huknęła salwa nieprzyjaciela, BAM-BAM-BAM-BAM. Plutony wypaliły jednocześnie. Tłusty, białawy dym unosił się, wijąc nad ich pozycjami, a

potem został porwany przez wiatr. Coś przeleciało mu ze świstem koło ucha. Psy i ludzie wyli z bólu i szoku, głównie ci spośród jeźdźców, ale także w szeregu strzelców.

– Ognia!

Niepotrzebny rozkaz. Nierówne trajkotanie cisnęło mu w twarz śmierdzącą mgłę. Jego ludzie ledwo co wbili w ziemię muszkiety i sięgnęli po papierowe ładunki, kiedy nadleciała kolejna salwa nieprzyjaciela. I jeszcze jedna po tym, jak otworzyli zębami ładunki i wrzucili proch oraz prymitywne kule w lufy. Trzecia, gdy wyciągnęli wyciory. Wtedy nadeszło głuchoe POUMPF nieprzyjacielskich dział polowych, z odległości tysiąca pięciuset metrów i daleko poza zasięgiem mniejszej broni. Rozdzierający świst i krak brudnego dymu w powietrzu, niecałe dwadzieścia metrów przed jego strzelcami. Z pół tuzina skosił szrapnel. A potem wojownicy Brygady założyli spłonki na broń i znowu wystrzelili – zazgrzytał zębami, zobaczywszy, jak kilka wyciorów poleciało w kierunku wroga – i jeszcze raz zabrali się za ciężkie zadanie ładowania. Jeszcze trzy nieprzyjacielskie salwy wcięły się w jego prowizoryczną jednostkę. Widział, jak ludzie popatrują nerwowo do tyłu kątem oka.

Nie martwił się tym jednak zbyt. Nie brakowało tu dzisiaj odwagi, a on także głośno rozkazał lansjerom rozjechać każdego człowieka, który będzie uciekał.

– Pamiętajcie, że chronimy wasze rodziny – zawołał spokojnym tonem. – Jeszcze jedna salwa i my...

POUMPF. Tym razem odgłos rozdzieranego płótna zabrzmiał mu tuż nad głową i pocisk trzasnął sześćdziesiąt metrów za nim. Psy stanęły dęba, a potem zaskomlały, gdy ich jeźdźcy zaczęli piłować je wodzami połączonymi z dźwigniami na uzdach, przyciskając stalowe pręty do łbów zwierząt.

Jeden pod, jeden nad, i wiem, co będzie dalej, pomyślał Carstens. Jego głowa latała z boku na bok. Kolumny kurzu nie zbliżały się tak szybko, jak się tego spodziewał. To go pokrzepiło, jako że był to pierwszy błąd, jaki popełniły cywilniaki.

– Jeszcze jedna salwa i my poczęstujemy ich stałą.

Dotknął palcami stóp przednich łap Jo, dając jej sygnał do zamarcia w bezruchu i wypalił ze swojego gwintowanego karabinu. Bardziej jako gest niż cokolwiek innego, ale to sprawiło, że poczuł się lepiej. Trochę.

– Wszyscy na siodła! – zawołał, wyjeżdżając znowu do przodu. Kule nieprzyjaciela dziurawiły ziemię wokół niego.

POUMPF-krak. Tym razem pocisk wybuchł tuż nad miejscem, gdzie znajdował się kilka minut temu. Szrapnel odbił się od zbroi i wdarł w ciało. Dało się słyszeć strzały z pistoletu, gdy zabijano ranne psy. Ranni ludzie pewnie pragnęli zasłużyć na takie samo miłosierdzie, ale potrzeba wzywała. Jo skuliła się lekko i położyła uszy po sobie na odgłosy bólu.

– Spokojnie, dziewczynko, spokojnie – powiedział. Dobył rewolweru jedną ręką, a drugą szablę z koszową rękojeścią. Nie było sensu bawić się w subtelności. Wyjedź tylko naprzód i daj im znak do ruszenia do przodu. – Do ataku! – zakrzyknął, a potem starożytny bojowy okrzyk Brygady. – Upyarz!

Jego nogi zacisnęły się na bokach psa. Jo zawyła i skoczyła do przodu, odbijając się tylnymi łapami. Sądząc po chórze wrzasków z tyłu, ludzkich i psich, większość zebranych naprędce sił podążała za nim. Dragoni grisuh powstali i wystrzelili salwę na stojąco, a potem połowa z nich odwróciła się i podbiegła z powrotem do swoich psów. Kolejna salwa i wszyscy zawrócili. Za nimi kanonierzy regulowali broń. Jakiś pocisk przeleciał obok, wzbijając wysoką niczym osika kolumnę czarnej ziemi z iskrą w środku. Wytrysnęły z niej ludzie i psy oraz kawałki jednych i drugich. Załoga działa wystrzeliła ostatni ładunek kartaczy, który wyciął klin w szeregach Brygady tak czysto jak nóż. Żołnierze Rządu Cywilnego ruszyli teraz stępą ku tyłom, popędzając swoje wierzchowce do klusa, a potem do galopu, z tą samą płynną harmonią, która niepokoiła go przedtem. Kanonierzy złapali za prowadnice działa polowego cofniętego siłą odrzutu, wprowadzając je z powrotem w jaszcz i wskakując nań, gdy poganiacz zaprzęgu popędził swojego wierzchowca do biegu.

– Kurna – rzucił znowu Carstens. Czubki lanc zjeżyły się po obu jego stronach, ale wróg został ostrzeżony, a ich psy były świeższe i mniej obciążone. Odległość zmniejszyła się do stu metrów, wciąż poza zasięgiem wystrzału z pistoletu z siodła – i kilku odzianych w niebieskie kurtki żołnierzy o ciemnych twarzach obróciło się w siodłach, żeby wystawić pięści ku żołnierzom Brygady z nie dającym się z niczym pomylić podniesionym palcem. A potem odległość zaczęła znowu rosnać, ze wzrastającą szybkością. Działo polowe było nieco wolniejsze, ale miało dodatkowe pół kilometra rozbiegu.

Rozejrzał się na lewo i prawo, stając w strzemionach. Tak. Te charakterystyczne chmury pyłu zbliżały się, wymijając go szybko po obu stronach. Widział odbłask słońca na metalu z obu kierunków. Plus ludzie, których ścigał, wycofywali się ku siłom nieznanym rozmiarów.

– Stać, stać! – wykrzyknął. Żołnierze domu fan Mortonów zatrzymali się, gdy obok Carstensa zatrzymał się rodowy porzecz... ale spora część tej ludzkiej zbieraniny

kontynuowała pościg.

– Tommins, Smut, Villard – rzucił Carstens do swoich oficerów. – Zatrzymajcie ich, i to szybko.

Pognał swojego psa przed najbliższą grupkę, zakreślił przed nią i pomachał żołnierzom przed oczami mieczem. To sprawiło, że przynajmniej część z nich się zatrzymała.

– Ni, ni! – wykrzyknął najemnik, uciekinier Eskadry w mocno gardłowym dialekcie nameryjskim. – Nie! Tchórze uciekają!

Mężczyzna miał dosłownie pianę na brodzie. Carstens nie tracił czasu. Czubek jego miecza przebił się przez sztywną skórę, wbijając się w brzuch mężczyzny, aż ten zgiął się wpół z okrzykiem zaskoczenia. Jego pies zaczął kłapać zębami w obronie swego pana, ale Jo już zacisnęła szczęki wokół jego pyska. Pies zaskomlał i polizał ją w geście poddania, gdy Eskadrowiec upadł na ziemię, rzygając krwią.

Carstens nie odczuwał żalu. Trzeba było powstrzymać pójście w rozsypkę, zanim się zaczęło, a bezładne ruszenie do przodu było równie złe, co bezładny odwrót. Nic dziwnego, że przegrali, pomyślał o Eskadrze. Choć ta mentalność nie była także obca Brygadzie. Jednak on miał zbyt wiele doświadczenia, by zachować tego rodzaju złudzenie.

– Ilu mamy? – spytał drugiego rangą dowódcę, kiedy udało im się w większości zawrócić grupę i kłusowali do tyłu.

– Siedmiuset, może jeszcze pięćdziesięciu – rzekł mężczyzna. – Z pięćdziesięciu zabitych a ze dwustu pognało za cywilniakami.

Carstens chrząknął, a potem znowu, kiedy ogień karabinowy wybuchł od nowa za wzgórzem jakiś kilometr z tyłu, tam, gdzie popędziła pogoń. A w każdym razie to, co ci głupcy brali za pogoń. – Już ich nie zobaczymy – powiedział.

– Ano nie – zgodził się drugi mężczyzna. – Ale cywilniaki dobiorą się nam znowu do dupy za pół godziny.

Carstens odsunął przyłbicę i spojrzał na północny wschód i południowy zachód. A potem mrugając, usunął pył z oczu i spojrzał przez lunetę, najpierw na jedną okrążającą grupę, a potem na drugą.

– Podpuścili nas, na Ducha! – stwierdził.

W odpowiedzi na bezgłośnie pytanie, ciągnął – Pieprzeni grisuh ciągnęli krzaki, żeby

wzbić więcej kurzu. – Patrz, tam są żołnierze, ale nie tylu, ilu się wydawało. Eh bi gwadammit! Teraz je rzucili i nabierają szybkości, widzisz różnicę w kolumnie pyłu? Myślałem, że są zbyt powolni w koordynacji.

Kompania Rządu Cywilnego wisiała niczym kawałek mięsa przed carnosauroidem, a teraz o wiele większe szczęki zamykały się na wyciągniętym łbie. Na wszystkich jego siłach, gdyby się nie wycofał.

– A mimo to ich opóźniliśmy – odezwał się przyboczny.

Słaby grzmot przetoczył się po bezchmurnym niebie. Dobiegał z południowego wschodu, od drogi prowadzącej ku mostowi. Działa polowe. Wytrenowane ucho Carstensa policzyło lufy, oddzielając odgłos od echa.

– Cztery działa – rzucił głucho. Ludzie nawoływali się i wykrzykiwali do siebie pytania wzdłuż całej nierównej kolumny. Przestрах zmienił się w panikę, gdy trajkotanie dołączyło do głębszego dźwięku armaty. Zmasowane karabinowe salwy.

– Te łajdaki są przed nami – rzekł drugi rangą po dowódcy. Jego głos był spokojny, informacja dotarła do niego, ale nie jej znaczenie. – Przy moście, czekają przy moście.

– *Trzymaj się, Sylvie!*

Wojownicy Brygady puścili się galopem.

* * *

– Dobra robota, majorze Bellamy – powiedział Raj Whitehall, klepiąc oficera po plecach. Uniósł nieco głos. – Bardzo dobra robota, twoja i twoich ludzi.

Kompania 2 Kirasjerów podniosła na to gromki okrzyk, skandując imiona Bellamy’ego i Raja.

– I twoja też, Gerrin – ciągnął Raj, gdy trzej starsi oficerowie i ich chorążowie zawrócili, by przejechać wzdłuż kolumny uciekinierów.

Jeden czy dwa wozy się paliły – tak się jakoś zawsze działo – ale większość znajdowała się na miejscu, wyglądając na nieco opuszczone, ze swoimi dawnymi właścicielami siedzącymi obok nich z rękoma splecionymi na karku, pod strażą. Albo kopiającymi pospiesznie masowe groby czy piętrzącymi przejętą broń. Dym śmierdział rzeczami, które nie powinny się palić, przypalonymi włosami i materiałem.

– To był plan młodego Bellamy’ego – rzekł Gerrin. – I do tego cholernie dobry. – Skinął

w kierunku, gdzie rozkładał się kapłan-lekarz i jego asystenci. Gdy się przyglądali, położono pierwszego żołnierza na składanym stole operacyjnym. – Tym razem niewielu pod rzeźnicki nóż.

Ludwig zarumienił się z radości i wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Piąty wykonał tę trudną część, odciągając ich straż tylną – powiedział. – Moi chłopcy musieli tylko stać w parowie i strzelać nad krawędzią, kiedy ci starali się dotrzeć do mostu.

Jakiś jeździec zatrzymał się, rozpryskując żwir. Jego pies miał wywieszony jęzor. Usta przesłaniała mu kraciasta chusta pod szyję 5 z Descott, chroniąc przed pyłem. Kiedy ją opuścił, dolna część jego twarzy była jasnobrązowa w porównaniu do ubrudzonego na żółto-brązowo czoła.

– Ponie! – zasalutował.

Staenbridge wziął papiery i rozłożył je na skinienie Raja. – Ach, dobrze – powiedział. – Od Bartona. Perino i Sala zabezpieczone. Kilka pomniejszych utarczek. Warunki poddania, zakładnicy, zapasy w drodze – to co zwykle.

Przerzucił następne papiery. – I to samo od Ewardo, Peydro i Hadolfo – powiedział, wymieniając pozostałych dowódców mobilnych kolumn. – Miasta Ronauk i Fontein otworzyły swoje bramy i próbowały urządzić przyjęcie dla żołnierzy. Jorg w bazie melduje, że właściciele ziemscy – cywile i Brygadowcy – zgłaszają się dziesiątkami, aby się poddać.

Zbliżali się do czoła kolumny uciekinierów. Wciąż wisiał tam zapach prochowego dymu i śmierci. Wokoło roiło się od czarnych dywanów much, przyciągniętych gnijącą krwią i mięsem, już wydzielającymi w upalnym dniu chorobliwy smród. Posykujące stada sięgających pasa dwunożnych, padlinożernych sauroidów czekały na skraju pola widzenia, poruszając się pospiesznie i niecierpliwie. Skórzaste skrzydła szybowały nad głowami, unosząc się w słupach ciepłego powietrza. Kruki przysiadły na wozach. Od czasu do czasu dobiegał *krak*, gdy strzelcy wykańczali ranne psy albo wojowników Brygady zbyt poważnie rannych, by warci byli czasu handlarzy niewolników. Z przodu kolumny znajdowała się płatanina martwych ludzi i wierzchowców, z lancami i połamaną bronią wystającymi ze stosu. Blisko środka widać było mężczyznę w zbroi na trzy czwarte ciała, leżącego z mieczem w dłoni. Jego wysychające oczy wpatrywały się w słońce południa. Na jego napierśniku rozprysnął się ołów i krew z trzech postrzępionych, wybitych w stali dziur.

Wyglądało na to, że zbroja rzeczywiście stanowiła pewną osłonę, przy ekstremalnym zasięgu i szybko wymierzonych strzałach. Raj pomyślał, że dobrze się stało, iż zamówił na tę

kampanię pociski z twardymi, mosiężnymi czubkami, tak jak i zwykle wydrażone kule rozpryskowe. Zwykle była to amunicja do polowania na sauroidy, ale dobrze się przysłużyła.

– Tutaj ginęli dość licznie – rzucił. – Jaka jest wasza ocena, messerowie?

Bellamy wzruszył ramionami. – Przy moście nacierali na nas, a my do nich strzelaliśmy – powiedział. – Kiedy uciekli, my ich goniliśmy i strzelaliśmy. – Machnął ręką na rozproszone skupiska martwych Brygadowców na polach. Dalej od konwoju już kotłowało się od skrzydlatych i łuskowatych, uczujących stworzeń.

Gerrin przesunął w zamyśleniu palcem po ustach. – Nieco lepiej z mojego końca – powiedział. – Te ich muszkiety nieźle niosą. A koordynacja ich jednostek była o wiele lepsza niż u Eskadrowców. Zwłaszcza biorąc pod uwagę, że byli to naprędce zebrani żołnierze właścicieli ziemskich. Niektóre pojedyncze jednostki działały całkiem dobrze. Wszyscy wytrzymali ogień, a *niektórym* udał się nawet odwrót, kiedy przyszła na niego pora. Dlatego też nie zdołałem dostać całej tylnej straży.

Przerwał. – Myślę, że to ten gość dowodził – rzekł, wskazując na trupa w zbroi. – Z tego, jak się zachowywali, powiedziałbym, że ich zwykła taktyka nakazywała wypchnięcie dragonów do przodu, by cię przyszpilić ogniem i uderzyć z boku kirasjerami. Nie chciałbym przyjąć szarzy tych lansjerów, będąc w siodle, przysięgam, że nie. Te przeklęte lance mają trzy metry długości. A ta ciężka kawaleria byłaby paskudna przy zwarciu. Nie mieli dosyć wyszkolonych żołnierzy, aby dokonać tego tutaj, ale wątpię, żeby poszło nam łatwo na zachodzie.

Raj skinął głową. – Tak też myślałem – rzekł. – *Pamiętajcie stare powiedzenie: „Nacierający Brygadowiec powaliłby mury Al-Kebir”*. – Część ożywienia znikła z twarzy Bellamy’ego.

– Mimo to, wykonaliście dzisiaj dobrą robotę – osądził Raj. – Ludwigu, zostawiam ci ten sektor. Popchnij trochę patroli drogą i dowiedz się, ile terenu zechcą utrzymać ci z zatoki Wager. Wątpię, czy będą w ogóle próbowali utrzymać miasto. Zajęliśmy wyspę w mniej niż cztery dni. Ci tutaj byli jedynymi, którymi musielibyśmy się martwić, i będą stanowić dobry przykład.

Część Grupy Zwiadowczej zasługiwała na swoje nieoficjalne imię. Łupy w większości kolumny były zliczane do późniejszej redystrybucji, ale kilku z Czterdziestu Złodziei rozcinało sakiewki i ściągało pierścienie z palców – albo odcinało je z palcami zaś uszy z kolczykami – poruszając się pośród martwych nieprzyjaciół. Uciekający ludzie zwykle

zabierali ze sobą całą gotowiznę. Jeden ze zwiadowców, potężny mężczyzna, ignorował zabitych. Za każdym razem, gdy podchodził do człowieka, który wciąż oddychał, chwycił go za brodę i ciemię i skręcał ostro głową. Dźwięk przyprawiał o zgrzytanie zębów.

Kilku innych żołnierzy otoczyło powóz na samym przedzie kolumny. Za nim znajdowała się tylko kupa martwych nieprzyjaciół oraz kanonierzy zbierający łuski po pociskach. Ci znajdujący się wokół karocy stanowili mieszaną grupę z 5 z Descott i 2 Kirasjerów. Martwe wilczarze leżały w cuglach, a jakiś kawalerzysta siedział w pewnej odległości z zabandażowaną raną postrzałową na ramieniu. Kolejny wskoczył na stopień i szarpnięciem otworzył drzwi, a potem potoczył się w tył z okrzykiem, gdy spiczaste okucie parasolki prawie wyłupiło mu oko.

– *Scramento* – wrzasnął mężczyzna, przykładając dłoń do krwawiącego rowka na twarzy.

Jego towarzysze zaśmiali się, pohukując. – *Hole* dla pikadora, Halfonz! – zawołał jeden z nich, uderzając się w udo. – Mosz szczęście, że wiedźma nie miała następnego pistoletu.

Ogromny żołnierz z 2 Kirasjerów odtrącił jedną ręką parasolkę, a drugą sięgnął do środka, żeby wyciągnąć dzierzającą ją osobę. Była ona wysoką, dorodną kobietą lat trzydziestu paru, bogato odzianą w rozliczne warstwy cieniutkiego jedwabiu. Podążyła za nią nastolatka, piszcząc jak królik, gdy ogromny żołnierz siłą oderwał ją od powozu, sprawiając, że ten aż się zakołysał.

Żołnierz zajrzał do środka, trzymając dziewczynę nad ziemią, pomimo tego, że się miotła. – *Ni mor cunne* – wymruczał w nameryjskim. – *Kinner iz*.

– *Ci*, tylko dzieciaki – powiedział Descotczyk i zatrzasnął znowu drzwi.

Starsza kobieta waliła kirasjera parasolką trzymaną w obu rękach. Mężczyzna, którego mało co nie oślepiła, zaszedł ją od tyłu, rozdzierając suknię aż do pasa, przyszpilając jej ramiona i obnażając piersi, a potem kopniakiem zwałił ją z nóg.

– Trzymajta jej nogi, baranie łby – rzucił z irytacją. Dwóch tak zrobiło, rozkładając jej nogi, gdy ten unosił spódnice i zrywał płócienne pantalony. Krew z jego rany na twarzy skropiła jej piersi, kiedy ukląkł, ale zaczęła krzyczeć dopiero, gdy rzucono koło niej córkę.

Raj poprowadził Horace'a w bok z lekkim grymasem obrzydzenia. Wojna była wojną, a żołnierze żołnierzami. Wieształ już ludzi za morderstwo i gwałt na przyjaznym terytorium albo na nieprzyjaciółach, którzy się poddali na określonych warunkach – a raz ukrzyżował ludzi za splądrowanie farmy na terytorium Rządu Cywilnego. Pozwolenie na to, by działo się coś

takiego, było bardzo niedobre dla dyscypliny. Uraza, jaką by wywołał, gdyby próbował pozbawić ludzi ich zwyczajowych przywilejów w stosunku do tych, którzy się *nie* poddali zgodnie z warunkami, byłaby jeszcze gorsza dla porządku i morale. Poza tym, oczywiście, wszyscy więźniowie w tym konwoju zmierzali na targi niewolników – do służby domowej albo do tkalni, jeśli mieli szczęście, najpewniej jednak umrą w kopalniach albo przy budowaniu wspaniałych nowych świątyń, tam, kolei i kanałów irygacyjnych gubernatora Barholma.

– Czy mam zatem odesłać wszystko z powrotem do bazy? – spytał Staenbridge, machając ręką w kierunku konwoju.

– Nie – powiedział Raj. – Wkrótce przeniesiemy się do jakiegoś miejsca z zatoką. Po prostu zabierz ich do jakiejś wioski, w jakieś miejsce z dobrą wodą. Wyminiemy cię i zabierzemy was z taborem. I będzie to dobra lekcja dla dystryktu.

– *Ci* – powiedział Ludwig Bellamy. – Kiedy messer Raj proponuje ci warunki poddania, to je przyjmujesz. Albo wrywają ci płuca nosem. Pewne niczym przeznaczenie, pewne niczym śmierć. – Gerrin pokiwał ponuro głową.

Raj podniósł wzrok. *Szczerze powiedziane*, pomyślał. Centrum potwierdziło to bezgłośnie skanem temperatury twarzy, przepływu krwi, napięcia w głosie i mrugania źrenic.

Czasami oszołamiało go, że tacy ludzie tak chętnie wchodzili w jego orbitę i żyli dla jego celów. Rozumiał, mniej więcej, dlaczego podążał za nim ktoś taki jak M'lewis. Jednak Ludwig Bellamy mógł wrócić do domu w Terytoriach i żyć w swoich posiadłościach jak pomniejszy król, a Staenbridge miał wystarczająco dużo wdzięku i powiązań, aby otrzymać przydział we Wschodniej Rezydencji, niezbyt daleko od walk byków, opery i co lepszych restauracji. Raj wiedział, dlaczego robi to, co robi. Zawsze będzie czynił to, co uważa za swój obowiązek wobec Rządu Cywilnego Świętej Federacji i cywilizacji, którą chronił. Wiedział także, że taki stopień obsesji był rzadkością.

>>Znam tego powód, Raju Whitehallu.<< powiedziało Centrum. >>Ale choć wiesz, co robisz, to nigdy nie zrozumiesz, jaki wpływ ma to na innych. I mimo, iż potrafię to zanalizować, to nie mogę tego zduplikować. Wybrałem i wyszkoliłem cię, abyś był tym, czym jesteś, przez wzgląd na to, jak i inne czynniki.<<

Raj zawrócił Horace'a. Eskortujący go pluton ruszył za nim. Dzień już prawie w połowie minął, a pozostała jeszcze góra roboty do wykonania. Powinien zajrzeć do rannych. Lubili to, biedne sukinsyny, zaś Suzette czekała, by wrócił do obozu-bazy.

– Ach, generale – powiedział Bellamy. Raj odchylił się w siodle i Horace zatrzymał się z pełnym urazy warknięciem. Próbował też usiąść, ale Raj wbił mu ostrzegawczo piętę w bok. Jasnowłosy oficer zniżył głos, choć nikogo innego nie było w zasięgu normalnego słuchu.

– Pamiętasz, powiedziałeś mi, żebym się zaprzyjaźnił z młodym Cabotem?

Który jest pełne trzy lata młodszy od ciebie, pomyślał Raj. – Tak? – spytał.

– Tak zrobiłem. To bardzo... żywotny młodzieniec. Powiedziałbym, że inteligentny. Z pewnością odważny.

– I?

– I... jednej nocy w trakcie morskiej podróży popijaliśmy sobie. Współczuł mi, mówiąc, że wie, jak to jest być zmuszonym służyć wrogowi swojej rodziny.

– Ach – powiedział Raj. – Dziękuję ci raz jeszcze, Ludwigu.

– Pewnie wypiję z nim jeszcze kiedyś parę kieliszków, messerze. – Wzruszył ramionami.

– Zna też parę niesłychanie dobrych, sprośnych, pijackich przyśpiewek.

Rozdział szósty

– Dziękuję wam, dziękuję – powiedziała Suzette. Jej służba wyniosła błyszczący stos darów. – Nie macie się czego obawiać, messy, zupełnie niczego. Warunki kapitulacji są takie same dla *wszystkich*.

Tłumek kobiet spojrzał na nią rozpaczliwie, starając się uwierzyć. Większość stanowiła żony cywilnych właścicieli ziemskich, była też spora grupka małżonek magnatów Brygady. Kobiety przyszły gromadką dla wzajemnego bezpieczeństwa. Uśmiechnęła się do nich, obdarzając łaskawym wsparciem. Wydawało się, że czerpały nieco otuchy z faktu, że przerażający Raj Whitehall zabrał ze sobą swoją ślubną. Sprawiało to, że nie wydawał się już takim ogrem, który wyciął w pień sąsiednią Eskadrę w letniej kampanii.

– Ale – ciągnęła – wasi mężowie będą naprawdę musieli przyjść sami. Inaczej nie odpowiadam za to, co się stanie z wami i waszymi rodzinami. I to *jest* ostatnie słowo.

Suzette westchnęła i opadła na swoje krzesło, gdy szepcząca gromadka opuściła pokój, górną komnatę małego dworku. Suzette wachlowała się, odpędzając mieszankę woni perfum i strachu, aż rozwiała ją morską bryza, pozostawiając na miejscu jedynie ślad obozowego smrodu. Był to drugi raz, kiedy Whitehallowie się tutaj zatrzymywali. W tym miejscu znajdował się wypadowy obóz dla kampanii Południowych Terytoriów, choć Brygada była neutralna w tamtej wojnie. Te wspomnienia nie były całkowicie szczęśliwe.

U jej stóp Fatima cor Staenbridge brzdąkała na swojej *sitar*. „Cor” oznaczało, że została prawnie uwolniona ze statusu niewolnicy. Za tym szło nazwisko jej patrona, bowiem ten związek niósł ze sobą liczne zobowiązania.

– Dziwne – powiedziała w sponglijskim, noszącym tylko ślad gardłowego, arabskiego akcentu. – Przyszły prosić za swoimi mężami, co?

– Tak – powiedziała Suzette. – To należy do tradycji, nieco przedawnionej, ale tutaj, na wyspie Stern, zwyczaj są jak ubrania – całe pokolenia w tyle za Wschodnią Rezydencją. Rozumiem, że nie zachowałyby się tak w Kolonii?

Fatima się zaśmiała. Była ubrana w długą, plisowaną spódnicę, wyszywaną kurtkę i koronkową mantylę matrony ze Wschodniej Rezydencji z klasy średniej, ale miała owal

twarzy i pulchną urodę przygranicznych Arabów z pustynnych oaz na południe od Komar. Po urodzeniu dwojga dzieci tylko stałe praktykowanie tańca jej ludu – który cudzoziemcy nazywali tańcem brzucha – utrzymywało w ryzach obfitość jej ciała.

– Muzułmański generał oddałby je swoim ludziom jako porzucone kobiety – powiedziała. – Muzułmański mężczyzna prędzej obciąłby nos żonie, niż przyjął życie z jej rąk po tym, jak pokazała się wrogowi z odkrytą twarzą.

– Ciekawe – rzuciła Suzette.

I raczej odrażające. Nasi własni mężczyźni są czasami wystarczająco źli, większość z nich.

Jednym z nielicznych, znanych jej mężczyzn, który miał niewiele bądź wcale tego rodzaju sztucznej dumy, był Gerrin Staenbridge, co było zrozumiałe, biorąc wszystko pod uwagę. Zbijało z tropu to, jak trudno było go zwieść, jeszcze trudniej niż Raja, a Raj zrobił się niepokojąco, cudownie, spostrzegawczy przez ostatnie cztery lata. Spojrzała na Fatimę. Arabska dziewczyna także miała do tej pory ciekawe życie. Jednak wyglądało na to, że owo raczej dziwaczne *menage a trois*, w jakim się znalazła, odpowiadało wszystkim zainteresowanym. Gerrin dostał dzieci, których pragnął i których jako szlachcic potrzebował. Wraz z Bartonem mieli chętną kobietę w tych bardzo, bardzo rzadkich chwilach, w których jej pożąдали – Barton częściej niż Gerrin, ale był o wiele młodszy. A Fatima otrzymała prawny status uznanej kochanki i matki uznanych dziedziców zamożnego szlachcica.

Było to z pewnością lepsze niż to, przez co przechodziły pozostałe kobiety z El Djem. Większość z nich była zapewne martwa. Jeśli Fatima kiedykolwiek pragnęła czegoś bardziej namiętnego niż wujowo/braterski związek, jaki dzieliła z Gerrinem i Bartonem, to nigdy tego nie okazała. *Oczywiście została wychowana w haremie*. I to będąc pogardzaną córką pomniejszej konkubiny.

– Mam problem – odezwała się Suzette. – Z młodym Cabotem.

Fatima wyprostowała się z błyskiem w oku. Suzette i Raj byli gwiazdnymi rodzicami jej dzieci – bliskie więzy – i byli jej patronami w przystąpieniu do Kościoła. – Co tylko sobie życzysz, moja pani. Zatruc jego jedzenie?

– Nie, nie – zaśmiała się Suzette. *Kiedy potrzebuję trucizn, moja droga, to mam Ndellę i Abdullaha*. – Potrzebuję rady co do niego. Czołga się u mych stóp, ale od czasu do czasu rozmawia z tobą. Jesteś mu bliższa wiekiem i nie urodziłaś się messą.

– Chce ciebie i nienawidzi Raja – powiedziała Fatima. – Jego wuj przesłałby Rajowi cięciwę łuku – przesłała na arabski przy tej frazie – gdyby tak go nie potrzebował.

Suzette skinęła głową. Arabska dziewczyna ciągnęła już wolniej – Jego wuj nienawidzi i lęka się Raja. Cabot, on nienawidzi i zazdrości Rajowi. Zazdrości zwycięstwa na wojnie, zazdrości, że żołnierze kochają i lękają się Raja, jakby był All... – ach, jakby był Duchem Człowieka. – Zmarszczyła brwi. – Nie byłby złym młodzieńcem, gdyby nie był wrogiem.

Patrycjuszka ze Wschodniej Rezydencji zaśmiała się. – Moja droga dziewczyno, żyłaś z nami z Rządu Cywilnego przez lata i nie zauważyłaś, iż *definicją* złego człowieka jest to, że należy on do innej frakcji?

– Och – powiedziała Fatima ze swoim szelmowskim uśmieszkiem. – Arabowie też tak myślą. – I kontynuowała z większą powagą – *Sultan al'Residance*, on zabiłby Raja ze złości. Młody Cabot, on *byłby* Rajem, gdyby mógł. Chce jego sławy, chce jego chwały, jego zwolenników. Chce jego kobiety – nie żeby tylko rozłożyła nogi, ale jej miłości. Chce wszystkiego. Dlatego myśli źle o Raju, ale nie może też od niego odejść. Myśli, żeby się od niego uczyć, a potem zagarnąć wszystko, co do niego należy. Ale może w głębi serca kocha Raja jak inni żołnierze i nienawidzi siebie za tę miłość.

– Jesteś – powiedziała Suzette, klepiąc delikatnie Fatimę w policzek – niezwykle spostrzegawczą młodą damą.

– Uczę się od ciebie, pani Whitehall. Gerrin też dużo ze mną rozmawia i ja się uczę – odparła. Przechyliła głowę na bok. – Jakie jest to słowo, na mężczyznę, co cały czas chce kobietę do łóżka?

– *Muymach*.

– Ach. Mężczyzna *muymach* często nie chce *rozmawiać* z kobietą? Jak, och, Kaltin?

– Kaltin Gruder jest lojalnym towarzyszem – rzuciła Suzette. *Który mnie nienawidzi, ale to nie ma znaczenia*. Kaltin Gruder stracił brata i nabawił się zewnętrznych i psychicznych blizn w służbie Raja, ale pozostał bardzo... prostolinijny. Inteligentny, ale nie subtelny.

– Tak, samiec nad samcami. Przyjaźnię się z jego konkubinami. Mówią, że on w łóżku jak byk, ale są samotne, nigdy z nimi nie *rozmawia*. W rodzinnych stronach – ciągnęła – mężczyzna nigdy nie rozmawia z kobietą, nawet ojciec z córką.

– A ja mam to, co najlepsze z obydwu światów – rzuciła Suzette z ciepłym uśmiechem skierowanym do nieobecnego mężczyzny. – Rozmawiaj dalej z Cabotem – ciągnęła. – Byłaś

bardzo pomocna.

Dotknęła ręcznego dzwonka. Otworzyły się drzwi i zajrzał przez nie mężczyzna. Aby wywrzeć wrażenie na tubylcach, był odziany w rodzimy strój składający się z jellaby i ha'aiku, z długim, zakrzywionym sztyletem i pochwą z cyzelowanego srebra zatknietą za pas. Amulet Gwiazdy na jego szyi stanowił ochronny kamuflaż. Abdullah al'Azziz urodził się jako Druz, a przykazania jego religii pozwalały mu udawać przynależność do religii jakiegokolwiek regionu, w jakim żył. Suzette widziała, jak udawał arabskiego szejka, derwisza sufi i zaciekle ortodoksyjnego wyznawcę Ducha, pogranicznika z południowo-wschodniej krainy bagien Rządu Cywilnego, sklepikarza ze Wschodniej Rezydencji i wędrownego uczonego z Miasta Lwa w Zachodnich Terytoriach. Nie, nie udającego, *będącego* każdym z nich. Choć ocaliła go wraz z rodziną od zniewolenia, to podejrzewała, iż mężczyzna służył jej zarówno dla szansy spożytkowania swoich talentów, jak przez wdzięczność.

– Kto jest następny, Abdullahu? – Przerzuciła się na arabski, był on o wiele lepszy niż sponglijski Fatimy i język ten był mało znany tak daleko na zachód od enklaw kolonialnych kupców.

– Lord z Brygady, *saaidya* – powiedział. – I kupiec Reggiri z zatoki Wager.

– Ach – rzekła Suzette, marszcząc brwi. – Ten Brygadowiec, mój Abdullahu, czy podał swoje imię?

– Nie, pani. Jest w średnim wieku, ma więcej siwizny niż czerni w swej brodzie i nosi tak chustę. – Druz zakrył dolną część twarzy. – Pragnie okazać uniżoność, ale kroczy jak władczy człowiek i to człowiek, który dużo jeździ. Straże przetrzymują go w zewnętrznym pokoju.

– Z pewnością – wymruczała Suzette.

Reggiri ma informacje, których potrzebujemy, pomyślała. Bardzo hojnie podzielił się informacjami przed inwazją na Południowe Terytoria, informacjami, które zdobył dzięki swoim kontaktom handlowym. Informacjami najwyższej wagi dotyczącymi ruchów Eskadry. *Oczywiście, pomyślała chłodno, został w pełni wynagrodzony, tak czy inaczej, po tym małym przyjęciu-kolacyjce, na którym byłam. Niewątpliwie zechce otrzymać kolejną ratę.*

Podjęła decyzję. – Sprowadź Brygadowca. Poślij messerowi Reggiriemu poczęstunek i rozrywkę, i powiedz mu... powiedz mu, że wraz z moim kapelanem wpisujemy moje grzechy do terminala. – *Będzie się z tego śmiać. Niech się śmieje.* Nie będzie pierwszym mężczyzną, z

którego to ona się w końcu zdrowo pośmieje.

Brygadowiec wszedł pomiędzy trzema żołnierzami 5 z Descott, przydzielonymi jej jako osobiści ochroniarze. Był przysadzistym mężczyzną, niezbyt wysokim jak na barbarzyńcę. Był owinięty długim płaszczem. Co wraz z chustką i skórzanym kapeluszem z szerokim rondem stanowiło niemalże komiczny, choć ponury widok. Przebranie było rzucające się w oczy, ale mimo to skuteczne.

– Dziękuję ci, kapralu Saynchezie – rzuciła Suzette. – Oczywiście przeszukałeś go w poszukiwaniu broni.

– Tek, m’pani – odezwał się podoficer z ciężkim akcentem hrabstwa. – Mówi, że go rozpoznasz, i że nie podziękowałabyś nam za obnażenie jego twarzy.

– Możecie teraz odejść. Zaczekajcie na zewnątrz.

– Nie, m’pani – rzekł mężczyzna. Stał z wycelowanym pistoletem trzy kroki za nieznanym. Bagnety karabinów pozostałych dzielił od nerek Brygadowca jedynie ruch ręki.

Kilkanaście pokoleń patrycjusza Wschodniej Rezydencji nasączyło jej słowa chłodem.

– Słyszałeś mnie, kapralu?

– Tek, m’pani.

– Zatem czekaj w holu.

– Nie, m’pani. Może on robi sztyletem albo cosik takiego. Messer Raj rzekł, coby pilnować żeś bezpieczna.

Flegmatyczny wyraz twarzy drobnego właściciela ziemskiego pod okrągłym hełmem nie zmienił się ani na jotę pod jej gniewnym spojrzeniem. Suzette westchnęła. Stanowiła teraz część mitologii Piątego, piękna dama messera, która wszędzie z nim podróżowała, bandażowała rany żołnierzom... *cholernie pochlebiające i strasznie ograniczające*. Ta grupka posłucha każdego rozkazu oprócz tego, który narażał ją na niebezpieczeństwo.

– Bardzo dobrze, kapralu... Billi Saynchez, prawda? Z Moggersford, przeniesiony w zeszłym roku z 7 Zwiadowczego z Descott? – Uśmiechnęła się i młody żołnierz kiwnąwszy głową, przełknął ślinę, jakby miał za ciasny kołnierz. – A teraz, czy moglibyście stanąć z boku, tam w kącie? A ty, messerze, kimkolwiek jesteś, przysuń ten stółek.

Zadzwoiła znowu ręcznym dzwoneczkiem. Nadeszła służba i ustawiła kawe, ciasteczka i brandy. Fatima spoglądała na Suzette przez chwilę błyszczącymi oczyma. Powiedziała kiedyś swojej patronce, że najokrutniejszą rzeczą w haremie było to, iż nic się nigdy nie działo.

Cichutko zaczęła śpiewać w takt sitary, murmurando, co zagłuszy rozmowę tak, że nie będzie słyszalna w odległości dalszej niż kilka kroków. Była to ballada rozbójnika ze spornych ziem u stóp gór Oxhead, gdzie pogranicznicy i Beduini prowadzili wzajemne najazdy niemalże od tak dawna, jak człowiek żył na Bellevue. Suzette słyszała jej wersję śpiewaną na południu kraju w sponglijskim, z odwróconymi nazwami i tożsamością. Dziewczyna z Kolonii rozpoczęła:

Żal mi radosnego życia

Po drugiej stronie kraty.

Po trzykroć szkoda cudnej żonki.

W Shalimar roniącej łzy.

– Dziewczyna nie mówi po nameryjsku – odezwała się w tym języku Suzette. – A ja nie rozmawiam z ludźmi z zasłoniętymi twarzami.

– Pani Whitehall – rzekł mężczyzna. Opuścił chustę. Kapelusz zasłoni go przed wzrokiem z tyłu. – Co za przyjemność zobaczyć cię znowu.

– Także dla mnie, pułkowniku Boyce – rzekła cicho. Przycięta na kwadratowo broda była bardziej siwa, niż pamiętała, ale małe, niebieskie oczy wciąż pozostawały chłodne i bystre.

– Żadnych nazwisk... a okoliczności są mniej szczęśliwe niż przy naszym ostatnim spotkaniu. – Boyce był bardziej niż neutralnie przyjazny jako dowódca sił Brygady na wyspie Stern, kiedy Raj przechodził tędy w drodze do Południowych Terytoriów.

– W zeszłym tygodniu zostałem pozbawiony dowództwa. Pułkownik Courtet dowodzi teraz wyspą Stern, a przynajmniej Zatoką Stern, jako że tylko ją ten idiota zdołał utrzymać.

– Czy tobie udałoby się utrzymać więcej, walcząc przeciwko mojemu mężowi?

– Nie, poddałbym się na żądanie – stwierdził Boyce. – Dlatego też lokalna rada przywódcza zdjęła mnie ze stanowiska, głupcy. Garnizon wyspy Stern był tutaj, aby trzymać tubylców w ryzach i strzec wyspę przed piratami Eskadry. Gdy Południowe Terytoria znalazły się w rękach Rządu Cywilnego, nie jesteśmy się w stanie obronić przed zdecydowanym atakiem. Na zewnętrzne ciemności, jesteśmy wyspą bez ochrony marynarki!

Zabrali mi długi jezail.

Mą tarczę i szablę wspaniałą.

Do Centralnej Kolei niewolnego sprzedali

Za zwędzenie dorodnej jałówki.

– Napij się trochę kawe – powiedziała Suzette, nalewając im obydwójgu. – Bardzo mądrze, z pewnością – ciągnęła. – Spodziewam się, że przyjmiesz zatem amnestię?

– Tylko wówczas, gdy nic lepszego się nie nadarzy – powiedział. – Dwie łyżeczki cukru, dziękuję. Warunki amnestii stwierdzają, iż ci, którzy się poddadzą, nie będą musieli odgrywać aktywnej roli w działaniach przeciwko Brygadzie.

– Rozumiem, że sprzeciwiasz się także warunkowi oddania dwóch trzecich własności ziemskiej? – wymruczała, biorąc w drugą dłoń kieliszek brandy.

– Na Ducha Człowieka... na Ducha, pewnie, że się sprzeciwiam, messa! Tak samo pewnego dnia będą się sprzeciwiać moi synowie. Przekonają się, że nieruchomość służy lepiej niż patriotyzm.

– Pozwól, iż sprawdzę, czy cię rozumiem, messer Boyce – powiedziała Suzette. – Twoje główne nieruchomości leżą na lądzie, prawda? – Skinął głową. – Jeśli Brygada wygra tę wojnę, to będziesz miał szansę odzyskać przynajmniej nieruchomości na lądzie. Nawet, jeśli przyjmiesz amnestię, i nawet wówczas, gdy zatrzymamy tę wyspę. Z drugiej strony, jeśli otwarcie nam pomożesz, to stracisz swoje ziemie na rzecz generała. Chyba że to my wygramy. Mówisz, że spodziewasz się naszej wygranej? I oczywiście chcesz być wśród zwycięzców?

– Oczywiście. – Boyce siedział przez chwilę w milczeniu. Gardłowa, arabska melodia zabrzmiała głośniej.

Byczek może lec w obórcie.

Chłop pańszczyźniany zbierać zboże.

Nie będzie plądrowania ni pożaru

Aż ucieczką im zagrozę.

– Messa – ciągnął powoli. – Wiem, że nazywacie mój lud barbarzyńcami. Eskadra nimi jest – a właściwie była. Straż jest, jako że nie mieli kontaktu z Morzem Śródświatowym, Oddani z pewnością są. Jednak my z Brygady rządzymy Zachodnimi Terytoriami od dawien dawna. Uwierz, że czegoś się nauczyliśmy. A przynajmniej, uwierz, że ja się czegoś nauczyłem.

– Tak – ciągnął – myślę, że twój messer Raj – posłużył się przezwiskiem nadanym mu przez żołnierzy – może wygrać tę wojnę. *Może*. Wydaje się to nieprawdopodobne, sądząc po liczbie żołnierzy, ale odwiedzałem Rząd Cywilny. Znam potencjał jego siły, gdy ma potężnego gubernatora ze zdolnym dowódcą. Tak się złożyło teraz, a my, cóż. Mówiąc prosto z mostu, nie zaufałbym generałowi Forkerowi, że doprowadzi żeglarza do burdelu. Większość ewentualnych zastępców jest jeszcze gorsza. Udało nam się zmienić Koszary Carson w kocioł intryg równie paskudny jak Wschodnia Rezydencja, tylko z mniejszym poczuciem dalekosiężnych celów. A przede wszystkim poznałem Raja Whitehalla. Studiowałem jego kampanie na wschodzie i siedziałem przy ringu w trakcie niszczenia Eskadry.

– *Możecie* wygrać. A nawet jeśli nie wygracie, to wojna będzie długa i krwawa. Jeśli was wykopieją, to i tak będziemy tak osłabieni, że Oddani przetoczą się po nas niczym dywan. I tak mamy coraz więcej kłopotów z utrzymaniem granicy.

Pochylił się do przodu, a szorstkie palce szermierza wyglądały nie na miejscu na delikatnej porcelanie.

– Wygrana czy przegrana, najgorsza rzecz, jaka może się nam przytrafić, to długa wojna. Jeśli wygramy, Oddani oskubią nasze kości. Jeśli przegramy, Zachodnie Terytoria mogą zostać tak osłabione, że wam także nie uda ich się utrzymać przed dzikusami z północy. A w każdym razie, jeśli przegramy po długiej walce, to możemy po prostu... zniknąć jako lud, jak to się dzieje z Eskadrą. Zwykle narody mogą utracić swoją szlachtę, żołnierzy i kapłanów – pstryknął palcami – i w ciągu paru pokoleń wydadzą kolejnych, nawet jeśli wpierv przyjdzie im zrzucić obce jarzmo. My z Brygady nie mieliśmy własnej chłopskiej klasy, odkąd opuściliśmy Obszar Bazy. Jeśli utracimy nasze ziemie i pozycję, to stracimy *wszystko*.

Nad chłopem boże ulituj się.

Gdy spadną kajdany moje.

Chroń niebo szlachcica obejście.

Kiedy powstanę z niewoli.

Suzette spojrzała na niego z nowym szacunkiem. – Skoro zatem *wiesz*, iż generał Whitehall nie może zostać łatwo pokonany, to uważasz, że szybkie zwycięstwo Rządu Cywilnego jest najlepsze dla twego ludu?

– Właśnie tak, pani. Będziecie *nas potrzebować*. A przynajmniej potrzebować naszych ludzi do walki. A kiedy minie kilka pokoleń, kto wie? – Zawahał się. – Nie określiłbym siebie jako idealistę, pani Whitehall. Powiedzmy, że cenię sobie cywilizację, choćby z tego powodu,

iż jest ona o wiele wygodniejsza niż siedzenie w pełnej przeciągów komnacie z bali, spożywanie paskudnego jedzenia i słuchanie jeszcze gorszej poezji. Bardziej myślący członkowie Brygady zawsze uważali się za opiekunów kultury, jaką przejęliśmy. Generał Whitehall twierdzi, iż broni cywilizacji poprzez jej jednoczenie. Oddani zabrali jedną trzecią naszych ziem na łądzie od czasów mego dziadka – są niczym mrówki. Jak już po wiedziałem, interesuje mnie zachowanie dziedzictwa moich synów...

Żałość bierze zginać uparty kark
W kopalni węgla, w smolistym potoku,
Żal słuchać, jak brzęczą kajdany u nóg
I dzwonią przy każdym kroku!

– ... i moich ziem. Całych, a nie jednej trzeciej. Informacje, jakie posiadam, są tego warte.

– Dlaczego przychodzisz z tym do mnie?

– Zbyt wiele oczu spoczywa na twym mężu, pani. Zbyt wielu patriotycznych głupców, gotowych zabić zdrajcę w średnim wieku, począwszy od moich przesadnie honorowych synów. Nie chcę oglądać, jak chowają ich w rowie, a moje wnuki zostają sprzedane w niewolę. Z drugiej strony nie chcę też, aby *mnie* zabili. Uspokoją się, kiedy to się skończy.

Suzette siedziała w milczeniu, odstawiwszy pustą filiżankę po kawe i popijając brandy. Kropelki potu spływały z czoła szlachcica Brygady, lecz na twarzy malował się spokój.

Ale za wstyd i smutek.

Za piętno na mnie i moich.

Odplacę wam ognia hukami

I jałówki ubitej stratą.

– Kapralu! – zawołała. Descotyjscy strzelcy nadbiegli z wymierzoną bronią.

– M’pani – rzucił Saynchez, stając na baczność. – Należy aresztować tego człowieka... tutaj w piwnicy jest jakieś puste pomieszczenie z żelaznymi drzwiami, prawda?

– Tek, m’pani.

Za każdą owcę oszczędzoną przedtem..

Miłosiernie wolno puszczoną...

Kiedy znów dotrę w swe strony.

Trzy owce porwę ze sobą.

– Zabierzcie go tam. Niech nikt nie ogląda jego twarzy. Ma dostać jedzenie, picie i spanie, ale nikomu, zupełnie *nikomu*, nie wolno wchodzić do jego celi ani z nim rozmawiać,

zanim nie pozwolę na to ja lub generał Whitehall. Dopilnujcie, aby strzegli go ludzie, którzy wiedzą, jak trzymać język za zębami. Zrozumiano?

– Tek, m’pani. – Kapral Saynchez drżał z niecierpliwości, jak pies bojowy zanim trąbka odegra „do ataku”. – Barbarzyńca zniknie z powierzchni ziemi.

Za każdą pożogę wznieconą.

Co bliźną znaczyła pylistą równinę.

Mieczem, nożem, sznurem i żagwią

Po dwakroć tę ziemię podpale!

– Abdullahu – zawołała, kiedy żołnierze odeszli, a ćwieki ich butów stukały o posadzkę.

– Saaidya.

– Messer Whitehall powinien wrócić za... – wyjrzała przez okno; Miniluna była w trzech czwartych w pełni i znajdowała się niewiele ponad horyzontem – ...za pięć godzin. Przygotuj na ten czas, proszę, stół dla trojga w alkowie na dole. I usługuj nam sam, proszę. – Ten pokój miał schody prowadzące do piwnicy. – I zanieś to messer Reggiriemu.

Zdjęła pierścień z palca. Obręcz była rzeźbiona w kształcie węża gryzącego swój ogon, dodatkowo wysadzana rubinem. – Powiedz mu – ciągnęła po chwili namysłu – że dam mu lepszy dar niż ten, i słodszy. Ale nie tutaj, lecz w zatoce Wager, i że całkowicie ufam jego dyskrecji.

Pies lepiej biegnie, jak mu machasz kością przed nosem, pomyślała chłodno. Jej umysł był ostry niczym kryształ, całkowicie ożywiony. Układanka w jej głowie nie została rozwiązana, ale miała jej wszystkie fragmenty i czuła, jak jej świadomość ogląda je i zastanawia się nad nimi. Nie miała talentu do wojny. To była dziedzina Raja i żaden żyjący człowiek nie mógł mu dorównać. W spiskowaniu i odpowiadaniu na spiski, pokrętnych sposobach zdrady, ona stanowiła jego trzecie ramię. Da mu to, czego potrzebuje, a on wycisnie z tego zwycięstwo.

Popędzaj ostro swego psa do Abazai.

Miody panie o ślicznym licu...

Kryj się, kryj mocno, jak pod Bonair

Thuste stada pograniczników!

– A Cabot? – spytała, odpowiadając na niewypowiedziane pytanie. – Nie wiem. Jest tyle rzeczy, których nie wiem.

Tego zastrzeżę, gdy zmrok nastanie.

Drugiego pognam o świecie.

Nad kośćmi i skórą tylko chłopskie płkanie.

Pograniczny pan pożegna brata swego.

– Wiem jednak, co może zrobić mój Raj, jeśli będzie miał narzędzia do pracy. A ja dostarczę mu tego, co potrzebuje, czy o tym wie, czy nie.

Tę wojnę, czerwoną, wówczas przyniosę wam.

Wojnę, po mięśni resztki sił.

Za krzywdę, co wodzowi wyrządzona

I złodziejowi z Bani Kahil.

A jeśli znów w łapy wasze wpadnę.

Ten grzech wybaczę wam...

W gardle mięso plugawej świni łże w jej skórze powiesić się dam!

Rozdział siódmy

– Nie są tacy rozentuzjasmowani, jak byli ci w Port Murchison – stwierdził Raj.

Stolica Południowych Terytoriów przywitała jego armię kwiatami i darmowym winem. Ludzie wciąż o tym opowiadali z rzewną przesadą. Tutaj ulice były w większości puste, poza kilkoma skupiskami ludzi stojących na rogach ulic i przyglądających się przetaczającej się armii Rządu Cywilnego. Odgłos przetaczania się po kocich łbach okutych żelazem kół dział i grmiące ujadanie podenerwowanych psów odbijały się dziwnym dudnieniem na wyludnionych ulicach. Podkute ćwiekami bury waliły jednocześnie, gdy maszerowała piechota. Większość kawalerii biwakowała na zewnątrz, w wioskach i dworach na bogatym wybrzeżu. Mniejsza szansa na wybuch zarazy i psom będzie lepiej.

– Nie są tacy pewni tego, że wygramy, jak byli w Port Murchison – zauważył Kaltin Gruder.

Wszyscy zasalutowali, gdy minął ich proporzec 24 Piechoty z Valencii, a sztandar pochylił się w odpowiedzi. Towarzysz zmierzył ich profesjonalnym okiem.

– Z pewnością zgrabnie maszerują – rzucił sucho. Kawaleria w ogóle, a Descotczycy szczególnie nie poświęcali temu zbyt wiele czasu.

Raj wzruszył ramionami. – To pomaga przekonać ich, że są żołnierzami – powiedział.

Piechurzy byli głównie poborowymi wyrobnikami ze środkowych prowincji, społecznie znajdującymi się kilka szczebli poniżej zwykłego rekruta-kawalerzysty. *Trzeba tylko wiedzieć, jak się z nimi obchodzić*, pomyślał. Powtarzaj człowiekowi wystarczająco często, że jest bezwartościowy, a będzie się tak zachowywał. W inicjatywie i szybkiej reakcji piechota nigdy nie dorówna jednostkom jazdy, takim jak Piąty albo 7 Zwiadowczy z Descott Kaltina. Kiedy jednak odpowiednio się nimi zająłeś, można było na nich wystarczająco polegać.

Jego oczy powędrowały ku fortowi. – Cóż, dobrzy obywatele z pewnością mają powody, by wątpić w nasze szanse – stwierdził.

Główna, północna brama zatoki Wager dawała im dobry widok na dół zbocza ku wschodowi, tam, gdzie na szczycie przylądka znajdował się Fort Wager. Co jakies dziesięć

minut huczała armata, a w parę sekund później okrągła kula wpadała z hukiem przez dach w miasteczku poniżej. Pociski spadały głównie na dzielnicę kamienic i warsztatów w miasteczku, pomiędzy wąskie uliczki okolone czteropiętrowymi kamienicami mieszkalnymi z wapienia, mydlarnie, wytlaczarnie oliwy i rafinerie siarki. Kolumny czarnego dymu znaczyły miejsca, gdzie wybuchły pożary.

– Kaltin, dopilnuj ich wygaszenia, dobrze? Jest tu działający akwedukt, więc nie powinno to być trudne. Skoordynuj się z dowódcami piechoty, jeśli potrzebujesz ludzi.

Towarzysz skinął głową. – Przynajmniej wiemy, że nie brakuje im prochu – ciągnął dalej.

– To i sporo innych rzeczy – rzucił z roztargnieniem Raj.

Skierował lornetkę na zatokę, przyglądając się wąskiemu szelfowi pod występem skalnym i fortem. Na ścianie klifu najbliższej zatoki znajdowała się przystań, ale grunt wspinał się stromo. Nie było dostępu, poza zakrytymi schodami w skale. Nie dało się ich sforsować. Systemy obronne zbudowano z tą właśnie myślą.

Główne działa fortu nie mogły ostrzeliwać plaży, ale każdy, kto spróbowałby wspiąć się na klif, stanąłby w obliczu potoków płonącej oliwy, jeśli tylko tego. Dalej klify skręcały ostro ku wschodowi. Były tam jeszcze bardziej strome, a fale pieniały się, tworząc skomplikowane wzory na wysuniętej skale i rafie.

>>Następujące zmiany od czasu ostatniego uaktualnienia danych.<< powiedziało Centrum.

Nie znoszę, kiedy zniemacka przechodzisz na kościelny żargon, rzucił utyskując Raj. Uważał się za pobożnego człowieka, ale nigdy nie rozumiał, dlaczego kapłani musieli nazywać normalne fakty „danymi”. Nie mówili przecież, na Ducha, o czymś pochodzącym z *Książeczek Kanonicznych*. Czasami Centrum też miało ten nieszczęsny zwyczaj. Trzeba było oczywiście wziąć poprawkę na to, że było aniołem...

>>Dziękuję ci.<< Woda zniknęła mu sprzed oczu, pozostawiając czysty wzór leżących pod nią skał, a potem ukazał się plan przepływu prądów.

– Podaj mi tamtą mapę, dobrze? – poprosił. O łęk jego siodła oparto tablicę z notatkami, a on szkicował bez patrzenia w dół. – Proszę.

– A poza tym Brygada nie jest aż tak niepopularna wśród swych poddanych jak była Eskadra – stwierdził Muzzaf Kerpatik, odbierając papiery.

– Szczegóły? – spytał Raj.

– Posłużyłem się swoimi kontaktami – rzekł mały człowieczek, a wydawał się mieć ich nieskończoną liczbę, od Al-Kebir i Górnego Drangosh aż po wszystkie główne porty Morza Śródziemnego. Jak zwykle ubrany był w oślepiająco białe płótno, płaszcz z długimi połami na modłę komarską i hrabstw południowego pogranicza. Należał do nowej klasy finansowych ryzykantów, wyrastającej tam w ostatnich latach. Biały materiał i śnieżnobiałe futro borzoja, na którym jechał, kontrastowało ze starannie podkreślonymi kruczoczarnymi włosami, hiszpańską bródką i brązową jak drzewo tekowe skórą.

Jednakże pistolet „pieprzniczka” zatknięty za jego szarfę wyglądał na używany.

– Dowódcy Brygady postępowali tutaj wedle przyjętej ogólnie Unii postępowania. Żadnego prześladowania kapłanów Ducha Człowieka Gwiazd, chyba że wtrącali się do polityki.

Raj skinął głową. Brygada polegała w utrzymaniu administracji na starej, cywilnej strukturze władzy, a cywilni magnaci uparcie odmawiali porzucenia ortodoksyjnej wiary na rzecz heretyckiego kultu tej Ziemi. W Południowych Terytoriach Eskadra rządziła całkowicie feudalnym państwem. Wywłaszczono zupełnie tubylczą arystokrację i nie przejmowano się zbyt, jeśli miejskie służby popadły w ruinę. Poza tym Eskadrowcy mieli paskudny zwyczaj palenia kościołów Ducha Gwiazd, w dodatku z duchowieństwem w środku. Pirackie dziedzictwo starego admirała Geysera Ricksa, które uprościło zadanie Rajowi.

– Tak właściwie, to w większości opanowanych przez Brygadę miast portowych istnieją duże skupiska muzułmańskich, kolonialnych kupców, a nawet chrześcijan i żydów. Kupieckie cechy zajmują się pobieraniem ceł i miejskich podatków od nieruchomości, jako że dowódców Brygady mało co obchodzi, dopóki napływają pieniądze. To rozwiązanie jest mniej, ach, *rygorystyczne* niż to spotykane w Rządzie Cywilnym.

Raj znowu skinął głową. Urzędnicy Rządu Cywilnego byli skorumpowani, ale byli niczym gąsienice na drzewie owocowym – tolerowani, jeśli dali się utrzymać pod pewną kontrolą. Ważne było, że to *działało*, co dawało państwu potencjalnie niezbitą przewagę. Niedbalstwo Rządów Wojskowych stanowiło mieszankę lenistwa i niekompetencji, a nie linię postępowania – nie potrafiliby jej usztywnić, nieważne jak rozpaczliwa byłaby sytuacja.

– A mówiąc o religii, messerze... delegacja kapłanów ze Wschodniej Rezydencji przedstawiła Krzesłu i wielebnemu hierarsze metropolicie arcsysypowi Wschodniej Rezydencji petycję oprostowującą twoją politykę tolerancji wobec czcicieli tej Ziemi w

Południowych Terytoriach.

– *Niech to diabli!* – wyrzucił z siebie Raj. Barholm brał całkiem poważnie swoje eklezjastyczne obowiązki jako głowy Kościoła Świętej Federacji – Teologia stanowiła stałe hobby gubernatorów, przez wzgląd na tak bliskie powiązanie kościoła i państwa. Raj nie potrzebował, żeby Centrum mówiło mu, jakie byłyby konsekwencje, gdyby Krzesło próbowało z dnia na dzień przy pomocy siły zjednoczyć religie...

>>Prawdopodobieństwo rewolty na terenie dawnego terytorium Rządów Wojskowych 72% plus minus 5.<< powiedziało Centrum. >>Prawdopodobieństwo buntu pośród dawnych członków dawnej Eskadry 38% plus minus 4. Prawdopodobieństwo buntu pośród dawnych żołnierzy Eskadry na obszarze Rządu Cywilnego 81% plus minus 2.<<

A na wschodniej granicy znajdowało się sześć batalionów dawnych Eskadrowców, pilnujących Kolonistów. Czyż nie byłby *to* cudowny prezent dla Aliego, pożądanego zemsty za swego zabitego ojca! Wydawało się, że Upadek trwał samą siłą inercji. Czasami Raj czuł się tak, jak człowiek skazany na spędzenie wieczności na próbach przepchnięcia kowadła w górę zbocza z gładkiego, natłuszczonego mosiądzu.

>>Zaiste. Robiłem to przez tysiąc lat.<<

– Tzetzas – rzucił na głos.

– Kanclerz mógł być zamieszany w przygotowanie petycji – powiedział Muzzaf i uśmiechnął się.

Kiedy był fagasem i współnikiem kanclerza, żył ze świadomością, że Tzetzas wyrzuci go niczym zużytą gąbkę kąpielową, gdy tylko przestanie być użyteczny. Teraz był jednym z Towarzyszy Raja Whitehalla i wiedział z taką samą pewnością, że Tzetzas musiałby przedostać się przez Raja i każdego z towarzyszy, aby go dopaść – i jeszcze upewnić się, że żaden z nich nie przeżył, aby go pomścić. Nie sprawiało to, iż czuł się nieśmiertelny. Liczba ofiar wśród towarzyszy zbyt mocno rzucała się w oczy. Ale to sprawiało, iż czuł się równie groźny jak kanclerz, a to było *lepsze* niż poczucie bezpieczeństwa. Gdyby chciał bezpieczeństwa, to trzymałby się interesu przetwarzania daktyli, jak jego ojciec.

– Jednakże – ciągnął – gubernator Barholm oświadczył, że wszelka zmiana polityki jest przedwczesna. – Raj się odprężył.

– Aż będziemy mieli Brygadowców bezpiecznie pod butem – rzucił Kaltin z chłodnym cynizmem. – A potem przyśle Czyścicieli Wirusów.

>>Prawdopodobieństwo 96% plus minus 2 w ciągu pięciu lat od zakończonej powodziem pacyfikacji.<< powiedziało Centrum. >>Konsekwencje...<<

Mogę sobie wyobrazić. – Zajmiemy się problemami jeden po drugim – rzekł Raj.

Muzzaf przewrócił kartki. – Targ żołnierski będzie się odbywał na głównym placu – ciągnął. Zwykle oczekiwano, iż żołnierze będą kupowali swoje racje z żołdu, kiedy armia nie maszerowała, a sprawnie funkcjonujący targ był ważny dla morale i zdrowia. Więcej żołnierzy zginęło od złej żywności i biegunki niż od kul i szabel. Targi, które nadzorował Muzzaf, zazwyczaj bardzo sprawnie funkcjonowały. – Zapasy napływają z odpowiednią szybkością, odkąd wskazaliśmy, iż kwity rządowe, którymi za nie płacimy, można wymienić. Właściwie to powstał już wtórny rynek obrotu kwitami.

Raj zamrugał w oszołomieniu, a potem machnięciem ręki zbył wyjaśnienie. Zarzucił próby zrozumienia tego rodzaju rzeczy, gdy Kerpatik starał się opowiedzieć mu, jak można było zarobić, kupując tytoń, którego jeszcze nie posadzono, na ziemi, której się nie posiadało, a potem sprzedając go, zanim jeszcze został zebrany. Każde jego słowo było w sponglijskim, ale równie dobrze mógł to być azaniański szaman wyjaśniający tajniki swego rzemiosła. *Szewc powinien trzymać się swojego kopyta, a ja szabli*, pomyślał.

– I skonsultowałem sześciomiesięczne kwity na twoje osobiste wydatki z panią Whitehall i twoimi urzędnikami.

Raj przyjął papier, uniósł brew, widząc całkowitą sumę, i oddał go z powrotem. Sam po prostu kupiłby ziemię za swój udział w łupach. Była to tradycyjna, bezpieczna inwestycja, nawet zamożni kupcy zawsze starali się kupować posiadłość. Kerpatik przekonał go – a właściwie to przekonał Suzette – że lepiej będzie rozdzielić środki na częściowe udziały w nowych spółkach z mieszanym kapitałem na terenie całego Rządu Cywilnego. Wyglądało na to, iż rzeczywiście zdawało to egzamin, i przynosiło mniej kłopotów niż zbieranie czynszów. Tak naprawdę to on byłby zadowolony, żyjąc ze swego żołdu i dochodów z Hillchapel, posiadłości Whitehallów w Descott. Bogactwo stanowiło narzędzie, czasami pożyteczne, ale nie najważniejsze w jego pracy.

– A specjalny sprzęt dotrze z Hayapalco w przeciągu miesiąca.

– Dobra robota, Muzzaf. Moje podziękowania.

Popędzili swoje psy, by podążyły za ostatnią jednostką piechoty. 7 Zwiadowczy z Descott zamykał tyły, a żołnierze wzniesli szczekliwy okrzyk radości, zobaczywszy, że major i Raj

znaleźli się pod ich sztandarem, zdobionym biegnącym psem bojowym na cyfrze siedem i mottem jednostki: *Fwego Erst* – „Najpierw strzelaj”.

– Suzette i ja urządzamy dzisiaj małe spotkanie towarzyskie – ciągnął Raj. – Pod warunkiem, że uda nam się zmusić tych imbecylów – wskazał na fortecę – do tego, by przestali pokazywać, jak są odważni, ostrzeliwując slumsy. Zwyczajna sprawa, podniesienie na duchu lokalnych bonzów. Potrzebujemy ich współpracy. Wiem, że jesteś zajęty, ale może wpadniesz?

Gruder spojrział na niego. Lewa strona twarzy towarzysza pocięta była biegnącymi równolegle białymi bliznami, spuścizna po pocisku kolonialnego pompoma, który także rozbryzgał mu na piersi mózg młodszego brata.

– Ja, ach, mam...

– Kwaterę, w której przypadkowo znajduje się śliczna, młoda wdowa? – Kaltin Gruder nie na darmo nazywany był przez swoich ludzi Kogutem.

Kaltin zakaszłał w dłoń. – Właściwie to słomiana wdowa.

– Zostaw ją albo przyprowadź ze sobą – rzucił od niechcienia Raj. Towarzysz zmierzył go przymrużonymi oczami. – Wszyscy tam będą. Starzy przyjaciele, jak messer Reggiri.

Mijali samotnego kapłana Ducha Gwiazd, który wyszedł, aby pobłogosławić przedstawicieli Kościoła Świętej Federacji. Nagłe zaciśnięcie nóg Kaltina na psich bokach sprawiło, że zwierzę obróciło się, prawie roztrzaskując nieszczęsnego kapłana o kratę drzwi z kutego żelaza.

– Przepraszam, wielbny ojcie – Descotczyk rzucił przez ramię, gdy powróciły jego zwykłe umiejętności i zwierzę zatańczyło, skracając ostrożnie z powrotem ku Rajowi.

– Nie potrzebuję nowego psa ani nowej niewolnicy – rzekł Gruder. Kaltin dowodził eskortą, która odprowadziła Suzette do dworu Reggiriego na obiad, choć Raj był *zbyt* zajęty, by w nim uczestniczyć. Wszyscy oficerowie w tej eskorcie zostali odesłani z hojnymi podarkami. Znaczące było *to*, że Kaltin Gruder natychmiast sprzedał psa, choć zachował dziewczynę, rudzielca pochodzącego z Oddanych, imieniem Mitchi.

– Och, podejrzewam, iż messer Reggiri obdarzy nas *wszystkich* prezentami – rzekł cicho Raj.

Dwaj Descotczycy spotkali się spojrzeniami. Po chwili zaczęli się uśmiechać.

* * *

– Cóż, dziękuję ci, Cabocie – rzekła Suzette, wachlując się i przyjmując szklanke ponczu.

W sali balowej było jasno od lamp oliwnych i gorąco, mimo iż wysokie, szklane drzwi stały otworem. Pary wirowały po marmurze. Jasne suknie, klejnoty i mundury błyszczały pod żyrandolami. Zespół stalowych bębnow, *sitar* i fletów wypełniał pomieszczenie miękką muzyką. Niewielu gości podnosiło wzrok na fortecę na klifach, odbijającą się cieniem na tle wielkiego łuku Maxiluny. Suzette zaśpiewała cicho w takt powolnej melodii:

Jeśli każdy człowiek uczyni, co w jego mocy... Jeśli każdy człowiek będzie wierny
Wówczas pomalujemy niebo nad nami Błękitem Federacji

– *Czy to są słowa do tej melodii?* – spytał Cabot.

Opierali się o balustradę tuż za oknami, spoglądając w dół na miasto. Było mniej świateł niż zwykle, poza czerwonawą poświatą pożarów, które płonęły długo po tym, jak zakończyło się bombardowanie, zgodnie z regułami całodobowego zawieszenia broni. Płomienie zabarwiły powietrze kolorem siarki, w bryzie nadlatującej od morza i ogrodów pałacu dowódcy.

– Bardzo stare słowa, ale stare pieśni to moje hobby – powiedziała Suzette, pochylając się nieco bliżej.

– Także bardzo prawdziwe – stwierdził Cabot. Podniósł wzrok na fortecę, a jego silne dłonie młodego szermierza zacisnęły się na rzeźbionym brązie i żelazie balustrady. – *Gdybyśmy* wszyscy nad tym pracowali, to ten barbarzyńca na górze nie śmiałby się z nas.

Suzette położyła dłoń na jego przedramieniu. – Sądzę, że w tej chwili pułkownik Courtet ma raczej ochotę zgrzytać zębami, Cabocie. Jako że to *w jego* rezydencji tańczymy.

Młodzieniec otrząsnął się ze swego nastroju. – *Następny taniec?* – spytał.

Potrząsnęła głową, śmiejąc się i klepiąc go wachlarzem po ramieniu. – Czy chcesz, by inne damy wydrapały mi oczy? Cztery kadryle pod rząd z bratankiem gubernatora! Biedaczki, nieczęsto mają szansę wirować w ramionach przystojnego dżentelmena ze stolicy, a tutaj ja cię monopolizuję.

– Prowincjonalne czupiradła – stwierdził Cabot, pochylając się nad jej dłonią. – Niech cierpią, i czynią mnie szczęśliwym.

- Później, ty ladaco. Pozwól starej kobiecie złapać oddech.
- Starej? – rzucił bez tchu, zacieśniając uchwyt na jej ręce. – Ty, ty jesteś tak pozbawiona wieku i tak piękna jak same gwiazdy.
- *Zaraz* sprawisz, że popadną w kłopoty z Kościołem. Nie wspominając o tym, że za wcześniej było nazywać ją pozbawioną wieku, gdy brakowało jej paru lat do trzydziestki.
- Nonsens. Uzyskam nową dispensę od Krzesła.

Nie pozwól tylko, aby twój stryj usłyszał, jak tak mówisz, pomyślała. On nie ma dużego poczucia humoru.

- Później, Cabocie. Naprawdę potrzebuję trochę odpoczynku, a to grzech, żeby marnowali się tancerze tacy jak ty, nawet przez godzinę. Spotkamy się później przy fontannie.

Patrzyła, jak odchodzi, z namysłem stukając się wachlarzem po brodzie. – Witam, Hadolfo – powiedziała, gdy z kolei Reggiri oparł się o balustradę.

Czerń i srebro jego kurtki i bryczesów kontrastowały z jej białym jedwabiem *torofib* i platynowo-diaamentową siateczką na włosy spływającą welonami wokół jej nagich ramion. Reggiri miał opaleniznę żeglarza, a na jego dłoni trzymającej jej dłoń, gdy oddawał ukłon, były odciski.

- Wygląda na to, że często widzisz tego młodego panoczka – rzucił.
- Cóż, on *jest* bratankiem gubernatora, Hadolfo. Nie mogę przecież chlusnąć mu drinkiem w twarz.
- Moja droga, nie tylko mogłabyś, ale mogłabyś sprawić, żeby on – albo każdy inny mężczyzna – ci za to podziękował.

Zaśmiała się, niskim, melodyjnym śmiechem, i wzięła go pod rękę. – Może powinnam spróbować moich czarów na pułkowniku Courtecie – stwierdziła, wskazując na fort.

- Mogłabyś – powiedział. – Robiłem znaczne interesy z dobrym pułkownikiem i sądząc z mojego doświadczenia, jest on niezmiernie podatny na kobiecy wdzięk. Niestety także na brandy Sala i tego, kto z nim ostatni rozmawiał.
- Sporo wiesz o tutejszych sprawach – rzuciła.
- Staram się być na czasie... jak pewnie pamiętasz, droga Suzette.
- Dlaczego zatem nie przejdziemy do jakiegoś bardziej prywatnego miejsca, aby

porozmawiać, Hadolfo?

Spojrzał na nią ostro, czerwieniąc się. – *Tutaj?*

– *Cóż, niezupełnie* tutaj – odpowiedziała Suzette, prowadząc go wokół par tłoczących się koło waz z ponczem i bufetu. – Ale to jest dość spora rezydencja, a człowiek uczy się, jak postępować na dworze. W pałacu gubernatora jest o wiele mniej prywatności, wierz mi.

Rozłożyła wachlarz i posłała wiaterek na jego szyję. – Promieniejesz, Hadolfo. A teraz przespaceruj się ze mną i opowiedz mi *wszystkie* plotki, a znajdziemy jakąś sofę na przytulną pogawędkę.

* * *

Hadolfo Reggiri poczuł, jak się czerwieni, i starał się nie jękać, gdy otworzyli drzwi do pokoju na dole. Znajdował się on piętro niżej od sali balowej, po drugiej stronie dziedzińca, na tyle blisko, by słyszeć muzykę, ale był zacieniony czarnymi, aksamitnymi zasłonami. Język stanął mu kołkiem, bardziej niż tłumaczyłoby to kilka kieliszków wina, pochwycyony pomiędzy wspomnieniem a pożądaniem.

Weź się w garść, człowieku! – pomyślał. *Nie masz już, na Ducha, cholernych szesnastu lat!*

Widział, w jaki sposób ta wiedźma utrzymywała wielkiego generała Whitehalla przy swojej spódnicy. Niemalże żałował tego mężczyzny.

Blask dwóch żarzących się papierosów w przeciwległym kącie ciemnego pokoju był jak wpadnięcie na ścianę zimnej, słonej wody. Zamarł, a jego ręka zacisnęła się bezwiednie na dłoni Suzette, której palce spoczywały na jego prawym ramieniu. Uderzyła go ostro po kostkach dłoni swoim wachlarzem i poszła ku czekającym mężczyznom z tym samym kołyszącym się, zgrabnym wdziękiem, a jej świetlista suknia odcinała się na tle ciemnego drewna i mebli. Reggiri posuwał się wciąż sparalizowany do przodu, bowiem wyglądało na to, że nic innego mu nie pozostało. Jego umysł był niczym statek, jaki kiedyś widział, którego ładunek przemieścił się w czasie sztormu. Wszystko się chwiało, nagle pozbawione uchwytu.

Rozpoznał mężczyzn, gdy się zbliżył. Raj Whitehall i jeden z jego oficerów, Kaltin Gruder. W zeszłym roku był przez chwilę przekonany, że mężczyzna z blizną na twarzy go zastrzeli, aż Suzette zmusiła go do posłuchu. Sam się obwołał strażnikiem honoru swego pana.

Obydwaj oficerowie mieli na sobie długie, ciemne, wojskowe płaszcze wydawane

standardowo, prawdopodobnie po to, by ukryć fakt, iż mieli także szable i pistolety – prawdziwą broń, a nie te wymyślne, paradne sztucce odpowiednie na bal. Za nimi znajdowało się czterech kawalerzystów, których mundury były nowe, i w których skrzyżowanych ramionach widniały karabiny. Descotczycy, z szyjami jak u byka i pałakowatymi nogami, tak nie na miejscu na przyjęciu we dworze jak gromadka trolli na spotkaniu elfów. Ich oczy spoczywały na kupcu, a były bardziej dzikie niż u jakiegokolwiek barbarzyńcy z Brygady.

Hadolfo Reggiri był dobrym wojownikiem. Nikt nie mógłby handlować tak długo w dzikich krainach Morza Śródświatowego i przeżyć, jeśli by nim nie był. Hadolfo nie miał również złudzeń co do swoich szans przeciwko Rajowi Whitehallowi albo któremuś z jego towarzyszy broni. Żołnierze stanowili wiadomość, a nie środek ostrożności. Przechadzali się teraz za nim. Ćwieki butów chrzęściły na parkiecie, ciężąc swą obecnością za jego plecami.

– *Bwenyatar, heneralissimo* – powiedział Hadolfo, wykonując ukłon. – Dobry wieczór, przeodważny generale. Od paru dni miałem nadzieję, że będziesz miał czas, by ze mną porozmawiać. Jako lojalny człowiek mam informacje dotyczące wroga...

– Nie wątpię, że masz – rzekł Raj. Strzepnął papierosa i przyjrzał się żarowi. – Tysiąc ośmiuset ludzi w forcie, połowa to regularni strzelcy, około czterech tysięcy uciekinierów...

Było to znacznie bardziej kompletne niż teczka, którą składał Reggiri.

– A potem, jeśli będę mógł być pomocny i jako że jesteś bez wątpienia bardzo zajęty... – zaczął.

Raj znowu się zaciągnął. – A właściwie, messerze, jest coś, w czym mógłbyś pomóc. Mój adiutant, Muzzaf Kerpatik, mówi mi, że masz teraz w Sali cztery statki.

– Przygotowujące się do załadowania siarki, dekoracyjnego kamienia i wzmocnionego wina dla Wschodniej Rezydencji – potwierdził Reggiri.

– Są one nam potrzebne. Byłbym wdzięczny, gdybyś posłał rozkazy swoim kapitanom. Mają się zameldować w mojej bazie na północnym wybrzeżu i oddać pod rozkazy pułkownika Dinnalsyna z artylerii.

– Z artylerii? – wyszeptał Reggiri. – Chcesz zmarnować moje statki, wystawiając je przeciwko temu cholernemu fortowi!

– Dla ciebie: *messer generale* – warknął jeden z żołnierzy.

– Jaka – odezwał się Kaltin – byłaby kara, panie, za odmawianie pomocy oficerom

Rządu Cywilnego w czasie wojny?

– Och, ukrzyżowanie – rzucił miło Raj – za zradę. Ale do tego z pewnością nie dojdzie. Nie zmarnować, messer Reggiri. Spożytkować. Sądzę jednak, że zostaną zużyte. Tak jest na wojnie. Statki, amunicja, ludzie.

– Moje statki – rzekł Reggiri. Nie były ubezpieczone na wypadek strat wojennych ani działań rządu. Utrata ich go zniszczy. – Nie możesz ukraść moich statków! Messer generale – dodał pospiesznie, gdy poruszył się żołnierz za nim. – Mam przyjaciół na dworze.

– Nawet mi się nie śni ich kraść – rzekł Raj. Stojąca obok Suzette wyciągnęła dokument z wizytowej torebki i wręczyła go mężowi. Ten podał go kupcowi.

Reggiri wyteżał wzrok, czytając go. Jeden z żołnierzy pomocnie zapalił zapalkę o paznokiec i trzymał ją nad jego ramieniem. Ręka śmierdziała psem i naoliwioną bronią.

Trzy tysiące złotych FedKredytów, przeczytał. Nie całkiem rabunek, ale także nie zastąpienie wartości statków. I...

– To jest zaciągnięte na kanclerza Tzetzasa! – wykrztusił. – Mam większą szansę odzyskania pieniędzy od Aliego z Al-Kebir!

– To cię nie zadowala? – spytał Raj.

Wyrwał papier z palców mężczyzny i rozerwał na pół. Suzette wyciągnęła kolejną kartkę pergaminu i wręczyła ją Rajowi. Reggiri wziął ją drżącymi palcami. Dokument identyczny jak pierwszy oprócz tego, że suma została obniżona do dwudziestu pięciu setek.

Reggiri podniósł wzrok na Suzette. Stała obok swego męża, delikatnie dotykając koniuszkami palców jego masywnego nadgarstka. Przedtem jej oczy wydawały się niczym zielone płomienie. Teraz przypominały mu lodowiec, jaki kiedyś widział w górach Obszaru Bazy na dalekiej północy.

– Suka – rzucił bardzo cicho. – A potem – *Unnhh!* – gdy kolba karabinu walnęła go w nerki. Biały ogień bólu na chwilę zmienił jego kolana w galaretkę, a niedelikatne ręce pod pachami podtrzymały go.

– Uważaj na słowa, gnojku! – warknął żołnierz. – Wybaczcie, messer, messa.

– Kaltin – ciągnął Raj z obojętnym wyrazem twarzy. – Wygląda na to, że Reggiri trochę za dużo wypił, skoro zapomniał, jak się zwracać do messy. Myślę, że potrzebuje eskorty do domu.

Gruder skinął głową. – Cóż, jest handlarzem niewolników – rzucił przyjemnym tonem. – Prawdopodobnie nauczył się manier, będąc alfonsem dla swoich sióstr jako chłopiec.

Ręka Reggiriego uniosła się z własnej inicjatywy. Twarz Grudera wysunęła się do przodu w oczekiwaniu na policzek, który nigdy nie nadszedł, a blizny szpecące jej połowę zaczerwieniły się.

– Proszę – powiedział chrapliwym i niecierpliwym głosem. Wargi ściągnęły się, odsłaniając zęby. – Och, *proszę*. Jeden z moich ludzi pożyczyci ci szablę.

Raj dotknął jego łokcia. – Majorze – powiedział, a ręka Grudera opadła z rękojeści szabli. – Naprawdę sędzę, że messer Reggiri potrzebuje tej eskorty. I strażnika przez jakiś następny tydzień, bo wygląda na niezwykle lekkomyślnie postępującego z kieliszkiem.

– Podalem wam Connora Aubuma na talerzu! – wybuchł Reggiri. Żołnierze otoczyli go, równie nieodparci jak cztery chodzące głązy.

– I nie umierasz teraz na krzyżu – rzucił Raj tym samym beznamiętnym tonem. Poruszyły się tylko jego oczy i ręka podnosząca papieros do ust. – A teraz odejdz.

* * *

Palce Suzette rozpięły klamrę wojskowego płaszcza Raja i cisnęły go na szezlong za nimi. Kobieta cofnęła się o krok i wykonała głęboki ukłon. Raj odpowiedział tak samo głębokim ukłonem, zginając dworsko nogę. Muzyka wpadała przez otwarte okna zza czarnych, aksamitnych zasłon.

– Messa Whitehall, czy zaszczycisz mnie tym tańcem? – spytał.

– Będę zachwycona, messer Whitehallu.

Ich prawe dłonie się złączyły, a ona poprowadziła jego lewą rękę na swoje biodra, zanim zawirowali, sami na słabo oświetlonym parkiecie.

Rozdział ósmy

– Powiedziałem ci, że one się przydadzą – stwierdził Grammeck Dinnalsyn.

Broń na wale z worków piasku, drewna i żelaznych blach, znajdująca się na dziobówce *Chabry*, była przysadzistą tubą z lanej stali, tak wysoką jak mężczyzna, przyczepioną przy pomocy przegubu do masywnej, okrągłej płyty ze spojonego razem kutego żelaza i stali. Do wsparcia i celowania służył metalowy trójnóg, a długie, zachodzące na siebie sztaby i kółka służyły do ręcznego obracania. Lufa miała średnicę dwudziestu centymetrów, czyli była dwa razy grubsza niż u normalnego działa polowego, i była gwintowana. Obok broni znajdował się stos pocisków – cylindrów z grubymi, krótkimi, stożkowatymi czubkami i obręczą napędową z miękkiego stopu miedzi i cynku dookoła środkowej części. Z tyłu każdej z nich znajdowała się perforowana tuba. Załogi owijały jedwabne woreczki z prochem dookoła tych tub, zanim wrzuciły je w lufę – ich dokładnie odmierzoną liczbę dla danego zasięgu przy danym podniesieniu. Podstawowy ładunek stanowił pocisk do strzelby. Pocisk, uderzając o nastawioną iglicę w dole wylotu lufy, odpalał ładunki założone pierścieniowato wokół tuby.

Jedną z rzeczy, jakie powiedział im Boyce, było to, iż otwory, strzelnicze Fort Wager nie mają żadnej osłony od góry. Nie była ona potrzebna przy normalnej artylerii, biorąc pod uwagę położenie fortu.

– Wiem, że są pożyteczne, Grammeck – rzekł Raj. – Ich mniejsi bracia niezmiernie się przydali w walce w Port Murchison. – Była to bardziej masakra, ale mniejsza o to. – Są też niezmiernie *ciężkie*. Sprowadź mi takie, które może się poruszać jak działo polowe, a będę brał ich dziesiątki, gdziekolwiek się ruszę.

Raj swobodnie przeszedł przez pokład *Chakry*, Minęły dwa dni od wyruszenia z północnego wybrzeża do Fortu Wager, dosyć czasu, by z powrotem przyzwycząić nogi do kołysania. Wielu żołnierzy z plutonu 5 z Descott z tych znajdujących się na pokładzie wciąż miało zielone twarze i wyglądało nieszczęśliwie – szczury lądowe do szpiku kości. Jednak wykonują swoje zadania, rzygając czy też nie, a on zamierzał dać im stabilną platformę do strzelania. Ogromne żagle trzymaszowca pochylały się nad nim. Statek miał ożaglowanie barki, gaflowe na tylnym maszcie i kwadratowe na pozostałych dwóch. Sznury skrzypiały, a

on zmrużył oczy przed blaskiem słonecznym i dostrzegł na północy wysoki przylądek Fortu Wager. Wiała rzeńska bryza od morza, rzecz często spotykana wczesnym popołudniem. Centrum przewidziało, że utrzyma się ona dzisiaj wystarczająco długo...

>>Prawdopodobieństwo 78% plus minus 3.<< poprawiło go Centrum. >>Nie jestem prorokiem. Tylko dokonuję oceny.<<

– W najgorszym przypadku mogli płynąć przez ostami kawałek, przeciągając się na kotwicach zarzucanych z przodu przez ludzi w długich łodziach.

Oparł się o stanowisko baterii. Załoga podniosła wzrok znad sprawdzanej po raz ostatni broni i stanęła na baczność. Większość ludzi miała na sobie tylko buty i niebieskie spodnie z czerwonymi lampasami.

– Spocznijcie, chłopcy – powiedział, odpowiadając na ich salut.

Artylerzyści pochodzili głównie z miast, a ich oficerowie z miejskiej klasy średniej – w przeciwieństwie do pozostałych jednostek wojska w siłach Rządu Cywilnego. Wielu dowódców kawalerii ledwo zauważało ich istnienie. *Czysty snobizm, pomyślał. Są bezcenni, jeśli się ich odpowiednio wykorzysta.* Na przykład ich umiejętności inżynierskie i ogólną wiedzę techniczną. Zbyt wielu wiejskich wielmożów – poza podstawową umiejętnością pisania i czytania – nie interesowało się niczym, co się rusza, a na czym nie mogli jechać, na co nie mogli polować czy z czym nie mogli kopulować, podobnie jak wielu Brygadowców.

– To zależy wyłącznie od was – zwrócił się do kanonierów. – Piechota nie może tego dokonać, kawaleria nie może tego dokonać. Tylko wy macie na to szansę.

– Rozwalim ich dla ciebie, messer Raju! – warknął sierżant.

– Na Ducha, uczyńcie tak – odparł. – Do zobaczenia w forcie. .A w środku czuł się nieco nieswojo wobec tego, jak przyjął się ten zwyczaj nazywania go. *Paniczu Raju* zwracałby się do niego jego osobisty służący w rodzinnej posiadłości. Na przykład jego stara niańka albo zbrój mistrz, który nauczył go strzelania i posługiwania się mieczem. *Niech to, ci ludzie są żołnierzami Rządu Cywilnego, a nie bojową bandą jakiegoś barbarzyńskiego wodza!* – pomyślał.

>>Słusznie się przejmujesz.<< stwierdziło Centrum. >>Jednakże, obecnie to zjawisko jest pozytywne.<<

Raj obrał nieco inne podejście w stosunku do kawalerzystów czekających pod pokładem. Okrężnice statku zostały pociągnięte w górę i podziurkowane otworami strzelniczymi, nie

było jednak sensu odsłaniania ludzi ani przeszkadzania żeglarzom, zanim nie zaszła taka potrzeba.

– Witajcie, psi bracia – rzucił z uśmiechem, uderzając się pięścią z dowodzącym porucznikiem. – Skończyliście już rzygać?

– Wyrzygołem każdemu cholernom rzecz oprócz bebeczków, ponie – powiedział jeden z ludzi.

– Kiedy stracisz swoje bebecchy, to będzie dzień zbierania podatków w Descott, Robbi M'Teglez – stwierdził Raj. Zawsze miał talent do zapamiętywania nazwisk i twarzy, a Centrum powiększyło go do doskonałości. Żołnierz zaczerwienił się i wyszczerzył w uśmiechu. – To ty przyniosłeś mi sztandar brudasów pod Sandorałem, prawda?

– Tek, ponie, messer Raju – powiedział mężczyzna. – Ma go mój ociec, i karabin, i psa coś go przysłał. A kapłan w domu odczytał list od pułkownika w Gwiazdodzielę i w ogóle.

Towarzysze żołnierza spoglądali na niego z *czystą* zawiścią. Raj ciągnął dalej – Będziemy płynąć przez kanonadę barbarzyńców. Nie powinno to trwać dłużej niż jakieś dwadzieścia minut. Nie dużo jak dla tych z was, którzy przegnali brudasów pod Sandorałem. A tym, których tam nie było, powiem – cóż, nauczycie się nowej modlitwy.

– Modlitwy, ponie? – spytał jeden.

Wyglądał na młodzieńca świeżo przybyłego z farmy, dopiero co się golącego, ale ogromne dłonie ściskające karabin były wystarczająco kompetentne. Większość wolnych dzierżawców w Descott co pokolenie wysyłała jednego mężczyznę do wojska w zamian za podatki ziemskie. W Descott nie było wyrobników i stosunkowo niewielu niewolników. Jednakże obfitowało ono we wdowy.

Odpowiedział mu mat oddziału. – *Za to, co lotrzymamy, niech Duch łuczyni nas prawdziwie wdziocznymi* – powiedział. – Niech ci nie ściska jaj, Tinneran. Żadne barbarzyńcę nie majom dziół takich jak szmaciane łby.

To wywołało uśmiechy – uśmiechy napięcia i oczekiwania. Ci, którzy czekali cały dzień w bunkrach, aż zaszarżują na nich fale żołnierzy w czerwonych jellabach ze swoimi powtarzalnymi karabinkami, podczas gdy waliły w nich działa Kolonistów... będą wiedzieć. Tym, których tam nie było, nie można było tego opowiedzieć. Można im było tylko pokazać.

– Jak już się przedrzemy, kanonierzy będą mieli swoją robotę. Naszym zadaniem jest dopilnowanie, by barbarzyńcy nie zesli po skałach, oraz wyjście z morza i pochwylenie ich

tak, jak dziki pies złapał żonę młynarza, od tyłu. Jesteście chłopcy gotowi wykonać dzisiaj męską robotę?

Ich wierzchowce znajdowały się w obozie-bazie, ale odgłosu, jaki wydali mężczyźni, nie powstydziliby się półtonowi mięsożercy, na których zwykle jeździli.

– Zatem polećcie swoje dusze Duchowi, czekajcie na rozkazy i wybierzcie swoje cele, chłopaki – zakończył. – Piekło albo łupy, psi bracia.

– Sądząc po odgłosach, myślałem, że byli bliscy buntu – rzucił Dinnalsyn, gdy Raj wyszedł znowu na światło słoneczne.

– Mało prawdopodobne – rzekł Raj.

Przylądek wylądował z szokującą prędkością, a cztery statki kierowały się na kurs, jaki wyznaczył, kurs, który wystawi ich na najmniejszą z możliwych liczbą dział. *Duchu Człowieka, ale się dobrze czuję*, pomyślał. Przestraszony, owszem. Zatoki zwabiały wciągacze, a on wciąż miał złe sny o mackach, tnących dziobach i inteligentnych, wyczekujących oczach tłoczących się wokół przystani, gdy wrzucali martwych Eskadrowców do wody po walce o Port Murchison. Osiem tysięcy ludzi zabitych w jedno popołudnie. Morskie bestie się nażarły, a gdy ich brzuchy nie przyjmowały już więcej ciał, zaciągały trupy do swoich podwodnych gniazd.

Dlatego też nie myślał ze spokojem o ryzyku zanurzenia się tutaj w wodzie, o nie. Ale po nieprzerwanym niepokoju związanym z dowodzeniem, perspektywa akcji na taką skalę sprawiała, że czuł się... młodo.

Bezgwiezdne ciemności, powiedział sam do siebie. Jeszcze nie mam trzydziestki!

– Nie powinienes się tutaj znajdować, panie – powiedział Dinnalsyn, zniżając głos.

– Nie ty pierwszy mi to mówisz, pułkowniku – stwierdził Raj. Jego rozradowanie było widoczne w lekkim klepieniu, jakie wylądowało na ramieniu oficera Wschodniej Rezydencji. – Ale *muszę* to znosić, kiedy mówi to moja żona. Zajmijmy się zadaniem, dobrze?

Chakrą dowodzone z rufy, znad wysokiego koła kontrolującego ster, obracanego przez dwóch mężczyzn, z miejsca gdzie kapitan mógł kierować pierwszym matem. Nic nie można było poradzić, by poprawić bezpieczeństwo załogi, która ściągała liny i wspinała się na takielunek, by mocować się z płótnem. Dinnalsyn dopilnował jednak założenia żelaznego pasa w kształcie litery „C” wokół samego koła sterowego, z osłoną od góry i szczelinami

obserwacyjnymi. Była to płyta z żelaza kotłowego umocowana na ciężkich belkach.

Kapitan zwrócił się do Raja. – Skały są tam paskudne – powiedział w spanjolskim, z nosowym akcentem. Kapitan był wysokim mężczyzną z mięśniami jak postronki, jasnymi jak len włosami wygolonymi z tyłu głowy i długimi wąsami. Tunika, którą miał na sobie, zdobiona była w poziome, czarno-białe pasy, i miała ponaszywane, żelazne pierścienie wielkości bransolet. Jako że mogło dojść do walki, marynarz przewlekł przez pierścienie trzonki toporów do rzucania, o krótkich, zakrzywionych ostrzach, a za pas zatknął dwa długie noże.

Kapitan był Oddanym, który przywędrował z północy, należącym do jednego z ostatnich szczepów, jakie ruszyły na południe z Obszaru Bazy. Prawdopodobnie najbardziej zaciekłym ze wszystkich. Oddani byliby o wiele bardziej niebezpieczni, gdyby bratobójstwo i ojcobójstwo nie stanowiły narodowego sportu ich królów. Dzień, w którym jednemu z nich udałooby się wybić wszystkich swoich rywali i zjednoczyć szczep, byłby niebezpieczny dla całego świata.

Raj nie martwił się zbyt mocno możliwością zdrady ze strony kapitana Lodoviko. Unoszące się przy brzegu czarne pióropusze pokazywały, gdzie czekały tarany Rządu Cywilnego. Miały zbyt głębokie zanurzenie, by same wykonać to zadanie, ale Raj wydał polecenie, by każdy statek, który zawróci bez rozkazów, został zatopiony, i wszyscy o *tym* wiedzieli. Obiecał również każdemu człowiekowi na pokładzie premię w wysokości rocznego żołdu, nowe posadki i dowództwo dla matów i kapitanów, oraz dosyć pieniędzy, by wykupić udziały w ich statku. Plus, oczywiście, miał *na każdym* statku czterdziestu swoich żołnierzy, gotowych zastrzelić każdego człowieka, który opuści swoje stanowisko. Wszyscy wiedzieli także o tym.

– Obierzcie ten kurs – powiedział Raj. Kolorowa siatka opadła mu przed oczami i przesunął ramię, by zrównać się ze wskaźnikiem, jakiego dostarczyło Centrum. – *Dokładnie* ten kurs, kapitanie Lodoviko, i zmień go *dokładnie*, kiedy ci powiem. Zrozumiano?

Lodoviko spojrział na niego spod przymrużonych powiek i wymruczał coś w swoim dialekcie nameryjskim. Prawdopodobnie inwokację do jednego z dziesiątków pogańskich bogów, w jakie wierzyli Oddani. Może Glima z Fal albo Baffire’a Gromowładnego. A potem wymruczał rozkazy do sternika i pierwszego mata. Koło się obróciło, a po pokładzie pospieszyły stopy. Na wyblinkach zaroilo się od ludzi, zwinnych jak wspinające się po klifach rogosauroidy.

Dziób statku obrócił się, a jego ruch uległ zmianie, gdy uderzył o fale pod innym kątem.

Trzy statki za nim ustawiły się w szereg, podążając w linii rufy, jeśli tylko się dało.

– Płyniemy za szybko – stwierdził znowu Raj. – Proszę zmniejszyć prędkość o... dwa węzły. Przygotować się do skrętu w lewo.

– Statek na lewą burtę. Nie kieruje się nim z tego samego końca co psem, generale. – Kolejna seria rozkazów przez megafon, płótno żagla poleciało w górę i zostało przymocowane do rei.

– Mów na to, jak chcesz. Dobrze. A teraz skreć pod tym kątem. – Machnął ramieniem.

Byli na tyle blisko, by widzieć wysokie, kremowe, wapienne klify, poszarpane i nierówne, lecz prawie pionowe. Kamień fortu był tego samego koloru, widać było gładkość i spoiny bloków tam, gdzie się zaczynał, a kończyła się żywa skała. Fale były o zwirową plażę poniżej, a jeszcze bielsza woda rozbijała się o bardziej wysunięte skały i rafy. Każda z nich mogła rozpruć drewniane dno *Chakry* jak bagnet brzuch człowieka.

Nie zazdroszczą Gerrinowi, starającemu się, by myśleli, że dokona zmasowanego ataku w świetle dziennym, pomyślał Raj jakąś częścią świadomości, nie zajęta beznamiętnym przekładaniem poleceń Centrum.

Dinnalsyn i jego adiutant cicho dobyli swoich rewolwerów, stojąc za szafką na busole chroniącą koło sterowe. – Na Ducha, to naprawdę działa – wyszeptał kanonier roztargnionym tonem człowieka mówiącego do siebie. – Na Ducha, może on *jest* tym cholernym awatarem.

– W tym kierunku. Trzymać się tego kierunku.

Skręcali ku klifom pod kątem sześćdziesięciu stopni, wciąż znajdując się w odległości ponad kilometra. Zerwała się ostrzejsza bryza. Huknęła armata i wszyscy oprócz Raja podskoczyli. On był zbyt pogrążony w ciasnym świecie linii i oznaczeń, jaki Centrum wyświeciło mu przed oczami.

– Pułkownik Staenbridge pozoruje natarcie przeciwko fortowi, a oni go odstraszą – rzekł spokojnie. – Nie mają dosyć ludzi, żeby obsadzić wszystkie działa. Wkrótce zobaczą, że nadpływamy.

O wiele łatwiej było płynąć kursem do małej przystani w tworzących zatokę klifach, ale ostatnią rzeczą, jakiej chciał, było znalezienie się tuż u podnóża zakrytych schodów prowadzących w górę fortu. Po pierwsze, mógł ich tam dosięgnąć ogień z mniejszej broni z szańców, a po drugie był całkiem pewien, że garnizon nie pozwoli mu się bombardować, nie próbując złożyć mu wizyty.

Raj stał zwrócony plecami do balustrady na rufie. Dobył swojego pistoletu i kciukiem odciągnął kurek. Lodoviko podrapał się po żebrach. *Możliwe* że zabawiał się trzonkiem jednego ze swoich toporów.

BOOM. Dym rzygnął ze strzelnicy w ścianie fortu od strony morza.

– Myślę, że nas zobaczyli – ciągnął beznamytnie kanonier. – Strzał dołem i ponad. Trudne z poruszającym się celem takim jak ten.

– Skręć w prawo. O tak.

– Słyszeliście wilka morskiego, dziesięć na prawą burzę – rzucił Lodoviko. Pot spływał po jego przypominającej ugotowanego homara twarzy i moczył mu tunikę, ale jego wskazówki były precyzyjne.

BOOM. BOOM. BOOM. BOOM. BOOM. BOOM.

Ściana dymu ciągnęła się wzdłuż otworów strzelniczych fortu tam, gdzie wznosił się przed nimi mur.

W środku strzelcy wykonywali w podskokach zwój zawily choreograficznie taniec. Czyściciele wsadzali zakończone gąbkami drzewce w beczki, by ugasić iskry. Kanonier stał obok, trzymając pokryty skórą kciuk na otworze służącym zapalaniu prochu na panewce, by powstrzymać wlot powietrza. Następnie płócienne worki prochu wpychano przez wylot lufy. Kanonier unosił kciuk i wsadził drut w dziurę, rozdierając materiał. Przybitka do środka, ciężki zwój plecionego konopnego sznura. A potem kula – czterech ludzi z imadłowym zaciskiem przy tak ciężkich działach. Wsadzano kolejną przybitkę na kulę, gdy celowniczy wpychał na miejsce zapalnik cierny i zahaczał linkę rozrywacza. Ludzie ciągnęli za sznury i wyciąg wielokrążkowy, a długa, czarna, gruzelkowata powierzchnia lufy z lanego żelaza powracała na miejsce. Celowniczy stojący na podeście z tyłu wycelowywał, gdy oficer wyznaczył cel, a ludzie pokręcili śrubami.

Ognia, gdy załoga odskoczyła ze ścieżki odrzutu, z otwartymi ustami i rękami przykrywającymi uszy. Hałas i duszący dym, i jeszcze raz wszystko od nowa i od nowa...

BOOM. BOOM. BOOM. BOOM. BOOM. BOOM. BOOM. BOOM.

– Skręcić w prawo. Mocno w prawo, ku plaży – rzucił Raj. Potem generał potrząsnął głową, gdy wizje zbladły i musiał chwycić kapitana, by wykrzyknąć mu w ucho wskazówki. Mężczyzna zwrócił na niego oczy, które zrobiły się niemalże czarne, gdy źrenica połknęła tęczę. Z kolei on krzyknął, a potem odepchnął sternika na bok i sam obrócił kołem. Tym

razem odgłos rozdzieranego płótna był o wiele głośniejszy, niemalże przenikliwy, a woda rozbryzgiwała się po pokładzie, gdy waliły się na nich fontanny w połowie tak wysokie jak maszty. Instynkt sprawił, że zakrył dłonią swój rewolwer, gdy zmoczyła go słona woda.

Dinnalsyn patrzył do tyłu. – Niech to pochłoną bezgwiezdne ciemności – powiedział. – Mają *Ispitro dil Hom*.

Następny z kolei statek obracał się wokół kolumny przewróconego głównego masztu. Poplątana masa drewna i płótna pochylała się przez burtę w fale. Wtem uderzyły kolejne dwie kule. Jedna w pokład, a druga prosto w lufę moździerza, i spiętrzona amunicja wybuchła pomarańczową kulą ognia. Kiedy dym się rozwiął, brakowało całego przodu statku, a rufa posuwała się do przodu po tym samym kursie. A potem kupiecki statek zniknął pod wodą. Na powierzchni pozostały unoszące się na falach szczątki oraz ludzie, którzy wzywali pomocy.

Gładkie ogony wyrzucały w górę wodę – należały do nadpływających wciągaczy, jedynej pomocy, jaką dzisiaj otrzymają rozbitkowie. Macki owinęły się wokół unoszącego się na wodzie drąga i trzymających się go kurczowo ludzi. Ich wrzaski niosły się daleko ponad wodą.

Raj się odwrócił, ścisnęło go w żołądku. Lodoviko wrzeszczał na żeglarzy na takielunku, żeby zrzucili żagiel. Dziób uniósł się i opadł gwałtownym ruchem, gdy żagle spadły w dół, waląc się pod swoim ciężarem. To była kontrolowana katastrofa.

– Musimy dostać się do środka – rzucił Raj, łapiąc mężczyznę za ramię.

– *Dostaniemy się, ty wilku morski!* Przyływ podwójnych księżyców i bryza od morza. Jeśli nadpłyniemy zbyt szybko, to maszty spadną na twoją cenną pukawkę, kiedy statek zaryje brzuchem.

Lodoviko wydawał się być inteligentnym dzikusiem. Jeśli ten moździerz nie zadziała, to już bardzo wkrótce dołączą do załogi *Ducha Człowieka*.

BOOM. BOOM. BOOM. BOOM. BOOM. BOOM. BOOM. BOOM.

– Ponad – rzucił Dinnalsyn, śledząc trajektorię lecącego pocisku. – Ponad, ponad, ponad... ponad... ponad, ponad! Na Ducha, przeszło górą! Ich działa nie mogą trafić z tak bliska.

Raj rzucił spojrzenie do tyłu. Następny statek, *Zguba Pirata*, przedostawał się przez tunel wodotrysków. *Trzask*. Nie obyło się bez uszkodzeń; czubek środkowego masztu – głównego masztu, upomniął się – spadł za burtę, a oderwane liny trzasnęły o pokład jak bat złośliwego

boga. Teraz skręcał, skręcał ku plaży. *Miasto Wager* zaraz z tyłu.

BOOM. BOOM. BOOM. BOOM. BOOM. BOOM. BOOM. BOOM.

– Trafiony, jest trafiony – rzekł Raj, wpatrując się w dal i wodny pył.

– Jednak kula skosiła mu koło, a druga odrąbała ster – rzekł ponuro Dinnalsyn. A potem – *Wciąż* płynie, niech mnie, kurwa, Duch oślepi!

Lodoviko pokazał zęby jak u woła, żółte i mocne. – Florez. Ten skurwiel jest żeglarzem, na Glima. Naprowadza go samymi tylko żaglami – z wiatrem od morza, to może się udać. Ten to ma jaja.

Oddany dobył dwóch toporów i odwrócił się, krzyżując je z brzękiem nad głową w kierunku fortecy.

Zarżał długim okrzykiem bojowym, a siła jego głosu uniosła w chwale zwisający puch jego pobrudzonych jedzeniem wąsów.

– Wychodźcie i walczcie, bohaterzy Brygady! Wy cipkami podszyeci ssacze kapłańskich fiutów! Wychodźcie z tej kamiennej stodoły i walczcie – *niech każdy złapie za linę*.

Pęd był szokujący. Sunęli w przechyle, a chropawa skała wznosiła się, przesłaniając niebo. Kil osiadł i zgrzytnął, a potem osiadł znowu przy wtórze skrzypienia, trzasku i odgłosów rozdzierania. Takielunek puścił z odgłosami jak szarpane olbrzymie strony lutni, ale żaden z masztów nie poleciał za burtę. Zderzenie zdawało się być powolne i łagodne, ale Raj poczuł, jak inercja zbija go z nóg i tylko żelazny chwyt jego dłoni na nasmołowanej linie uchronił go od polecenia do przodu. Jeden z żeglarzy wrzasnął i poleciał z takielunku ku brzegowi. Jego krzyk zamarł nagle, gdy marynarz zderzył się z klifem i spadł zwiotczały na wąski pas kamienistej plaży.

Zapadła cisza, a potem statek zadrżał, osiadając. Kadłuby wszystkich czterech – wszystkich trzech statków – zbudowane były w kształcie litery „U”, z wydatnymi kilami, a nie z pojedynczą, głęboko osadzoną płetwą w części dennej. *Chakra* przedarła się do luźnych skał wybrzeża i osiadła niemalże równo. Ta względna cisza wydawała się nienaturalna, jak dzwonięcie w uszach. Na lewo pozostałe dwa statki osiadły niedaleko brzegu. Pomiędzy *Chakra* a suchym lądem było dwadzieścia metrów wody, dwa razy tyle dla pozostałych.

Dinnalsyn się podniósł. – Udało się nam – powiedział. – Nie mogą nas teraz tknąć.

–Zawodowe zawężenie wizji, Grammeck – rzucił Raj z ponurym uśmiechem. Sprawdził

ładunki w swoim pistolecie i wytarł powierzchnię do sucha połą mundurowej kurtki. – Masz na myśli *to*, że ich *artyleria* nie może nas tknąć – ciągnął i wskazał na lewo. Skała wybrzuszała się, a potem zakrecała. Większość Fortu Wager była ukryta za nią.

– Nic nie przeszkadza im zejść po schodach i spróbować wybić nas do nogi. Zupełnie nic.

* * *

– Nie, jeszcze dwa razy z tym samym ładunkiem – powiedział Raj.

Człowiek od moździerza spojrział na niego z podziwem i obrócił podnoszącą śrubę. Czterech ładowaczy uniosło ciężki pocisk z kielbasowymi zwojami prochu u dołu i wsadziło go w wylot lufy. Wszyscy inni wewnątrz wału z worków z piaskiem na pokładzie szańcowym odchylił się, przymykając oczy, otwierając usta i zatykając kciukami uszy.

– Ogień w dziurze!

Fffumph. Dwudziestocentymetrowa tuba wypluła ostrze ognia wyższe od człowieka. Wszyscy kaszlali i machali rękoma, aby rozpędzić gęstą chmurę dymu. Trajektoria była widoczna jako ciemna smuga w powietrzu, a potem plamka, która zawisła w górze, a później znowu smuga.

Kramp, Stłumiony odgłos, bowiem wybuch nastąpił wewnątrz murów Fort Wager, ale i tak głośny. Pociski miały dziesięciokilogramowe ładunki rozpryskowe, a ich cel – wychodzące na ląd działa fortu – nie miał osłony od góry. Jedynie cienkie przepierzenia pomiędzy każdym działem na platformie ogniowej. Wychodzące na morze działa mogły równie dobrze znajdować się teraz w Koszarach Carson, tam równie dobrze przydałyby się Brygadzie.

Problem tkwił w tym, że ze statków nie dało się obserwować upadku pocisku. Cel nie tylko znajdował się pół kilometra na północ, ale trzysta metrów wyżej i za grubym, kamiennym murem. Główne siły Rządu Cywilnego, zgrupowane po przeciwległej stronie, tuż poza zasięgiem armatniego strzału z murów fortu, *mogły* obserwować w przybliżeniu, gdzie lądowały pociski. Sygnały także były przybliżone – rakiety z kolorowym kodem. Zielony dla „za daleko”, czerwony dla „nie dosięgło”, biały i czarny dla „na lewo” i „na prawo”. Nawet z pomocą Centrum przy obliczeniach, ustawienie pocisków każdego działa na cel zajmowało czas. Czas, którego zapewne nie mieli.

– Ponie! Barbarzyńcy znowu atakują!

Raj przeskoczył przez worki z piaskiem, obracając się na lewej ręce i wylądował w kucki na pokładzie. Sprawilo to, że znalazł się poniżej poziomu nadbudowanej balustrady, która okazała się bardzo dobrym pomysłem. Skupisko głazów przy wybrzuszeniu klifu znajdowało się w odległości czterystu metrów. Brygadowcy osadzili się tam i okazali się być śmiertelnie celni. Nie byli szybcy, ale było ich wielu i zwykle trafiali w to, w co celowali. Tinneran, rekrut z wielkimi dłońmi, przekonał się o tym w bolesny sposób, kiedy powstał, by lepiej wycelować. Teraz leżał owinięty płótnem, z okrągłą, niebieską dziurą na czole i odstrzelonym tyłem głowy. Porucznik także był martwy. Dokładnie zgodnie ze statystyką. Młodszy oficer i świeży rekrut były najbardziej niebezpiecznymi stanowiskami w plutonie kawalerii.

Jeszcze dwie ofiary śmiertelne i dwóch zbyt mocno rannych, by strzelać, choćby na klaczkach i przez otwór strzelniczy. Pozostawilo go to z trzydziestoma karabinami. Otwory strzelnicze ocalily im *tylki*. Dobrze, że nie można było się ukryć, schodząc z klifu tuż nad ich głowami, a człowiek spuszczaający się na linie w dół okazał się bardzo dobrym celem.

Raj przeszedł rowem strzeleckim do burty statku i mrużąc oczy spojrzal przez wąską szczelinę w drewnianej barykadzie. Kule świstały głucho nad głową, waliły w drewno statku albo odbijały się po uderzeniu w metal. Kłęby dymu unosiły się znad skał, gdy strzelcy wyborowi zwiększyli osłonę ogniową. Można było przypuszczać, że każdy z nich był wybranym człowiekiem, z dwoma albo i trzema asystentami podającymi mu załadowane muszkiety. Żołnierze Piątego przycupnęli za kuloodporną osłoną z dech, którą Centrum dodało do planu Raja. Nie warto było ryzykować, wystawiając karabiny przez szczeliny ogniowe. Czekali na lepszą okazję.

Co już wkrótce się stanie. Po ostatnim ataku nie pozostało nic, co unosiłoby się nadal na wodzie. Wciągacze zżarły wszystko. Rzucaly się nawet na ludzi znajdujących się na wąskim pasie plaży. Obie z walczących stron ustrzeliły z pół tuzina odrażających bestii, gdy te wynurzały się z wody, by pochwycić swoją ofiarę.

- Nadchodzą łajdaki – zawołał podoficer.
- Wybrać cele – rzucił Raj głośno, ale spokojnie. – Mierzyć nisko.

Pierwsza fala ludzi wyległa na plażę pod klifami. Nosili zielono-szare kurtki i czarne spodnie, stalowe hełmy z długimi ochraniaczami na szyję, nos i policzki. Dragoni generała, część regularnej armii Brygady. Mieli karabiny przerzucone przez ramię i nieśli krótkie drabiny.

- Teraz!

Karabiny przemówiły miarowym rytmem. Ludzie padali, inni podnosili ich drabiny i ruszali do przodu. Pojawiła się kolejna setka i jeszcze jedna. Trzecia setka nie miała drabin, ale zaczęła brodzić w wodzie, kierując się prosto na *Chakrę*. Dziób był zanurzony na wysokości uda, ale jeśli udałoby im się dotrzeć aż tak daleko, musieliby się wspiąć cztery metry albo i więcej po gładkim kadłubie. Balustrada śródkręcia była o połowę pokładu niżej od pokładu szanćowego, ale woda sięgała tam do pasa.

A niech to, ale z nich odważni ludzie, pomyślał Raj.

Były tam wciągacze. Ludzie musieli wchodzić zwartymi falangami i dźgać bagnietami. Mimo tego niektórzy na skraju lub z tyłu formacji padali opleceni mackami, a sporo pozostało, by kłuć i rąbać gładkie, szare ciała drapieźników. Przez chwilę, bowiem woda była ubijana na pianę przez ogień z *Chakry* i dwóch pozostałych statków. Okręty były za daleko, by je atakowano, ale mogły wspierać swojego towarzysza.

Odgłos uderzenia i chrząknięcie. Obok Raja jakiś żołnierz przechylił się do tyłu, drgając i wykaszując strugi krwi. Pocisk z miękkiego ołowiu przeszedł mu przez pierś. Kule z trzaskiem wbijały się w dechy niczym grad, a jeśli dosyć nadleciało w twoją stronę, to jedna mogła przedostać się przez otwór strzelniczy. Setka ludzi z pierwszej fali była teraz raczej trzydziestką. Jeden z żołnierzy odwrócił się i próbował pobiec tam, skąd wyruszył, ale oficer zastrzelił go z pistoletu z bliskiej odległości. Teraz znajdowali się na wysokości dziobu *Chakry* i ustawiali drabiny, podnosząc wysoko kolana jakby wiedzeni podświadomą niechęcią dotknięcia stopami powierzchni wody.

– Pierwszy oddział, *za mną*. – zawołał Raj i poprowadził ich ku dziobowi.

Minął moździerz, kiedy nadleciał kolejny wystrzał i jeszcze jeden – strzelali na pokaz. Jak udało mu się przegapić sygnał, iż znaleźli się u celu? Raj wystawił swój rewolwer ponad skraj i oddał trzy strzały. Ktoś wrzasnął i z tuzin kul walnęło w skraj dech, gdy cofnął rękę. *Dobrze. Pochwycili przynętą, na Ducha*. Może istniało na świecie coś bardziej bezsensownego niż przeładowywanie muszkietu, stojąc w głębokiej na metr wodzie pełnej potworów, ale nie mógł niczego wymyślić tak od ręki.

Głowa Brygadowca wyłoniła się ponad balustradą. Wystrzelił, a kula odbiła się z piskiem od hełmu z drugim ochraniaczem na szyję. Głową mężczyzny szarpnęło do tyłu, jakby kopnął go pies do jazdy, i żołnierz zniknął z pluskiem w dół. Jeszcze jeden strzał. Nie trafił, ale żołnierz obok niego tak. Wojownik Brygady zgiął się w pas i skurczony poleciał do wody przez balustradę. Raj wsadził rewolwer do kabury i dobył szabli.

– Dalej! – rzucił i oparł czubek broni o drabinę.

Żołnierz zrobił tak samo, przykładając czubek swego długiego bagnetu z drugiej strony drabiny. Pchnęli – w bok, a nie prosto w tył. Drabina ześliznęła się, a tembr wrzasków poniżej zmienił się z wściekłości w przerażenie. Raj zaryzykował spojrzenie. Coś jak masa ożywionych robaków wokół zębatego dzioba długości ramienia pochwyciło człowieka, który przedtem trzymał u dołu drabinę. Ciągnęło go ku morzu, jednocześnie odgryzając z niego kawałki. Jego trzech towarzysze rąbali to swoimi mieczami, choć ofiara była wyraźnie martwa, a nawet *podążyli* za tym. Nie uwierzyłyby w to, gdyby nie widział niektórych rzeczy, jakie ludzie robili w walce... Oddział będący z nim wystrzelił z bliskiej odległości w następną grupę ludzi z drabiną.

– *Ponie.*

Obrócił się. Brygadowiec dostał się na pokład, dwadzieścia stóp od miejsca, gdzie żeglarze bronili części burty kordami i toporami abordażowymi. Pomiedzy dziobówką a pokładem szanćowym ci, którzy przyszli bez drabin, musieli wspinać się na swoje ramiona, aby dostać się na pokład. Pierwszy człowiek na pokładzie wyszarpnął dwa rewolwery ze skrzyżowanych kabur. Raj i żołnierz koło niego pognali ku mężczyźnie. Wojownik Brygady zajął staranną pozycję i strzelił do żołnierza. Mężczyzna przewrócił się z krzykiem, ściskając się za udo, jakby chciał wycisnąć z niego ból. Raj dał *nurka* do przodu przez skraj szanćowego pokładu, utrzymał szablę, ale wylądował z żebrami na czymś *twardym*. Podniósł się ze świszczącym oddechem niecałe dziesięć stóp od Brygadowca. Mężczyzna szczyrzył się w uśmiechu albo warczał, nie dało się stwierdzić. Wycelował uważnie, znajdując się poza zasięgiem szabli Raja...

Coś jasnego błysnęło, mijając Raja, obracając się rozmazaną plamą. Zatrzymało się na człowieku z pistoletami, okazując się jednym z toporów Lodovika. Kapitan statku trafił Brygadowca pod kątem prostym pomiędzy szyją a barkiem. Krew tryskała przez rozcięty materiał i ciało. Mężczyzna zatrzęsł obiema rękami i pistolety wypaliły. Pechowo lub szczęśliwie, jeden z pocisków wrył się w deski obok stopy Raja, zmieniając kawałek pokładu wielkości kciuka w miniaturowy krater.

Raj wyrzucił ciało umierającego mężczyzny za burtę i zmienił kolejny krok w pełny rozmachu kopniak, wymierzając go w następnego człowieka przechodzącego przez niską balustradę. Wzmocniony stałą czubek buta Raja grzmotnął w pierś nieszczęśnika z mocą, która przyprawiła Raja o ukłucie bólu w dole krzyża. Brygadowiec przewrócił się do tyłu i z

pluskiem wpadł do wody. Podniósł się zgięty i dyszący z ustami ledwo co ponad powierzchnią, brodząc ku brzegowi z pustymi rękoma. Raj pochylił się nad balustradą i spotkał się wzrokiem ze znajdującym się tam mężczyzną. Jednym z tych, którzy stali w wodzie sięgającej piersi, by towarzysze mogli wspiąć się po nich na statek. Twarz z brodą i ściągniętymi wargami obnażającymi zęby ukazywała mocne skupienie. Prawa ręka Raja powędrowała do tyłu ku mieczowi przewieszonemu przez ramię. Raj widział też coś innego. Gładkie wybrzuszenie na wodzie, ślad zmierzający prosto ku plecóm nieprzyjacielskiego żołnierza. Pochylił się i pchnął. Czubek szabli wbił się w szyję stojącego mężczyzny. Oczy wywracały mu się ku górze, gdy zsuwał się z klingi.

Miłosierdzie, pomyślał Raj.

Fdump. O wiele głośniejsze niż poprzednie odgłosy wybuchów pocisków moździerza. Kolumna czarnego dymu na szczycie kopuły ognia uniosła się ponad skrajem klifu, ponad ledwo widocznym murem znajdującego się za nim fortu. Czerwone punkciki z ogonem dymu i iskier wystrzeliły ku niebu, a przez chwilę widać było opadające cięższe szczątki.

>>Wtórna eksplozja.<< powiedziało Centrum. >>Trzeci otwór strzelecki, przedni sektor z prawej strony głównej bramy.<<

A potem wybuchło coś o wiele bardziej ciężkiego. Odłamki skały tak wielkie jak psy odrywały się od klifu. Hałas uderzył Raja w twarz.

Generał skinął głową, odzyskując ze świstem oddech. Kawałek rozżarzonego do czerwoności żelaza wbił się w worki ładunku... wybuch rozchodził się jak kręgi na wodzie. Masywne działa wylatywały w powietrze, a wraz z nimi kawałki załogi. Fragmenty skały i betonu wystrzelały we wszystkich kierunkach.

Krzyk podniósł się znad wału worków z piaskiem otaczających moździerz. Przez chwilę nikt wzdłuż burt statku nic nie zauważył. Dała się słyszeć ostatnia wściekła seria strzałów, gdy lufy dotykały ciał, i szczęk bagnetów uderzających o szable. Wróg się wycofywał, instynkt podpowiadał, że było ich zbyt mało, aby doprowadzić natarcie do końca. Wycofując się, zobaczyli kolumnę ognia i rzucili się do ucieczki.

Załoga i żołnierze krzyczeli z radości. Kolejna trójca moździerzowych pocisków buchnęła w górę, a odgłos odpalenia odbijał się od klifów jak aplauz olbrzymów.

– Przerwać ogień – wychrypiał Raj, trzymając się nisko. Strzelcy wyborowi pomiędzy zwalonymi głazami mogli teraz znowu strzelać, kiedy ich ludzie byli martwi albo zeszli z linii

strzału. Lodoviko przestał bandażować rozcięcie na swoim włochatym udzie i zawył ze śmiechu. Raj skinął głową.

– Ponie? – odezwał się sierżant plutonu. – Moglibyśmy dorwać jeszcze paru z nich...

– Nie – powiedział Raj. Przypomniawszy sobie mężczyznę stojącego w wodzie, czekającego, gdy inni wspinali się po nim w bezpieczne miejsce. A przynajmniej z dala od macek. – Potrzebuję takich ludzi. Tylu, ilu się da.

>>Tak jak ja ich potrzebuję, Raju Whitehallu.<< powiedziało Centrum. >>Tak jak ja ich potrzebuję.<<

* * *

Pułkownik Courtet był kiedyś prawdopodobnie ładnej postury, zanim dwadzieścia lat beczynności i brandy Sala zrobiło swoje. Duża, krzaczasta broda skrywająca jego twarz prawdopodobnie była miłosierdziem. Ostatnio nie pił, ale to pewnie tylko pogorszyło drzenie jego pokrytych wątrobianymi plamami rąk. Jego ciało było duże i miękkie, wypychające posrebrzaną zbroję, którą nosił. Jego pies poruszył się, jakby wyczuwając niepokój jeźdźca.

– Pułkownik Gerrin Staenbridge – powiedział oficer Rządu Cywilnego, salutując energicznie.

Odpowiedzią drugiego mężczyzny było niedbałe machnięcie ręką i milczenie. Gerrin nie spieszył się jakoś szczególnie, w ramach rozsądku. Dwie strony spotykały się pod białą flagą na oczyszczonym kawałku ziemi niczyjej przed fortem, z cudownym widokiem na zwaloną ruinę głównego bastionu obronnego koło bramy. Wyglądające na stoczone erozją kikuty wystawały ponad gruzami wypełniającymi fosę i formowały doskonałą rampę prowadzącą do Fortu Wager. A właściwie to wyglądała ona nawet na dostępną dla jeźdźców. Każda minuta, w której Courtet musiał się temu przypatrywać pod tym kątem, stanowiła cios dla jego morale, które od początku nie wyglądało na mocne. Wedle wywiadu został on na siłę mianowany głównodowodzącym przez lokalną radę wojskową, bowiem był jedynym oficerem odpowiednim urodzeniem i rangą, który nie był takim defetystą jak pułkownik Boyce.

Tak całkowitym defetystą jak Boyce. Starsi oficerowie z wojskowymi zdolnościami lub ambicjami nie przybywali na wyspę Stern.

Poza tym adiutant Courteta był wart nieco uwagi. Miał wygląd szlachetnego wojownika Rządu Wojskowego z legend, a rzadko kto wyglądał tak w praktyce. Dwudziestoletni, szeroki w barach i wąski w biodrach, o regularnych rysach brązowej twarzy i turmalinowych oczach

oraz długich blond włosów i krótko przyciętej brodzie koloru jęczmienia. Jego mundur uszyty był z pięknych materiałów, elegancko stonowany, zaś napierśnik chwalebnie porąbany, poobijany i zbryzgany ołowiem:

Gerrin zdusił przyjacielski uśmiech. Poza tym Barton występował jak *jego* adiutant. Starszy oficer, młodszy i chorąży, zgodnie z tradycją.

– Nie ma sensu marnować czasu – ciągnął Staenbridge, kiedy stało się jasne, że Courtet nie przemówi. Pewnie nie był w stanie. – Dostajesz trzecią i ostatnią szansę na poddanie się.

– Ach... – Courtet zaniósł się kaszlem. – Te same warunki? – Zmoczył wargi, widocznie spragniony. Kątem oka Gerrin zobaczył, jak wykrzywiają się ładnie zarysowane usta adiutanta Brygady.

– Oczywiście, że nie – rzucił Staenbridge. – Znasz prawa wojenne dotyczące ufortyfikowanych miejsc, pułkownika. Wezwaliśmy cię do poddania się po raz pierwszy, gdy zajęliśmy port, i ponownie zanim rozpoczęliśmy ostrzał. Warunki stają się coraz bardziej surowe przy każdej odmowie.

Wskazał dłonią w rękawicy. – Teraz zrobiliśmy przydatny wyłom w twoim systemie obronnym. Jeśli odmówisz, a my weźmiemy szturmem to miejsce, to stracie życie. I wierz mi, że jeśli doprowadzicie nas do poniesienia niepotrzebnych ofiar, to zrzucimy z klifów tych, którzy przeżyją, a ich rodziny zostaną oddane naszym ludziom. A oni *nie* będą w łagodnym nastroju.

Courtet przeniósł spojrzenie z jednego oficera Rządu Cywilnego na drugiego, z ciemnej, gładkiej twarzy zabójcy na radosnego, przystojnego młodzieńca ze stalowym, ostrym jak brzytwa hakiem zamiast lewej dłoni. Kwiatek zatknięty za jego ucho czynił widok gorszym, a nie lepszym.

– Jakie warunki, panowie? – spytał chrapliwie.

– Wolność dla waszych rodzin. Wszyscy zdrowi na ciele mężczyźni i ich domownicy zostaną wysłani do Wschodniej Rezydencji. Mężczyźni zostaną powołani do naszych sił na zwykłych warunkach – żadnej służby przeciwko Brygadzie. Pozostali zostaną zwolnieni, gdy przysięgną nigdy nie podnieść broni na Rząd Cywilny. Własność osobista oprócz broni zostaje zachowana przez właścicieli, oficerska broń boczna i psy dla zwolnionych ze służby. Przepadek nieruchomości poza jednym domem i czterdziestoma hektarami. A jeśli to wydaje się surowe, zastanów się nad alternatywami.

– Czy, ach, mogę skonsultować się z moimi oficerami?

– Z tym dżentelmenem i nikim innym. – *Chociaż sam nie miałbym nic przeciwko skonsultowaniu się z nim w innych okolicznościach.* – Dowodzisz, pułkowniku Courtet, czy nie?

Pewnie nie, ale mógł poprowadzić swoich ludzi w oczywistym kierunku. Nie było niczego bardziej demoralizującego niż bycie bombardowanym bez szansy na odpowiedź, może poza wiedzą, że twoja rodzina jest tam razem z tobą. Jasnowłosy adiutant odciągnął Courteta na bok i szeptał mu gorączkowo do ucha.

Kiedy dowódca Brygady się odwrócił, jego twarz była niczym ścięta lodem. Jego adiutant zsiadł z siodła i pomógł mu zejść na ziemię. Obydwaj dobyli swoich mieczy i podali je rękojeściami do przodu na wysuniętych przedramionach.

Potężny ryk radości podniósł się wśród żołnierzy Rządu Cywilnego, znajdujących się w dole zbocza w pośpiesznie wykopanych umocnieniach ziemnych. Nawet ze wsparciem móżdżerzy zdobycie fortecy pochłonęłoby morze ofiar. Na szanłach fortu także czerniło się od obserwatorów, a dźwięk, który dobiegł od nich, był długim, głuchym jękiem. Takiego rodzaju hałas słyszy się na polu bitwy po zapadnięciu ciemności tam, gdzie dogorywają ranni – wołający o wodę, wzywający swe matki albo krzyczący w nie dającym się wyrazić bólu.

Każdy z oficerów Rządu Cywilnego ujął klingę swego odpowiednika, zamachał nią nad głową i oddał. A potem Staenbridge wyciągnął swój zegarek.

– Moje gratulacje w związku z honorową ale trudną decyzją – *którą powinieneś był podjąć wczoraj, ty rzeźniczy kretynie* – pułkowniku Courtet. Twoi ludzie wymaszerują w ciągu dwudziestu minut i złożą broń – powiedział – albo naruszysz rozejm. Pułkowniku, pozostaniesz ze mną, aż to dobiegnie końca. Im prędzej zaczniemy, tym szybciej zaopiekujemy się rannymi i zajmiemy się waszymi kobietami i dziećmi.

Courtet skinął powoli głową, kładąc jedną rękę na siodle znajdującego się obok psa.

– Gdzie jest Whitehall? – wybuchł.

Dwaj Descotczycy spojrzeli na niego beznamiętnie. On zamrugał i poprawił się – Gdzie jest messer generał Whitehall? Mówią – ciągnął Brygadowiec – że demony walczą dla niego. Mógłbym w to uwierzyć.

– Generał Whitehall jest tam, gdzie uważa, że powinien być – powiedział Staenbridge. *A ja zdecydowanie się z tym nie zgadzam. On powinien być tutaj, a ja na tym statku.* – I święte

awatary walczą dla niego, pułkownika. On jest mieczem Ducha Człowieka, nie słyszałeś?

Courtet milczał, ale jego adiutant skłonił się grzecznie. – Słyszałem o tym, panie – rzekł dość powolnym sponglijskim. – Zatem chylimy nasze miecze przed potęgą Ducha, aby podnieść je znowu przeciwko jego wrogom: poganom i muzułmanom. – Odwrócił się i pognął ku bramie.

Ta się otworzyła i taka pozostała. Oddział wyjechał naprzód, by wziąć Courteta pod straż. Barton Foley poszeptał do dowodzącego porucznika i pojawił się stół, krzesło i kieliszek brandy. Gruby, stary mężczyzna w przyciasnej zbroi spojrział na nie, a potem złożył twarz w dłoniach, a jego ramiona opadały i unosiły się.

Staenbridge popędził swego psa na bok. Barton pochylił się ku niemu.

– Powiedziałeś to, jakbyś naprawdę tak myślał – rzekł młodszy mężczyzna. – To, że messer Raj jest mieczem Ducha. A ja uważałem cię za sceptyka.

– Okazuje się, że robię się coraz mniej sceptyczny, towarzyszu mego serca. Mniej sceptyczny niż bym sobie tego życzył.

– Zazdrosny? – uśmiechnął się Barton.

Gerrin Staenbridge zadrzał w wystudiowany sposób i zaczął zdejmować rękawice. – Miłosierne awatary – jeśli jakieś istnieją – Nie! Wystarczająco dużo sławy jest już w byciu jednym z bezosobowych, wiernych Towarzyszy, jak niewątpliwie nazwą nas wszystkich kłamliwi historycy, *zapominając o tym, że każdy z nas jest główną osobowością w naszych własnych opowieściach.* – Zamyślił się na chwilę, przyglądając się wrzeszczącym mewom i krążącym nad zatoką dactosauroidom.

– Wystarczająco źle być bohaterem i znosić ciężary ludzkich oczekiwań. Przenoszenie ich z czegoś innego... nawet dusza taka jak Raja w końcu załamie się pod tym ciężarem. Nieważne, że każdy z nas robi, co może, by pomóc.

Spojrzął na młodszego oficera i uśmiechnął się. – A tak przy okazji, kwiatek jest czarujący. A skoro jest dzisiaj po lewej stronie...

Rozdział dziewiąty

Raj Whitehall spoglądał ponad swoimi spoczywającymi na stole obutymi stopami przez długą komnatą konferencyjną i francuskie drzwi oraz balkon znajdujący się na jej przeciwległym końcu. Widać stąd było niebiesko-srebrny proporzec rozbłysku gwiazdy Rządu Cywilnego unoszący się nad Fortem Wager, odcinający się na tle fiołkowego, porannego nieba i bladej, przezroczystej kuli Maxiluny. Wkrótce Fort Wager miał zostać przemianowany na Fort Tinneran, choć martwemu żołnierzowi nie na wiele mu się to teraz zdało. *Było* w tym widoku coś przynoszącego satysfakcję. Może świadomość wykonania kawałka porządnej roboty. To spotkanie było nieoficjalne. Zwołane dla towarzyszy i paru innych, ale istniały pewne rzeczy, które należało zrobić.

Grammeck Dinnalsyn przerzucił stos papierów. – Teraz tylko robota murarska, generale – powiedział. – Fort jest solidny.

– Nie, dopóki nie otrzyma górnej osłony przeciwko działom i czegoś, co może pograć w ogniu plażę – rzucił stanowczo Raj. – Niech mnie, jeśli dożyję odbicia go przy pomocy tych samych sztuczek, jakimi *ja* się posłużyłem, Grammeck.

Chociaż byłoby to o wiele trudniejsze bez Centrum. Udało się to ledwo co nawet z bezpośrednią pomocą Ducha.

>>Nie jestem bogiem.<<

Nie, ale jesteś najbardziej doń zbliżony parametrami spośród obecnie dostępnych, pomyślał Raj.

– Mam na to pewien pomysł – powiedział artylerzysta. – Trochę potrwa, zanim ściągniemy prawdziwe haubice albo moździerze. Trzeba je będzie zamówić ze zbrojowni Wschodniej Rezydencji albo z kolobassiańskich odlewni. A to wymaga oficjalnych funduszy od mistrza artylerii...

Z pół tuzina ludzi jęknęło. – Ano właśnie. Można kraść dla siebie, ale niech cię Duch Gwiazd broni, żebyś wydawał pozaregulaminowe pieniądze na rzecz państwa. Co *możemy* zrobić, to wziąć trochę dodatkowych nie gwintowanych strzelb, oberznąć je i umieścić w otworach. Pewnego rodzaju obrotowe działko, ale to robota dla kowala. A potem drewniano-

ziemna osłona z przesuwanymi częściami. Potężny ładunek i jakieś pociski z odmierzoną lontem. Nie chciałbym, żeby któryś z nich zleciał mi na głowę.

Raj skinął głową. *Duchu, jakże lubię ludzi, którzy potrafią sami myśleć.* Przy niezrównanej zdolności Centrum do przechowywania i sortowania informacji, nie potrzebował zbyt wiele od swojego sztabu. Postanowił go jednak wyszkolić. Rząd Cywilny *potrzebował* czegoś lepszego niż organizacja ad hoc za każdym razem, gdy powoływano połowę armię. Istniał spory rozróżnienie w hierarchii pomiędzy administratorami pilnującymi żołądka i pracy w garnizonach a organizacją jednostki na poziomie batalionu.

>>Celowy rozróżnienie.<< stwierdziło Centrum. Armie połowe ułatwiały zbrojne przewroty.

I tak mamy przewroty, odparł Raj.

– Przygotuj plany – powiedział. – Możemy nie mieć na to czasu, ale przynajmniej nasi następcy otrzymają trochę pomocy. Jak idą roboty publiczne, zaopatrzenie miasta w wodę i tym podobne?

– Na poziomie od przyzwoitego do dobrego, żadnych nowych robót, ale wszystko utrzymane porządku. Zupełnie niepodobne do tego chlewu, jaki znaleźliśmy w Port Murchison, choć drogi są dosyć kiepskie.

– Zobacz zatem, czy uda ci się zorganizować to tak samo z transportem – powiedział Raj.

– Panie – wtrącił się Ludwig Bellamy – mówiąc o Port Murchison...

Raj skinął głową, a dawny Eskadrowiec ciągnął dalej – Dostałem list od mojego ojca.

Wyglądził plik pogniecionych kartek. Były pokryte grubą bazgraniną częściowego analfabety. Karl Bellamy kazał przywieźć dla swego syna kosztownych nauczycieli ze Wschodniej Rezydencji. Większość ojców Eskadrowców wolałaby wydać pieniądze na dziewczyny albo broń niż lalusiową naukę *grisu*. Starszy Bellamy nie widział potrzeby takiego szlifowania dla siebie, a list był zbyt poufny dla sekretarzy.

– Pułkownik Osterville został usunięty ze stanowiska wicegubematora Terytoriów – powiedział.

Wokół stołu dał się słyszeć ogólny pomruk zadowolenia Osterville był jednym z gwardzistów Barholma – półoficjalnej grupy zażegnujących kłopoty i egzekwujących prawo mężczyzn dobrego pochodzenia, zwykle byli to ludzie mający niewiele perspektyw poza

łaską gubernatora. Raj także był z początku strażnikiem. Osterville nadal nim był i został przysłany, aby zastąpić Raja pod koniec podboju w okolicznościach podejrzanie przypominających oficjalną niełaskę.

– Ten człowiek ma duszę alfonsa – rzekł stanowczo Kaltin Gruder. – A ja musiałem spędzić sześć miesięcy pod jego dowództwem i niech Duch ocali mnie przed ponowną taką służbą. Kto go dostał, Ludwigu?

– Administrator Berg – powiedział Ludwig, unosząc brwi. – Przekroczenie uprawnień służbowych, malwersacja, podejrzenie uzurpacji zaszczytów gubernatora. – To ostatnie było decydujące. Było o wiele bardziej niebezpiecznie nosić buty niewłaściwego koloru, niż obłąpić prowincję do gołego. – Został wysłany jako dowódca garnizonu do... ach, Sandoralu.

Jeszcze bardziej zadowolone uśmiechy. Gorące, zakurzone miasteczko nieprzyjemnie blisko Kolonii. Żaden z nich nie spodziewał się, że Osterville zabłyśnie, gdy dojdzie do poważniejszych utarczek.

>>Obserwuj.<< powiedziało Centrum.. Krótki przebłysk. Twarz Osterville'a znoszącego kołysanie kolejowego wagonu, złana potem i pokryta kurzem. Krajobraz za oknem nie różnił się zbytnio od krajobrazu środka wyspy Stern, ale Raj rozpoznał go jako płaskowyż na północ od Oxheadów, na wschód od pełnego soli jeziora Canpech. Osterville zmierzał na wschód nową Centralną Koleją gubernatora Barholma, z dala od Wschodniej Rezydencji i bogatych ziem krainy rzeki Hemmar.

– *Hingada* Osterville – powiedział Hadolfo Zahpata ze swoim monotonnym południowym akcentem. Hadolfo pochodził z miejsca na północny zachód od Sandoralu, tak jak i większość z jego 18 Pograniczników z Komar. – Wolałbym jednak bardziej zdolnego człowieka na tym stanowisku. Ali kiedyś ruszy. Malash, Duch wyznacza nasze przyjsście i nasze odejsście.

– Koniec pliku – powiedział Raj i postukał kostkami dłoni o stół. To były przyjemne nowiny, ale nie miały nic do rzeczy. – A teraz, Muzzafie?

Komarianin odchrząknął. – Jest warsztat, który może wykonać zarządzoną przez ciebie robotę – powiedział, kładąc na stole kapiszonowy rewolwer Brygady. Była to pięciopalcowa broń, ładowana papierowymi ładunkami z przodu i z kominkami na spłonki z tyłu bębena.

– Oryginalny wzór został skopiowany z modelu Rządu Cywilnego – ciągnął – więc kaliber i wyrzut z gwintu są takie same. Kiedy bębenek zostanie nawiercony i nagwintowany,

a kurek zmodyfikowany, będzie przyjmował standardowe mosiężne pociski – a amunicja jest dostępna w dostatecznej ilości, tylko musimy ją teraz zamówić. I, ach – zakaszłał – znam pewne kanały, które mogą przyspieszyć sprawy.

– Zajmij się tym – rzekł Raj. – Początkowe zamówienie na sześć tysięcy, z pewnością tyle przechwyciliśmy. Chcę, żeby każdy kawalerzysta miał jednego, kiedy stąd wypłyniemy. Nie chcemy walki wręcz, ale niech mnie, jeśli pozwolę, żeby moje chłopaki stawiały czoła ludziom wyposażonym w cztery rewolwery z niczym więcej poza szablą. Messer Historiomo?

– Nie widzę powodu, abym miał nie zatwierdzić tego wydatku – rzekł ostrożnie przedstawiciel służb administracyjnych, ale on *wszystko* robił ostrożnie.

– Co doprowadziło nas – ciągnął Raj – do funduszu. Moja pani?

– Każdy batalion zgodził się złożyć proporcjonalnie do swoich strat – powiedziała Suzette. – Rozmawiałam z żonami oficerów...

– Dobrze, bardzo dobrze. – Rząd Cywilny niewiele dbał o rodziny ofiar ani o ludzi uczynionych niezdolnymi do służby. Raj ustanowił tradycję wykorzystywania łupu na potrzeby funduszu emerytalnego. Ludzie ufali, że tego nie rozkradnie. – Muzzafie, ulokuj to w czymś odpowiednim. W ziemi, jak sądzę, albo nieruchomościach miejskich. Załatw powierników, i to godnych zaufania.

– Kochanie? – ciągnęła dalej Suzette.

Raj skinął głową. Niektórzy ludzie uważali jego narady za nieco ekscentryczne – Fatima, na przykład, pełniła obowiązki sekretarki Suzette i miała ze sobą w kołysce pod stołem, którego używali, swoją dziewięciomiesięczną córeczkę Suzetkę, nazwaną na cześć swojej patronki – ale praca była wykonywana.

Żona Raja wyciągnęła swoją własną listę. – Mamy około pięćdziesięciu żołnierzy z obrażeniami, które czynią ich niezdolnymi do służby, ale nie prawdziwie niezdolnymi do pracy – to znaczy takich, którzy nie mają do czego wrócić w rodzinnych stronach. Sprawdziłam mniej więcej podobną liczbę młodych wdów po Brygadowcach albo panien-sierot dobrej reputacji i odpowiedniej rangi, objętych amnestią; była tu spora liczba mężczyzn prowadzących średniej wielkości, prawnie dziedziczone farmy. Wdowy i córki nie dziedziczyłyby pod nieobecność męskich potomków zgodnie z prawem Brygady, ale zgodnie z naszym owszem. Te, z którymi rozmawiałam, byłyby chętne i gotowe do przejścia na ortodoksję, aby uniknąć życia jako stare panny na garnuszku krewnych. A w ogóle to jest parę

setek, którym wystarczyłby mężczyzna w czynnej służbie; to także należy do tradycji Brygadowców. Jeśli znasz jakiś niezonatych żołnierzy i chciałbyś, aby mieli farmę, na którą mogliby w końcu powrócić...

Raj skinął głową. To samo wydarzyło się spontanicznie w Południowych Terytoriach po podboju i udawało się zaskakująco dobrze. Żołnierze i ich krewni mieli w Rządzie Cywilnym poważny status prawny i mogli uprawiać ziemię objętą niskim podatkiem od wojskowej posiadłości ziemskiej, a były to pożądane cechy u męża w tak niepewnych czasach. Posiadanie farmy przy przejściu na emeryturę po zwolnieniu ze służby wojskowej stanowiło marzenie większości żołnierzy, którzy nie mieli szansy na jej odziedziczenie ani na dobrą dzierżawę. Był to także dobry sposób na zapoczątkowanie integrowania nowego terytorium z Rządem Cywilnym.

– Zatem dopilnuj tego, moja słodka. Ach, i moglibyśmy urządzić masową ceremonię tutaj. Ludziom się to spodoba i sprawi, że będą pamiętać, iż przede wszystkim są żołnierzami, czynnymi czy też na liście inwalidów.

Kaltin się zaśmiał. – Poradź tym w czynnej służbie, aby uczynili swoje panny młode brzemiennymi, zanim odjadą – powiedział.

– Nie wątpię, że będą próbować, Kaltin – powiedział Gerrin. – Dyspozycje, Raju? Wciąż jesteśmy rozproszeni.

Raj postawił stopy na ziemi, gdy służba wniosła tace ze śniadaniem. – Co następuje – rzekł przyjmując talerz i zajadając bez patrzenia. Po chwili posmakował tego, co jadł, i spojrzał na swoją żonę. – *Jak* udaje ci się dostać dobrego kucharza, gdziekolwiek się znajdziemy? – spytał. Ich osobisty kucharz był rodowitym mieszkańcem Wschodniej Rezydencji i odmawiał opuszczania jej murów.

– Dziedziczny talent, kochanie.

– Cóż. Jestem pewien, że wszyscy panowie świetnie się bawią i relaksują, ale musimy posłać Kaltina z powrotem na pole bitwy, zanim zaniknie, stając się sylfem i zostanie wyniszczony do żołędzia.

– Nie doceniasz mnie, panie. Dopiero minął tydzień.

– Tym niemniej, Gerrin, zostajesz oto dowódcą fioletowych. – Przesunął plik papierów do drugiego Descotczyka, który przejrzał je i zaczął wręczać ludziom, którzy będą jego podwładnymi w czasie manewrów polowych.

- Ja będę dowódcą pomarańczowych – powiedział Raj i zrobił to samo, co Kaltin.
- Jorg, będziesz dowodził sędziami, i chcę, aby było to najbardziej realistyczne, jak się da bez licznych ofiar. Po południu będziemy mieć szczegółową naradę. Chcę, żebyśmy stali się lepsi w maszerowaniu osobno – wyciągnął rękę z rozstawionymi palcami – i zjednoczeni w walce. – Dłoń zamknęła się w pięść.
- Och, i lepiej, żebyśmy zorganizowali jakąś znaczną nagrodę dla najlepszych jednostek. Ludzie zaczynają myśleć, że to będzie wojskowy piknik, jak na Południowych Terytoriach.
- Wątpię, aby wielu z tych, którzy znajdowali się z tobą na tych statkach, tak myślało, Raj – rzekł ponuro Gerrin.
- Nauka przez doświadczenie może być zbyt kosztowna – stwierdził Raj. – Co do Brygadowców, których wysłaliśmy do Wschodniej Rezydencji, to będzie trzeba ich przeszkolić, a potem będą potrzebować oficerów. Nie będziemy się tym zajmować, ale tak między nami, to sądzę, że możemy mieć pewien wpływ, i wstydem byłoby zmarnowanie tak dobrego materiału ludzkiego pod niekompetentnymi dowódcami. Messerowie, byłbym wdzięczny, gdyby każdy z was przygotował listę ludzi, których uważacie za odpowiednich, a my zobaczymy, co się da zrobić. Dalej, awanse, degradacje i złote medale za odwagę.
- Pracowali podczas *huwacheros*, tostów i kawe, a potem poczęstunku z kawe i papierosów. Raj zostawił nieprzyjemne ogłoszenie wyroków śmierci na koniec. Zawsze znalazł się ktoś, kto nie wierzył w opowieści o tym, jak twardy jest messer Raj, jeśli chodzi o złe traktowanie tubylców. Żaden z 5 z Descott rym razem, dzięki niech będą Duchowi...
- Czy to załatwia kwestie wojskowe? – spytał Raj. Wyjrzał przez okno. Przy odrobinie szczęścia uda mu się wsadzić tyłek na siodło i wykonać trochę ręcznej roboty. Jedyna szansa na unikanie jeszcze przez chwilę urzędniczego bagna.
- Wszystko poza kwestią gwiazdy, o zbawicielu państwa. Kiedy zabieramy się za resztę tej cholernej kampanii?
- Zgodnie z najnowszymi wiadomościami ze Wschodniej Rezydencji – stwierdził rzeczowo Raj – negocjacje pomiędzy ministerstwem ds. barbarzyńców a generałem Forkerem toczą się, mmm, w *sposób uporządkowany i dyskretny* ze względu na *wzburzenie* w Koszarach Carson. Zinterpretujcie to, jak chcecie.
- To znaczy, messerze – rzucił kwaśno Dinnalsyn z doświadczeniem człowieka

wychowanego we Wschodniej Rezydencji – że Forker nie może się zdecydować, czy srać, czy spadać z nocnika, bo dowódcy barbarzyńców biegają wkoło, drapiąc się po głowach i zastanawiając, co w nich trafiło. A biurokraci z ministerstwa przesyłają sobie nawzajem notki składające się z całkowicie niejasnych literackich aluzji oraz łańcuszki odniesień do precedensów datujących się sześćset lat wstecz. To prawdopodobnie robili ich poprzednicy sześćset lat temu, kiedy po *raz pierwszy* straciliśmy Starą Rezydencję na rzecz Brygady.

– Gryzipiórki – rzucił Zahpata, uderzając się w czoło otwartą dłonią.

– Zapewniają mnie, że *odpowiedni eksperci pracują gorliwie nad pokojowym rozwiązaniem dyskusyjnych problemów* – ciągnął sucho Raj.

– Aż tak źle? – spytał Kaltin. Rozerwał zwój. – Z odpowiednimi ekspertami pracującymi nad pokojem, będziemy mieć wojnę, messerze – z tym że dopiero wtedy, kiedy nadejdzie najgorsza możliwa pora.

– Ugryź się w język, majorze – powiedział Raj. – Oceniam, że pozostawieni sobie, Forker i ministerstwo, zrobią właśnie to. Będą przeciągać sprawy, aż zaczną się zimowe deszcze, a potem postanowią wreszcie walczyć. Postanowią, że *my* powinniśmy walczyć.

Tym razem przekleństwa były prawdziwe i płynące z serca. Z lokalnymi wariacjami niecka Śródświatowa miała klimat z ciepłymi, suchymi latami i chłodnymi a nawet zimnymi, mokrymi zimami. W północnych częściach Zachodnich Terytoriów trafiał się śnieg, a cały obszar obfitował w błoto. A na źle utrzymanych drogach kraju pod rządami barbarzyńców oznaczało to bagno, które oblepiało psie łapy, wciągało buty ludzi, i w którym grzęzły działa i wozy. Także zbieranie żywności byłoby o wiele trudniejsze – dawno po zbiorach, i nawet twardzi ludzie częściej dostawali zapalenia płuc, jeśli musieli spać na dworze w deszczu. Choroby wyniszczyły więcej ludzi niż bitwy, i wszyscy o tym wiedzieli.

Wiosna i jesień były najlepszymi porami roku na kampanię. Wczesne lato po zbiorach pszenicy było znośne, choć kiepska woda oznaczała cholere, chyba że uważało się na sanitarne edykty Kościoła. Pełnia lata była zła. Zima była koszmarem.

– Tym niemniej, jeśli trzeba to będzie zrobić, to zrobimy to – powiedział Raj. Zacytował ze starożytnego wojskowego podręcznika Rządu Cywilnego – *Pamiętaj, że ciała nieprzyjaciół także są podatne na śmiertelność i zmęczenie. Oni także są wprowadzeni w misteria śmierci, jak wszyscy ludzie.* I nawet w ich szeregach znajduje się sporo właścicieli ziemskich, zwłaszcza wśród rezerwistów, którzy nie przywykli do trudów życia w polu. Chcę, żebyśmy byli *gotowi*.

– Ehwardo – ciągnął. Ostatni z żyjących Poplanichów podniósł wzrok. Raj postukał w kilka obłożonych czerwienią dzienników koło siebie. Miały na okładkach pieczęć ministerstwa ds. barbarzyńców wraz z wyciśniętym snopkiem zboża, dodatkową pieczęcią wydziału wywiadu zagranicznego.

– Skoordynuj się z Muzaffem i zobacz, co możesz zrobić z tymi raportami wywiadu. Chcę kompendium wraz z nowymi informacjami, jakie zdołasz wydobyć z lokalnych źródeł. Wywał polityczny bełkot, rozwlekłość i pozbawione uzasadnienia domysły i daj mi suche informacje. Zasoby ludzkie, broń, stan dróg, zmiany pogodowe, regionalne uprawy, zbiory i perspektywy furazowania, jakie koleje mają barbarzyńcy, lokalni właściciele ziemscy i sysupowie, i to, w którą stronę się skłaniają.

– Generale – powiedział Ehwardo, wyglądający na zatopionego w myślach. Raj skinął głową. Kuzyn Thoma był jednym z niewielu szlachciców, jakich znał, którzy naprawdę doceniali liczby i ich wykorzystanie.

– Messerowie... do pracy.

Pokój stał się większy po tym, jak oficerowie wyszli, stukając podbitymi blachą obcasami butów i pobrzękując podciąganymi pasami na szable. Historiomo odchrząknął i spojrzał na Suzette i jej protegowaną.

– Messa Whitehall ma moje całkowite zaufanie – powiedział Raj.

– Ach. Tak mi dano do zrozumienia. – Długa przerwa. – Zatem mam rozumieć, że najodważniejszy z generałów jest zadowolony z pracy mojej i moich współpracowników?

– Przyjemnie zaskoczony – powiedział Raj. – Ważne jest dla tej wojny, abyśmy mieli bezpieczną i produktywną bazę wypadową. Wyspa Stern jest oczywistą kandydatką.

Raj przesunął dłonią po wstępnym raporcie dotyczącym tego, jak wyglądały tytuły własności ziemskiej na wyspie Stern pod rządami Brygady, i jak będą wyglądały po poważnych przesunięciach własności po podboju. Suche fakty, ale niezwykle ważne. Paru ludzi w mieście zarabiała na życie handlem, a od czasu do czasu jakiś kupiec się wzbogacił, ale to ziemia była podstawą wszystkiego. Nie tylko dlatego, że wieśniacy stanowili wszędzie znaczącą większość, własność ziemska stanowiła fundament dochodów i politycznej oraz wojskowej siły. Jego własne studia, jego instynkt i wszystko, czego Centrum go nauczyło, przemawiało za tym, że nie istniało nic bardziej bezużytecznego niż źle spożytkowane zwycięstwo. Sam podbój nie wystarcza. Trzeba jeszcze potem konsekwentnie umacniać swe

zwierzchnictwo. Problem tkwił w tym, że on znał się na profesjonalnej administracji tak, jak, powiedzmy, pułkownik Boyce na dowodzeniu – umiał ją rozpoznać, ale brakowało mu do niej skłonności i talentu poza przyzwoitym wojskowym wyszkoleniem. A to miało się tak do prawdziwej rzeczy jak wojskowa muzyka do muzyki.

– Tak. – Historiomo poprawił sobie na nosie okulary w srebrnych ramkach. Należał do tego rodzaju nijakich, nikłych mężczyzn, jakich widziało się dziesiątki tysięcy na ulicach Wschodniej Rezydencji, ze starannie zmarszczonymi krawatami i wypucowanymi szarymi kłamrami na butach i brązowych płaszczach. Tak mało rzucających się w oczy, że zobaczenie ich zawsze stanowiło pewne zaskoczenie.

– Tak, główny administrator Berg rzeczywiście powiedział nam, że ty i twoi domownicy nie należycie do zwyczajnej wojskowej szlachty, o najodważniejszy...

– Messer wystarczy.

– Zatem, messer generale.

– Berg – rzekł Raj z chłodnym uśmiechem. – Uderzyło mnie to, że nie należy do zwykłych urzędników. Kiedyś był przekonany, iż chciałem, by ze mną współpracował, ale zamierzałem wykonać zadanie z nim czy bez niego.

– Zaiste. – Historiomo znowu zdjął okulary i wytarł je. Jego głos stał się nieco ostrzejszy, jakby zamazanie wzroku usunęło pewne ograniczenia. – Uważasz nas ze służb administracyjnych za nadmiernie ostrożnych, czyż nie, messer Whitehallu?

Raj wzruszył ramionami. – Mam na tym świecie zadanie do wykonania – powiedział. – Aby to zrobić, muszę brać ludzi takimi, jacy są.

– Jesteśmy przyzwyczajeni do bycia pogardzanymi – rzekł z uprzejmą goryczą. Historiomo. – Wojskowa szlachta zawsze nami pogardzała: *Znajdźcie nam zapasy dla dwudziestu tysięcy ludzi albo dlaczego drogi nie są gotowe? Ale. czy słuchają naszych wyjaśnień? Nigdy. Wielbią działanie kosztem myśli i uważają, że można pokonać każdy problem mieczem i siłą woli. Narzucają rozwiązania, które pogarszają problemy, a my musimy obchodzić zniszczenia. Albo gubernator strzałem zdobywa Krzesło, a potem uważa, że może rozkazać nam, abyśmy dokonali niemożliwego. To my musimy im mówić „nie”.*

– Patrycjusze – mówiąc to, Historiomo rzucił ostrożne spojrzenie na Suzette, która należała do klasy miejskiej szlachty i do klasy kanclerza Tzetzasa – tworzą sztukę z intrygi i boga z formy kosztem treści. Monopolizują wysokie stanowiska państwowe i łupią je bez

wstydu, nie myśląc o dalekosiężnych konsekwencjach, a *my* ponosimy winę. I wszyscy z nas szydzą, z nasze papierowej roboty, naszych wymyślnych precedensików. A któż to przechowuje instytucjonalną pamięć państwa, kto powstrzymuje Rząd Cywilny przed staniem się kolejnym kotłem walczących między sobą baronów? Kto trzyma sprawy w kupie i sprawia, że służby publiczne funkcjonują w czasie klęsk, wojen domowych i panowania złych gubernatorów? My.

– Zgadza się – rzekł Raj.

Historiomo drgnął i odchrząknął, bawiąc się swoim piórnikiem.

Raj rzekł – Messerze, nazywają mnie mieczem Ducha Człowieka. To znaczy, że wiem, czego *nie potrafisz* zrobić z mieczem. *Nie* jestem piórem, głosem ani sumieniem Ducha. Jestem mieczem. Ciężciem usuwam przeszkody z drogi. Powstrzymuję barbarzyńców przed spaleniem miast, w których mieszkają ludzie tacy jak ty. Ja wykonuję swoje zadanie; a kiedy znajduję kogoś, kto potrafi wykonywać *swoje*, to wówczas nie dbam o to, czy jest szlachcicem, patrycjuszem, urzędnikiem, kupcem, i, na bezgwiezdne ciemności, gównu mnie obchodzi, jeśli jest Kolonistą lub barbarzyńcą.

– O najodważniejszy generale – rzekł Historiomo, powstając i zgrabnie piętrząc swoje pudełka z dokumentami, zanim przewiązał je skórzanym paskiem – nie powiem, że to przyjemność dla ciebie pracować. Tak właściwie, to przerażające. Ale to *ulga*, zapewniam cię. Messo Whitehall.

Skłonił się głęboko i wyszedł z paskiem przerzuconym przez ramię.

– Cóż, to nas nauczy, nie oceniać zwoju po pałeczce do zwijania – rzekła Suzette. Pochyliła się nad kołyską pod stołem. – Myślę, że tę młodą damę trzeba przewinać, Fatima.

Kiedy znaleźli się sami, Suzette uśmiechnęła się do Raja. – Kochanie, a jaka jest *moja* rola przy mieczu Ducha?

– Ty powstrzymujesz go przed pieprzonym szaleństwem – odparł Raj, sam się uśmiechając.

– Jak dotąd.

– Jak dotąd.

Rozdział dziesiąty

– Wszyscy spiskujecie, żeby mnie doprowadzić do *szaleństwa* – powiedział Filip Forker, zdejmując lekki, ceremonialny hełm i rzucając go z brzękiem na podłogę. – Szaleństwa, szaleństwa! – Zaszokowane pomruki przetaczały się przez chwilę przez komnatę, aż strażnicy w zbrojach stojący wzdłuż ścian walnęli kolbami muszkietów o posadzkę. Raz, dwa, trzy razy. Kiedy powrócili do bezruchu, cisza była całkowita.

Służący otoczyli władcę Brygady. Jeden podał mu mokrą chustkę do twarzy, a drugi przeleciał ściereczką cienki, srebrny napierśnik. Minister zaszeptał mu do ucha. Po chwili twarz Forkera uspokoiła się, przyjmując wyraz nadaśanej rezygnacji. Forker znowu usiadł.

– Dalej, dalej.

Nawet wysoki łukowy sufit i grube na metr ściany Głównej Sali Audiencyjnej nie były w stanie umniejszyć upału w Koszarach Carson. Temperatura na zewnątrz wynosiła trzydzieści stopni Celsjusza, a miasto było zbudowane z bloków ciemnego bazaltu i postawione w samym środku bagna. Natomiast zimą budynek był przejmująco zimny i wilgotny, mimo tych całych wielkich, łukowatych kominków po obu końcach sali. Światliki rzucały dziesięciometrowe promienie światła w gorący półmrok, przecinany połyskującymi skrzydłami owadów przelatujących z cienia w słońce. Bardzo niewiele światła i powietrza przechodziło przez wąskie, szczelinowe okna.

Ludzie, którzy zbudowali – nakazali budowę – sali, nie zamierzali uczynić z niej fortecy. Jeśli w ogóle, to pierwotnie została ona zaprojektowana, aby pomieścić duże zebrania, a przy okazji zastraszać przychodzących z petycjami. Jednak budowniczy pomyśleli także o odpieraniu ataków, zaś zwykła wygoda po prostu nie była czymś, do czego przywiązywali wielką wagę.

Ambasadorzy Rządu Cywilnego powstali ze swoich stołków pod Stolcem i skłonili się z dłońmi na piersiach.

– Jeśli Wasza Znamienitość raczy przyjrzeć się ponownie tym dokumentom – zaczął znowu, z bezmierną cierpliwością przywódca. – Wiele zostanie wyjaśnione, równie jasno jak operacyjne kody Ducha.

Jego nameryjski był tak doskonale dopasowany do uszu wyższej klasy Brygady, iż był on wyraźniejszy niż akcent. Jego słowa odnosiły się do pożółkłych papierów leżących na bocznym stoliku pod Stolcem.

– Zobaczysz, iż zgodnie z umową pomiędzy twym... poprzednikiem, Jego Znamienitością generałem Oskarem Grakkerem i ówczesnym admirałem Eskadry Shelyilem Ricksem, w czasach naszego pana władcy i jedyne go autokraty Larona Poplanicha, gubernatora Rządu Cywilnego Świętej Federacji, niech Duch przeniesie dusze godnych zmarłych do swych sieci, większość wyspy Stern została ofiarowana jako posag Mindy-Sue Grakker oraz dziedzicom z ciała jej i Shelvila Ricksa. Co oznacza admirałów Eskadry, to zaś – jako że dawny admirał Conner Auburn, dzięki łasce Ducha, został przekonany do złożenia uzurpowanej władzy, którą bezprawnie zagarnął Geyser Ricks – oznacza, iż dziedzicem jest nasz największy suweren potężny lord Barholm Clerett, wiceregent Ducha Człowieka na Ziemi. Dlatego też, o potężny generale, w żaden sposób nie można traktować odzyskania wyspy Stern jako uzurpację czy agresję. Przeciwnie bowiem, prawość oznacza prawe postępowanie...

Głos buczał przez kolejne dwadzieścia minut retorycznych strof i antystrof, zaprawionych odwoływaniami się do prawdy, sprawiedliwości, rozsądku oraz porównaniami wydarzeń, o których nie słyszał żaden członek Brygady oprócz samego Forkera. W przeciwieństwie do większości jego pobratymców generał Forker miał obszerne wykształcenie klasyczne. Był to jeden ze znaczniejszych powodów jego niepopularności.

Wreszcie Forker przerwał opryskliwie – Tak, tak. Przeczytamy dokument z waszym stanowiskiem, ambasadorze Minh. W wolnej chwili. Wiesz, że tych spraw nie da się rozwiązać w jeden dzień.

– Wasza Znamienitość – powiedział Minh, kłaniając się potakująco.

– Kto następny? – spytał Forker, gdy ambasadorowie Rządu Cywilnego wycofali się, kłaniając się zgrabnie niczym tancerze. Pomimo upału i kłującej wysypki pod ceremonialnym mundurem ten widok nieco go udobruchał.

Wiedzą, jak należy służyć, pomyślał.

– Wasza Znamienitość, wynalazca i producent biuletynu, Martini z Pedden, obecnie zamieszkały w Starej Rezydencji pragnie...

– Nie! – Tym razem, powstając, Forker odsunął na bok pomocne dłonie. – Kiedy

nauczycie się nie marnować mojego czasu na trywialności? – Minister znowu pochylił się bliżej, ale władca Brygady mu przerwał – Nie obchodzi mnie, *ile* ci zapłacił. Ta audyencja dobiegła końca. Oddalimy się. Przyślijcie głównego bibliotekarza Kassadora do moich komnat, po tym jak się wykąpię.

Kapitan Straży Życia zawołał głosem protokolanta – Usłyszcie, ta audyencja dobiegła końca. Tak rozkazuje nasz generał, Jego Znamienitość Filip Forker.

Echo odbiło się w wielkiej sali z trzaskiem, gdy strażę znowu uderzyły kolbami muszkietów o posadzkę, a potem sprezentowały broń. Dwa plutony wzdłuż każdej ze ścian pomaszzerowały ku Stolcowi przez pustą przestrzeń pomiędzy przybyłymi z petycjami a podwyższeniem dowódcy, potem zaś wykonały obrót w lewo, aby stanąć przodem do tłumu. Kapitan rzucił kolejny rozkaz i żołnierze zaczęli maszerować powoli do przodu: *krok-przerwa-krok*, ze stopami uniesionymi przez chwilę, zanim postawili je z jednoczesnym, stukrotnym łupnięciem. Był to pokazowy manewr, z doskonałym wyczuciem czasu. Pozwoliło to również wszystkim dotrzeć do wielkich drzwi z tyłu w sposób uporządkowany, bez marudzenia. Nikt, kto widział twarze Straży Życia, nie wątpił, że wejście jej w drogę byłoby złym pomysłem.

Forker i jego świta oddalili się przez wyjścia w wysokim łuku za Stolcem. Pozostali ludzie byli oficerami i szlachcicami zbyt znaczącymi, by wygonić ich z większością przybyłych z petycjami, ale nie dosyć bliskich Forkerowi, aby wpuścić ich do królewskiego wejścia dla VIP-ów. Wyszli więc przez główne drzwi, gdy strażnicy pomaszzerowali z powrotem ku ścianom i zajęli pozycje. Kroki odbiły się echem, gdy opuścili podobną do stodoły budowlę. Proporce zwisały im nad głowami, zwiotczałe w nieruchomym, zatechłym powietrzu. Uchwyty z brązu przytwierdzające do ścian starożytną broń energetyczną były zzieleniałe od śnieży. Same lasery pozostały zaś równie błyszczące jak w dniu, gdy umieściły je tam święte dłonie, łącznie ze znakiem 591 Tymczasowej Brygady, wygrawerowanym na łożu.

– Co ty nie powiesz, Howyrd – powiedział Ingreid Manfrond, zniżając nieco głos, gdy wyszli na portyk, mijając kolejny szereg strażników. – Jego Byćmożność naprawdę podjął decyzję bez zaprzeczenia jej.

– Nieprawda, Ingreid – odparł Howyrd Carstens.

Jego przyjaciel miał na sobie kurtkę z frędzlami i tweedowe spodnie nie będącego na służbie szlachcica, których skórzane troczki kończyły się złotymi paciorkami. Na pasie do

szabli miał złote płytki, rubiny na misternej koszowej rękojeści, a ostrogi z platyny. Rękojeść i spoczywająca na niej dłoń wyglądały na spracowane. Carstens był w zielono-szaro-czarnym mundurze dragonów generała, z kolonialnymi insygniami.

– Musiał ugodzić się na coś z *grisuh* zeszłej nocy – stwierdził oficer. – A *to* miało na celu publiczne tego potwierdzenie. A on stchórzył. Zapewne bał się, że porąbiemy go na kawałki. – Rzadkie zdarzenie, ale nie całkowicie nieznane w historii Brygady.

Zatrzymali się i zapalili fajki – dwaj dżentelmeni z siwizną w brodach i długimi, splecionymi włosami, rozmawiający leniwie w cieniu portyku w gorący, letni dzień, pod jedną z trzypiętrowych kolumn wyciosanych w kształcie łodzi desantowej. Odźwierni zwrócili im rewolwery. Nikt poza Strażą Życia nie nosił broni wewnątrz sali.

Piać parad przed nimi miał bok o długości pięciuset metrów. Czarna bryła pałacu stała za nimi, czworobok katedronu Ducha Człowieka tej Ziemi po lewej, a żelazny Dom Wojny po prawej. Prosto na północy znajdowała się luka, w miejscu, gdzie droga zbiegała w dół ze sztucznego kopca do głównej części miasta. Kanały były równie liczne co drogi, a domy stanowiły przysadziste, dwupiętrowe budowle, z nielicznymi oknami wyglądającymi na zewnątrz, ale za to z dużą ilością rzeźbień i terakoty pomalowanej w jaskrawe kolory. Koszary Carson były jedynym większym miastem na Zachodnich Terytoriach zbudowanym od początku, od przybycia Brygady z Obszaru Bazy dwa wieki po Upadku.

Widziane stąd nisko osadzone mury obronne stanowiły występ w ziemi. Zostały one zmodernizowane jakiś wiek temu. Koszary Carson nie potrzebowały tak naprawdę murów. Stały w środku kilku tysięcy kilometrów kwadratowych grzędawisk i bagien, stanowiących ledwo hektar zdolny unieść ciężar człowieka, a sporą część tego stanowiły ruchome piaski. Melancholijne połączenie mokradeł były widoczne z miejsca, gdzie stali, i tylko biegnące prosto jak strzała grobla i kanał, prowadzące na północ do czoła znajdującej się w budowie kolei na twardym gruncie koło rzeki Pedan, zakłócały krajobraz. Było widać kołyszące się, rudawo-zielone rodzime trzciny, a gdzieś przeblysł wody przenikający grubą, przygruntową mgłę. Powietrze śmierdziało gnijącymi roślinami i ściekami, które spływały do bagna i posuwały się bardzo powoli w dół zbocza ku rzece.

Niewielu członków Brygady żyło w Koszarach Carson z wyboru, choć służba sprowadziła wielu z nich tutaj na pewien czas. Większość stałej ludności stanowili niewolnicy lub administratorzy wywodzący się ze starych, rodzimych klas wyższych.

– Chyba dobrze, że pieprzony Forker znowu bredził – ciągnął Ing Reid. – Jedyna rzecz,

na którą mógłby się zdecydować, to wydanie nas cywilniakom.

– Taak. *Powinniśmy* zająć się mobilizacją. Pamiętasz mojego kuzyna Henrika?

Ing Reid potarł brodę na policzku. Włoski zaczepiły się o grube, zrogowaciałe odciski otaczające kciuk i palec wskazujący prawej ręki, tej od miecza.

– Nieco młodszy od ciebie? Był kapitanem w regularnych, a potem zabił... kurna, jak on tam się nazywał...

– Syna Danniego Wimblera, Erika.

– ... przez kobietę, i musiał zwiewać. Dobry człowiek, o ile dobrze pamiętam. To on obciął głowę temu wodzowi Oddanych, och, koło Monneri.

– Taak, dobry człowiek, ale nie miał szczęścia. *Grisuh* zabili go na wyspie Stern.

– Niech Duch Człowieka tej Ziemi zapisze jego rdzeń – stwierdził drugi mężczyzna.

Howyrd dotknął bryłki poświęconego agatu, którą nosił na szyi. – Taak. Chodzi o to, że jeden z jego ludzi przeżył, trafiony pociskiem. Załadowali go na statek niewolniczy po złapaniu, a potem piraci napadli na statek i sprzedali załogę wraz z ładunkiem w Tortug. Ten gość, Eddi, zabił strażnika i ukradł żaglówkę, pojawił się na wpół żywy... w każdym razie opowiedział mi o walce. Bardziej przypominała to, co stado sierpostopów robi z kierdłem owiec. Klęska Eskadry nie była przypadkiem. Ing Reid, *powinniśmy* się mobilizować. Już teraz.

Drugi szlachcic potrząsnął głową. – Niech mnie, jeśli kiedykolwiek myślałem, że będziemy uciekać ze strachu przed cywilniakami – stwierdził.

– Raczej uciekać ze strachu przed rym Whitehallem.

– Myślisz, że naprawdę pomagają mu zewnętrzne ciemności. Splunęli i wykonali gest lewą dłonią. – *Ni*, on jest po prostu wystrzałowym wojownikiem – powiedział Howyrd. – Mówią, że kiedy miał pod komendą Skinnerów, to powiesił jednego z nich za zabicie żołnierza cywilniaków, a potem wjechał sam do ich obozu – a oni uczynili go bratem krwi czy czymś takim.

Ing Reid się skrzywił. – Walczyłem kiedyś ze Skinnerami. Może za sto lat chciałbym zrobić *to* znowu. – Potrząsnął głową. – Powiem ci, co zamierzam zrobić. Zamierzam nająć i wyposażyć kolejny regiment straży, zacząć skupować proch i ołów oraz sprawdzić, czy wszyscy moi dzierżawcy i wasale mają w pogotowiu swoje karabiny, a miecze naostrzone. I

powiem wszystkim, których znam, aby postąpili podobnie, aż po drobnych dziedziców i właścicieli pięćdziesięciu hektarów. A jeśli Forkerowi się to nie spodoba, to Forker może iść wachać przyki zdechłego psa. Nie każe utopić *mnie* w kąpiel, jak zrobił to z Charlotte Welf.

Carstens westchnął i stukając b obcas wytrząsnął fajkę. Ostroga zadźwięczała słodko, gdy to robił. – Uważaj, żebyś nie miał powstania tubylców – ostrzegł. Jego przyjaciel był bogaty nawet jak na standardy wyższej szlachty, ale będzie musiał przycisnąć swoich chłopów pańszczyźnianych dość mocno, aby opłacić dodatkowych tysiąc dwustu ludzi; ich psy i sprzęt.

– Zatem będziemy ćwiczyć, tłukąc tyłki wyrobników – parsknął Ingrid. – Heretyckie łajdaki i tak na to zasługują. Wszyscy kochają cywilniaków, od chłopaków od pługa po tak zwane ziemiaństwo – cokolwiek by tobie nie mówili. A *on* nie jest lepszy – ciągnął dalej, pokazując kciukiem do tyłu na pałac. – Książki, bibliotekarze, to dosyć, by sprawić, żeby prawdziwy mężczyzna się porzygał. Na zewnętrzne ciemności, musi spojrzeć w jakąś księgę, żeby wiedzieć, w którą dziurę włożyć. Jeśli ma co wkładać.

– Taak, a ja z moim regimentem muszę marnować czas na granicy – powiedział Howyrd.

– Nie przybędą lądem?

–*Ni*. Nic tam nie ma poza skałami albo mokradłami gorszymi niż tu.

Jakby dla podkreślenia jego słów, dał się słyszeć od strony trzciny ryk – stadko hadrosauroidów sądząc po dźwięku. Wielcy roślinożercy zostali zachowani wokół Koszar Carson na polowania i jako zapasy żywności na nagły wypadek. Hadrosauroidy dochodziły do czterech lub pięciu ton i żywiły się trzcinią. Howyrd dotknął palcem zęba zupełnie innego rodzaju sauroida, zwisającego na amuletowym łańcuszku, zakrzywionego, ostrego sztyletu, ząbkowanego po obu stronach, długiego jak dłoń kobiety.

– Wciąż jest tam sporo dużych mięsożerców, więc trzeba budować obozy otoczone palisadami. Nie ma dosyć oczyszczonej ziemi ani farm na większą kampanię. Większość z tego, co mają tam cywilniaki, to szczepy i najemnicy. Taa, kiedy przybędą, to przybędą morzem.

Stajenni przyprowadzili ich psy – wielkie, lśniące mastiffy sięgające w kłęb do piersi wysokiemu mężczyźnie. Oddział regularnych dragonów Carstensa podjechał jako eskorta swego pułkownika. Żołnierze, uzbrojeni w karabiny, szerokie miecze i rewolwery, wyglądali

niczym wysłużona broń, która dobrze pasuje do dłoni sięgającego po nią człowieka. Strażnicy Ingreida ubrani byli w płowo-szare barwy jego własnego regimentu. Połowę stuosobowego oddziału stanowili dragoni, a połowę ciężka kawaleria na nowofunlandczykach, ze stalowymi napierśnikami i naplecznikami, hełmami, naramiennikami i ochraniaczami na uda. Kawalerzyści nieśli także dwunastostopowe lance oraz zwyczajne miecze i broń palną, a długie, smukłe, osikowe drzewca wystawały ponad placem jak zakończony stałą gąszcz.

– Wybierasz się do Marie? – spytał Howyrd.

Ingreid zebrał wodze. – Niestety nie. Marie Welf mówi mi, że mam tyle lat, iż mógłbym być jej ojcem – moi synowie są starsi od niej – i że powinienem poszukać miłej, czterdziestoletniej wdówki z cyckami jak poduszki, jeśli chcę się znowu ożenić.

Wymienili spojrzenia. Ktokolwiek poślubi Marie Welf, stanie się, technicznie rzecz biorąc, Amalsonem, mogącym zostać wybranym na monarchę Brygady. Te wybory były równie często rozstrzygane strzałem jak liczbą głosów, ale jednej reguły zawsze przestrzegano. Forker był bezdzielny i starzał się. Synowie, jakich urodzi Marie...

Ingreid potrząsnął głową. – Ma jaja, muszę to suce przyznać.

– To nie jedyne, co ma, na Ducha – rzekł Carstens z uśmiechem jak mężczyzna do mężczyzny. A ostrzej – I lepiej, żeby wkrótce znalazła protektora. Czy ona sądzi, że uda jej się oddychać pod wodą tylko dlatego, że jej matka spróbowała?

– *Kobiety* – stwierdził Ingreid. – Żegnaj zatem, przyjacielu.

Do zobaczenia na polu bitwy.

* * *

– A niektórzy ludzie uważają, że on jest prostym żołnierzem – rzucił z goryczą Cabot Clerett, stojąc koło Fatimy na schodach kościoła.

Ta otarła oczy koronkową chusteczką, po raz ostami pociągając nosem. Konwencja Rządu Cywilnego nakazywała damom pochlipywać, gdy były gośćmi na czyichś ślubach. Wydawało jej się to dziwne, ale zwyczaj to zwyczaj. Uroczystość była piękna. Fatima miała na sobie śliczną, nową suknię z jasnoniebieskiego jedwabiu, *torofibu* utkanego w Azanii, zaś Gerrin i Barton – uśmiechnęła się do siebie – obiecali jej także inny prezent, pasujący do tej okazji. *Trudno* było płakać w takich okolicznościach.

Nowo poślubione pary paradowały dwójkami, wychodząc przez wysokie drzwi z

mosiądzu i stali katedronu zatoki Wager, świeżo nawróceni na Ducha Człowieka Gwiazd. Co było sprawiedliwe, bowiem uprzednio ledwo starczało wyznawców kultu

Ducha Ziemi do utworzenia kongregacji. Nowożeńcy przechodzili ku markizom i pozbijanym z drewna stołom pod łukiem szabel trzymanyh przez ich towarzyszy. Na przenośnych grillach piekły się całe woły i świny. To szykowała się uczta dla batalionów żeniących się mężczyzn, dzięki łaskawości oficerów dowodzących jednostek i messera Raja.

– Oni są prostymi żołnierzami, messer Cabocie – rzuciła niewinnie Fatima.

Słońce chyliło się właśnie ku zachodowi, ale wyległe po sjeście tłumy mieszczuchów trzymano dzisiaj wieczorem z dala od placu. Wzeszły obydwie księżycy, a pomiędzy budynkami użyteczności publicznej otaczającymi plac rozwieszono papierowe latarnie. Bryza od strony morza łagodziła upał późnego lata, nadając mu leniwą miękkość.

Żołnierze zachowywali się najlepiej, jak potrafili, a oddziały z opaskami *guardii* na ramieniu miały dopilnować, aby tak pozostało nadal, gdy już popłynie wino. Weselne piosenki, jakie wyrzaskiwali, wahały się od sprośnych do obscenicznych, lecz w większości miejsc należało to do zwyczaju. To, że pary ledwo co się znały przed uroczystością, także było często spotykane; a jeśli panowie młodzi należeli do tych, którzy wyrznęli ojców lub poprzednich mężów panien młodych, to także nie było to nieznanym pośród wojowniczego ludu Brygady. Nikt nie wiedział na pewno, kto kogo zabił... a życie nie byłoby łatwe dla kobiet Brygady bez opiekunów, pośród wrogo nastawionej ludności w prowincji podbitej przez obcych ludzi innej wiary.

– Nie, nie oni – powiedział Cabot. – Ludzie są w porządku, dobrzy żołnierze, zasługują na wakacje, ciężko pracowali.

– Niektórzy za ciężko – stwierdziła Fatima.

Zwykle pomagała w polowych szpitalach Piątego, a podczas ćwiczeń na poligonie wystąpił pełen zestaw połamanych kości i porażen słonecznych. Szybkie przesuwanie tysięcy ludzi przez trudną okolicę było niebezpieczne nawet bez prawdziwej amunicji. Plus rozbite głowy i pęknięte zebra od spotkań ze zbyt entuzjastycznie używanymi ćwiczebnymi szablami, bagnetami w pochwach i kolbami karabinów. Zwłaszcza pomiędzy jednostkami z historią wzajemnych waśni, takimi jak 5 z Descott i Rzeźnicy z Rogor.

– Cóż, gdyby nie lubili walczyć, to nie na wiele by się przydali, prawda? – rzekł Cabot.

Jego głos był miły, na protekcjonalny sposób. Fatima podejrzewała, iż rozmawiał z nią

tylko dlatego, że był całkiem pewien, iż przez większość czasu go nie rozumie. Podwójnie pewien, ponieważ była kobietą i Kolonistką. Był także samotny w Korpusie Ekspedycyjnym, zbliżył się tylko do Ludwiga Bellamy 'ego, ale nie był z nim w pełni swobodny. Większość ludzi porównywalnej rangi była albo Towarzyszami albo zawodowcami odczuwającymi głęboki szacunek wobec zdolności generała. Była od niego także starsza. Mimo tego raczej miły z niego młodzieniec, pomyślała. Żadnych problemów po jej stanowczej i uprzejmej odmowie przy wykonanej *pro forma* próbie uwiedzenia, jaką większość z mężczyzn czuła się w obowiązku podjąć wobec kochanki innego. Oczywiście Fatima była często koło pani Whitehall...

– Nie, chodzi o *ziemię* – powiedział Cabot Clerett. – Nie wiem, o czym myśli Historiomo, pozwalając mu rozdawać *ziemią* ludziom pod jego dowództwem! Gotówkowe darowizny są wystarczająco złe, ale jeśli da się człowiekowi farmę, to masz go na życie. I sprawia to, że inni mają nadzieję na to samo. – Słaba nadzieja zaoszczędzenia z łupów na gospodarstwo była jedną z głównych przyczyn, dla których młodszy synowie dzierżawców i drobnych właścicieli ziemskich wstępowali do kawalerii.

– Rząd dałby im farmy? – spytała Fatima, rozwierając szeroko oczy. Suzette pokazała jej, jak to robić.

– Ach, nie. – Twarz mu się rozpromieniła. – Oto pani Suzette...

Jego oczy ją wypatrzyły. Raj z żoną przechadzali się pomiędzy stołami, zamieniając tu i ówdzie słowo i wznosząc toasty na cześć młodych par. Nie byłoby właściwe, aby człowiek jego rangi i pochodzenia usiadł przy stole z żołnierzami na towarzyskim zgromadzeniu, w przeciwieństwie do obozowego ogniska na polu bitwy. Pierwszy stół zaczął wznosić radosny okrzyk, a potem uciszył się po jednym ruchu ręki Raja. Śpiewy stawały się natychmiast mniej hałaśliwe, gdy Suzette przechodziła obok. Dwie z jej służebnych szły za nią z workami, a ona rozdawała podarunki pannom młodym, drobne rzeczy, takie jak szale albo broszki. Słowa pokrzepienia pewnie znaczyły więcej dla młodych kobiet, znajdujących się teraz sam na sam z mężczyznami, z którymi może nawet nie dzieliły języka poza kilkoma słowami w spanjolskim, będącym obcym językiem dla obydwójga.

– Nie rozumiem – wymruczał Cabot na poły do siebie samego. – W jednej chwili stara się pozyskać ich łaskę, a potem... Orze nimi niczym wyrobnikami zaraz po tym, jak wygrali bitwę. Utrzymuje najsurowszą dyscyplinę, jaką kiedykolwiek widziałem, batoży i wiesza za drobne wykroczenia przeciwko wieśniakom...

- Sprawia, że wygrywają – powiedziała Fatima.
 - Tak – powiedział Cabot, znowu do siebie. – Ma jaja i zna się na swojej robocie, to mu przyznam. I wygrywa. To czyni go niebezpiecznym.
 - Generał, który przegrywa, nie jest niebezpieczny dla swojego *sultana*? – spytała Fatima. Cabot rzucił jej ostre spojrzenie, a potem odprężył się wobec jej widocznej niewinności.
 - Tak, Fatimo – powiedział. – W tym problem, widzisz. Żli generałowie mogą cię zniszczyć, dobrzy mogą cię obalić. Natomiast *gubernator*, który był odnoszącym sukcesy generałem...
 - Poza tym – ciągnęła Fatima, marszcząc brwi – myślę – myślałam – że to pani Whitehall miała pomysł z tymi ślubami.
 - Och, pani Suzette – powiedział Cabot i zduszony gniew w jego głosie zniknął. – Suzette. Ona jest aniołem. Jestem pewien, że miała na myśli jedynie pomoc...
 - Przepraszam, messer Cleretcie – odezwał się Gerrin Staenbridge. – Przyszedłem zabrać moją panią.
 - Oczywiście – powiedział Cabot, kłaniając się. – I gratuluję smaku, messerze Staenbridge... przynajmniej w tym.
 - Gerrin posłał mu nieszczerzy uśmiech na pożegnanie. – Żadnego stylu – wymruczał do siebie po tym, jak bratanek gubernatora zniknął z zasięgu słuchu. – Tyłek jak u wieśniaka, tylko kopnąć. Właściwie to świetny do kopania.
 - Fatima przemyśliwała ostatnią uwagę Cabota. – Gerrin – powiedziała – powiedz mi, dlaczego bystry młodzieniec głupiej dla kobiety? – Moja pani Suzette jest *djinni*, a nie *hour*, pomyślała w ojczystym języku.
 - O co chodzi? – spytał Barton Foley, podchodząc do niej z drugiej strony.
 - Pytam, czemu wszyscy młodzi mężczyźni są tacy głupi – powiedziała Fatima, biorąc jego również pod ramię.
 - Diabełek – powiedział. Ona wystawiła do niego język.
- * * *
- Czy jesteś pewna, że już mnie tutaj nie będziesz potrzebować, *saaidya*? – spytał

Abdullah.

Suzette rozejrzała się po swoim saloniku. Gdy to robiła, jej ręce wygładziły stos papierów leżący przed nią. Wachlarz nad głową starał się leniwie rozgarniać powietrze, a gorące, białe światło przebijało się przez szczeliny w okiennicach. Kot leżący na stosie jedwabnych poduszek poruszył się we śnie, wysuwając łapę. Z ogrodu na podwórzu dobiegał dźwięk pluskającej wody i grabi, które powoli, bardzo powoli zbierały liście.

– Nie *będziemy* tu już długo, mój wierny sługo – powiedziała. – A teraz: tutaj jest raport od Ndelli. Przeczytaj go i zniszcz.

– Ach, ten – powiedział Abdullah z zawodowym podziwem w głosie.

Ndella cor Whitehall urodziła się w zanjiskim mieście Liswali i wykształciła na lekarkę, zanim została pochwycona przez ludzi Tewfika i sprzedana na północ do Al Kebir. Jako wyzwolenc Suzette Whitehall zajmowała się swoim dawnym rzemiosłem, jak i innym, bardziej dyskretnym, pośród służby gubernatorskiego pałacu.

– Mężczyźni mają tendencję do ignorowania kobiet i służby – osądziła Suzette.

– Głupcy tak postępują – przyznał Abdullah. – No, ale większość mężczyzn to głupcy. Nawet mądrzy wśród nas mogą dać się zwieść na manowce przez organ prokreacyjny. Tak przynajmniej twierdzi moja żona.

– Przekonałam się o tym – zgodziła się Suzette. – Są pewne pikantne szczególik dotyczące tego, jak Forker w pewnym momencie był bliski kapitulacji. Posłuż się nimi, z jak najdalej posuniętą dyskrecją, ale każdy, kto *go zna*, pewnie w *to* uwierzy.

– Proszę – ciągnęła – to są *ayzed* i *beyam*. – Zanjiski środek na poronienie i także trucizna, uwarzone z rodzimych ziół Bellevue, znane tylko na dalekim południu i całkowicie niewykrywalne w zachodnim Śródświecie. Suzette westchnęła – Żałuję tylko, że nie ma cię dwóch, Abdullahu.

Druz się uśmiechnął. – Czyż nie jestem jak legion, saaidya?

Teraz był mówiącym po spanjolsku kupcem z Port Murchison, aż po czterorożny kapelusz z niedużym piórem, zieloną, płócienną kurtkę z długimi połami i mosiężnymi guzikami, pasiasty krawat i zgrabne klamry z cyzelowanej stali na butach, poniżej sięgających kolan bryczesów. Machnął kapeluszem, kłaniając się i pozwalając, aby jego ręka spoczęła na rękojeści zwykłego miecza.

– Powitają mnie mile w Mieście Lwa – Zwłaszcza, że przywiezie szalupę z ładunkiem siarki z wyspy Stern oraz saletry z Południowych Terytoriów. Obrót tego rodzaju towarami był zakazany w czasie wojny, ale kilkaset funtów nie robi specjalnej różnicy.

– Mniej mile w Koszarach Carson – rzekła. I z większą werwą dodała – Jeśli nie mylę się co do mojej kobiety, a twoje raporty są prawdziwe, to Marie Welf dobrze zdaje sobie sprawę z tego, że jest owcą na zgromadzeniu carnosurodiów. Forker i połowa szlachty Brygady chce ją zamordować, a druga połowa poślubić ją i spłodzić dziedzica Stolca – a kiedy już urodzi męskiego potomka, będzie niewygodna i groźna. Żadna z tych perspektyw nie jest korzystna, a większość mężczyzn jest podła.

– Zbliżysz się do niej *tylko* wówczas, gdy będzie zdesperowana. To nie jest dziewczynka czekająca na wybawcę, choć jest niedoświadczona. Skorzysta z możliwości ucieczki. Forker trzyma ją w izolacji, ale ona ma przyjaciół, a Welfowie mają zwolenników. Zbadaj ich także.

– Ach, saaidya – rzekł Abdullah, wkładając małą skrzyneczkę z fiolkami do wewnętrznej kieszeni fraka. – Gdybyś była mężczyzną, jakież byłby z ciebie władca!

– Gdybym była mężczyzną – rzuciła cierpko – miałabym na tyle rozsądku, by nie chcieć być władcą.

– Jak już powiedziałem, moja pani.

Wysunęła dłoń, a Abdullah pochylił się nad nią zgodnie ze zwyczajem Rządu Cywilnego. Suzette przeszła na arabski – Idź, niewolniku Boga – powiedziała, takie bowiem było znaczenie jego imienia. – Niech mój Bóg i twój będą z tobą.

– Niech litościwy, miłosierny, będzie z tobą i twym panem. Suzette podniosła pakiecik listów – były to kopie raportów składanych przez Cabota stryjowi – i ponownie go położyła. Raj był znowu na manewrach z większością Korpusu Ekspedycyjnego. Miała się spotkać z Cabotem w małej zatoczce, gdzie można było bezpiecznie pływać. Całkiem przyzwoicie, jako że będzie z nimi kilka jej kobiet. W Rządzie Cywilnym nagość była wstydliva, ale nie podczas kąpieli.

– Niektórymi mężczyznami – wymruczała, gładząc kota – można kierować, spełniając ich pragnienia, a niektórymi przy pomocy ich frustracji. – Na razie Cabot Clerett *chciał* wielbić z daleka; jego konkubina prawdopodobnie siadała ostatnimi dniami raczej ostrożnie.

Jak długo da się go kontrolować w ten sposób, to była oczywiście odrębna kwestia. Młody Clerett to mężczyzna, który uważa się za zdolnego, ale jednocześnie zawdzięcza

wszystko łasce swego stryja. Szalejący, by osiągnąć coś samemu... i niebezpiecznie lekkomyślny w swojej nienawiści, sądząc po jego listach. Zbyt niebezpieczny dla Raja, aby go tolerować.

* * *

– Tylek urzędnika cię spowalnia, Whitehall – zaszydził Gerrin Staenbridge i rzucił się do przodu.

Klak. Drewniane ćwiczebne szable o podwójnym ciężarze spotkały się, uderzając. Wypad, sparowanie nadgarstkiem, finta, cięcie-krok-cięcie. Nacierali i cofali się na nierównym, żwirowo-skalno-ziemnym gruncie *salle d'armes*. Szuranie stóp i stukot uderzeń dębu o dąb odbijały się echem od wysokich, pobielonych ścian. Przez chwilę stykali się ciałem.

– Oszczędzaj oddech... staruszkę – wymruczał Raj. Konwulsyjne pchnięcie odrzuciło ich znowu na odległość klingi.

Tak naprawdę to żaden z mężczyzn nie miał na sobie choćby uncji tłuszczu, co było całkowicie widoczne, jako że dla celów ćwiczebnych obnażyli się do pasa, pozostając tylko w maskach na twarzy dla ochrony. Staenbridge był nieco szerszy w barkach, a Raj miał trochę dłuższe ramię. Obydwaj byli potężnymi mężczyznami, bardzo silnymi jak na swoje rozmiary, poruszającymi się z gracją drapieżnika, właściwą takim, którzy często zabijali białą bronią i trenowali od urodzenia. Raj ćwiczył ostro, był to bowiem sposób na spalenie trucizny frustracji, która pogłębiała się z każdym mijającym tygodniem. Staenbridge odpowiadał na furię jego natarcia sześcioro dodatkowymi latami doświadczenia. Ciężki zapach potu wisiał w suchym, gorącym powietrzu, błyszcząc na torsach naznaczonych bliznami po każdej broni znanej na Bellevue.

– Ehem. – A potem głośniej – Ehem!

Przestali walczyć, odskoczyli w tył i opuścili klingi. Raj zerwał maskę z twarzy i odwrócił się z klatką piersiową unoszącą się powoli niczym głęboki miech kowalski. Zdawało się, że *salle d'armes* komendantów zatoki Wager zastygła przez chwilę w czasie: Ludwig Bellamy ćwiczący pozycje przed lustrem, Kaltin Gruder na stole masażysty, Fatima na ławce, trzymając mocno młodego Bartona Staenbridge'a – trzylatek miał posmakować po raz pierwszy treningu, okazywał bowiem niepokojącą tendencję do wtrącania się, kiedy tylko coś się działo. Na zewnątrz, na podwórku, Suzette pisała list na stole pod altanką oplecioną

bügenwillą. Jej pióro zawisło ponad papierem.

Barton Foley także się pocił, jakby przebiegł spory kawałek w upale.

– Nie chciałbym, messerowie, zakłócać tej spokojnej sceny...

Raj wydał z siebie ostrzegawczy dźwięk i pochwycił papier, który młodzieniec wyciągnął z wyściółki hełmu. Wszyscy rozpoznali purpurową pieczęć. Ręce Raja trzęsły się lekko, gdy ją przełamywał.

Raj podniósł wzrok i skinął głową, a potem rzucił z powrotem gubernatorski rozkaz Foleyowi i przyjął ręcznik od służącego.

– Brygadowcy wygrali jakąś potyczkę na pograniczu – powiedział. – Regiment ich dragonów przetrzepał skórę jakiejś naszej szczepowej jednostce pomocniczej. Forker twierdzi, iż wskazuje to, kogo obdarza łaską Duch Człowieka. Gubernator rozkazał mi doprowadzić Zachodnie Terytoria do posłuszeństwa, co ma się rozpocząć natychmiast. Z pełną władzą prokonsula na rok lub okres trwania wojny.

Westchnienie przebiegło przez pomieszczenie. – Wszystko, poza ludźmi, psami i zmianą bielizny znajduje się na statkach – powiedział Staenbridge.

Raj znowu skinął głową. – Jutro wraz z wieczornym przypiływem – rzekł cicho.

* * *

Główny miejski stadion Port Wager miał doskonałą akustykę. Wykorzystywany był do publicznych wieców i jako teatr, a także do walk byków i do meczy baseballu. Był już późny ranek, gdy wmaszerowała ostatnia jednostka. Jako że teraz w szeregach znajdowało się tylu wyznawców tej Ziemi, Raj zarządził religijne uroczystości grupowo dla jednostek, a nie dla całych sił. Wpadł też na każdą z nich osobiście i nie obchodziło go, co na to powiedzą kapłani we Wschodniej Rezydencji.

On wiedział, czego potrzebował Duch Człowieka, tej Ziemi i Gwiazd. Czego potrzebowali jego ludzie.

Gdy się pojawił, zaległa cisza. Rzędy siedzeń wznoszące się półkolem na zboczu wzgórza były niebieskie od mundurowych kurtek żołnierzy. Twarze zwróciły się ku niemu niczym kwiaty ku słońcu, gdy wspinał się po schodach drewnianego podium. Z tyłu znajdował się niebiesko-srebrny Rozbłysk Gwiazdy, a za nim zatoka i maszty czekających statków. Z przodu wbito w piasek proporce trzydziestu batalionów.

Raj, z rękoma założonymi na plecach, zwrócił się twarzą ku swoim ludziom.

– Bracia żołnierze – zaczął. Fala hałasu podniosła się z gęstych szeregów niczym grzywacz na głębokim oceanie. Efekt był oszołamiający w tej ograniczonej przestrzeni. Tak jak i reakcja, kiedy uniósł dłoń. Nagle poczuł, jak krew tętni mu w skroniach.

– Bracia żołnierze, ci, którzy byli już ze mną na kampanii, na pustyni, pod Sandoralem, gdzie zmiażdżyliśmy armie Jamala, w Południowych Terytoriach, gdzie w czasie jednej kampanii podbiliśmy królestwo – wy i ja znamy się nawzajem.

Tym razem hałas był boleśnie ogłuszający. Raj uniósł znowu rękę i poczuł, jak wrzawa zamiera niczym Horace odpowiadający na ściągnięcie wodzy. Przez chwilę uderzyło weń czyste odurzenie tym faktem. To była prawdziwa władza. Nie zdolność do zmuszania, lecz tysiące zbrojnych ludzi chętnych do podążenia tam, gdzie on poprowadzi – bowiem on potrafił przewodzić.

>>Pamiętaj, jesteś człowiekiem.<< wyszeptał głos Centrum.

Pójdą za nim i wielu zginie. Obowiązek był cięższy niż góry.

– Wiecie, czego się teraz od was wymaga – ciągnął.

– A tym, którzy nie byli ze mną przedtem na polu bitwy, powiem tylko to: słuchajcie rozkazów, bądźcie wierni swoim towarzyszom i temu, kto płaci wam żołd. Traktujcie wieśniaków życzliwie. Walczymy, aby dać im prawowite rządy, a nie po to, by ich uciskać. Traktujcie nieprzyjacielskich jeńców zgodnie z warunkami poddania się, dla honoru mojego i waszego, i dla dobra i zaufania pomiędzy ludźmi walki.

– I nigdy, nigdy nie bójcie się zaatakować tego, kto staje przed wami. Bowiem nigdzie na tym świecie nie spotkacie równych wam żołnierzy. Niech Duch Człowieka maszeruje z nami!

Okrzyki zaczęły się od Eskadrowców, 1 i 2 Kirasjerów.

– Cześć! Cześć! Cześć!

Ryk dobywający się z głębi piersi trafił w chwilę ciszy po tym, jak Raj zakończył przemowę. 5 z Descott i 7, Rzeźnicy, podnosili się jeden po drugim z hełmami na lufach karabinów.

– RAJ! RAJ! RAJ!

* * *

– Na Ducha, ale to dobrzy żołnierze – stwierdził Gerrin Staenbridge, przyglądając się, jak żołnierze wprowadzają swoje wierzchowce na transportowiec. Wielkie zwierzaki wchodziły ostrożnie na trap, przy każdym kroku sprawdzając grunt pod nogami.

– Chyba najlepsza armia bojowa, jaką Rząd Cywilny kiedykolwiek wystawił – powiedział Raj.

>>Posługując się sensownymi założeniami porównawczymi, to stwierdzenie jest prawdziwe w 7%.<< stwierdziło Centrum.

Staenbridge postukał kostkami dłoni o hełm, który miał pod pachą. – Przysięgam, że z sześćdziesięcioma tysiącami takich jak oni, moglibyśmy ogarnąć Ziemię.

>>Bellevue.<< poprawiło Raja w myślach Centrum. >>Z tą poprawką i biorąc pod uwagę główną masę kontynentalną, prawdopodobieństwo zwycięstwa takich sił pod twoim przywództwem nad wszystkimi cywilizowanymi przeciwnikami wynosiłoby 76% plus minus 3.<< powiedziało Centrum.

– Niestety, Gerrin – rzekł Raj, nasadzając swój własny hełm i zapinając pasek na brodzie.

Stajenny przyprowadził Horace'a, a raczej został przywleczony przez psa, kiedy ten wyczuł swego pana. Raj położył dłoń na ciepłym, gładkim zagięciu szyi czarnego zwierzęcia.

– Niestety, pytanie nie brzmi, czy możemy podbić świat z sześćdziesięcioma tysiącami, ale czy możemy podbić dwieście tysięcy Brygadowców z mniej niż dwudziestoma tysiącami.

>>Prawdopodobieństwo pozytywnego wyniku 50% plus minus 10, z wyjątkowo dużą liczbą wzajemnie się determinujących, mogących ewentualnie zaistnieć czynników.<< przyznało Centrum. >>Mówiąc prostym językiem, zbyt wyrównane szanse.<<

Raj ujął wodze Horace'a w dłoń tuż pod linią szczęki. Suzette także poganiała swego palfreya, Harbie, ku trapowi. Wierzchowce wiedziały, że na czas podróży zostaną oddzielone od swoich jeźdźców i skamlały z niezadowolenia. Dlatego też najlepiej było, kiedy właściciel lokował psa, jeśli główna więź łączyła zwierzaka z jeźdźcem, a nie ze stajennymi.

Raj wziął głęboki oddech. – Przekonajmy się.

Rozdział jedenasty

Jakieś sześćdziesiąt psów, brodząc, wyszło na plażę. Zwierzęta otrząsnęły się ze słonej wody i zabrały za wzajemne powitanie po morskiej podróży w orgii wymachiwania ogonami, wachania zadów i lizania pysków, powarkując i jeżąc się na sztywnych nogach.

– Jak gromadka matron ze śmietanki towarzyskiej Wschodniej Rezydencji na balu – stwierdziła Suzette, przechodząc obok i zarzucając na ramię swój wykonany w Kolonii karabinek.

Cała grupa dowódcza zaśmiała się hałaśliwie i odwróciła w stronę mapy przypiętej do karłowatego drzewa o kolczastej korze.

- Łądowanie przebiega dobrze – powiedział Jorg Menyez.
- Powinno, po naszych ćwiczeniach – stwierdził Raj.

Flota Rządu Cywilnego zarzuciła kotwicę przy niskim wybrzeżu pokrytym piaskiem, kamieniami, wrzosem i rudawymi rodzimymi mchami. Wewnątrz lądu wyrastały kępy ciemnego dębu, poprzedzielane łąkami, gdzie trawa sięgała do uda, a słoma była żółta. Piaskowe zagłębienia leżące na kilometr od brzegu załamywały siłę morskich fal, a łagodnie opadające piaskowe dno ułatwiało lądowanie mniejszych jednostek na plaży. Zostały one doprowadzone przy wysokim przypływie kilka godzin temu, a parowy taran już odholowywał jedną, rufą do przodu, aby zrobić miejsce dla pozostałych. Stosy bel i skrzyń oraz czworokątnych, przenoszonych na sznurach pudeł z amunicją, wędrowały ponad linię najwyższego poziomu wody. Nawet parę zdeterminowanych ciur obozowych, kobiety żołnierzy oraz służba – żołnierzom kawalerii wolno było mieć jednego służącego na ośmioosobowy oddział – także brodzili ku brzegowi.

Mistrz sierżant Piątego i dwaj inni żołnierze podeszli do psów. Każdy z nich chwycił za uzdę dominujące zwierzę w stadzie oddziału i odprowadził je po tym, jak kilka ostrzegawczych uderzeń po nosie trzonkami batów przekonało zwierzaki, że czas wracać do pracy.

– Przy nodze za mną, wy sukinsyny! – wrzasnął podoficer i ruszył kłusem w górę zbocza ku terenowi, który wyznaczyły pierwsze jednostki. Kawaleria mogła walczyć na

piechotę, ale żołnierze czuli się wyjątkowo nieprzyjemnie, nie mając pod ręką swoich wierzchowców. Potem podążyła reszta olbrzymich mięsożerców, z uniesionymi łapami, wachając wiatr wiejący od lądu. Jeszcze więcej psów płynęło ku brzegowi. Sądząc po sposobie, w jaki parę łodzi pościgowych śmigąło pomiędzy skalistymi wysepkami, spędzano rozpraszające się zwykle zwierzaki, które były zdeterminowane, aby popłynąć z powrotem do ostatniego portu, gdzie zawinięto.

Większe statki, o ładowności od czterystu do ośmiuset ton, były zakotwiczone z dala od brzegu. Sieci ładunkowe przerzucały zapasy i sprzęt do łodzi; albo działa polowe na solidną tratwę z beczek i drewna, jaką zbili ludzie Dinnalsyna. Łodzie wiosłowe holowały ją do brzegu. Mosiężne okucia zamka lśniły w porannym słońcu równie jasno jak kropelki wodnego pyłu wyrzucanego przez wiosła. Kompania piechoty za kompanią gramoliły się z osiadłych statków w dół, po sieciach, ustawiały w szeregi przy wtórze pokrzykiwań i gwizdów swoich oficerów i maszerowały w górę zbocza. Zapach wojskowego obozu – metalu, skóry, potu i psiego gówna – już zacierał czystą woń morza i wrzosowiska.

. Dwadzieścia tysięcy ludzi i dziesięć tysięcy psów schodziło na brzeg, a Raj zamierzał zakończyć cały ten proces przed zapadnięciem nocy.

– Jorg – zaczął Raj. Pułkownik piechoty kichnął i skinął głową. – Chcę, aby twoja piechota...

– ... rozbiła standardowy, ufortyfikowany obóz, wiem – powiedział ten. – My, piechota, służymy do kopania rowów. – Ziemia była dość płaska, więc ludzie nie będą potrzebowali artylerii, aby wbijała paliki wyznaczające obóz. Żołnierze byli w stanie we śnie rozbić standardowy obóz i czasami tak właśnie robili po forsownym marszu. Rozejrzał się dookoła. Zgodnie z mapą, w odległości dnia marszu nie było większych osiedli Brygadowców.

– Skoro zostajemy tylko na kilka nocy, czy jest to naprawdę konieczne? Ludzie mają sporo innych rzeczy do zrobienia.

Raj uśmiechnął się niczym carnosauroid. – Tak też *uważałem* pod Ksar Bourgie – powiedział. – I niemalże zostałem przerobiony przez Tewfika na strażnika haremu. Kopcie, jeśli łaska. Ludzie mogą rozbijać namioty albo i nie, ale chcę parapet strzelniczy, jamy na latryny i zapasy wody rozstawione tak, jakbyśmy mieli zostać tutaj przez miesiąc.

– *Ci, mi heneral.*

– Pojazdy opancerzone schodzą na brzeg – zauważył Dinnalsyn. – Czy chcesz, aby je

złożono?

W głosie artylerzysty słychać było lekką sprzeczną uczuć. Raj rozumiał, co tamten czuł. Pojazdy stanowiły pudełka z blachy kotłowej na kółkach, napędzane jedynymi gazowymi silnikami w Rządzie Cywilnym, kosztownymi, ręcznie wykonanymi. Były kapryśne i delikatne, wymagały ciągłej obsługi i musiały być ciągnięte przez woły, jeśli poruszały się na jakąkolwiek odległość po ziemi. Przysparzały piekielnego hałasu, spalin i gorąca operującym nimi załogom. Mimo to, gdy karabiny albo lekkie armaty strzelały zza kuloodpornej osłony, pojazdy mogły w krytycznym momencie mieć decydujące znaczenie – a to wynagradzało nie kończące się trudy ciągnięcia ich ze sobą.

Raj skinął głową. – Tylko ramy i pociski – powiedział. Silniki i uzbrojenie zostanie umocowane za dzień lub dwa, a puste pociski było o wiele łatwiej przewozić.

– Dobra – ciągnął Raj – to jest Półwysep Korony. – Postukał w zarys na mapie w kształcie kciuka. Półwysep wystawał z głównego wybrzeża Zachodnich Terytoriów na wschodnim krańcu. – Jesteśmy tutaj. – Na zachodnim wybrzeżu, sto kilometrów od Miasta Lwa, stolicy prowincji, i jakieś pięćset kilometrów morzem od wybrzeża położonego najbliżej Starej Rezydencji.

– Zabezpieczymy Koronę i Miasto Lwa, a potem ruszymy na północ – przeszedł palcem linię na północny zachód – przekroczymy rzekę Waladavir mostem tutaj lub brodem tutaj, a potem będziemy się posuwać na południowy wschód ku Starej Rezydencji. Co wówczas dokładnie zrobimy, zależy od okazji i wroga, ale zamierzam zająć miasto, zanim zima naprawdę nadciągnie.

– Naszym pierwszym celem jest spacyfikowanie Korony poza Miastem Lwa. Miasto ma jedyny prawdziwy garnizon, około cztery tysiące regularnych żołnierzy generała. Jeśli chodzi o resztę, to będziemy stawać przeciwko żołnierzom właścicieli ziemskich. Spodziewam się, że większość z nich się podda, ale nie liczę na to w żadnym konkretnym przypadku.

– Gerrin, weź dwie trzecie Piątego, 2 Batalion Rezydencji i dwa działa i ruszaj na północny zachód drogą wzdłuż wybrzeża. – Drugą ręką wskazał w głąb lądu. – Hadolfo, twój Pogranicznicy i 1 Kirasjerów oraz dwa działa na północny wschód. Kaltin, weź 7 z Descott i trzy działa – tobie przypadło parę miasteczek na skrzyżowaniu dróg, a możemy ich potrzebować – i ruszaj prosto na wschód. Ehwardo, ty masz Jednostkę Własną Poplanich, Dragonów Maximilliano oraz baterię. *Udasz się na południowy wschód, na drugą stronę Korony, główną „osiową” drogą. Ludwig, weź 2 Kirasjerów i Rzeźników z Rogor oraz dwie*

baterie. Ruszaj prosto na południe ku bramom Miasta Lwa i upewnij się, że nikt się do niego nie dostanie ani z niego nie wydostanie. Miasto będzie wystarczającym problemem bez zbyt wielu jednostek umacniających jego obronę.

Suzette powróciła z łańcuszkiem służby z kwatery głównej, niosącej tace upieczonych kiełbasek w rozciętych bułeczkach. Każdy z oficerów pochwycił jedną. Raj posługiwał się swoją, gestykulując pomiędzy kęsami.

– Wszyscy widzieliście walki pomiędzy sierpostopami i trójrozcami?

Chór przytaknięć. Trójroźce były roślinożernymi sauroidami sięgającymi sześciu ton, z kościanym pancerzem na głowie i kłębie, o paskudnym temperamencie, często spotykanymi w rzadko zaludnionej dzicy. Sierpostopy były małymi carnosauroidami, nieco większymi od człowieka, z ogromnym, zakrzywionym palcem szczątkowym na tylnich łapach, zwykle przylegającym do nogi. Polowały w stadach, były paskudne i niesamowicie zwinne, wyskakiwały w powietrze, by wysunąć pazury i kopnięciem szlachtowały ofiarę na śmierć. Te dwa gatunki rzadko się ze sobą zadawały w swoim naturalnym środowisku, ale często wystawiano je przeciwko sobie na dużych, miejskich stadionach w Rządzie Cywilnym.

– My jesteśmy sierpostopami, a Brygadowcy trójrozcami. Jeśli pozwolimy im na posłużenie się ich siłą, to nas zmiążdżą. Zadajemy cięcie, ruszamy i pozwalamy im na wykrwawienie się na śmierć.

Raj położył rękę na mapie, z dłonią w miejscu lądowania i rozłożonymi palcami. A potem obrócił dłoń, składając palce razem, gdy zbliżały się do Miasta Lwa.

– Będziecie się posuwać na południe zgodnie z kierunkiem wskazówek zegara, raz po raz przeczesując teren. Ludwigu, jesteś kowadłem dla każdego, kto się przedostanie. Szybkość i uderzenie, panowie – nie sikajcie na nich, kopnijcie ich w łby. Jeśli damy im czas na złapanie oddechu, to przez lata będziemy mieć całe ich bandy ukrywające się w lasach, a my *nie* mamy dosyć żołnierzy na garnizony. Zduście wszelki aktywny opór. Zduście mocno, siejcie przerażenie. Tych, którzy się poddadzą, i każdego mężczyznę, który choćby wygląda na żołnierza, pozbawcie wszelkiej broni aż po noże u pasa i odeślijcie do bazy. Popędzimy ich do Wschodniej Rezydencji powracającymi transportowcami i zarekwirowanymi statkami. Nie chcę także, aby dostępna była choćby uncja prochu lub ołowiu. Zniszczcie wszelką broń, której nie można łatwo wywieść. Kiedy już obszar zostanie spacyfikowany, administrator Historiomo utworzy policję i milicję z rdzennej ludności, a my możemy posłużyć się przejętą bronią, by ją uzbroić.

– I znowu, messerowie, jedyny sposób, w jaki możemy opanować tak duży obszar przy pomocy tak niewielu żołnierzy, to rozjechać ich, zanim zdadzą sobie sprawę, co ich walnęło. Jeśli będziemy wyglądać na zwycięzców, także ludność tubylcza zgromadzi się wokół nas, a nam *potrzeba* czynnego wsparcia przeciwko Brygadowcom. To, co wydarzy się w Koronie, zaważy na całej kampanii.

– Jorg, ty też będziesz miał mnóstwo roboty. Wszystkie mobilne kolumny będą setkami odsyłać jeńców na *tyły*. Będą cię także prosić o tymczasowe garnizony piechoty, aby pilnować skonfiskowanych zapasów, broni i strategicznych miejsc.

– Wszyscy macie raporty wywiadu – ciągnął. – Zapisałem rody magnackie, z których chcę zakładników. Będziemy ich tutaj tymczasowo sprowadzać, aż znajdziemy coś lepszego, razem z żołnierzami, ale nie mogą się ze sobą mieszać. Suzette...

– Dopilnuję tego – powiedziała.

Sprawienie, by zakładnicy byli – nie szczęśliwi – ale nie zdemoralizowani do niemożliwości, będzie trudne przy surowych ograniczeniach i dostępnych środkach. Martwy zakładnik to gorzej niż marnotrawstwo, a źle potraktowany może spowodować samobójczy opór wśród szlachty Brygady. Większość z zakładników będą stanowiły kobiety i dzieci, i to szlacheckiego pochodzenia. Pani Whitehall uśmierzy część niepokojów i kłującą świadomość ich statusu. W ten sposób będzie miał ich z głowy i zapewniony spokój ze strony rodów, których zabezpieczenie stanowili. To było warte więcej niż bataliony żołnierzy w garnizonach do spacyfikowania terenu.

– Muzzafer? – ciągnął Raj. Komarianin przez cały dzień był na brzegu, działając w przebraniu.

– *Seyor*, już się skontaktowałem z niektórymi lokalnymi kupcami w miasteczkach przy farmach. Możemy oczekiwać, że wraz z tutejszymi wieśniakami i rdzennymi właścicielami ziemskimi w przeciągu dnia dowiozą zapasy do jakiegokolwiek punktu, jaki wyznaczymy. Nie powiedziałem im oczywiście gdzie.

Raj skinął głową z aprobatą. – Uczynić tak teraz. Łącznie z jeńcami, osobami towarzyszącymi i żołnierzami będziemy musieli wykarmić wkrótce czterdzieści tysięcy ludzi albo i więcej. Pewnie wszyscy zauważyliście, że tutaj jest chłodniej. – Wszyscy skinęli głowami. Pogoda była w sam raz. Nie było takiego upału jak na wyspie Stern. – Tutaj deszcze zaczynają się wcześniej i pada bardziej niż w rodzinnych stronach. Ścigamy się z czasem. Pytania?

– Panie – odezwał się Cabot Clerett. – Moja misja?

Raj patrzył na niego przez chwilę, a potem przesunął palec w górę mapy. – Majorze Cleretcie, przypisuję ci nieco inną rolę. Weźmiesz swój 1 Straży Życia z Rezydencji i 21 z Novy Haifa i ruszysz prosto tutaj, do rzeki Waladavir.

Clerett wyglądał świeżo i bojowo w jasnym słońcu, z hełmem zatkniętym pod pachą, rzucając czarnymi kędziorami. – Mam pełnić funkcję osłonową, panie?

– Coś więcej – powiedział Raj. – Chcę, abyś zabezpieczył most przez Waladavir przy Sna Chumbiha i brody – ustaw umocnienia ziemne i swoje działa – a potem wyślij przez rzekę, ku zachodowi, grupy podjazdowe odpowiednich rozmiarów z dwóch batalionów kawalerii, aby zaatakować posiadłości magnackie i małe garnizony. Pułkownik Menyez ruszy z czterema batalionami piechoty, aby zająć most i brody i zluzować twoich ludzi. Oni wraz z 21 z Novy Haifa staną się kotwicą dla naszej linii natarcia.

– Chcemy ukryć nasze intencje i, mam nadzieję, wywołać panikę u każdego Brygadowca pomiędzy rzekami Waladavir i Padan, aby wróg myślał, że znajdujemy się u jego progu. Chcę, by ludzie uciekali do Koszar Carson, unosząc rodowe srebra i wyjąc o potworach. Nie próbuj utrzymywać terytoriów na zachód od przyczółków na moście. Pał i zabijaj, ale wybiórczo, jedynie Brygadowców, i tylko mężczyzn, jeśli się da. Nie chcę później przez kilka tygodni maszerować przez pustynię. Poruszajcie się szybko, niech uciekinierzy przesadzają z naszą liczebnością i myślą, że jesteście wszędzie naraz. Przy odrobinie szczęścia tubylcy sami powstaną.

– Panie! – Cabot drżał z zaskoczenia i pełnej podejrzeń radości. Było to zadanie z dużą ilością szans dla śmiałych i odważnych. Spodziewał się, iż zostanie zatrzymany do czegoś nudnego i bezpiecznego.

– Majorze Clerett – ciągnął Raj. – Uważaj. – Zaczekał chwilę. – Jestem przekonany co do twojej odwagi i chęci walki. Oficer kawalerii pozbawiony agresji jest żaloszny. Ta misja będzie sprawdzianem twoich umiejętności. Znane mi są słabości agresywnych, młodych dowódców, jako że sam byłem takim u zarania dziejów.

Uśmiechnięto się na to. Raj Whitehall był najmłodszym generałem w przeciągu pięciuset lat, a dowódcy jego batalionów byli prawie dekadę młodszy niż ich odpowiednicy w innych jednostkach Rządu Cywilnego. Tylko dwóch Towarzyszy przekroczyło czterdziestkę.

– Pamiętaj, że Brygadowców będzie coraz więcej, im bardziej na zachód się posuniesz.

Niektórzy z wielkich wielmożów mają prywatne armie wielkości batalionu albo i większe. *Nie* zrywaj kontaktu, *nie* zagłębiaj się zbyt i *nie* pozwól, aby twoi ludzie wyrwali się spod kontroli. Najazd utrudnia zachowanie dyscypliny, ale czyni ją jeszcze bardziej niezbędną. Pułkownik Staenbridge będzie w stałym kontakcie i będzie stanowił twoją rezerwę. Jeśli natkniesz się na coś większego, *nie* wahaj się wezwać pomocy, jeśli będziesz jej potrzebować. Zostajesz wysiany, aby stwarzać pozory siły, więc jeśli którakolwiek z twoich jednostek zostanie pochwycona w pułapkę, wówczas będziemy mieć tam *prawdziwy* problem. Niech Brygadowcy zasmakują zwycięstwa, choćby niewielkiego, a będą nas atakować, zamiast uciekać. Możemy pokonać ludzi każdego szlachcica, ale na to potrzeba czasu. Niech twoi ludzie się ruszają i nie pozwól sobie na ugrzęźnięcie.

Co oznaczało, między innymi, powstrzymywanie ich przed obciążaniem się zbyt dużym łupem. Był to prawdziwy sprawdzian zdolności przywódczych – nie dopuścić, by żołnierze rozbiegli się po *razziah* na bogatych ziemiach.

Suzette przemówiła cicho. – Jestem pewna, że major Clerett nas nie zawiedzie, Raju.

>>Prawdopodobieństwo tego, iż Clerett postąpi zgodnie z poleceniami, mieści się w przyjętych parametrach 82% plus minus 4, w oparciu o napięcie w głosie i inne analizy.<< powiedziało Centrum.

A Barholm nie może narzekać, że nie daje jego bratankowi szansy na zabłyśnięcie.

Cabot stuknął obcasami. – Bądź spokojna, messa.

Raj skinął głową. – Daję ci nie więcej niż tydzień na najazdy – ciągnął dalej. – A potem będę cię potrzebował z powrotem pod Miastem Lwa. Zarzuć szeroką sieć zwiadowców na zachód od rzeki. – Rdzenni mieszkańcy najpewniej dadzą wam dosyć informacji, zwłaszcza przy odrobinie tego – potarł palcem o kciuk – ale będziecie musieli to sprawdzić. A potem oddaj dowodzenie majorowi Istbanowi i ruszaj ku miastu, które będzie obleżone.

– Jest to złożony zestaw manewrów, panowie, który należy wykonać szybko, ale jesteście teraz wszyscy dużymi chłopcami. Wykażcie się inicjatywą.

Gerrin odchrząknął. – A co ty będziesz robił, Raju?

– Ach, cóż, przybyły nasze szczepowe siły pomocnicze. Łącznie z ośmiuset Skinnerami.

– Łagodni, wstrzemięźliwi ludzie – wymruczał ktoś.

– Miecz obosieczny, ale ostry – przyznał Raj. – Wraz z dwiema kompaniami Piątego

utworzą centralną rezerwę *pod moją* bezpośrednią komendą. Kiedy natkniecie się na coś niezwykłego, panowie, powiedzcie mi, a ja ich sprowadzę. Po tym jak stanie się tak raz czy dwa, nawet bardzo uciążliwe warunki poddania się zaczną wyglądać naprawdę dobrze.

– Żadnych więcej pytań? Zatem zbierzmy naszych ludzi i zajmijmy się naszymi sprawami. – Towarzysze i kilku innych dowódców batalionów podeszło bliżej i uderzyli się uniesionymi pięściami złożonymi w piramidę. Skóra ich rękawic zachrzęściła ostro.

– Piekło albo łupy, psi bracia.

* * *

– Kolejnych siedmiu wśród drzew, ponie – powiedział M'lewis, nie obracając głowy. – Z pół kilometra, ano.

– Dobry wzrok, poruczniku – skinął głową Raj.

Tak właściwie to Skinnerzy nie wystawiali czujek. Zawsze tylko grupki ludzi rozkładały się wokół obozu i w ten sposób widzieli, słyszeli i pewnie wyczuwali wszystko. W rodzinnych stronach, na równinach dalekiego północnego wschodu, żyli, polując na sauroidy. Każdego rodzaju, od stad sierpostopów i wielkich roślinożerców po wysokie na dziesięć metrów mięsożerców. Sauroidy na Bellevue nie miały za sobą miliona lat kontaktu z homoidalnymi, które obdarzyłyby je instynktem unikania ludzi. W większości zamieszkałych obszarów musiano wystrzelać wszystkie większe gatunki. Skinnerzy żyli pośród rodzimej przyrody i mieli się świetnie.

– Trębacz, zagraj: do galopu. Pamiętajcie polecenia.

Zabrzmiały chłodne, metaliczne tony i dwustu ludzi ruszyło szybkimi susami z kolbami karabinów spoczywającymi na udach. Gdy przedarli się przez ścianę zarośli wokół wielkiej łąki, unieśli je i wystrzelili w niebo, a potem obrócili długą broń w dół i wsadzili w pochwy przed kolanami. Był to gest pogardy, nie pokrzepienia... stwierdzenie: *nie warto mieć na spotkaniu z wami załadowanej broni*.

Istniała etykieta, której należało przestrzegać, zadając się ze Skinnerami.

Nikt się nie podniósł, gdy żołnierze się zbliżyli, chyba że akurat ktoś już stał. Ci, którzy chcieli się gapić, tak właśnie robili. Ci, którzy spali albo pili, nadal to robili. Jeden mężczyzna wystąpił powoli do przodu, przypatrując się, jakby z zaskoczeniem.

– Eh, *mun ami* – powiedział wódz Juluk Paypan. Potem obrócił się i krzyknął w

paytoizkim, języku Skinnerów – *Iles de Gran'wheetigo! E' sun bruha. L'hum qes' mal com nus!*

Na to wielu Skinnerów podniosło wzrok. Kilku wydało z siebie powarkujące powitanie i zaczęło napływać ku wodzowi i generałowi, który był – teoretycznie – ich dowódcą.

– Co to znaczy? – spytała Suzette. W czasie ostatniej kampanii wjechała wraz z nim do wrzącego obozu Skinnerów, aby stanąć przed wodzami, po tym jak Raj powiesił dwóch Skinnerów za morderstwo. Teraz po raz pierwszy widziała ich w pokojowym nastroju.

Oczywiście przy tamtej okazji mieli za sobą cztery bataliony z wymierzonymi karabinami i baterie artylerii.

Raj przetłumaczył – To wielki diabeł i jego wiedźma. Człowiek, który jest *równie zły jak my*.

– Czy to komplement?

Raj się skrzywił. – Dla Skinnera.

Nigdy nie nauczył się języka Skinnerów, nie sam. Wiedza została wszczepiona mu przez Centrum. Myślenie o tym zawsze przyprawiało go o nudności, jak odbicie po zjedzeniu zepsutej wieprzowiny.

Nie było dobrym pomysłem zastanawianie się nad zapachami w pobliżu Skinnerów. Mali nomadzi o pałkowatych nogach byli na brzegu dopiero jeden dzień, ale smród ich obozu już porażał. Przy wjeździe widzieli, jak jakiś mężczyzna stał w swoim skąpym siodle i sikał. Wojownik zamachał im radośnie i bez skrupowania poprawił opaskę lędźwiową, a potem odjechał, pokrzykując. Kilku z nich ustawiło skórzane schronienia na drągach, ale większość nomadów-najemników spała tak, jak jadła, wypróżniała się i kopulowała – tam, gdzie ich wzięła ochota. Obóz usiany był gównem, ludzkim i psim, oraz kawałkami i resztkami nie dających się zidentyfikować rzeczy. Tusza jednoroga leżała w środku kręgu ognisk. Był to roślinożerca średnich rozmiarów, dwukrotnie większy niż duży byk, z nogami niczym kolumny i kościanym pancerzem rozciągających się od długiego rogu na nosie aż do szczytu zgarbionego kłębu. Pojedyncza, okrągła dziura nad okiem ukazywała, co go zabiło. Skinnerzy prawdopodobnie obozowali tam, gdzie zginął. Ciało i ziemia na kilka metrów wokół były czarnym dywanem złożonym z much.

Gdy Raj się przyglądał, jakiś Skinner wycofał się z jamy żołądka zwierzęcia z kawałkiem lśniącego fioletowo-szarego flaka w zębach. Odrąbał go jakąś stopę od ust, a potem odrzucił

głowę do tyłu, by połknąć mięso bez przeżuwania. Raj i reszta patrzyli, jak widoczne wybrzuszenie wędrowało w dół gardła aż do zaokrąglonego już brzucha.

Juluk szerzył się w uśmiechu od ucha do ucha. Był dosyć typowy jak na swoją rasę, niższy niż Suzette, ale dwa razy tak szeroki, normalny mężczyzna ściśnięty o połowę do karzełkowatych rozmiarów. Twarz i ciało były koloru starej, naoliwionej skóry. Trudno było stwierdzić, jak wyglądałaby naturalnie jego ogolona głowa ze skalpem i okrągła twarz z małym, spłaszczonym nosem, gdyby nie masa blizn. Jakaś połowa z nich była szczepowymi znakami. Juluk nosił legginsy z frędzlami i długimi nożami na udach. Skrzyżowane pasy na jego piersi zawierały pociski do dwumetrowej, smukłej strzelby, na której się opierał, a każdy z mosiężnych ładunków był dłuższy niż ludzka dłoń, zaś każda kula większa niż kciuk Raja. Pies leżał u jego stóp. Zwierzak rzucił spojrzenie na Horace'a i znowu zapadł w sen.

Tylko Skinnerzy mieli zwyczaj jeżdżenia na psach myśliwskich, i to w dodatku płci męskiej. Horace był jednym z powodów, dla których uważali Raja za ludzką istotę. Większość powodów związana była z ilością ciał, jakie piętrzyły się po jego bitwach, wywierając wrażenie nawet na szczepach, które Kościół nazywał biczem gniewu Ducha.

Juluk pociągnął łyk i podał Rajowi skórzany bukłak. – Hej, może być, zabijemy cię teraz punie-mężczyzno, i tak czekaliśmy zbyt długo. Przyszedłeś powiesić więcej *mes gars* za zabicie rolników? To dlatego przyprowadzasz półmężczyzn?

Wskazał głową na dwie kompanie Piątego, usadzające swoje psy za Rajem i Suzette. Półmężczyzna to był komplement. Skinnerzy mieli coś na kształt szacunku wobec Descotczyków. Ich własna nazwa tłumaczyła się na sponglijski jako prawdziwi mężczyźni. Albo jedyni prawdziwi mężczyźni.

Raj pociągnął długi łyk *arraku*, figowego džinu z pieprzem, czerwoną papryką i prochem. A potem się pochylił i wypluł połowę na nos psa Skinnera. Wielki zwierzak podniósł się, warcząc. But i ostroga Raja spotkała się z jego nosem dobrze wymierzonym w czasie kopniakiem, a Horace pokazał swoje zęby, tak długie jak ludzkie palce, kilka centymetrów od gardła drugiego zwierzęcia. To się rozmyśliło, odwróciło i oddaliło powoli, kłapiąc uszami wielkości ścierki do naczyń.

– Utrzymuję cię przy życiu, Juluk, tylko po to, żebyś mnie rozśmieszał – powiedział Raj, znowu popijając. Tuż przed przybyciem do obozu Skinnerów generał zjadł pół bochenka chleba nasączonego oliwą. – Przyprowadziłem tutaj prawdziwych mężczyzn, aby pokazać wam, mali chłopcy, jak się walczy. Skąd bierzesz te sauroidowe rzygi? Szczam na grób twojej

matki suki.

Tym razem przełknął większość napitku, walcząc ze sobą, aby się nie zakrztusić. Ku jego zaskoczeniu następnie Suzette wzięła bukłak i pociągnęła porządny łyk. Niektórzy Skinnerzy skrzywili się na jej zarozumiałość, a jeden czy dwóch potrząsnęło w jej stronę woreczkami z lekami, ale większość ryknęła śmiechem, włącznie z Julukiem. Kobieta z *baraka*, z mocą ducha, była jeszcze większym żartem niż nie-Skinner z prawdziwymi jajami. Jego naszyjnik z długich na palec kłów sauroida zagrzechotał o bandolety.

– Eh, nawet twoja kobieta ma jaja, punie-mężczyzno! Wielki wódz z kamiennego domu mówi mi, że idziecie toczyć wojnę z długowłosymi na zachodzie. Dobra walka tam, gdzie toczysz wojnę.

– Gdzie jest twój przyjaciel Pha-air? – Na poprzedniej kampanii było dwóch wodzów z tą bandą.

– Och, zabiłem go sezon temu – rzucił wódz Skinnerów ze wzruszeniem ramion. – Dał mi to, dobry w robieniu nożem. – Brudny kciuk przeszedł nową bliznę, wciąż błyszczącą, przebiegającą przez brzuch wodza.

Raj podniósł głos – Czy jesteście, kobiety, gotowe iść do walki, czy też jesteście dobrzy jedynie w picciu i jedzeniu sauroidów, które zdechły od choroby?

Dało się słyszeć więcej pohukiwań i wybuchów śmiechu. Skinnerzy wyglądali i śmierdzieli jak trolle, ale w ich głosach pobrzmiwała piskliwość podnieconych uczennic.

Juluk wypalił z ogromnego karabinu na swoim ramieniu, nie zadając sobie trudu, aby go przesunąć. Piętnastomilimetrowy pocisk z mosiężnym rdzeniem świsnął jakiś metr od głowy Raja, ale ten był równie bezpieczny, jakby broń znajdowała się we Wschodniej Rezydencji. Wódz Skinnerów poderznąłby sobie gardło ze wstydu, gdyby kiedykolwiek postrzelił człowieka, nie mając takiego zamiaru.

Ludzie i psy wyłaniali się obozu i gąszczów dokoła. Zapanował chaos, natychmiastowa przemiana ze śpiącego letargu do pełnego pohukiwań i pokrzykiwań tumultu – ale w przeciągu mniej niż pięciu minut trunki i amunicja zostały wrzucone na psy luzaki, a wojownicy znaleźli się w siodłach i byli gotowi do wyruszenia.

Centrum nauczyło Raja paytoizkiego, ale Raj zawsze dogadywał się ze skimmerskimi najemnikami.

– Czy oni rzeczywiście warci są zachodu? – spytała Suzette, gdy eskorta ustawiła się

wokół niej na tę krótką podróż z powrotem do obozu wypadowego.

– Moja słodka, widziałaś ich tylko dwa razy, i to w obozie – powiedział Raj. – Jako żołnierze to katastrofa. Dewastują każde miejsce, gdzie ich się stacjonuje i równie dobrze można próbować dyscyplinować sauroida, a kiedy są pijani, co zwykle się zdarza... Ale gdybyś mogła zobaczyć, jak *walczą*. – Potrząsnął głową. – Tak, są warci zachodu.

* * *

– Dlaczego droga jest tak daleko w głębi łądu? – spytał Barton Foley.

– Piraci – odparł Gerrin Staenbridge. – Więcej zysku w nadbrzeżnych najazdach niż w atakowaniu statków, jeśli cel nie ma sygnałowych heliografów, floty parowych taranów i sił szybkiego reagowania tak jak Rząd Cywilny.

Kompania A z Piątego stanowiła czujkę w drodze na północ, wraz z proporcem batalionu i oddziałem dowódczym. Przez wzgląd na szybkość pozostawali w *kolumnie* z jeźdźcami wysuniętymi do przodu i po bokach. Od czasu do czasu dostrzegali ich wpadających do małych lasków i przeskakujących przez płoty na skraju pola widzenia.

– Piraci Eskadry? – ciągnął Barton.

– Pewnie nie ostatnie pokolenie, ale jest mnóstwo wolnych strzelców operujących z wysp takich jak Blanchfer i Sabatin, zaraz na południe stąd... Ach, oto powinno się już wyłaniać miejsce naszego dziedzicznego pułkownika Makmana.

Mapy mówiły, że był to główny trakt wojskowy. W Rządzie Cywilnym, a nawet w Descott, nazwaliby to szlakiem i już. Głównie była to ubita ziemia, która, być może, w przeciągu ostatnich kilku lat została wyrównana ciągniętą przez woły skrobaczką, a ktoś kiedyś w przeszłości wsypał żwir w zagłębienia. Sztachetowe płoty biegły po obu jej stronach. Za pasem lasu wzdłuż wybrzeża teren przechodził w falujące pola. Tu i ówdzie na szczycie pagórka wyrastały małe laski dębu, leszczyny i jakichś rodzimych drzew z heksagonalnymi łuskami kory i szkarłatnymi liśćmi. Pszenica z pól już dawno została zebrana, ale było wiele pól *mais-kwan* po nameryjsku i *gruno* po spanjolsku – pełnych suchych, szeleszczących kolb sięgających jeźdźcowi do pasa.

Grzebień wzgórza wznosił się z przodu i po prawej, na wschód od drogi. Dwaj oficerowie unieśli lornetki. Dwór był dużym, czworobocznym budynkiem z pobielonego kamienia, o wyrastającej na rogu przysadzistej wieży z powiewającym proporcem Brygady z podwójną błyskawicą oraz osobistym herbem składającym się z zawiłych, splecionych pętli,

białych na ciemnej szarości. Niższe piętro pocięte było wąskimi oknami, ale górne miało balkony i szerokie połacie szyb. W pobliżu stało parę długich, niskich budynków; bez wąpienia stajnie i koszary.

– Prawie jak w domu – rzucił sucho Gerrin.

Architektura Descott odznaczała się podobnymi cechami. Jednakże pokój i dobrobyt nigdy nie trwały na tyle długo, by poszerzyć okna na drugim piętrze.

Staenbridge podniósł rękę w górę i zabrzmiała trąbka. – Batalion...

– Kompania...

– Zwolnić marsz... *stać*.

– Miejmy nadzieję, że Makman posłucha głosu rozsądku – powiedział dowódca Piątego.

– Też mam taką nadzieję – odparł Foley. Obrócił się w siodle – Flaga rozejmu, poruczniku, i za mną, jeśli łaska. – Odwrócił się do Staenbridge'a. – Pewnie jednak nie posłucha. Nie będzie pierwszym z tych, których odwiedziliśmy.

* * *

– Co robicie? – ryknął starzec.

– Wzywamy cię do poddania, w imię Rządu Cywilnego Świętej Federacji – rzekł spokojnie Foley.

Dłoń miał na pistolecie, ale był w pełni świadom, co mógł zrobić snajper. Biała chorągiew powiewała na drzewcu jego chorążego. Na niewiele się to zdało biednemu Mekkle Thiddo w zeszłym roku po tym, jak dostarczył głowę Connera Aubuma jego bratu admirałowi. Umysł Kaltina starał się odegrać sceny z plującymi dymem garłaczami Eskadry, padającej białej flagi... a zamiast tego upierał się przy pokazywaniu mu twarzy Raja Whitehalla, gdy ten jechał wzdłuż szeregu trzydziestu jeden krzyży, a na każdym znajdowało się poskręcane ciało jednego z mężczyzn odpowiedzialnych za pogwałcenie praw wojennych.

To także na niewiele się zdało Thiddo.

Dzwon rozlegał się z wieży dworu. Przestraszone twarze wyglądały z okna na drugim piętrze, a psy podniosły wrzawę w stajni, gdy mężczyźni biegli je osiodłać. Za nim wierzchowce plutonu poruszyły się i cicho zawarzały, zdając sobie sprawę z agresji, jaką było wpychanie się na terytorium innego stada, ale szkolenie pozbawiło je instynktownego oporu. Żwir podjazdu chrząścił im pod łapami. Ich zmasowany oddech śmierdział, pokonując

zapachy dymu drzewnego i ogrodu.

Dziedziczny pułkownik Makman był wysoki. Miał około stu dziewięćdziesięciu centymetrów wzrostu, a na grubych kościach niewiele zbędnego ciała, zaś jego czerwona twarz kontrastowała gwałtownie z okalającymi ją białymi, rozszerzającymi się ku dołowi bokobrodami. Niespodziewani goście wyraźnie zaskoczyli go w czasie lunchu, z chustką zatknętą za kołnierz koszuli.

Makman spojrzał gniewnie na Foleya. – *Grisuh*, odważny jesteś, przybywając na *moją* ziemię z taką historyjką – warknął tonem człowieka, któremu od dawna się nie przeciwstawiano.

Foley uśmiechnął się i uniósł swój hak. – Messerze, to określenie *grisuh* jest niegrzeczne, nie wspominając o tym, że nieadekwatne. Ostatnim człowiekiem, który posłużył się nim wobec mnie, był jeden z żołnierzy Curtisa Aubuma, a on źle skończył. – Nagłe wątpliwości przemknęły przez twarz Makmana.

– *Seyor* – powiedział dowódca plutonu: *Panie*.

Foley odwrócił głowę. Grupa ludzi sunęła w górę trawiastego zbocza po prawej. W różnych kawałkach pospiesznie narzuconego munduru, wszyscy jednak mieli karabiny i miecze. Zatrzymali się na widok ludzi na wierzchołkach, a potem ruszyli znowu bardziej umiarkowanym tempem.

Młody kapitan skinął głową. Porucznik rzucił rozkaz i połowa plutonu zawróciła psy dotknięciem stopy. Kolejne dotknięcie i zwierzęta przysiadły. Ludzie postąpili do przodu, prezentując karabiny.

– Pochylić broń! Nasadzić bagnety! – Płynna precyzja, gdy walnęły kolby, a ręce uderzyły o rękojeści. Nie była to sztywność parady, ale naturalna płynność działania wykonywanego jako część zwykłego życia, praktykowanego codziennie rzemiosła. Wysunęły się bagnety, jasne i długie jak męskie przedramię, i zagrzechotały, gdy wsuwały się w mocujące pierścienie i okucia. – Na ramię broń – przedni szereg – na kolana – gotować się – wymierzyć – znaleźć cel – przygotować się do: salwą pał. Na słowną komendę!

Ręce uderzyły o żelazo i długie karabiny ze zbrojowni powędrowały ku ramionom. Za klęczącymi strzelcami drugi rząd dobył szabel i odchylił je do tyłu, opierając na ramionach. Psy obnażyły zęby i zawarczały niczym głązy kotłujące się w rwącej rzece. Długie łańcuszki śliny spływały z ich otwartych, półmetrowych pysków.

Makman zaskoczył Foleya. Przemówił cicho. – Przybyliście pod flagą rozejmu.

Twarz Bartona Foleya była kiedyś śliczna na delikatną modłę. Wciąż pozostawała szczupła i przystojna w ascetyczny sposób. Czarne oczy spotkały się z niebieskimi i oczy wielmoży Brygady zwięzły się, gdy oddał się wspomnieniu. Sądząc po pokiereszowanym wyglądzie jego dłoni o grubych palcach, kiedyś zaznał dosyć walki. Dosyć, by rozpoznać człowieka balansującego na skraju morderczego gwałtu.

– Messerze, widziałem kiedyś oficera zamordowanego pod flagą rozejmu przez barbarzyńców Eskadry – rzekł młodzieniec.

Makman wyszarpnął chustkę zza koszuli i częściowo się odwrócił. – Siegfrond! – rzucił. – *Opuść broń, ty głupcze!*

Żołnierze Brygady uformowali nierówną linię ognia. Teraz ich lufy powędrowały w dół. Było ich ze trzydziestu, a jeszcze więcej schodziło się od koszar, pojedynczo lub dwójkami, jak kryształki zbierające się w roztworze.

– I niech ktoś zatrzyma ten piekielny dzwon.

Służący z tłumu zgromadzonego wokół wielmoży Brygady oddalił się pospiesznie i dźwięk brązu ucichł.

Na szeroką werandę ufortyfikowanego dworu wyszła kobieta. Miała dwadzieścia parę lat. Była w długiej, białej sukni ze sznurem pereł i z cztero lub pięcioletnim dzieckiem u boku.

– Dziadku – zaczęła – co – och! – Zgarnęła dziecko do siebie i przyłożyła dłoń do gardła.

Makman przyglądał się żołnierzom przed domem, *widząc* ich po raz pierwszy, jak podejrzewał Foley. – *Gubernio Civiil* rzeczywiście – powiedział i podniósł wzrok na oficera. – Czy to jest jakiś najazd? Masz sporo odwagi, młodzieńcze, przybywając tak daleko w głąb lądu z mniej niż czterdziestoma ludźmi.

– To jest awangarda armii generała Raja Whitehalla – powiedział Foley z pięknym uśmiechem. Kobieta głośno wciągnęła oddech, a rumiana twarz Makmana pobladła.

– On jest na wyspie Stern – wyszeptał.

– *Był* – poprawił go Foley. – Miecz Ducha Człowieka jest szybki. A jeśli byś wątpił, że jest nas więcej...

Dobył szabli i obrócił się w siodle, wymachując powoli klingą w powietrzu. Na dole

zбочa, od strony przydomowych ogrodów rozciągało się otwarte pole, pełne pasącego się, czarno umaszczonego bydła. Dalej była ziemia uprawna z rozsianymi małymi chatami, częściowo drewnianymi i krytymi słomą, oraz linia drzew. Czerwone światełko zamrugało ze skraju lasu. Pół sekundy później dobiegło głuchoe *poumf* siedemdziesięciopięciomilimetrowego polowego działa i jękliwy, rozdzierający dźwięk.

Wysoka fontanna ziemi w kształcie butelki trysnęła z pastwiska. Bydło uciekało, rycząc, poza trzema sztukami, które leżały zmasakrowane. Widać tylko było czerwoną krew i różowe wnętrzości na tle czarnej skóry. Zabłysnęła stal wzdłuż całego skraju odległego pola, gdy pięciuset ludzi wyszło na otwartą przestrzeń, a słońce odbiło się od ich bagnatów. Rozgorączkowany głos zawołał z wieży, że za dworem widać ich więcej, w wieśniaczej wiosce.

2 z Rezydencji, na czas, pomyślał Foley.

– Jakie... – wycharczał Makman. – Jakie są wasze warunki?

– Warunki generała Whitehalla są następujące. Masz złożyć przysięgę posłuszeństwa Rządowi Cywilnemu i całkowicie współpracować ze wszystkimi jego oficerami i administratorami przy dostarczaniu zapasów i poborowych. Wszelka broń i uzbrojeni ludzie mają zostać oddani do naszej dyspozycji. Żołnierze będą odesłani do Wschodniej Rezydencji w celu wcielenia do naszej armii. Będziesz towarzyszyć osobiście naszym żołnierzom, aby zachęcić do poddania twych wojskowych wasali i sąsiadów. W zamian zostanie oszczędzone twoje życie, wolność i jedna trzecia twoich nieruchomości.

– Jedna trzecia!

– To o wiele więcej niż to, czym będziesz cieszyć się w grobie, messorze. Bowiem moje rozkazy mówią, że jeśli odmówisz, to miejsce ma zostać splądrowane, a każdy, kto przeżyje, sprzedany w niewolę. – Foley podniósł wzrok i popatrzył na młodą kobietę. – Wątpię, czy *twojej* wnuczce *spodoba* się życie dziwki w burdelu w dokach Wschodniej Rezydencji. – Przerwał, zanim Makman zareagował. – Widziałem to już, messorze. *Robiłem* to już. Wierz mi.

Starzec się przygarbił. Foley przemawiał nieugięcie – Dostarczysz także jeńca z twojej bliskiej rodziny jako gwarancję twego dobrego zachowania.

– Kogo? – spytał Makman, przesuwając dłonią po twarzy. – Mój syn nie żyje od dziesięciu lat, moje córki znajdują się ze swoimi mężami, a mój wnuk jest dowódcą w

Kawalerii Makmana w Koszarach Carson... – przerwał, marszcząc brwi.

Młoda kobieta pobladła i spojrzała gniewnie na Foleya, a wielkie, pokryte starczymi plamami dłonie Makmana zacisnęły się. Młodzieniec o mało co się nie roześmiał, ale udało mu się zachować poważny wyraz twarzy. Sprawy jeszcze nie *całkiem* dobiegły końca, w końcu byli to barbarzyńcy.

– Twoja wnuczka i prawnuk będą pod opieką pani Suzette Whitehall – uspokajał. – Wnuczka może zabrać jedną służącą i odpowiednią przyzwoitkę, a jako że będziesz musiał przybyć, aby przysiąc wierność generałowi Whitehallowi, to możesz sam zawieźć ją do pani Whitehall. I bądź spokojny, daję słowo dżentelmena i oficera, iż jej honor jest przy mnie bezpieczny.

Gdybyś tylko wiedział, jak bardzo bezpieczny, pomyślał.

* * *

– *Upyarz! Upyarz!*

Brygadowcy ryczeli, walcząc. Straż Życia Cleretta posługiwała się swymi szablami z poępną umiejętnością. Gubernator starannie dobrał ludzi oddanych pod komendę swemu spadkobiercy. Stał zabrzęczała o stal, pistolety huczały, psy wyły, a ludzie wrzeszczeli w nagłym bólu, zbyt wielkim, aby ciało mogło go znieść. Gasnące światło zachodu było krwawoczerwone, ale prawdziwa czerwień krwi przechodziła w czerń mimo płomieni z palącego się gospodarstwa na północy. Wozy, z których uciekinierzy próbowali uformować obronny krąg, także płonęły. Dym prochowy unosił się, zabarwiony różem, nad głowami i młóiącymi klingami czterystu ludzi. Powietrze pachniało siarką i gównem, mokrym, metalicznym smrodem krwi i zapachem płonącej słomy.

Cabot Clerett przyglądał się przez zmrużone oczy. Jego ręka powędrowała w dół, a pięty wbiły się w żebra psa. Mając za sobą stu ludzi, wypadł z lasu i skierował swoje zwierzę na płot. Wielki mastiff zebrał się i poszybował, gdy jego jeździec pochylił się do przodu w siodle. Chorągiew 1 Straży Życia z Rezydencji łopotała u jego boku, a wszędzie wokół klingi szabli jednocześnie poleciały w dół, aby spocząć wzdłuż psich szyi z czubkiem skierowanym ku nieprzyjacielowi. Zwracali się mu na spotkanie. Błysnęły groty lanc. *Trannggg* i napierśnik odbił czubek jego kolobassiańskiej klingi, niemal wyrzucając go z siodła. Szereg Rządu Cywilnego wpadł w wir walki.

Wysadzony z siodła żołnierz znajdował się przed nim, wycofując się i wymachując

mieczem, podczas gdy lansjer Brygady dźgał, próbując pozbawić go życia, a inny trzymał w bezpiecznej odległości psa żołnierza.

Cabot znowu pognał psa do przodu. Tym razem nieprzyjacielski wojownik nie mógł się obrócić na czas. Inercja jego lancy okazała się być za duża dla jego ramienia. Młody oficer uniósł rękojeść nad głowę i dźgnął, w szyję, wzdłuż obojczyka, aby uniknąć zbroi. Opór był niewielki. Clerett wyszarpnął klingę, a barbarzyńca określił się na zrywającym się do ucieczki psie, wykastując strugi krwi na swój napierśnik. Luzak Straży Życia kłapnął zębami, wysuwając szyję jak wąż i zamykając szczękę na drzewcu lancy pod stalowymi osłonami. Osikowe drewno trzasnęło, a Brygadowiec się cofał, przeklinając i dobywając miecza: Cabot pozwolił mu uciec, puścił wodze i przycisnął zakrwawioną szablę do boku, podczas gdy dobywał pistoletu i przerzucił go do lewej ręki.

– Dziękuję, ponie! – wrzasnął żołnierz, dosiadając swego psa, gdy zwierzak przysiadł, aby ten mógł wspiąć się na siodło.

Cabot zamachał szablą, szczerząc się w uśmiechu. *Nie boję się, nie boję!* – uświadomił sobie z uniesieniem. Kątem oka uchwycił mignięcie miecza. Zablokował cios swoją szablą blisko rękojeści. Siła uderzenia cisnęła nim w bok, przechylając mocno. Cabot wycelował z rewolweru spod pachy i wypalił prosto w pierś Brygadowca. Nieprzyjacielski pies zacisnął szczękę na jego psie. Oba psy waliły się po nogach zakończonymi pazurami łapami wielkości talerzy. Cabot podciągnął się z powrotem, prostując, i pochylił do przodu, aby znowu wystrzelić. Jego lufa znajdowała się o pół cala od oka drugiego psa. Ten zwałił się z przerwany warknięciem, co sprawiło, że wierzchowiec Cabota odskoczył w tył.

Dogoniła go grupa dowódcza. Ciężar natarcia z flanki odrzuca! nieprzyjaciela do tyłu, ale mimo to ten wciąż miał po swojej stronie przewagę liczebną. Cabot dał znak trębaczowi i ponad przycichającym zgiełkiem zadźwięczały metaliczne tony. Niemal jak jeden mąż żołnierze Rządu Cywilnego zawrócili i uciekli w rozsypce, przelewając się przez łąkę i wpadając na wąską drogę wcinającą się w las na południu.

Brygadowcy, straż z posiadłości i część regimentu dragonów z garnizonu, rzucili się za nimi w liczbie czterystu. Tutaj lżejszy ekwipunek ludzi ze wschodu dawał przewagę. Wielkie airdale teriery i nowofundlandy były dosyć szybkie, ale z początku wolniejsze niż smukłe i długonogie chowane na farmach w Descott psy oraz banzeji, którymi posługiwali się najeźdźcy. Piana pryskała z pysków psów, gdy zwierzęta sadyły susami ku cieniom drzew. Wąski klin otwartej przestrzeni u wylotu drogi ścisnął mocniej większe siły Brygady niż ich

ofiara i przez chwilę cała masa ludzi i psów zwolniła, gdy wojownicy znajdujący się na zewnątrz naciskali tych w środku.

Czterystu strzelców, wypaliło karabinową salwą ze skraju lasu w skupionych żołnierzy Brygady. W zmierzchu błyski z luf były długie i regularne, jak ogniste groty włóczy ciągnące się nie skończoną falangą. Zabrzmiały ostre rozkazy, przenikliwe, aby się dobrze niosły. Salwy plutonu uderzały z trzaskiem niczym bardzo głośne pojedyncze strzały, a każdy jak grzebień płomieni sunął ku nieprzyjacielowi. Kule waliły w psy i ludzi. Kilka odbiło się od zbroi, a czerwone iskry pomknęły w górę, pobłyskując w ciemniejącej nocy, ale zasięg był bliski – a na tę kampanię połowa standardowo wydawanych wydrążonych na czubku ładunków została zastąpiona przez pociski o spiczastych mosiężnych czubkach.

Cztery kompanie wyszkolonych ludzi z karabinami ze zbrojowni mogły w ciągu minuty wystrzelić ponad trzy tysiące pocisków. Żaden z Brygadowców nie był więcej niż sto metrów od skraju lasu, kiedy rozpoczęło się strzelanie, a barykada z płonących budynków i wozów znajdowała się w odległości mniejszej niż sześćset metrów. Z takiego dystansu kula wymierzona prosto, mogła uderzyć w człowieka znajdującego się w siodle wszędzie na drodze swego lotu.

Trąbka zadźwięczała znowu w ciemności, za połyskującymi świetlikami krzyżowego ognia koszącego ludzi Brygady z dwóch stron trójkąta. Dyszące psy i przeklinający mężczyźni ustawili się w szeregi. Przepychanie przerywane było powarkiwaniem i kłapaniem niczym opadające wieka mokrych trumien, dopóki ludzie nie uspokoili swoich wierzchowców, przywracając posłuszeństwo.

– Niech mnie diabli, gdyby to nie zadziało, panie – powiedział Cabotowi do ucha starszy kapitan Drugiego.

Oficer podskoczył lekko, zadowolony z ciemności. Czuł szklane spojrzenie swoich oczu. Ręce mu się nie trzęsły, gdy przeładowywał.

– Myślałem sobie, że zadziała, kapitanie Fikaros – rzekł chrapliwie bratanek gubernatora. – Myślałem sobie, że zadziała.

Weszły oba księżyce, na tyle, by widzieć, jak tych paru, którzy przeżyli, rozproszyło się po łące. Niewielu udało się wyminać płonące budynki po drugiej stronie, choć licznym, pozbawionym jeźdźców psom z podskakującymi strzemionami się to powiodło.

– Zbierzmy naszych rannych i ruszajmy ku rzece – powiedział Cabot. – Ta grupa była

nieco zbyt liczna jak na mój gust.

– Ponie!

Ludzie wiwatowali, gdy przejeżdżał obok wraz z chorągwią jednostki i trębaczem.

Poczekajcie, jak stryj o tym usłyszy, pomyślał. Poczekajcie, aż Suzette usłyszy.

Sława!

Rozdział dwunasty

Major Ehwardo Poplanich podniósł wzrok na rząd kajdan grzechoczących o kamienną ścianę sądu, pod wyłożonymi cegłą napisami *zbieg* w spanjolskim i nameryjskim. Kajdanki zwisały na wysokości około dwóch metrów od ziemi. Półtora metra pod każdymi, w stiuku widniały wybite uderzeniami stóp ślady. Człowiek wiszący za ręce bez podparcia nie może wciągnąć powietrza w płuca, jeśli pozwala całemu swojemu ciężarowi spoczywać na nadgarstkach. Jego pierś miażdży przeponę ciężarem dolnych partii jego ciała. Przy każdym oddechu musi podciągnąć się przynajmniej trochę w górę. Kiedy nadejdzie zmęczenie, nastąpi uduszenie – powolne, stopniowe uduszenie, gdy każdy desperacki wysiłek przynosi mniej tlenu i bardziej pali.

– Cóż, to jeden ze sposobów na upewnienie się, że chłop pańszczyźniany żałuje opuszczenia posiadłości – rzucił łagodnie.

Przylepiony uśmiech na twarzy urzędnika sądowego Brygady nie uległ zmianie. Urzędnik kiwnął głową przytakująco, jak zrobiłby wobec wszystkiego, co w tej chwili powiedziałby Poplanich. Duży, krzepki mężczyzna był szlachcicem dzięki prawu Brygady, ponieważ znajdował się w rejestrze wojskowym, ale większość z rodzimych członków rady miejskiej posiadała więcej ziemi niż on. Szeryf miasteczka to nie była ranga, do której aspirowała szlachta, *brazaz* – oficerska klasa Brygady. Teraz rajcy posiadali o *wiele* więcej, i to, co miało być znaczących rozmiarów farmą dla szeryfa, jeśli nie posiadłością, skurczyło się do małego gospodarstwa, jak tylko nowa administracja wyciągnęła plan katastralny.

Mając w mieście batalion Jednostki Własnej Poplanich, szeryf nie zamierzał zbyt mocno się temu sprzeciwiać. Kilku spróbowało i ich ciała zwieszały się z portyku kościoła tej Ziemi jako ostrzeżenie.

Ehwardo spojrzął znowu na kajdany. Silny człowiek, lub też lekki, żyłasty, mógł pewnie przeżyć tutaj kilka godzin. *Nie powinienem się denerwować*, powiedział do siebie. Pańszczyzna – sprzedaż wyrobnika za długi – była niemalże powszechna w niecce Morza Śródświatowego. W rodzinnych stronach *zbieg*, który nie mógł spłacić swoich niemożliwych, dziedzicznych długów, zostałby wybatożony i zwrócony panu. Zaczęło się tak dźiać dawno

temu, aby zniechęcić wieśniaków do uchylania się od obowiązku podatkowego. I Duch wie, że nie było chyba innego sposobu na utrzymywanie cywilizacji w upadłym świecie. A w każdym razie nikt mu o takim nie powiedział... ale w posiadłościach Poplanich nie było niczego takiego. Właściciel ziemski, który stawał pomiędzy swoimi ludźmi a dzierżawcami podatków, nie musiał batożyć, aby utrzymać porządek.

I gdzie *był ten* przeklęty piechur? Miał lepsze rzeczy do robienia od stania tutaj i rozmawiania z gromadą prowincjonalnych policjantów. Miał przekazać wszystko batalionowi piechoty, aby móc ruszyć na południe, a zajmowało to *cholernie* dużo czasu.

Przypuszczał, że w normalnych czasach Maoachin było dosyć przyjemną, małą miejscowością, miasteczkiem targowym dla okolicznych farm i posiadłości. Miało obszerny, krzykliwie zdobiony kościół dla wyznawców kultu tej Ziemi i bardziej skromny dla czcicieli Ducha Gwiazd. Kilka ładnych domów za murami, kilka ulic skromnych domów ze sklepami i wyrobami rzemieślniczymi, chatami na przedmieściach. Żadnej fontanny na placu, ale ulice były brukowane i wysadzone drzewami.

Teraz ulice były mocno zatłoczone – wozami zaprzężonymi w woły, pełnymi worków ziarna, beczek mąki i mączki kukurydzianej, polci bekonu, suszonej wołowiny, rzepy i fasoli, a także mebli i srebrnej zastawy stołowej oraz narzędzi. Wiele, wiele wozów mieczy, muszkietów, strzelb i rewolwerów, amunicji oraz beczulek prochu i sztab ołowiu. Oszalałe ze zdenerwowania psy do jazdy trzymane na łańcuchach, ze stalowymi, drucianymi klatkami kagańców na szczękach oraz palfreye dla zakładników. Setki jeńców, wojownicy Brygady, którzy mieli zostać zapakowani na transportowce i przewiezieni przez Morze Śródziemne i wcieleni do armii Rządu Cywilnego. Jeńcy szli ze spuszczonej oczami, unikając spoglądania na mniejsze grupki w łańcuchach, złożone z pokiereszowanych i pokrwawionych ludzi, którzy próbowali walczyć. *Oni* i ich rodziny zmierzali na targ niewolników.

Hałas i kurz, wycie psów i płacz dzieci przechodziły ludzkie pojęcie. Ostre słońce południa prażyło niemiłosiernie.

Poplanich obejrzał się na szeryfa stojącego przy strzemieniu i rajców miejskich. Większość była tubylcami, mówiącymi po hiszpańsku wyznawcami ortodoksyjnej wiary, którą dzielili z Rządem Cywilnym. Niejeden uśmiechał się wobec skrepowania szeryfa. Zatrzymali dwie trzecie swojej ziemi i mieli także przyjemność patrzenia, jak ostatni stawali się pierwszymi. Kiedy skonfiskowane posiadłości Brygady zostaną wystawione na sprzedaż, będą mogli powiększyć swoje ziemie w sposób, który więcej niż powetuje początkowe straty.

– Ale, ach, z całym szacunkiem – powiedział brodaty sędzia-żandarm, nieporadnym sponglijskim, pełnym nieodpowiednich spanjolskich końcówek. – Zostawić mnie potem bez uzbrojone ludzie, to jak zdławić ja powstanie?

Rajca *zaśmiał* się na to. Szeryf obrócił się ku niemu z frustracją, wybuchając wrzaskiem, gdy przeszedł na spanjolski. Ehwardo dość dobrze go rozumiał. Z czystego przyzwyczajenia Rząd Cywilny utrzymywał spanjolski jako drugi oficjalny język przez te wszystkie wieki, a on został wyszkolony do służby publicznej.

– *Iytiote!* – krzyknął szeryf, *glupcze*. – Czy twoi wyrobnicy kochają cię, bo masz tego samego kapłana i domagasz się czynszu w tym samym języku? Ilu sprowadziłem z powrotem do pług dla ciebie? Jeśli skosztują pańskiej krwi szlachezca Brygady, to czy nie zechcą skosztować twojej?

Uśmiechy rajców zniknęły zastąpione zamyślonymi wyrazami twarzy.

– Nie martwcie się, messerowie – powiedział Ehwardo. – Rząd Cywilny będzie pilnował porządku.

Musiał. Jeśli wieśniacy nie płaciliby właścicielom ziemskim częścią zbiorów i przymusową pracą, to przejedliby wszystko, co wytwarzali. Jak wówczas utrzymywano by armie i miasta? Nie wspominając o tym, że właściciele ziemscy stanowili klasę rządzącą w rodzinnych stronach tak jak wszędzie indziej. Mimo to...

– Czy wiedzieliście – ciągnął dalej w tutejszym języku – że mój pradziad był gubernatorem Wschodniej Rezydencji? – Nie wiedzieli i zatkało ich. Machnięciem ręki zbył ich ukłony. – Zatem słuchajcie uważnie opowieści, którą gubernator Poplanich opowiedział mojemu ojcu, a mój ojciec mnie.

– Był sobie raz potężny król, który rządził rozległymi ziemiami. Jego minister przeczytał plany króla na nadchodzący rok i udał się do swego pana.

– Panie – powiedział minister. – Widzę, że wydajesz miliony na żołnierzy, forty i broń, a ani jednego *senthavo*, aby ulżyć cierpieniu biednych.

– Tak – stwierdził król. – Kiedy nadejdzie rewolucja, będę przygotowany.

Grupa flagowa 17 Piechoty z Kelden przepychała się ku niemu przez ścisk. Ehwardo westchnął z ulgą. Uśmiechnął się do rajców i poklepał się palcem w skrzydelko nosa.

– Mądry był człowiek z tego mojego pradziada – rzucił, szczerząc się w uśmiechu. –

Vayaadi a vo, sehnors.

* * *

Wąski, leśny trakt był bardzo mocno zryty koleinami nawet jak na standardy Rządu Cywilnego, a po obu jego stronach otwarta przestrzeń porośnięta była ogromnymi bukami o gładkiej korze, dziesięciokrotnie wyższymi od człowieka. Zielony półmrok drzał od wiatorku wpadającego z westchnieniem przez ten baldachim, ale wśród poszycia z gnijących liści panowała cisza i bezruch. Dwie kompanie Piątego rozciągały się po obu stronach drogi, posuwając się żwawym truchtem. Skinnerzy ciągnęli z nimi w skupiskach i grupkach dokoła, powoli lub galopem. Trzy lawety z działami polowymi podążały za żołnierzami, tylko z połową zaprzęgów zwykle składających się z sześciu psów. Mimo tego sadyły one w przyzwoitym tempie. Posuwający się ludzie wypłoszyli sporo zwierzyny: stadka na poły dzikich świń, jeleni, trąbiący tabun jakiegoś rodzaju dwunożnych, zielonkawych stworzeń, które przerwały rycie w poszukiwaniu bukowych żołądź, by umknąć, powiewając pomarańczowymi grzebieniami na swych długich, przypominających owcze główkach, i z rozdziawionymi płaskimi dziobami.

Na szczęście nie było w okolicy ani średnich, ani dużych carnosauroidów. Te były w większości zbyt głupie, aby się bać, a przy tym żadne krwi i na tyle żywotne, by atakować pomimo poważnych ran. Zabicie jednego z nich spowodowałoby zbyt wiele hałasu.

Wartownicy z patkami 7 z Descott wysunęli się z za drzew.

– Co masz dla mnie, poruczniku? – spytał Raj ich oficera, zatrzymując Horace'a z szelestem liści.

– *Seyor* – powiedział mężczyzna, zerkając na Skinnera, który posuwał się dalej, jakby nie istniała linia wartowników. – Major

Gruder ma dla ciebie hodowcę świń.

* * *

– Znalezienie kogoś, kto mógłby go zrozumieć, zajęło chwilę, generale – powiedział Kaltin Gruder. – *Myślę*, że podaje nam całkiem szczegółowe wskazówki co do gniazd oporu.

Wieśniak – zawodowy hodowca świń – miał na szyi żelazną obrozę niewolnika i zabliźnione wyrzucenie tam, gdzie powinno znajdować się jego lewe ucho. Długi nóż i okuty żelazem hak stanowiły narzędzia jego rzemiosła, które często prowadziło go do lasu,

zaś postrzępiony fartuch i spodnie oraz bosa, pokryte odciskami stopy byłyby na miejscu w większości wiosek Rządu Cywilnego.

Raj słuchał uważnie paplaniny szczerbatego człowieka. Trudności językowe były nieco większe, niż się spodziewał. Spanjolski i sponglijski bardzo się różniły w formie pisanej i gramatyce, ale większość podstawowych określeń, jakieś osiemset słów składających się na codzienną mowę, było całkiem podobnych: na przykład *crew* po sponglijsku to *singre*, a po spanjolsku *sangre*, zupełnie niepodobnie do nameryjskiego *blud* czy skinnerskiego *zank*.

Problem polegał na tym, że ani tutejsi wieśniacy, ani większość jego żołnierzy nie mówiła standardowymi wersjami swoich narodowych językowych odpowiedników. Kiedy descotyjski żołnierz próbował rozmawiać z chłopem z półwyspu Korony to nieporozumienie było mniejszym złem. Na bezgwiezdne ciemności, niektórzy Descotczycy mieli kłopoty we Wschodniej Rezydencji!

– Tak, to właśnie, mówi – stwierdził po chwili Raj. Miał za oczami lodowate odczucie, bardziej umysłowe niż fizyczne i mamrotanie stało się zrozumiałą mową. – Są około... dziesięciu kilometrów w tę stronę. Jest dolina... nie, raczej zapadnięty otwór odpływowy. Dużo ich, powiedziałbym, że przynajmniej dwa tysiące karabinów. Może dwa razy tyle. Wątpię, by potrafił nawet na bosaka zliczyć do więcej niż dziesięciu.

Kaltin przesunął dłonią po ciemnych, ściętych „na donicę” włosach. – Szczęście, że nie ruszyłem z samym tylko Siódmym – powiedział. – *Choć zwróciłem uwagę, że napotykam strasznie dużo pustych dworów.* – Spojrzał bystro. – Oczywiście, jeśli mówi prawdę.

>>Prawdopodobieństwo 92% plus minus 3.<< powiedziało Centrum.

– Mówi prawdę – odparł stanowczo Raj. – Zobaczmy *dokładnie* gdzie.

Było to frustrujące, nawet kiedy sprowadzili innych z kręgu węglarzy i pastuchów świń. Byli chętni do pomocy, ale nikt z nich nawet nie słyszał o mapach. Potrafili opisać każdy potok i skałę na swoim rodzinnym terytorium, ale tylko człowiekowi, który już znał teren będący ich całym światem.

– W porządku – powiedział w końcu Raj. – To około trzech godzin piechotą stąd. Powiedzmy dziesięć kilometrów. Jest tam niski łańcuch wzgórz, a w środku wielki owalny teren, jakieś piętnaście do trzydziestu hektarów nierównego terenu z krawędzią wokół i przepływającym przez nią strumieniem – to kraina wapienia, jak już mówiłem. Oś przebiega ze wschodu na zachód. Naturalna forteca. Tylko jedna prawdziwa droga wyjścia, około

dwóch tysięcy metrów w poprzek, po wschodniej stronie owalu. Widocznie jacyś tutejsi bandyci – albo buntownicy, zależnie od punktu widzenia – korzystali z niej aż do czasów ojca tego człowieka, a potem Brygadowcy wreszcie ich dopadli i powiesili.

Mówiąc, Raj szkicował, rysując po projekcjach, jakie Centrum rzucało na kartkę. Szkolenie w rysunku perspektywicznym było częścią standardowej wojskowej edukacji Rządu Cywilnego, a on jako młody chłopak przykładał się do tego z nietypowym zapałem.

Kaltin gwizdnął przez zęby, spojrzawszy na szczegóły. – To będzie trudna robota, jeśli chcemy zrobić to szybko – powiedział. – Mnóstwo osłony, dużo wody, przejście przez krawędź nie na wiele się przyda, nie przy tych wszystkich pagórkach. A jeśli będą zdeterminowani – cóż.

A będą, odrzuciwszy wezwanie do poddania się. Problem z dawaniem przykładów polegał na tym, że działał w obie strony. Przypatrzawszy się alternatywom, ci Brygadowcy wyraźnie zdecydowali, że wolą umrzeć.

W takim razie dostaną to, czego sobie życzyli.

– Zatem lepiej ruszajmy szybko, zanim będą mieli szansę się zasadzić – powiedział Raj z lekkim, chłodnym uśmiechem. – Z pewnością nie możemy sobie pozwolić na tydzień wykurzania ich ani sprowadzanie większych sił. Garnizon w Mieście Lwa może przeprowadzić wypad, jeśli tak zrobimy – cztery tysiące wyszkolonych ludzi i o wiele za mobilnych jak na mój gust, gdy ich wypuścimy. Kaltin uniósł brew. – Myślisz, że jest nas dosyć? – Nieco ponad sześciuset w 7 z Descott, dwie kompanie Piątego i Skinnerzy. – To znaczy do szturmowania silnie bronionej pozycji.

– Och, tak myślę. Pod warunkiem, że będziemy na tyle szybcy, że nie zdadzą sobie sprawy, co się dzieje.

– Czy możemy tu ściągnąć działa?

– Możemy spróbować. Wokół otworu odpływowego jest bukowy las. Z pewnością je sprowadzę. Przyjrzyj się. Statek rozminął się z nami w Port Wager i zawinął tutaj kilka dni temu.

Raj skinął ku trzem działom polowym na lawetach, stojącym obok zrytego koleinami traktu. Kaltin przyjrzał im się zdezorientowany. Na pierwszy rzut oka przypominały standardowe siedemdziesięciopięciomilimetrowe działa. Jednak czymś się różniły.

– Karabinowe lufy złożone razem? – spytał.

– Trzydzieści pięć, podwójna długość – powiedział Raj. – Zademonstrujcie, kapralu.

Żołnierz nacisnął dźwignię z tyłu broni i blok przesunął się w poziomie jak walec prasy drukarskiej. Kolejny mężczyzna uniósł cienką, żelazną płytę wielkości mniej więcej okładki do książki z pierścieniem na szczycie. W płycie wywiercono trzydzieści pięć dziur i znajdowała się w nich taka sama liczba standardowych, jedenasto milimetrowych ładunków ze zbrojowni.

– Sucha zaprawa, proszę – powiedział Raj.

Załoga zamocowała pustą płytę. Kanonier popchnął dźwignię ostro do przodu i mechanizm zaskoczył z kliknięciem. Przykucnął, aby spojrzeć przez celownik jak w karabinie, obrócił śruby podnoszącą oraz przesuwającą poprzecznie i wykonał pełen obrót lewarem z boku zamka. Zabrzmiało ostre klikające *brttt*. A potem przekręcił dźwignię z powrotem. Załoga powtórzyła ten proces kolejne cztery razy w przeciągu mniej niż trzydziestu sekund.

– Trzysta dwadzieścia pięć pocisków na minutę, przy pewnej praktyce – powiedział Raj.
– Wiem, że to działa, to znaczy, że będzie strzelało. Czy jest równie użyteczne, jak sugeruje to jego wygląd, Duch jeden wie, a doświadczenie pokaże. Tym razem z pewnością na to nie liczę, nie w czasie sprawdzianu polowego, ale nie zawadzi spróbować.

Kaltin gwizdnął znowu. – Robisz się inżynierem, messer Raju? – spytał. Byłoby to poniżej godności messera-ziemianina i oficera kawalerii, ale Raj znany był ze swojej ekscentryczności.

– Nie, przyjaciel to zasugerował.

>>Dostarczył schematycznych rysunków odpowiednich do obecnego poziomu technologicznego.<< poprawiło go z pedantyzmem Centrum. >>Po skorygowaniu pewnych *wad* oryginalnego wzoru.<<

Dziękuję ci, pomyślał Raj.

>>Proszę bardzo.<<

– Wygląda na przydatne – ocenił drugi oficer. – Żadnego odrzutu? – Armata odskakiwała do tyłu przy każdym wystrzale i trzeba ją było wtaczać z powrotem w baterię.

– Właściwie żadnego i waży mniej niż jedną czwartą tego, co działo polowe. Muzzaaf poprosił o zmontowanie tego kogoś ze swoich niezliczonych krewnych – w kolobassiańskim

dystrykcie, nie rzucając się w oczy. Nazywamy to jazgoczącym działkiem, przez wzgląd na dźwięk.

Drugi mężczyzna skinął głową. Ten południowo-zachodni półwysep stanowił jeden z głównych obszarów kopalnianych i metalurgicznych w Rządzie Cywilnym.

– Nie mów mi, że przekonałeś mistrza zaopatrzenia do opłacenia tego – powiedział.

Ostatnią większą innowacją był karabin ze zbrojowni, prawie dwieście lat temu. Rząd Cywilny całkiem dosłownie czcił technologię– ale technologię stanowiącą osiągnięcie cudownych mocy Nieupadłych, lot szybszy niż światło, zainspirowany przez mieszkającego wewnątrz Ducha Człowieka. Metalurgia się do tego nie zaliczała.

Raj uśmiechnął się dziko. – Tzetas za to zapłacił – powiedział. – Posłużyłem się częścią nadwyżki pochodzącej z jego posiadłości, kiedy odsprzedaliśmy mu z powrotem przegniłe suchary i węgiel o wartości śmiecia.

Odwrócił się z powrotem do mapy. – Zabierzmy się do pracy.

* * *

Dziedziczny major Alfred Stubbins pochylił się, aby spojrzeć przez lunetę. Jeden z jego sąsiadów był astronomem-amatorem i sprowadził sobie tę rzecz ze Wschodniej Rezydencji ogromnym kosztem lata temu. Większość uważała to za nieco haniebne, a nawet religijnie podejrzane – czyż Duch Człowieka tej Ziemi nie był sam? Po co spoglądać w niebo mieszczące tylko zewnętrzne ciemności? Stubbins uważał się za nowoczesnego człowieka o szerokich horyzontach, potrafiącego zarówno czytać, jak i pisać. Przypomniał sobie ten instrument, kiedy jego sąsiedzi spotkali się na pospiesznej naradzie, aby zaplanować ucieczkę do Kratera, i okazało się to bardzo pożyteczne. Jego pokryte odciskami od miecza ręce niezgrabnie obróciły śrubę ogniskującą.

Wyskoczył na niego mężczyzna, zmniejszając dwa tysiące metrów do odległości ramienia. Okrągławy, brązowy, o małym, spłaszczonym nosie z kępką skalpu na głowie i drucianymi bransoletami z brązu na przedramionach. Karabin, którym balansował na podkutej brązem podpórce strzelniczej to był *żart*, dłuższy niż celujący z niego człowiek. Co, na zewnętrzne ciemności, to było...?

KRAK.

Piętnastomilimetrowy pocisk wbił ostami, wąski fragment lunety na cztery cale w mózg Stubbinsa. Ten poleciał do tyłu na chropawą powierzchnię wapiennego bloku, młóćąc

kończynami jak żaba z przeciętym rdzeniem, wybijając odcisk w zakurzonej kamieniu. Dookoła zgromadzili się ludzie, przyglądając się, jak ciało wielmoży nieruchomieje z czterocalowym kawałkiem postrzępionego mosiądzu wystającym z oczodołu.

KRAK. Głowa mężczyzny rozbryzgała się od potwornej, zabijającej sauroidy kuli.

Wojownicy Brygady nie potrzebowali trzeciej wypowiedzi. W przeciągu kilku sekund każdy z nich leża! za jakąś osłoną.

– Co tu się, kurwa, dzieje? – ktoś zakrzyknął. – Czy to cywilniaki? – Bębny kotłowe zadudniły na alarm w obozach poniżej, gdzie ustawiono gospodarstwa uciekinierów.

Trzasnęło kilka muszkietów, strzelając na oślep ku wzgórzom na północy. Widać było wyraźnie małe postacie wysuwające się z niskich zarośli na poszarpanych wzgórzach, ale były rozproszone, zbyt daleko na skuteczny ogień z muszkietów, które miała większość mężczyzn. Coraz więcej obcych pojawiało się w polu widzenia, choć nie wyglądało, aby się zbyt spieszyli. Nawoływali się lekko uniesionymi głosami, pokrzykiwali i pohukiwali.

Przybył oficer Brygady. Ledwo widoczna, słabo wydeptana ścieżka wiodła przez tutejsze rośliny odporne na suszę i wbijające macki w ziemię. Przez wapień woda przesiąka swobodnie. Na dole była gleba, rosły drzewa. Wiele z nich było zdiczalymi drzewkami owocowymi. Ludzie żyli tutaj od dawna. Uciekinierzy Brygady znaleźli resztki plastiku sprzed Upadku, a pod głębokim nawisem skalnym starożytny, wypalony węgiel. Żołnierze podążali za oficerem, a dalej poruszały się kobiety z podwiniętymi spódnicami i ładunkami na głowach.

– Skinnerzy – powiedział oficer, gdy pochylając się i czołgając, okrążył blok, którym posłużył się Stubbins do osadzenia lunety. Fala przekleństw przebiegła wśród strzelców. Większość z nich przynajmniej słyszała o tym szczepie. Pochodzących bardziej z północy Brygadowców straszono nimi w dzieciństwie.

Kolejny wściekły trask, i człowiek, który podniósł się, aby wypalić, osunął się ze ściętym czubkiem głowy, ściętym w podobny sposób jak u jajka ugotowanego na twardo. Świeżo odsłonięty mózg ociekał płynem i postrzępioną tkanką. Kończyny drgały przez sekundę. Ciało przez chwilę zwisało, zachowując równowagę, a potem zaczęło się zsuwać w dół zbocza. Niektóre z kobiet wrzasnęły, gdy przetoczyło się obok nich.

– Nomadowie z północnego wschodu od Oddanych, ze wschodu Obszaru Bazy – ciągnął oficer dla tych, którzy *nie* słyszeli o Skinnerach, Niewiele ich najazdów dotarło aż do

skraju terytorium Brygady, choć ich nacisk stanowił jeden z czynników spychających Oddanych na południe.

– Rozproszyć się i trzymać nisko głowy. Nastawić celowniki na maksimum i nie zapominać ich skrócić, jak się zbliżą.

Ludzie usłuchali, choć mogliby nie posłuchać woja innego właściciela ziemskiego. Oficer był dragonem generała. Mimo to w głosie tego, który zadał pytanie, dało się słyszeć warknięcie – Co oni *tutaj* robią? I co robią te *gawdammit* kobiety?

– Będą ładować broń – zawołał mężczyzna, podnosząc głos tak, żeby każdy na pagórku mógł usłyszeć. – Będziemy próbować utrzymać wysoko położone miejsca wokół ściany krateru. Trzy kobiety będą ładować broń każdemu z was. Pamiętajcie, żeby ustawiać celowniki. Poruszajcie skały – będą szukać waszego prochowego dymu..

– Nie możecie sprowadzać kobiet do strefy walki! – zaprotestował jeden z mężczyzn. Sądząc po jego kurtce z krowiej skóry, zamożny właściciel ziemski.

– Pierdolony kretyn! – wrzasnął oficer, nagle przestając nad sobą panować. – Pierdolony kretyn! Czy myślisz, że Skinnerzy pocałują je w rączki, jeśli się przedrą? Poderzną im gardła i zgwałcą martwe ciała, ty gównojadzie zrodzony z cywilniaków. Już z nimi *walczyłem*. *Grisuh* sprowadzili ich jako najemników, niech Duch wyżre im za to oczy.

– Wy wszyscy! – ciągnął. – Jedyne sposoby na ich powstrzymanie, to wybicie ich co do jednego, inaczej będą nacierać, aż zdmuchną każdego kołyszącego się fiuta w tej dolinie! Gotować się!

Skinnerzy posuwali się powoli do przodu, wspinając się zwinnie po zwałonych, białawo-szarych skałach. Niektórzy palili fajki, a od czasu do czasu jeden z nich zatrzymywał się, żeby poprawić sobie opaskę lędźwiową albo pociągnąć haust wody ze skórzanego bukłaka. Za nimi szły wielkie, podpalane psy o opadających uszach, niektóre były zwierzakami do jazdy, inne miały wiklinowe kosze z dodatkową amunicją. Te wysuwały się do przodu za każdym razem, kiedy Skinner zagwizdał i mężczyzna chwycił kolejną garść pocisków wielkości marchwi. Wojownicy strzelali teraz częściej. Strzelec się zatrzymywał, pozwalał opaść podpórce do strzelania, celował, strzelał i ruszał znowu. Większość chwyciła zużyte mosiężne łuski i wsadzała je do sakiewek u pasa. Wojownik Brygady zatoczył się do tyłu z wrzaskiem i rękoma przyciśniętymi do twarzy, gdy kawałki skały odłupanej niecelną kulą porały mu oczy.

Kobiety dotarły do szczytu szlaku, przemykając pod grzbietem wzgórza, aby zająć pozycje koło strzelców. Każda z nich ciągnęła pudło amunicji. Znajdujący się z nimi mężczyźni nieśli po kilka muszkietów. Gdy dotarli na szczyt, posłużyli się swoimi mieczami, żeby podważyć wieka pudeł, a potem rozdali broń. Wiele kobiecych dłoni krwawiło od szorstkich, konopnych uchwyty. Niektóre z kobiet łkały bezgłośnie, ale od razu zaczęły ładować. Wolniej niż wyćwiczony wojownik, ale było ich wiele. Dwie starsze kobiety poruszały się od jednego skupiska ładowaczek do następnego, rozdając małe skórzane pudełka ze spłonkami, które trzymały w fałdach podkasanych spódnic.

– Niech dostaną za swoje! – krzyknął oficer, gdy Skinnerzy zbliżyli się na odległość około tysiąca metrów – maksymalny skuteczny zasięg.

Dym wystrzelił z setek luf. Pół tuzina Skinnerów z setek, od których roило się zbocze, zostało trafionych. Niektórzy z nich znowu powstali. Niektórzy z tych zbyt mocno rannych, aby się podnieść – nawet Skinner nie mógł zmusić roztrzaskanej kości udowej do pracy, nieważnie jak był obojętny na ból – zawiązywali naprędce bandaże albo zakładali krępulce i zaczęli strzelać z pozycji leżącej. Reszta Skinnerów zwolniła natarcie. Nie ze strachu, ale ponieważ był to optymalny zasięg. Ich karabiny były bardziej celne niż wrogów, a prawie każdy Skinner potrafił posługiwać się swoją bronią do granic jej możliwości.

Ludzie Brygady sięgnęli do tyłu po nową broń i strzelali, znowu strzelali. Każdy człowiek, który uniósł górną połowę ciała, żeby lepiej wycelować, ginął, jak i wielu spośród tych, którzy pokazali tylko oko i wylot lufy przez szczelinę w głazie. W powietrzu zaczął się unosić ciężki, żelazno-gówniany smród śmierci. Ciała wykrwawiały się szybko, kiedy wybijano im w piersi dziury wielkości pięści. Krew szybko wsiąkała w porowatą skałę, czyniąc powierzchnię gładką i tłustą. Nie było końca wrzaskom i jękom ludzi oślepionych lub odzieranych ze skóry kawałkami skał. Kobiety wlokły rannych mężczyzn do tyłu i nowi strzelcy – wielu z nich było chłopcami i siwobrodymi starcami – wspinali się szlakiem, aby zająć ich miejsca. Po chwili niektóre z kobiet wdrapały się, aby zająć miejsca mężczyzn, którzy zostali zabici. Niewiele z nich strzelało równie celnie co mężczyźni, ale Skinnerzy byli teraz o wiele bliżej. Każdy mógł usłyszeć, jak barbarzyńcy pohukują i śmieją się, idąc do przodu, i zabijając przy każdym strzale.

Oficer, który walczył przedtem ze Skinnerami, leżał za skałą. Krępulec, który ocalił mu życie, przepuszczał jedynie krople krwi z potrzaskanego kikuta lewego przedramienia. Żołnierz trzymał głowę za skałą. Jego twarz była szara od szoku i pokryta grubymi kroplami

potu. Jego warga krwawiła, gdyż się ugryzł, aby utrzymać przytomność. Cztery rewolwery spoczywały wygodnie obok prawej ręki i wyciągniętego z pochwy miecza.

* * *

– Stać – powiedział Kaltin Gruder, gdy podejście podniosło się do dwudziestu stopni, a pod stopami zachrząściła wyżłobiona przez wodę skała.

Nie było sensu zabierać dalej psów. Stapały pewnie, o wiele pewniej niż zwierzęta kopytne, ale zwinność była ceną, jaką płaciły za rozmiary i sztywny kręgosłup konieczny do niesienia ciężaru człowieka. Pies pod siodło musiał uważać na każdy krok przy podejściu takim jak to, a dalej było jeszcze gorzej. Myszy mogą spaść setki stóp i pójść dalej. Kot może wywinąć się siniakami lub złamać kość, człowiek spadający z takiej samej wysokości prawie na pewno zginie. Wążący tysiąc dwieście funtów pies bojowy rozbryźnie się.

Oficerowie i podoficerowie przekazali *to* dalej w szeregu. Brygadowcy pewnie wkrótce zdadzą sobie sprawę z ich obecności, pomimo odwracającego ich uwagę ciągłego trzasku wystrzałów i gęstego całunu dymu z odległej, północnej strony krateru, ale nie było sensu obwieszczania tego przy pomocy niosącego się dźwięku trąbki. Walka toczyła się jakieś trzy długie strzały karabinowe od południowego skraju i tyle samo od obecnej pozycji Kaltina. Długie zbocza porośnięte były gęsto zaroślami z dębu, karłowatego kasztanu i leszczyny. Pokrywa gleby była zbyt ciemna, by utrzymać wielkie buki, które przeważały bardziej na południu. Przed nimi zarośla rzedły tu i ówdzie aż do połaci zdominowanych przez rudawo-zielone rodzime pnącza i krzaki o wielu łodygach. Zbocze było również usiane głązami wahającymi się rozmiarami od wielkości głowy do dwukrotnej wysokości człowieka, prawie aż do poszczerbionego skraju, który wystawał niczym rząd psujących się zębów wysokich na sto metrów.

Psy przysiadły, a ludzie wyjęli ze strzemion karabiny i je załadowali.

– Nasadzić bagnety. – Grzechot, szcęknięcie i subtelna zmiana nastroju. Nic lepiej niż ten rozkaz nie uświadamiało, że nadchodzi czas na młockę. – Kompania A w rezerwie. B, C i D będą nacierać oddziałami w rozwiniętym porządku, jak do potyczki.

Ośmioosobowe oddziały ostrożnie ruszyły do przodu, ubezpieczane przez następne. Żołnierze zajęli pozycje strzeleckie za osłoną i czekali w napięciu, podczas gdy towarzysze ich wyprzedzali. Była to część musztry, choć niezbyt często wykorzystywana. Ciemny błękit ich kurtek i bordowy kolor spodni dobrze się wtapiały w cień i zróżnicowane barwy

roślinności, ziemi i skał. W parę chwil później nie pozostało nic poza przypadkowym mignięciem, poruszonymi przez wiatr liśćmi albo brzękiem metalu o kamień. Szeregi psów czekały bez ruchu, skamłając cichutko i wpatrując się ze skupioną uwagą w kierunku, jaki obrali ich panowie.

Kaltin Gruder się denerwował. Nie działaniem swoich ludzi. Nawet jeśli nie była to jedna z najbardziej powszechnych form walki, to ją ćwiczili... a w rodzinnych stronach wszyscy byli myśliwymi biorącymi udział w utarczkach, kiedy oni lub ich dziedzic pokłócili się z sąsiadami. Kaltin sam po raz pierwszy w ten sposób powąchał prochu, skradając się poprzez labirynt parowów i kanionów, tropiąc złodzieja owiec. Można było wówczas równie dobrze zginąć co w dużej bitwie.

Martwiła go utrata kontroli. *Widział* tylko paru swoich ludzi. W większości sytuacji dowódca batalionu oczekiwał, że będzie miał pod obserwacją całe swoje siły, a przynajmniej będzie mógł podjeżdżać do swoich dowódców kompanii, sprawdzając, jak się sprawy mają. W tych zaroślach nawet *porucznicy* nie będą mieli bezpośredniej kontroli nad swoimi jednostkami. Nie powinno być problemu z utrzymaniem natarcia, chyba że się zrobi naprawdę gorąco – choć szkoda mu było dowódcy piechoty z takim zadaniem. Ludzie nie zaciągali się ani nie pozostawali w 7 Zwiadowczym z Descott, jeśli nie można było być pewnym, iż będą zmierzać do celu bez poganiacza bijącego ich po dupie. Żołnierze nie znieśliby kogoś takiego, a mieli bardzo jasne i praktyczne sposoby okazania tego.

Drugą rzeczą, która go martwiła, było to, iż jego ludzie wiedzieli, że Skinnerzy zaatakowali przed nimi. Było to w porządku, utrzymywało uwagę barbarzyńców skupioną w jednym kierunku; i tak będą mieli ludzi na południowym skraju, ale nie tak wielu ani nie tak czujnych. Jednak nawet Duch Człowieka z atomówką w dłoni nie mógłby powstrzymać Skinnerów przed zabraniami wszystkiego, co warte zabrania, jeśli tamci pierwsi dostaną się do zapasów uciekinierów. Jego ludzie nie naraziliby na niebezpieczeństwo misji dla łupu... ale jako że i tak mieli atakować, to wiedział, że będą się poruszać szybciej niż powinni. Przynajmniej niektórzy z nich, a reszta będzie nadążała za swoimi przyjaciółmi.

Wszystko było kompromisem. Żołnierze byli bezużyteczni bez woli walki. Jednak ludzi szkolonych po to, aby zabijać, i zbyt dumnych, aby okazywać strach w obliczu ognia, nigdy nie daje się łatwo kontrolować.

A niech to pochłoną bezgwiazdne ciemności, pomyślał. Z pewnością nie uda mu się zachować kontroli, jeśli gonie będą widzieli.

– Kapitanie. – Kompania A zawsze miała nadwyżkę ludzi i dowodził nią kapitan, a nie starszy porucznik. – Biorę do przodu oddział dowódczy. Będziesz się starał zapobiec przedarciu się barbarzyńców, jeśli odpowiedzą atakiem, nacierajcie na rozkaz albo sygnał – czerwoną rakieta – albo wedle własnego uznania po godzinie.

– Tak, panie – rzucił kapitan Falcones z wyraźnym brakiem entuzjazmu.

– Przyjdzie twoja kolej, Huan. Wy, za mną!

Sygnalista przyniósł swoją trąbkę, ale polizał swój kciuki zmoczył muszkę karabinu, gdy ruszyli do przodu. Buchnął trzask wystrzałów, bliżej niż grzmiąca walka ogniowa wzdłuż północnego skraju krateru. Echa odbijały się tam i z powrotem od skał.

– Tędy.

* * *

Braaaaaaaaaap.

Jazgoczące działko po lewej od Raja wypaliło. Trzydzieści pięć pocisków uderzyło w pędzących Brygadowców. Padło tylko pięciu czy sześciu z prawie sześćdziesięciu, ale reszta się zatrzymała, aby odpowiedzieć ogniem – było to złe posunięcie. Kule świstały w powietrzu, zrywały liście z drzew, błyskały i odbijały się od skał. I tak niewiele z nich było wymierzonych w jego stronę, a jeśli miałby mieć aż takiego pecha, to lepiej już mieć to za sobą.

Raj spojrział w prawo i w lewo. Dwie kompanie z Piątego nacierały chwiejnym, podwójnym szeregiem, utrzymując odległość pięciu metrów pomiędzy plutonami. Cienki szereg, ale nie miał ze sobą tak wielu ludzi, aby pokryć ponad kilometr linii frontu.

Na północ i na południe stąd ziemia robiła się zbyt poszarpana, aby się łatwo posuwać, a nie wyglądało na to, żeby barbarzyńcy byli w nastroju do wymyślnych manewrów otaczających. Żołnierze wroga spływali gromadkami przez zwięzające się wyjście i atakowali tak, jak przyszli, bez czekania, aby się zgrupować. Zła taktyka, ale byli ściskani jak pestka melona pomiędzy dwoma mocnymi palcami.

– Pluton będzie nacierał z salwą ognia – wykrzyknął za nim porucznik plutonu, wskazując swoją szablą. Przedni szereg przypadł na jedno kolano. Żołnierze wymierzili karabiny.

– Ognia!

BAM. Trysnął tłustawy, szaro-czarny dym. Pusty mosiądz wyleciał do tyłu, gdy przesuwali dźwignie, zamki się cofnęły i zsunęły w dół. Jednemu z mężczyzn zaciął się karabin. Cienki, owinięty mosiądzem ładunek stopił się pod wpływem gorąca, przyklejając się do ścian komory, a wyrzutnik łusek oderwał żelazną podstawę.

– *Scramento* – wymruczał żołnierz, wyciągając nóż z buta, i ignorując wszystko dookoła, delikatnie dłubał, aby oddzielić blaszkę od stali.

Braaaaaaaap. Wystrzeliło kolejne jazgoczące działko, wgrzyzając się w nieruchomych Brygadowców, gdy ci gorączkowo otwierali zębami ładunki i wsypywali proch w lufy swoich karabinów... ubijając, wyciągając wycior, gmerając przy pasach w poszukiwaniu spłonki...

Drugi szereg żołnierzy Piątego przeszedł przez pierwszy szereg, przyklęknął, wypalił.

BAM.

Klik. Z pierwszego szeregu. Kciuk wpychający żłobkowane na szczycie pociski do komory zamkowej. *Klak.* Dźwignie odciągnięte do tyłu, tak, by leżały na równi z łożem, ten sam ruch wsuwający zamki w nasadę z tyłu komory i nastawiający wewnętrzne iglice. Żołnierze podnieśli się, potruchtali przez drugi rząd, przeładowując, przyklęknęli, wypalili.

BAM.

Braaaaaaaap.

Porucznik spojrzał w górę, tam, gdzie odbywały się wariacje na temat tej samej sceny. Większość nieprzyjaciół znajdujących się przed nim wciąż przeładowywała.

– Do ataku! – krzyknął.

Jeden z Brygadowców wystrzelił z biodra, z wyciorem wciąż tkwiącym w karabinie. Przypadkiem, w który nie uwierzyłby ktoś, kto nigdy nie widział pola bitwy, ten przeszył pierś nacierającego nań Descotczyka. Na twarzach obu mężczyzn malował się identyczny wyraz zaskoczenia, aż żołnierz Rządu Cywilnego padł na kolana, a potem na twarz z żelaznym wyciorem wystającym mu z pleców. Brygadowiec wciąż się gapił, kiedy towarzysz padłego żołnierza wypalił z lufy z odległości dwóch stóp. Barbarzyńca poleciał w tył, odrzucony na równi gazami, nie mającymi szansy się rozwiać, jak i kulą. Jego skórzana kurtka tliła się szerokim na stopę kręgiem na jego brzuchu.

Reszta żołnierzy złapała muszkiety jak pałki albo dobyła mieczy. Brygadowcy nosili bagnety, ale wyraźnie nie lubili ich używać. Żołnierze wypalili znowu z bliskiej odległości, a

potem nastąpiło krótkie wymachiwanie kolbami i bagnetami i rozszedł się ohydny dźwięk przypominający odgłos rąbania mięsa przez rzeźnicki topór.

Z przodu gruchnęła salwa. Padło dwóch albo trzech ludzi...

– Leżeć! – warknął porucznik. Oficer pozostał na jednym kolanie, tak jak Raj i jego grupa dowódcza. – Niech ktoś...

Braaaaaaap. Powierzchnia głazu zaiskrzyła i rozbryznięła się odłamkami od uderzenia kolejnych trzydziestu pięciu pocisków. Coś uderzyło. Lufa karabinu wyskoczyła ponad kwadratowy głaz i tam pozostała.

– Naprzód – powiedział Raj, a potem rozkazał swemu trębaczowi – Zagraj: utrzymać natarcie.

Raj słyszał, jak z tyłu chrzęści ziemia, gdy załoga jazgoczącego działka truchtem popychała je w górę. *To rozwiązuje ten problem*, pomyślał. Zastanawiał się przedtem, czy nowa broń była bardziej jak artyleria działająca z bliskiej odległości, czy jak małe karabiny. Najlepiej sprawowała się wysunięta mocno do przodu, prawdopodobnie w przerwach pomiędzy jednostkami, strzelaniem naprowadzając ludzi na ich cele. *Może żelazna tarcza po obu stronach lufy?*

– *Mi heneral?* – zapytał porucznik, podskakując co krok, żeby dotrzymać tempa długim krokiem Raja.

Ludzie znowu posuwali się naprzód, połyskując szeregiem bagnetów... niektóre pociemniały od krwi. Przez chwilę przed nimi nic nie było, ale belkotliwe echa wymiany ognia w kraterze zbliżały się. Jak do tej pory widzieli tych, których umieścił tu nieprzyjaciel, lub najbystrzejszych i najszybszych w nogach. W każdej chwili mogła się zacząć poważna próba przedarcia się.

– Tak? – spytał Raj, wytracony ze świata linii i odległości, alternatyw i wyborów.

– Dlaczego atakujemy wroga, panie? Nie, żebym miał coś przeciwko, ale czy taktycznie nie byłoby bardziej rozsądnie, pozwolić im przyjść do nas? Blokujemy im linię odwrotu.

Raj spojrział na boleśnie szczerą, młodą twarz. Skinął głową, też zawsze chciał wiedzieć, jak lepiej wykonywać swoją robotę.

– Synu, jeśli mielibyśmy cztery lub pięć kompani, to owszem. W obecnej sytuacji nie jesteśmy w stanie utrzymać tak szerokiego frontu, nawet z tymi małymi ślicznotkami. –

Wskazał rewolwerem na jazgoczące działko. – Jest ich chyba wciąż wystarczająco wielu, aby nas przyspilić, podczas gdy reszta się przedrze i rozproszy na wzgórzach.

– Ale. Tak naprawdę to ich nie atakujemy, tylko ich popędzamy. Oni kręcą się wkoło jak pszczoły w wiadrze, a my nie dajemy im *czasu*, żeby przysiedli i zorganizowali atak w celu przedarcia się. Klęska następuje w głowie nieprzyjaciela. – Szczeniacki podziw na twarzy młodzieńca był krepujący. – Zasadzimy się nieco dalej, tam, gdzie gardziel się zwięża.

– *Uwaga!*

Przykucnęli instynktownie, a potem pognali do przodu. Za głazem był tylko jeden Brygadowiec i ładująca dla niego dziewczyna. Mężczyzna leżał martwy. Jego głowa opierała się o kamień, a mózg sączył się po chropawej powierzchni. Dziewczyna leżała skulona na boku, ze sztyletem o plecionej złotej rękojeści i złotej głowicy zatopionym pod żebrami aż po gardę. Jej usta tworzyły bezgłośnie „O”, oczy były okrągłe i ciemne, a ciałem przeszedł dreszcz.

Źle trafiła, pomyślał Raj. Wykrwawienie się zajmie jej trochę czasu.

– Wykopnąłem jej karabin z rąk, ale cipa przecięła se brzuch, zanim mogłem ją powstrzymać, ponie – rzucił przepraszająco kapral.

Dziewczyna wydała cichutki dźwięk. Porucznik spojrział na nią i przełknął ślinę. Starszy mężczyzna wiedział, że to dlatego, iż nagle zobaczył ją jako *osobę*, a nie cel, nie kolejnego barbarzyńcę. Może dlatego, że zrobiła mniej więcej to, co uczyniłaby na jej miejscu descotyjska kobieta. Raj ruszył do przodu i przyłożył jej rewolwer do karku, naciskając ostrożnie na spust. Nawet dotykając celu, można było chybić, gdy się szarpnęło. Ciało podskoczyło raz, ale dźwięk wystrzału niemal zginął w odgłosach bitwy.

Podniósł wzrok. Wejście do krateru zwiężało się tutaj i było mniej głazów dużych rozmiarów do osłony.

– W porządku – powiedział do gońców. – Moje gratulacje dla kapitanów Fleyeza i Morrisyna. Zasadzimy się tutaj. Niech ludzie się ukryją. Ściągnijcie tutaj to jazgoczące działko, to jest dla niego dobra pozycja.

Zabrzmiała trąbka i długi szereg ludzi w niebieskich kurtkach padł na ziemię. Ręce przesunęły kamienie, żeby znaleźć dobre podpórki do strzału i zrobić zaimprovizowane osłony ze skał. Jazgoczące działko nadjechało, podskakując, popychane rękoma rozentuzjarmowanej załogi. Jedno z kół, miażdżąc kości, przetoczyło się po nogach kobiety

Brygady, zanim broń osiadła w zagłębieniu za głazem. Lufa działa znalazła się nad ziemią na wysokości pasa.

– Dobrze – powiedział kapral dowodzący artylerią. Potem zauważył cyzelowany złotem sztylet i wyciągnął go, wycierając ostrze o pończochę na nodze dziewczyny. Sprawdził metal klingi, drapiąc paznokciem kciuka, zanim wsadził nóż w cholewę buta.

Raj przesunął się o kilka metrów do kolejnego głazu, usiadł i odkorkował manierkę. – Siódmy i Skinnerzy zapędzą ich do nas – powiedział, na poły sam do siebie. Sądząc po głośności ognia już za kilka minut.

– Zapędzą ich na nas, panie? – spytał porucznik. – Siódmy wreszcie oddaje Piątemu przysługę? – Wracał mu troszeczkę kolor.

Raj zerknął na głaz, tam, gdzie kanonierzy piętrzył i przed swój ą bronią kamienie wielkości głowy. Wcześniej wyrzucili ciała, żeby mieć więcej miejsca. Długie, czarne włosy dziewczyny skrywały to, co pozostało z jej twarzy.

– Nikt tutaj dzisiaj nie wyświadcza nikomu przysług, poruczniku – powiedział. – Nikt.

– Łoto nadchodzą, wysokie jak bociany, gęsto niczym trawa!

* * *

Kiedy Kaltin Gruder podjechał do stanowiska dowodzenia przy wyjściu z krateru, miał przed sobą na łąku siodła dziewczynę. Tego się można było spodziewać – choć było nieco wcześniej, żeby oficer tak sumienny jak Gruder, zajmował się łupieniem, gdy za nim od czasu do czasu słychać jeszcze było strzały. Tyle że miała ona około ośmiu lat. Była stworzeniem o ogromnych oczach, z warkoczami koloru konopi, w zakrwawionej sukmance.

– Zabrałem ją Skinnerowi – rzucił lekko defensywnym tonem wobec uniesionych brwi Raja.

Zawstydzony odruchem współczucia, czymś, co, jak Raj przypuszczał, było tutaj równie nie na miejscu, co zakonnica w burdelu. Uczucia to była dziwna sprawa. Antin M'lewis zaadoptował tej wiosny ulicznego kota o trzech łapach i ciągnął go ze sobą całą drogę ze Wschodniej Rezydencji.

Gruder wzruszył ramionami – Cóż, Mitchi – kochanka-niewolnica, którą Reggiri podarował mu zeszłego roku – może przydać się służąca czy co tam. Ach, nie było wielu jeńców. Większość cywilów Brygady zabiła się, zanim się przedarliśmy, kiedy zrozumieli, że

nikt się nie wydostanie.

Raj skinął głową. Co ułatwiało mu sprawy... i im także, prawdę mówiąc, jeśli tak do tego podchodzili. Mógł to zrozumieć.

Gruder rozglądał się wokoło, patrząc na ilość ciał leżących na pięciuset metrach przed ostatnią linią odparcia, jaką ustawiły dwie kompanie Piątego. Trupy tworzyły literę „D”, miejscami grubą na dwa albo trzy ciała, z gęstymi skupiskami gdzie indziej.

– Gorąco było – powiedział.

– Jazgoczące działka – stwierdził Raj. – Ustawiliśmy je na flankach i wzięliśmy Brygadowców w krzyżowy ogień. Każde z nich warte było prawie całej kompanii w samej tylko defensywnej sile ognia.

Kaltin zmarszczył brwi, z roztargnieniem gładząc popiskującą dziewczynkę. Ta przyłgnęła do materiału jego mundurowej kurtki, choć prawy rękaw był przesiąknięty krwią, która rozmazywała się na jej jasnych włosach.

– To z pewnością bardziej przypominało bitwę niż cokolwiek, co widzieliśmy w tej kampanii, messer – powiedział. – Mam dwudziestu zabitych i tylu samo mocno rannych.

– Dziesięciu z Piątego – potwierdził Raj. Niech Duch ciśnie rdzenie Barholma w bezgwiazdne ciemności, powiedziałem mu, żeby dał mi czterdzieści tysięcy ludzi. Nawet trzydzieści tysięcy...

Westchnął i powstał, wsiadając na siodło Horace'a. – Zobaczmy, czy jest jakiś kołowy transport dla naszych rannych.

Z naprzeciwka podjeżdżał wódz Juluk z siedmiostopowym karabinem przerzuconym przez ramię. Wyglądał, jakby brodził we krwi, i całkiem możliwe, że tak było. Jednemu ze znajdujących się za nim zastępców udało się wcisnąć w balową suknię pokrytą falbankami z koronki, a do łęku siodła miał przywiązaną za długie włosy brodatą głowę. Musiał to być odważny mężczyzna, warty zachowania.

Skinner rozejrzał się dokoła, przyglądając się rzezi. – Zły jak my! – zachichotał. – Ty wielki diabeł, punie-mężczyzno! Zły jak my!

Raj poczuł, jak bezwiednie, przytakująco kiwa głową.

>>Nie, Raju Whitehallu. Ty walczysz o świat, w którym nie będzie wcale takich ludzi jak on.<<

Ani takich jak ja, pomyślał. Ani takich jak ja.

– Następne jest Miasto Lwa – rzekł na głos. – Na Ducha *Człowieka*, mam nadzieję, że będą mieli dosyć rozumu, żeby przyjąć warunki poddania.

Kaltin próbował odzepić rączki dziewczynki, aby móc przekazać ją adiutantowi, ale ona przyłgnęła, rozpaczliwie starając się trzymać go pomiędzy sobą a Skinnerami.

– Co zrobimy, jeśli nie zaakceptują warunków? – spytał z profesjonalnym zainteresowaniem, zaprzestając prób. – Nie mamy niczego, co ruszyłoby ich mury.

– Naprawdę? – spytał Raj. Wyciągnął rękę i z ostrożną czułością dotknął włosów dziewczynki. Ta wtuliła głowę w ramię Grudera. – Zrobimy wszystko, co będzie trzeba. Absolutnie wszystko.

Rozdział trzynasty

– Doskonała robota, Abdullahu – powiedział Raj.

Mapy były naszkicowane, lecz dokładne. Rozkład ulic, umiejscowienie rezydencji kupców i posiadaczy ziemskich ze spisu, system wodny, magazyny, oceny zapasów żywności, liczba ludzi w milicji i ich dowódców. Odrobina z tego pokrywała się z raportami ministerstwa ds. barbarzyńców, nieco więcej z danymi Muzzafa Kerpatika pochodzącymi od jego przyjaciół kupców, ale sporo stanowiło nowość – a zwłaszcza informacja dotycząca dużej społeczności Kolonistów kontrolującej handel ziarnem w Mieście Lwa. Przekartkował to szybciej, niż mógł przeczytać, ale Centrum wszystko zapisywało w swej pamięci. Będzie musiał znowu to przejrzeć. Przez większość czasu wiedza Centrum nie była mu dostępna w żaden użyteczny sposób, nie bezpośrednio. Centrum mogło ją implantować, lecz bez procesu uczenia się wiedza tam była, lecz nie zrozumienie.

Mężczyzna się skłonił, dotykając brwi, ust i piersi. Sprawiało to dziwne wrażenie, gdy jego wygląd wskazywał tak całkowicie na Południowe Terytoria.

– Saayid – powiedział.

– Twoja rodzina wciąż mieszka w tym domu w Przeprawie Wołów, czyż nie? – spytał Raj.

Było to przedmieście Wschodniej Rezydencji, poza murami i po drugiej stronie zatoki. Abdullah skinął głową.

– Dom należy do ciebie, wraz z ziemią – powiedział Raj i machnięciem ręki zbył zademonstrowany pro-forma protest. – Nie pozbawiaj mnie przyjemności nagrodzenia dobrej służby – powiedział.

– Dziękuję ci, saayid – rzekł Abdullah. – A teraz... myślę, że kupiec Peydaro Blanhko – dotknął swej piersi – powinien zniknąć z powierzchni ziemi. Zbyt wielu ludzi będzie o niego wypytywało.

Raj spojrzął na Suzette, gdy Druz opuścił namiot. – Kiedyś wydobędę z ciebie całą jego historię – powiedział.

– Nie uda ci się nawet dzikimi wołami, kochanie.

Raj podszedł do mapy i zaczął dorysowywać dodatkowe informacje. – Nie, ale podejrzewam, że jeśli połaskoczę cię koło tej malutkiej myszki, to powiesz mi wszystko... Tak, to jest stocznia. A teraz...

* * *

Kłapa namiotu dowódcy została podpięta, pozostawiając duże, trzyścienne pomieszczenie wychodzące na zachód. Obóz przed murami Miasta Lwa stanowił siatkę ognisk i poruszających się cieni. Raj słyszał w oddali tupanie stóp, wycie dobiegające od uwiązanych psów i ostre wezwania dochodzące od wartowników na szańcu.

Pewnie mogą dostrzec nasze ogniska z murów, pomyślał Raj, stojąc z rękoma założonymi za plecami. Środek obozu znajdował się nieco wyżej niż obrzeża i Raj mógł dostrzec blady kolor miejskich murów rozgwieżdżonych światłami latami. O wiele jaśniejsza była wysoka latarnia morska, choć znajdowała się po drugiej stronie miasta. Światelko było karbidową lampą odbijającą się od luster, ale sama latarnia morska stanowiła dzieło sprzed Upadku, mierzące sto metrów wysokości.

Na wałach, obok cywilnej milicji stało zapewne mnóstwo zdenerwowanych obywateli, spoglądających na siatkę ognisk w obozie oblegających i zastanawiających się, co może się wydarzyć w czasie plądrowania. *lepiej zatem, żeby się poddali, czy nie?* Odwrócił się z powrotem do stołu na kozłach. – Najpierw, panowie – przemówił do zgromadzonych oficerów – chciałbym powiedzieć: dobra robota. Opanowaliśmy prowincję liczącą prawie pół miliona ludzi w mniej niż dwa tygodnie i ponieśliśmy tylko niewielkie ofiary – każda z nich nieprzyjemnie duża dla zabitych lub okaleczonych, ale takie były koszty wykonywania zadania – a wasze jednostki działały sprawnie i szybko.

– Pułkownik Menyezie – ciągnął. – Możesz powiedzieć swoim dowódcom piechoty, że także jestem zadowolony ze sposobu, w jaki się sprawili. Ich ludzie maszerowali, kopali – a przy paru okazjach i strzelali – na żołnierską modłę.

Rumieniec prawdziwego zadowolenia zaczerwienił jasną cerę Menyeza. – Miałem ich pod bronią przez pełen rok i połowę, albo i więcej – powiedział. – Sandoral, Południowe Terytoria i ta kampania. Wystawiłbym najlepszych z nich przeciwko każdej kawalerii w zwyczajnej wymianie ogniowej.

Piechota Rządu Cywilnego zwykle żyła z państwowych farm przyznanych im koło

garnizonu, a żołnierzom płacono w gotówce tylko wtedy, gdy znajdowali się w służbie bojowej z dala od domów., w przeciwieństwie do kawalerii. Farmy uprawiane były przez rządowych wyrobników, ale nie było rzadkością w znajdujących się na uboczu jednostkach, że żołnierze byli bardziej obznajomieni z narzędziami rolniczymi niż swoimi karabinami. 17 Piechoty z hrabstwa Kelden, jednostka Menyeza, był w ciągłej służbie od czasu operacji w Komarze cztery lata temu, a wiele z pozostałych batalionów piechoty od czasu kampanii Sandoralu *na* wschodniej granicy. Urzędnicy skarbowi i biuro mistrza żołnierzy mocno narzekali. Znajdowanie gotówki dla jednostek jazdy było wystarczająco trudne.

Raj ciągnął dalej – Chciałbym także szczególnie pochwalić majora Cleretta za pokierowanie wyprzedzającym atakiem przez

Waladavir; trudną operacją przeprowadzoną z inicjatywą i umiejętnością.

Cabot Clerett skinął głową. Suzette pochyliła się, aby poszeptać mu do ucha, a on znowu kiwnął głową, tym razem przestając walczyć z chłopięcym uśmiechem.

- A teraz, messorowie, otrzymamy zwykłą nagrodę za wykonanie naszej roboty.
- Jeszcze więcej roboty? – spytał ktoś.
- Ano właśnie. Miasto Lwa, którego z pewnością nie możemy pozostawić na tyłach, gdy będziemy nacierać dalej. Pułkownik Dinnalsyn?

Dowódca artylerii powstał i podszedł do tablicy z mapą. – Jak widzicie, miasto stanowi mniej więcej prostokąt, wychodzący od zachodu na morze. Tutaj jest zatoka. – znaczek w kształcie marchwi w środku półkola falochronów wychodzących w ocean i pozostawiających wąską gardziel dla statków.

- Falochrony, latarnia morska i fundamenty murów od strony morza są nie do ruszenia.
- Dzieło sprzed Upadku, materiał wyglądał jak beton, ale był mocniejszy niż dobra stal i nie poddawał się pogodzie. – Mury mają około czterystu lat, ale są dobrze utrzymane – bloki ważące aż do dwóch ton, wysokie na pięć do dziesięciu metrów, wieże co jakieś sto pięćdziesiąt metrów. Główna brama została zmodernizowana jakiś wiek temu, ma dwie wieże obronne i piętrowe podesty. Na murze wychodzącym na morze znajdują się ciężkie działa, a na murach cztero i ośmiokilogramowe działa forteczne. Niektóre z nich są gwintowane, ładowane przez lufy wybuchającymi pociskami. Mają większy zasięg niż nasze działa polowe.

- Ocena, messorze?

– Podejścia od strony morza nie mają słabych stron. Od strony lądu moje działa polowe mogą skubać te mury przez rok, nawet mocnymi pociskami. Mógłbym podnieść koła na ramach albo ziemnych rampach, żeby je unieść i przerzucić pociski przez mury... tyle że działa forteczne przewyższyłyby zasięgiem moich chłopców. Podwójnie tyczy się to moździerzy. Jedyną radosną wiadomością jest brak fosy. Jeśli chcesz zwalić mury, to będziesz musiał przywieźć ciężkie działa oblężnicze – te z Fort Wager by się nadały – i zabrać się za pełne oblężenie.

Wszyscy się skrzywili. Oznaczało to sieć okopów i podkopy, aby popychać działa coraz bliżej ku murom, pojedynki artylerii, a potem czas potrzebny do wybicia odpowiedniego wyłomu.

>>Obserwuj.<< powiedziało Centrum.

* * *

– a prochowy dym prawie skrył powalone gruzy roztrzaskanego muru. Ludzie wdzierali się na górę i padali pod deszczem kul siekącym przez szeregi. Kolejna fala popłynęła w górę, spotykając się z żołnierzami Brygady na wierzchołku wyłomu. Nastąpiła krótka wymiana ogniowa z bliskiej odległości, a potem żołnierze Rządu Cywilnego się przedarli.

Natarli z wymierzonymi bagnetami i postrzępioną flagą nad głowami. Jednak za wyłomem były umocnienia ziemne i barykady w kształcie litery „C”, wyższe niż człowiek, usypane w trakcie, gdy ciężkie działa niszczyły kamienny mur. Armata podskoczyła i wypluła kartacze w nacierające szeregi...

– a Raj dostrzegł Miasto Lwa otoczone obwałowaniami, liniami okopów wychodzących ku wnętrzu i kolejną linią skierowaną na zewnątrz. Za zewnętrzną linią rozciągały się obozy przybyłych z odsieczą armii Brygady, zaimprovizowane umocnienia ziemne, mniej porządne niż Rządu Cywilnego, ale wystarczająco skuteczne i oszałamiające w swej liczbie.

Wartownik oparł się o parapet zewnętrznego okopu. Jego twarz odznaczała się kościstą chudością zabarwioną żółcią. Karabin zsunął mu się w dół i leżał u stóp, ale żołnierz to zignorował.

Zamiast tego objął się i zadrżał, szczękając zębami.

* * *

– Dziękuję ci, pułkowniku – powiedział Raj, mruganiem odsuwając wizję. Dinnalsyn zasiadł z powrotem z ponurą satysfakcją człowieka, który powiedział wszystkim to, czego mieli nadzieję nie usłyszeć.

– Garnizon – ciągnął Raj – składa się z cywilnej milicji zorganizowanej przez cechy i konfraternie oraz strażników kupców i mieszkających w mieście posiadaczy ziemskich. W sumie około pięć tysięcy ludzi o bardzo zróżnicowanej wartości bojowej i Uczące cztery tysiące siły regularnych żołnierzy Brygady – na krótko przed naszym wylądowaniem zostali oni poważnie wzmocnieni. A dziewięć tysięcy łącznie z kanonierami za mocnymi fortyfikacjami. Mają dosyć cystern z wodą, jeśli przerwiemy akwedukt. Miasto eksportuje żywność – w magazynach jest jej pewnie dosyć na rok, nawet karmiąc psy Brygadowców.

– Nie chcę tracić ani czasu, ani ludzi, ale w tym momencie zmuszony do dokonania wyboru, zaoszczędzę czas, i oszczędzę ludzi. Pułkowniku Menyezcie, zaczynajcie składać drabiny oblężnicze odpowiednich rozmiarów dla sił nacierających w liczbie sześciu tysięcy ludzi. Jak tylko parę będzie gotowych, niech następujące bataliony zaczną z nimi ćwiczyć...

Wymienił je. Około połowę piechoty i połowę kawalerii. Wszyscy się lekko skrzywili. – Tak, wiem. Najpierw spróbujemy namówić ich do poddania się.

* * *

Filipe de Roors był *alcalle* Miasta Lwa przez wzgląd na talent do radzenia sobie z równymi mu stanem w społeczności kupieckiej. A także dlatego, iż był bardzo bogaty, miał statki, kamieniołomy marmurów poza miastem i największą stocznię w mieście, ziemie, warsztaty i tartaki, a także ponieważ jego dziad ze strony ojca był członkiem Brygady, a pozostali kupcy uważali, iż będzie to pomocne w zadawaniu się z lokalnymi *brazaz*, wojskową szlachtą, i władzami Koszar Carson. Stanowisko burmistrza zwykle wiązało się z przyjemnością, prestiżem i zyskiem przy jedynie odrobinie wysiłku i ryzyka.

Obecnie de Roors przeklinał w duchu dzień, w którym postanowił starać się o to stanowisko.

Po tunelowym półmroku głównej bramy nawet pomarańczowo-czerwone światło słońca, które jeszcze nie całkiem wyjrzało zza horyzontu, było jasne, a on zamrugał, widząc czekające ciemne postacie. Dodał kolejne przekleństwo rzucone na wschodniego generała za to, iż nalegał na spotkanie o świcie. Powietrze było nieco chłodne, choć dni nadal pozostawały gorące.

– Messer de Roors?

De Roors wzdrygnął się w siodle, co sprawiło, że rasowy chow-chow, na którym jechał, wywinął szczupaka, o mało co nie potracając psa jednego z żołnierzy. Wierzchowce kawalerii Rządu Cywilnego nawet nie zadały sobie trudu, żeby warknąć, ale pies cywila odsunął się i zaskomlał poddańczo.

– Kapitan Foley, 5 Gwardyjski z Descott – powiedział młody oficer.

Imię Raja Whitehalla dotarło na zachód w ciągu ostatnich kilku lat, jak i coś o ludziach, którzy mu towarzyszyli. Zwłaszcza o Piątym, jako że był z nim od początku. Burmistrz rozpoznał godło powiewające na drzewcu trzymanym przez chorążego, skrzyżowane szable na cyfrze pięć, a pod spodem *Hell o Zpalata* – po *sponglijsku piekło albo łupy*. De Roors spojrzał na uśmiechającą się, niemalże śliczną twarz z beznamiętnymi czarnymi oczami, a potem na hak o błyszczącym ostrzu. Tuzin mężczyzn za nim siedziało na swoich psach ze znudzoną pewnością siebie. Żołnierze nie byli obarczeni zadaniem rozmowy, a ich spojrzenia ślizgały się po nim i jego ludziach z całkowitą obojętnością, bardziej zastraszającą niż wrogość.

– Tędy, jeśli łaska, messerze – powiedział oficer. Przyglądaniu się z murów jak najeźdźcy budują swój obóz, towarzyszyła mieszanina przerażenia i fascynacji. Było to jak przyglądanie się mrówkom, kręcącym się z mechaniczną precyzją. Z bliska było jeszcze gorzej. Obóz był *ogromny*. Musi być w nim ze dwadzieścia tysięcy ludzi, może dwadzieścia pięć, więcej niż liczyła sobie połowa Miasta Lwa. Położono drogę wiodącą z głównego traktu południowo-wschodniego. Jej powierzchnia była ubita, z boku wykopano rowy odpływowe. Droga była lepsza niż większość traktów na półwyspie Korony. Wokół obozu znajdowała się fosa, głęboka na półtora metra i szeroka na dwa. Dno zostało wypełnione zaostrzonymi palami. Wewnątrz rowu znajdował się wał ziemny wysokości mężczyzny o stromym zboczu z rudawo-brązowej gleby. Na szczycie znajdowała się palisada z kłód i desek, prawdopodobnie zabranych z leśnych działek i chat, które zniknęły bez śladu.

W każdym rogu obozu i przy bramach umieszczone zostały pięciokątne bastiony. Bastiony były wyższe niż zwykle i z podziurawionymi bokami. Czarne lufy dział połowych wystawały przez otwory, gotowe dodać swoją siłę ognia do tego z wału albo włączyć się w morderczy ogień krzyżowy. Bastion przy bramie miał także solidną, drewnianą, trzypiętrową wieżę obserwacyjną, z niebiesko-srebrnym proporcem Rozbłysku Gwiazdy powiewającym na wierzchołku.

Wszystko to zostało wykonane w przeciągu jednego popołudnia.

– Ach... zatem spodziewacie się ataku? – spytał.

Kapitan spojrział na niego, uśmiechając się lekko. – Ataku? Och, masz na myśli to obwarowanie. Nie, messerze, robimy tak za każdym razem, gdy rozbijamy się obozem. Dobry zwyczaj, rozumiesz chyba.

Na Ducha.

Eskorta przebijiała się przez tłum na drodze niczym pług przez cienką glebę, nie potrzebując nawet krzyczeć, aby się rozstapiono. Przy bramie było nieco bardziej tłoczno, choć odciągnięto na bok barykady z naostrzonych pali. Nikt nie wchodził ani nie wychodził bez inspekcji i odpowiedzi na wywołanie, a przepływający tłum był gęsty i posuwał się powoli. De Roors jechał na czele małej kolumny. Za nim zadźwięczała trąbka, głośno i metalicznie. Drgnął lekko w siodle, w poniżający sposób świadomy uprzejmej pogardy oficera. *Szczeniak*, pomyślał. Ma nie więcej jak dwadzieścia lat.

Z parapetu bramy odpowiedziała kolejna trąbka. Ta wymiana rozkazów sprawiła, że ludzie ustawili się prędko po obu stronach drogi.

Karawana znajdowała się właśnie w połowie drogi przez bramę i oficer wyrzucił rękę, aby zatrzymać eskortę, podczas gdy długi szereg jeńców usuwał się z drogi. Było to jakichś czterdziestu mężczyzn, powiązani szyja w szyję obrożami i łańcuchami, ze związanymi rękoma. Wielu z nich było w bandażach, a większość w pozostałościach mundurów Brygady. Bardziej liczne kobiety miały lżejsze kajdany, a dzieciaki maszerujące przy ich poplamionych i brudnych sukienkach nie były związane. Żadne z nich nie podniosło wzroku, gdy potykając się, przechodzili obok, popychani do pośpiechu przez uzbrojonych ludzi jadących wierzchem, ale nie w mundurach, ubranych z szorstką praktycznością.

– Wybaczcie, messer kapitanie – rzucił jeden, gdy jeńcy wchodziłi w rów, żeby przepuścić żołnierzy. Nie wydawał się zaskoczony, kiedy Foley zignorował go, jakby był przezroczysty.

– Handlarze niewolników – stwierdził kapitan, kiedy wjechali do obozu. – Podążają za wojskiem jak sępy.

Może zostało to dla mnie zainscenizowane, pomyślał de Roors. Stara lekcja: to jest klęska. Unikaj jej. *Ale Brygadowcy byli prawdziwi.*

Wewnątrz obozu nie było nic z tumultu ani zamieszania, jakich się spodziewał po

doświadczeniu z przeglądem wojsk Brygady. Było to wojskowe miasto, z regularną siatką alej z biegnącymi wzdłuż nich rowami, okolonymi przez skórzane, ośmioosobowe namioty żołnierzy. Większość wojaków kończyła swój poranny posiłek złożony z kleiku, soczewicy i cienkich, płaskich, pszenicznych placków, upieczonych na małych grillach *ybatch*. Przed każdym zajęтым namiotem – gubernator przypuszczał, że niektórzy ludzie brali udział w niewojskowych zajęciach i tym podobnych – znajdowały się dwie piramidki. Każda z nich złożona była z czterech karabinów, z hełmami kołyszącymi się na nich jak dojrzałe ziarno na polu. Ludzie byli w większości żyłastymi, wschodnimi wieśniakami o oliwkowej skórze, z krótko ostrzyżonymi, czarnymi włosami i nieciekawymi, ogolonymi na gładko twarzami. Każdy z osobna nie robił szczególnego wrażenia. Razem zatrzęśli ziemią i wybili narody w pył.

Kapitan się zbliżył, kurtuazyjnie wskazując na charakterystyczne elementy. De Roors był nieprzyjemnie świadom tego, że hak błyskający mu przed oczami był od środka zaostrowany.

– Każdy batalion ma wyznaczone miejsce, to samo w każdym obozie. Są namioty dla oficerów – nieco większe niż dla żołnierzy – i kapliczka dla chorągwi jednostki. To jest *wia erente*, wschodnio-zachodnia droga. *Wia sehcond* biegnie z północy na południe. Obie spotykają się w środku obozu na *plaza commanante*, gdzie jest kwatery generała i namiot kościoła Gwiazdy. Tam jest artyleria, uwiązane psy – grzmiące ujadanie i powarkiwanie obwieszczające porę karmienia – teren dla podróżujących z wojskiem i służby żołnierzy, a...

De Roors wiedział, że armie Brygady były znacznie bardziej liczne. Jego emocje podpowiadały mu, że nie było końca uwijaniu się w tym ulu. Maszerujący i jadący ludzie wypełniali ulice, ruch trzymał się porządnie lewej strony i na każdym skrzyżowaniu kierowany był przez żołnierzy noszących opaski z napisem *guardia*. Sznury wozów, konwoje zapasów, oficerowie przejeżdżający z zamyślnym wyrazem twarzy, a skądś dobiegał odgłos setek ludzi uderzających w drewno.

Namiot dowódcy był duży, ale nie był to rozległy pawilon, jakiego się spodziewał. Płócienny kościół po drugiej stronie był o wiele większy, tak jak i namiot szpitalny po przeciwnej stronie placu.

Jego eskorta rozdzieliła się i uformowała dwa szeregi zwrócone do środka. Straż przy drzwiach namiotu zaprezentowała broń w odpowiedzi na salut Foleya, a młody oficer zsiadł z wierzchowca i stanął przy otwartej klapie w swobodnej postawie „spocznij”.

– *Heneralissimo supremo*, dzierzący miecz strażnik suwerena, potężnego pana i

jedynego autokraty gubernatora Barholma

Cleretta, posiadacz władzy prokonsula na Zachodnie Terytoria, trzykrotnie osławiony zbawca państwa, miecz Ducha Człowieka, Raj Ammenda Halgren da Luis Whitehall! – zawołał oficjalnie wyraźnym, ostrym głosem. A potem – *Alcalle* Miasta Lwa, messer Filipe de Roors. – Ze środka dobiegł pomruk – Mozesz wejść, messerze.

De Roors niejasno zdawał sobie sprawę, że jego orszak jest sprawnie odprowadzany na bok. Pomieszczenie namiotu było rozjaśnione przez świetliki na górze. Był tam długi stół i krzesła, tablica na mapy z widokiem Miasta Lwa z lotu ptaka. Nic ze splendoru, jakim otoczyłyby się wielki wielmoża Brygady, nic z tego, co z *pewnością* było dostępne dla zdobywcy Południowych Terytoriów. Nic poza krótką buławą z kutej stali inkrustowaną platyną i *electrum*, spoczywającą na szkarłatnej poduszce. Symbol rzadko udzielanej władzy prokonsula, mocy zachowywania się jak wicegubernator w *barbaricum*.

Mężczyzna siedzący na środku stołu naprzeciwko wydawał się na pierwszy rzut oka zwyczajny. Z pewnością jego mundur nie był niczym spektakularnym pomimo osiemnastoramiennej srebrno-złotej gwiazdy na każdym z jego ramion, otoczonej przez mniejsze srebrne gwiazdy i zamkniętej złotą obwódką. Wysoki mężczyzna, szeroki w barkach i wąski w pasie, z grubymi ramionami i nadgarstkami szermierza. Twarda, ciemna twarz ze zdumiewającymi, szarymi oczami i kręconymi, obciętymi „na donicę” czarnymi włosami poprószonej kilkoma nitkami siwizny. Wyglądał starzej niż młody bohater z legendy – i mniej groźnie niż bezlitosny agresor, jakiego opisywali uciekinierzy Eskadry i kupcy Kolonistów.

A potem zobaczył jego oczy i opowieści o Port Murchison zdały się być zupełnie prawdziwe.

Już przedtem spotkałeś twardych ludzi, powiedział do siebie de Roors. *I starłeś ich w proch w negocjacjach*. Skłonił się głęboko. – *Prześwietny generale* – powiedział.

* * *

Ten tutaj mógłby sprzedać wszy Skinnerowi, pomyślał Raj kilka minut później. Kompendium wewnętrznej organizacji Miasta Lwa, pozycji konstytucyjnej Zachodnich Terytoriów i zachowanie w poprzednich konfliktach płynęło przyprowadzone przesadnymi pochwałami, odniesieniami do wspólnej religii i najszczerzszymi dobrymi życzeniami dla Rządu Cywilnego Świętej Federacji.

– Messerze, zamknij się – powiedział cicho Raj.

De Roors zamarł. Był pulchny, w średnim wieku, o miękkim wyglądzie i kosztownie ubrany, z wartą pięćset FedKredytów szpilą w krawacie. Raj nie sądził, aby mężczyzna obawiał się śmierci, nie po przybyciu pod flagą rozejmu i przy gwarancji bezpiecznego przejazdu. Znał jednak efekt, jaki wywierała jego osobowość. Mimo to de Roors negocjował ostro. Istniały inne typy odwagi oprócz tych wymaganych, aby stanąć w obliczu fizycznego niebezpieczeństwa i były one o wiele rzadziej spotykane.

– Przeciwnie do tego, co mogłeś słyszeć, messerze, nie wszyscy w *Gubernio Civil* są miłośnikami retoryki. Ujmę to bardzo prosto: Miasto Lwa musi otworzyć swoje bramy i w pełni współpracować z armią Rządu Cywilnego. Jeśli tak zrobicie, nie tylko zagwarantuję życie i własność cywilnym mieszkańcom. Miasto Lwa zostanie na pięć lat uwolnione od zewnętrznych podatków. Otrzymacie także pięćdziesięcioprocentową redukcję w opłatach z należności za korzystanie z przystani we Wschodniej Rezydencji.

Pochylił się lekko do przodu. – Jeśli tego *nie* zrobicie... nazywają mnie mieczem Ducha, messer *alcalle*, ale sam nie jestem Duchem. Jeśli moi żołnierze będą musieli walczyć, aby dostać się do środka, to wyrwą się spod kontroli – zawsze tak się dzieje z żołnierzami w mieście wziętym szturmem. – De Roors zbladł. Płądrowanie było najgorszym koszmarem każdego mieszczanina. – Co więcej, w takim przypadku będę musiał dokonać poważnej konfiskaty na rzecz zwyczajowej darowizny dla ludzi. To nie są groźby, ale analiza.

– Messerze, *chcę*, aby Miasto Lwa poddało się pokojowo, ponieważ wolałbym mieć pod kontrolą czynny port na półwyspie Korony. *Zdobędę* miasto, w taki albo inny sposób.

De Roors otarł twarz. Nastąpiła chwila ciszy. Na zewnątrz zadzwonił gong, a potem dał się słyszeć śpiew z porannej mszy Gwiazdy. Raj dotknął amuletu, ale czekał niewzruszenie.

– *Heneralissimo supremo*, nie mogę podjąć takiej decyzji z własnej inicjatywy. – Burmistrz zeszywniał nieco, widząc beznamiętny wyraz twarzy Raja. – To nie jest wschód, Wasza Dostojność, a ja nie jestem autokratą – nawet generał Brygady nie mógłby sam podjąć takiej decyzji.

– Trzeba też wziąć pod uwagę garnizon. Zwykle mamy tu kilka setek regularnych żołnierzy, dosyć, aby, ach...

Raj skinął głową. *Trzymać w ryzach mieszkańców*. Wolne miasta kupieckie były często spotykane na niektórych wyspach Morza Śródświatowego. Garnizon przypominał, że Miasto

Lwa znajdowało się na lądzie i było dostępne dla armii generała.

– Po dotarciu nowin o wyspie Stern generał przysłał trzy regimenty ze Starej Rezydencji, ponad trzy tysiące pięćset będących w gotowości żołnierzy pod komendą nadpułkownika Pitera Strezmana. To sławny dowódca, a żołnierze są weteranami. Nie poddadzą się.

– Całkiem sporo Brygadowców w okolicy tak zrobiło – zauważył Raj.

– Nie byli za mocnymi murami z zapasami na rok, Wasza Dostojność – stwierdził de Roors. Co więcej, ich rodziny nie znajdowały się w Starej Rezydencji jako zakładnicy.

Jaki wspaniały sposób na budowanie morale bojowego, pomyślał Raj. Założę się, że to Forker poddał ten pomysł. Miał z nami zbyt wiele kontaktu i wychodząc od barbarzyństwa od razu pogrzył się w dekadencji, omijając proces budowania cywilizacji.

– Jak sam mówisz, to nie jest wschód – rzucił sucho. De Roors zaczerwienił się, a Raj kontynuował – Postawmy sprawę w ten sposób: otworzycie bramy, a my zajmiemy się garnizonem.

De Roors zakaszlał w chusteczkę. Raj uniósł palec. Wśliznął się jeden ze służących, postawił karafkę z wodą i usunął się zwinnie w takiej samej ciszy.

– To może być możliwe, tak – stwierdził de Roors. Napił się i otarł usta. – Problem tkwi w tym, Wasza Dostojność, że, ummm, rozumiesz, iż nie jesteśmy zachęceni do wtrącania się w sprawy wojskowe i – czy mogę zasugerować, że Miasto Lwa samo w sobie nie jest tak naprawdę ważne? Gdybyś udał się dalej i pokonał główne armie Brygady lub zajął Starą Rezydencję, to bylibyśmy zachwyceni, mogąc z tobą współpracować, jak najbardziej, jak najbardziej. Wówczas nie miałbyś powodu do narzekania na naszą lojalność. Do tego czasu byłoby to zaiste nierozważne z naszej strony...

Raj się uśmiechnął. De Roors wzdrygnął się lekko i odwrócił wzrok.

– Masz na myśli to – powiedział Raj, a jego słowa były równie ostre i zimne jak kute żelazo na lufie armaty – że, jeśli otworzycie bramy, a my przegramy później wojnę, to Brygada was wyrznie aż do dzieci w kołyskach. Całkiem słusznie. Spójrz na mnie, messerze.

De Roors niechętnie znów podniósł wzrok. Raj ciągnął dalej – Wraz ze swymi ludźmi nie mogę się asekurować, messer *alcalle*. Tak samo nie mogą Brygadowcy i żadne z nas nie pozwoli *wam* na asekurantwo, tym samym zachęcając każdą wioskę okoloną murami do próby bezpiecznego przesiedzenia za nimi wojny. Jeśli będziesz próbował siedzieć na tym

płocie, to skończysz wbity na niego. Bez wątpienia uważasz to za niezmiernie niesprawiedliwe i bez wątpienia takim jest. Jest to również sposób, w jaki funkcjonuje ten upadły świat, i będzie funkcjonować, dopóki nie zostanie przywrócona Święta Federacja. Co stanowi moje zadanie jako miecza Ducha.

– Z pewnością, ach, z pewnością przedstawię twoje poglądy moim kolegom, Wasza Dostojność. – Lęk de Roorsa zaczął wzrastać, gdy kupiec uświadomił sobie, iż to, co mogło być religijnym frazesem w ustach innego człowieka, w tych ustach stanowiło śmiertelnie poważne zamierzenie.

– Och, lepiej zatem tak uczynić – stwierdził Raj.

* * *

– Ten człowiek jest szalony! – rzucił de Roors, gdy jego grupa jechała z powrotem ku bramom miasta. Znacznie wolniej, jako że tym razem nie mieli eskorty torującej im drogę.

– Co uczynisz, panie? – spytał główny zarządca. Już wiele lat temu usunięto mu z szyi żelazną obrożę, ale pewne przyzwyczajenia pozostały.

– Przygotuję się do zwołania miejskiego zgromadzenia – warknął de Roors. – Dokładnie jak domagał się tego *heneralissimo supremo*.

– Bratanek Barholma... – zarządca potrząsnął głową i pochylił się bliżej, aż psy były na tyle blisko, by obwąchiwać się dla zabawy po uszach. – Jaki byłby z niego zakładnik!

De Roors zdzielił mężczyznę przez głowę trzonkiem psiego bata. – Zamknij się. Gdybyśmy tknęli choć włos z głowy Cleretta po przyrzeczeniu bezpiecznego przejścia, Whitehall posypałby dymiące ruiny *solą*.

Przerwał, zamyśliwszy się. Drugi mężczyzna potarł bok głowy tam, gdzie twarda, elastyczna kość odcisnęła pręgę.

– A nadpułkownik Strezman przybiłby nas do krzyża, żeby na to patrzeć. Wiesz, jacy są niektórzy z tych Brygadowców w sprawie przysięg, a on jest gorszy niż większość.

– Jeśli tak mówisz, panie.

– Nie, nasza jedyna nadzieja leży w tym, że pomaszeruje dalej i nie będzie na nas tracił czasu... gdybyśmy *mogli* otworzyć bramy, on dotrzymałby swego... nie, to zbyt ryzykowne – a pozostali nigdy by się na to nie zgodzili, nie spotkali go i oni nie, oni nie... – de Roors potrząsnął głową. – On naprawdę w to wierzy, uważa się za miecz Ducha.

Główny zarządca spojrział na swego patrona z troską, zapomniawszy o ciosie, ł tak jego los był zbyt mocno związany z losem kupca. Było tak już od wielu lat. Przez cały ten czas nigdy nie widział go tak wstrząśniętym. Ręce de Roorsa trzęsły się, gdy bawił się wozami i batem.

– Może – powiedział, próbując żartu – naprawdę nim *jest*, panie. To znaczy mieczem Ducha.

De Roors spojrział na niego w milczeniu. Po chwili zarządca także zaczął się trząść.

* * *

– Znowu mnie oszukuje! – wybuchnął Cabot Clerett. – Najpierw robi wielki hałas na temat zagonienia i wybicia jakichś uciekinierów w dziurze, podczas gdy ja walczyłem z *prawdziwymi* Brygadowcami. A teraz to!

Zastanawiam się, czy to jest dziedziczne? – pomyślała Suzette. Barholm Clerett też nigdy nie zapomniał zniewagi, prawdziwej czy też wymyślonej. Ludzie, którzy skrzywdzili go, kiedy był nastolatkiem, przekonali się o tym z bolesną ostatecznością, kiedy zasiadł na Krześle jako gubernator trzydzieści lat później.

– Twój stryj może uważać, iż Raj niepotrzebnie cię naraża – powiedziała ostrożnie.

– Och, to nie o to chodzi! – powiedział Clerett. Uśmiechnął się. – Cieszę się, oczywiście, iż troszczysz się o moje bezpieczeństwo, Suzette. Nie mogę jednak być zbyt ostrożny, w przeciwnym razie... Chodzi o tę misję. Będzie mi towarzyszył, żeby zepsuć wszelkie szanse, jakie mam na odniesienie prawdziwego sukcesu.

Suzette przysiadła obok niego na ławce i wzięła go za rękę. – Och, Cleretcie – powiedziała. – Myślałam, że będzie incognito.

Ujął jej dłoń w dwie swoje. – Czasami wydajesz się tak mądra, Suzette, a czasami tak niewinna jak dziewczynka. Oczywiście, że się wyda, iż też pojechał. A skoro nie obejmuje go gwarancja bezpieczeństwa, to będzie wyglądało, jakby to *on* wykonywał prawdziwe, ryzykowne zadanie. On będzie bohaterem, a ja będę pomagierem z małą rólką.

Młodzieniec zamyślił się na chwilę. – I ten, ten gość Staenbridge.

– Cabocie, będziesz się musiał nauczyć pracować z różnego rodzaju ludźmi, kiedy zostaniesz gubernatorem. – Uśmiechnęła się i poklepała go po policzku. – I różnymi rodzajami kobiet, ale jestem pewna, że to okaże się o wiele łatwiejsze.

Zarumienił się, uśmiechnął i uniósł jej dłoń do ust. – Dziękuję ci. I – ciągnął – masz rację w kwestii pracy z różnymi typami. Chociaż – rzucił z namysłem – pierwszą rzeczą, jaką zrobię, będzie zabicie Tzetasa, jeśli stryj nie zrobi tego pierwszy. To wszystko, co ukradł, ładnie napelni skarbiec.

Suzette skinęła głową. – Będiesz świetnym gubernatorem, Cabocie – powiedziała ciepłym tonem. *W większości sytuacji na tym stanowisku paranoidalne, bezlitosne postępowanie stanowi atut.*

Cabot częściowo podniósł się z ławki i przypadł na jedno kolano. – Och, Suzette – powiedział nagle jękającym się głosem. – Jesteś jedyną, która naprawdę *rozumie*. Czy, czy mógłbym dostać coś twojego, co mógłbym zabrać ze sobą? Na znak...

Kilka najbardziej starodawnych opowieści, starych jeszcze przed Upadkiem, opowiadało o takich rzeczach. Suzette sięgnęła do kieszeni swojego kombinezonu roboczego noszonego w czasie kampanii i wyciągnęła chusteczkę. Cabot Clerett przyjął ją, jakby była świętym reliktem, tablicą z obwodami albo rozwijanym ekranem, a potem wetknął do wewnętrznej kieszeni kurtki munduru.

– Dziękuję – wyszeptał.

Zastanawiam się, pomyślała, gdy wyszedł, czy przeszkadza mu, że była używana?

Pewnie nie. Właściwie, może to czynić ją bardziej cenną. Potrząsnęła głową. *Pozwolili temu chłopcu czytać zbyt wiele starej poezji*, pomyślała. Bycie tak blisko Krzesła mogło ograniczyć kontakty towarzyskie dziecka. *O wiele za bardzo.*

* * *

Ostatni kilometr głównej drogi wiodącej do Miasta Lwa był brukowany. Nawierzchnia składała się z kamiennych bloków jednakowych rozmiarów osadzonych w zaprawie, i została położona, kiedy rządził na tym obszarze Rząd Cywilny. Było to na długo przez rozwojem kopalni węgla, co uczyniło beton na tyle tanim, by używać go jako nawierzchni. Kiedy bloki za bardzo się zużyły od ciągłego walenia kopyt, łap i kół, można je było przewrócić, ułożyć na żwirowej podściółce i wmurować na miejsce. Działo się to na tyle często, iż te, które pozostały, były nierówne od wielokrotnego przewracania. Dziury w bruku naprawiono kamiennymi płytami, płatami cegieł i łopatami żwiru osadzonymi w cemencie.

Łapy wierzchowców oddziały wydawały dudniący dźwięk na twardej, nieco nierównej nawierzchni. Światło zachodzącego słońca rzucało za nimi cienie, a przed nimi wznosiła się

czerni murów i bramy. Łuk bramy jaśniał żółcią węglowo-naftowych lamp zawieszonych w głębi. Światło to odbijało się lśnieniem od zaostzonego metalu wewnątrz.

– To zupełna głupota, Whitehall – stwierdził Gerrin Staenbridge.

Jechali za grupą flagową ubrani w zwyczajne żołnierskie mundury z *Vihtoria O Muwert* i Straży Życia i skaczącym sierpostopem na naramiennych patkach oraz dystynkcjami starszego sierżanta na rękawach. Sługa Suzette, Abdullah, poddał im kilka sztuczek, bandaż mocno skropiony krwią kurczaka na bok twarzy Raja i dwie gumowe poduszki, aby zmienić kształt tułowia Gerrina. Głównie polegali na fackie, iż niewielu poza ich własnymi żołnierzami kiedykolwiek widziało ich z bliska, a co ważniejsze, niewielu znaczących ludzi *patrzyło* na zwykłych żołnierzy. Obydwaj potrafili całkiem przekonująco udawać parę od dawna służących descotyjskich podoficerów. Którymi pewnie by byli, pomyślał Raj, gdyby urodzili się jako dzierzawcy, a nie synowie dziedziców.

Raj zacmokał. – Muszę wiedzieć, przeciwko czemu dokładnie występujemy i czy możemy znaleźć rozwiązanie do zaakceptowania przez mieszkańców, a przynajmniej przez większość z nich.

Wnioskując z opisu de Roorsa, Miasto Lwa było przyzwyczajone do dość znacznej autonomii w sprawach wewnętrznych. Sposoby na stanowienie polityki mieli dziwne – stanowiące raczej przepis na zabawę w pokrzykiwanie, wymachiwanie rękami i popychanie się nawzajem – ale w taki sposób zarządzano większością dużych miast na zachodzie.

– Potrzebne jest nam aktywne wsparcie mieszczan – ciągnął – jeśli mamy cokolwiek zrobić. To, że *ty* jedziesz, jest głupie. Jesteś moją prawą ręką.

– Ano właśnie. – Gerrin błysnął białą uśmiechu. – Słuchaj, to ty jesteś tym, który najechałby piekło i walczył z demonami z bezgwiezdnych ciemności, jeśli Barholm powiedziałby, że potrzebuje lodu do swoich drinków. Niech mnie, jeśli to ja pozostanę z piłką, kiedy ciebie skrócą o głowę, Whitehall. Znam swoje ograniczenia. Każdy powinien je znać. Jestem bardziej niż kompetentny jako dowódca, ale najlepiej się sprawdzam jako numer dwa – na Ducha, kiedy mnie znalazłeś, byłem tak znudzony, nie miałem nic lepszego do roboty poza bawieniem się rachunkami batalionu. Ty może i masz jakąś szansę na odniesienie powodzenia w tej kampanii, ja nie miałbym, a co gorsza mogliby tego ode mnie oczekiwać. Jorg albo Kaltin mogliby z łatwością utrzymać Koronę przy pomocy Korpusu Ekspedycyjnego – i nikt nie oczekiwałby po nich niczego więcej.

Raj skinął krótko głową. *Prawdziwym* problemem było to, że Barholm mógł przysłać

kogoś takiego jak Klostermann, żeby przejął sprawy, kiedy on zginie... ale i tak nie mógł wygrać, unikając niebezpieczeństwa. Zamilkli, gdy zbliżyli się do bramy.

Przy wejściu nastąpiła wymiana grzeczności, a potem dragoni generała otoczyli oddział Rządu Cywilnego. Raj im się przyjrzał. Całkowicie naturalne zachowanie jak na taką osobę jak on. Mieli dobre wierzchowce i wyposażenie: miecz, dwa rewolwery, a w pochwie po lewej stronie siodła kapiszonowy muszkiet. Nosili hełmy z długimi tylnymi ochraniaczami i szaro-czarne mundury. Oficerowie mieli także napierśniki, a jednostka manewrowała, zgrabnie rozstawiając się obok jego grupy. Ogólnie byli lepiej zorganizowani niż Eskadrowcy i równie twardzi. Eskadrowcy przybyli z Obszaru Bazy zaledwie przed półtora wiekiem, ale spędzili większość tego czasu, siedząc w swoich zagarniętych posiadłościach, przyglądając się, jak pracują ich chłopci pańszczyźniani, a w pobliżu nie mając żadnych silnych wrogów. Brygada miała otwartą granicę na północy, wystawioną na wewnątrz kontynentu. Wszyscy ci ludzie wyglądali, jakby nie raz widzieli titanosauroida.

Jeśli ich przywódcy byłiby równie dobrzy jak ich żołnierze, to mielibyśmy przesrane, pomyślał Raj.

>>Zgadza się.<< przyznało Centrum. >>Słabość nieprzyjaciela w tej kwestii była jednym z wielu czynników składających się na moją decyzję, aby uaktywnić mój plan w twoich czasach, Raju Whitehallu.<<

Główna brama Miasta Lwa była masywnym dziełem. Składały się na nią cztery połączone parami wieże z każdej strony przejścia, z kwadratową platformą grubą na dwadzieścia stóp łączącą je na poziomie trzeciego piętra. Główną obronę stanowiły staromodne mury z okrągłymi wieżami osadzonymi prosto w ziemi. Jeszcze parę wieków temu armata była zbyt słaba, aby zagrozić solidnym, kamiennym murom, toteż wznosiły się one wysoko, aby zniechęcić do ich szturmowania. Od kiedy weszły do użytku ciężkie działa oblężnicze, preferowanym rozwiązaniem było kopanie szerokiej i głębokiej fosy i zatopienie murów po drugiej stronie, aż ledwo wystawały ponad zewnętrzny występ. Tym sposobem niewielki kawałek murów wystawiony był na działanie artylerii, można je było wesprzeć solidnymi umocnieniami ziemnymi i tym samym ustawić własne potężne działa, a szturmujące siły wciąż musiały przedostać się przez fosę i wspiąć na chronioną ścianę. Jednak ktoś wykonał trochę pracy przy bramie. Podstawy wież pochylały się ku tyłowi pod ostrym kątem, aby odbijać kule.

Bramę unowocześniono, unikając straszliwego kosztu modernizowania całych murów

miejskich, które wciąż doskonale wystarczały przeciwko piratom albo najazdom dzikusów. Raj spojrział w górę z profesjonalnym zainteresowaniem, gdy mijali ją, wjeżdżając do środka. Pierwsze wrota z ciężkiego drewna okutego żelazem były grube na pół metra, dalej była krata ze spojonych żelaznych sztab grubych jak męskie ramię. Łukowaty sufit nad głową miał śmiercionośne otwory – szczeliny do strzelania i zrzucania nieprzyjemnych rzeczy na każdego przejeżdżającego – a w środku przejścia znajdowały się schody połączone platformami, aby jeszcze bardziej spowolnić najeźdźców.

Nie znano tu powszechnych na wschodzie gazowych lamp, ale dziś wieczór było dosyć płonących sosnowych wiechciów, aby temu zadośćuczynić. Ktoś się narobił. Stosy cieniutkich deseczek wyznaczały miejsce, gdzie wyłączony teren wewnątrz murów oczyszczono z szop i budek. Tłoczyli się na nim obywatele, czekając, aż zdecyduje się ich los. Było ich więcej wzdłuż całej drogi prowadzącej do centralnego placu, który znajdował się niedaleko od bram. Stały wokół niego zwykle budynki, katedron, mający za kopułę okrągłą planetę a nie wieloramienną Gwiazdę, ratusz z portykiem i rezydencje. Na środku, wokół rzeźbionej fontanny, wzniesiono podium dla mówcy, przed którym stało teraz kilka tysięcy ludzi. W większości sami mężczyźni, w przeciwieństwie do tłumu na ulicach. Wielu z nich było uzbrojonych.

Raj zmierzył wzrokiem grupę na podeście. Wyróżniał się pośród niej wysoki mężczyzna o ostrych rysach twarzy w zbroi na trzy czwarte ciała. To musiał być nadpułkownik Strezman. Miał wyraziste rysy twarzy, długie siwe włosy przetykane czernią, przenikliwe niebieskie oczy i mniej więcej kompanię dragonów na chodniku poniżej. Syndycy miejscy mieli ze sobą tyle samo milicji i stali po przeciwległej stronie podium – interesujący znak potencjalnego rozłamu. Znajdowały się tam także głowy cechów.

Każdy mistrz ze swoją świtą z tyłu i zwolennikami skupionymi na chodniku – kupcy, rzemieślnicy i duże skupiska robotników *dezpohblado* w łachmanach, ustawieni obok nadzorców robotników. Także wielu magnatów miało ze sobą swoich strażników, równie dobrze wyposażonych. Znajdowała się tam duża grupa ludzi w szatach i ha'ik lub turbanach, długich płaszczach i szarfach, także uzbrojonych. Kolonijni kupcy.

Na pewno będą przeciwko nam, pomyślał Raj. Kolonia i Rząd Cywilny rutynowo posługiwały się gospodarczymi sankcjami i wzajemnymi bezpośrednimi atakami na swoich obywateli-rezydentów jako część ciągłej walki.

De Roors ruszył do przodu podium, jak tylko dobiegły końca rytuały powitalne. Uniósł

ręce, aby uciszyć pomruki i przemówił – Obywatele Miasta Lwa! Zebraliśmy się tutaj, aby wysłuchać emisariusza generała Whitehalla i armii Rządu Cywilnego obozującej za murami naszego miasta. Aby uczynić nam zaszczyt, generał Whitehall przysłał najszlachetniejszego ze swych oficerów, aby z nami pertraktował. Nie kogo innego jak prześwietnego Cabota Cleretta, bratanka samego gubernatora Rządu Cywilnego!

Kolejne długie szemranie i pomruk dobiegający z tłumu. – Jak nakazuje grzeczność i starodawne zwyczaje naszej społeczności, prześwietny major Cabot Clerett przemówi pierwszy, wymieniając warunki i żądania Rządu Cywilnego. Przywódcy cechów oraz nadpułkownik Strezman na nie odpowiedzą, zaś cechy przekażą swoją wolę syndykom.

Nastąpiły dalsze elementy uroczystości: błogosławieństwa od kapłanów Ducha Gwiazd i tej Ziemi – liturgie różniły się jedynie w szczegółach, lecz kultowi Brygady przyznano uprzywilejowane miejsce – zanim Cabot Clerett podszedł *do stanowiska*. mówcy.

Clerett zdjął hełm i wziął go pod pachę, a potem uniósł powoli rękę. Był to efektowny gest, ale miał on szczęście bycia szkolonym przez najlepszych nauczycieli retoryki dostępnych we

Wschodniej Rezydencji. Clerett spojrzał na morze zwróconych w górę twarzy. Pochodnie podświetlały jego oblicze, uwydatniając jasne pasemka w kędzierzawych, czarnych włosach oraz surowe i ostre rysy.

– Ludzie z Miasta Lwa! – zawołał głosem podniesionym nieco bardziej niż zwykle. Szkolenie wsparte *całą* mocą silnych, młodych płuc sprawiało, że nie brzmiał piskliwie. Mówił po spanjolsku z akcentem, ale płynnie. – Wysłuchajcie warunków, które są wam hojnie przyznane. Mądrość bowiem nie leży w pochopnej wściekłości, ale w rozważnej radzie i umiarkowaniu. Proponują...

Gerrin poruszył się. Miało być: *generał Whitehall* proponuje. Młody emisariusz trzymał się uzgodnionego tekstu, ale wstawiał własne imię albo coś takiego jak Rząd Cywilny albo Jego Wysokość, mój stryj, wszędzie tam, gdzie miało się pojawić imię Raja. Gerrin i Raj stali po lewej i prawej Cabota, krok z tyłu, prezentując flagę Rządu Cywilnego. Ciężki jedwab sztandaru szemrał trzepocząc o wygładzone drzewce z drewna *stanauro*. Bryza wiała znad oceanu, niosąc woń smoły, stojącej wody i ślad zapachu czystego morza. Na lewo, za wychodzącym na morze murem, lśniły czerwone światła, blask pieców odbijający się na tle dymu z wojennych parowców.

Raj skupiał uwagę na tłumie i przywódcach, sprawdzając tylko, czy warunki są takie,

jakie określił. Pod koniec głos Cabota wznosił się w doskonałej imitacji pasji. Napisał to Barton Foley, czerpiąc ze swoich studiów staronameryjskiego dramatu klasycznego. Niewiele z tego przetrwało Upadek – większość przechowywanych danych umarła wraz z komputerami – ale fragmenty zostały zapisane z pamięci przez pierwsze pokolenie, a fragmenty przetrwały tysiąc sto lat od tamtego czasu. Zakończył obietnice, teraz przeszedł do grózb.

– Dlatego też, ludzie z Miasta Lwa, zlitujcie się nad swoim miastem i swoimi ludźmi, kiedy jeszcze panujecie nad moimi żołnierzami...

– *Moimi* żołnierzami, ty mały *fastardo*? – wymruczał Gerrin. Jego głos był niemal niesłyszalny, ale Raj znajdował się bardzo blisko. Na tyle blisko, aby niezauważenie szturchnąć mężczyznę butem.

– ... uniknijcie śmierci, zniszczenia i nieprawości, jakie towarzyszą plądrowaniu. Poddajcie się. Jeśli bowiem nie, to będziecie patrzeć, jak plugawe ręce skąpanych we krwi żołdaków kalają uda waszych wrzeszczących przeraźliwie córek; jak wasi ojcowie chwytani są za siwe brody, a ich czcigodne głowy roztrzaskiwane o ściany, zaś nagie niemowlęta nabijane na bagnety, podczas gdy oszalałe matki swym wyciem rozdzierają z bólu chmury!

Cabot przerwał, trzasnął obcasami i zrobił krok w tył. Morze twarzy zafalowało, gdy ludzie odwracali się, aby porozmawiać z sąsiadami. Jakiś głos odezwał się z szeregów robotników.

– Toż to nie nasza wojna! Ten generał Raj, z tego co mówią, dobrze potraktował spokojnych ludzi na wsi. Co żeśmy kiedykolwiek dostali od Brygady oprócz podatków i kopa w tyłki? Otworzyć bramy!

– Otworzyć bramy! Otworzyć bramy! – Klakier podjął skandowanie.

Kątem oka Raj dostrzegł zaciśniętą szczękę nadpułkownika Strezmana. Ten wymruczał rozkaz do adiutanta, który zeskoczył z podium. W parę sekund później oddział żołnierzy Brygady zmierzał ku człowiekowi, który przemówił. Nastąpiło chwilowe zamieszanie, gdy robotnicy zwarli szyki, a potem przepuścili pomiędzy swoimi nogami umykającego do tyłu mężczyznę, aby mógł zgubić się w tłumie. Zanim kolby karabinów zdołały utorować sobie drogę, zbliżył się oddział cywilnej milicji. Oficer Brygady dowodzący oddziałem obejrzał się przez ramię na Strezmana, a potem zawrócił swoich ludzi i oddalił się żegnany drwinami i gwizdami, ale nie kamieniami.

Jeszcze nie, pomyślał Raj.

Strezman się poruszył, a de Roors podprowadził go do stanowiska mówcy.

– Cisza! – krzyknął pułkownik.

Kiedy szemranie przybrało na sile, Strezman dał znak swojemu adiutantowi i dziesięciu dragonów ściągnęło karabiny z ramion i wypaliło w powietrze. I, jak zauważył Raj, natychmiast załadowało ponownie.

Wreszcie zapadła cisza. – Cywile z Miasta Lwa – zaczął Strezman. Jego spanjolski był mocniej akcentowany niż Cabota, z nameryjską melodyką.

Niezbyt taktownie, pomyślał Raj. Cywil oznaczał na ziemiach Brygady w najlepszym razie „obywatela drugiej kategorii”. Było to tylko nieco grzeczniejsze sformułowanie niż *grisuh*, cywilniak.

– W swojej mądrości – ciągnął Strezman – Jego Potężność generał Forker, pan ludzi... – to stwierdzenie wypadło blado, a on zignorował rzucone tu i ówdzie drwiny.

Spodziewam się, że Strezman nie jest zbyt zachwycony tą małą zabawą w zakładników odgrywaną przez Forkera, pomyślał Raj. Ten mężczyzna zdawał się być na swój sposób niezłym żołnierzem, a raport wywiadu wskazywał, iż był szlachcicem Brygady pochodzącym ze starej szkoły.

– ... przysłał silny garnizon, aby bronić waszego miasta przed tym rzeźnikiem Whitehallem i jego zastępami. – Z tłumu dobiegło więcej pomruków, a jakiś głos zawołał – Taa, wyrznął całe *mnóstwo* was, psich synów barbarzyńców w Południowych Terytoriach. – Ozwał się kolejny, z innej części tłumu – I przywrócił Kościół Świętej Federacji, ty heretycki łajdaku!

Pomruk tłumu był paskudny. Milicja przestąpiła z nogi na nogę, spoglądając na syndyków. Uzbrojeni ludzie bogaczy i Kolonistów zwarli szyki wokół swoich panów. Na policzkach pułkownika płonęły czerwone plamy. Tym razem błysnęła rękawica zbroi, gdy wydawał rozkazy. Żołnierze Brygady wymaszerowali na przód podium i unieśli karabiny, zwracając się ku tłumowi groźnym szykiem. Ludzie odsunęli się z miejsc, w które ci mierzyli.

De Roors podszedł pośpiesznie do wysokiego pułkownika i zamachał ramionami, prosząc o ciszę. Strezman skinął mu krótko głową i ciągnął dalej, gdy żołnierze przeszli do pozycji „prezentuj broń”.

– Mamy cztery tysiące weteranów z północnej granicy. Mamy mnóstwo prochu i pocisków dla mniejszej broni i armat na murach. Whitehall nie może tutaj długo zostać.

Armie Brygady się zbierają, a przewyższają liczebnie jego żalosne siły jak pięć, albo i dziesięć do jednego. Jeśli się nie ruszy, zostanie schwytyany pomiędzy przybywającym z odsieczą wojskiem a murami Miasta Lwa.

Trafna ocena, pomyślał Raj. Choć wroga. *Miał nadzieję*, że nie było zbyt wielu takich jak Strezman w wyższej hierarchii Brygady.

– Whitehall będzie musiał wkrótce stąd odmaszerować, jeśli mu się sprzeciwimy. Nie ma też ciężkich dział.

– Brygada, potężny generał, obdarzyła was dużym stopniem samorządności w tych murach – ciągnął Strezman, a sądząc z jego tonu, uważał to za błąd. – Pod warunkiem, że mury i wasza cywilna milicja będą pomocne w czasie wojny. To, że rozważacie propozycję tego szaleńca Whitehalla, jest oznaką, iż to postępowanie *mogło* być błędem. Gdybyście byli na tyle głupi, aby ją przyjąć, to, gdy wojna dobiegnie końca, a małe siły Rządu Cywilnego zostaną zmiażdżone, to wy będziecie następni. Jego Eminencja nie pozostawi choćby jednego kamienia na swoim miejscu ani choćby jednego żywego obywatela. Co więcej, wraz z moimi podkomendnymi będziemy walczyć niezależnie od waszych decyzji. Zatem zdrada sprawi tylko, że walka przeniesie się z za murów do waszych ognisk domowych.

Strezman stał przez chwilę, a światło ognia odbijało się od jego zbroi, a potem zrobił krok w tył. – Kontynuuj – powiedział do de Roorsa; zarówno gest jak i głos pełen był pogardy wobec cywilnej rozlazłości i niezdecydowania.

Mówca pojawiał się za mówcą. Wyglądało na to, że większość była za stawianiem oporu, choć całkiem sporo tak się asekurowało, że nie dało się stwierdzić, za jakim rozwiązaniem optowali.

Kilku było tak pijanych, że bredzenie było nieuniknione. Wreszcie przedstawiciel Kolonistów zajął miejsce na podium. Był pulchnym mężczyzną w olśniewającym turbanie z *torofibu*, spiętym rubinem z pióropuszem tęczowych piór sauroida. Za szarfę długiego płaszcza zatknięte miał szablę i pistolet, lecz głos, którym zwrócił się do tłumu, był wyszkolony.

– Współobywatele – zaczął Kolonista. – Pozwólcie, iż zapewnię was, że Jamaat-al-Islami...

Liga Islamu, przetłumaczył w myślach Raj. To pewnie lokalne stowarzyszenie Kolonistów.

– ... będzie walczyć u waszego boku. My znamy tego *banchuta* Whitehalla, opowiadali nam o nim nasi krewni. To bandyta, morderca, plugawca świętych przybytków! W naszych magazynach jest dość żywności, aby wykarmić całe miasto przez rok i dzień. Nie ma co się bać oblężenia. Musimy przeciwstawić się niewier... najeźdźcy Whitehallowi. Gdyby jego ludzie znaleźli się wewnątrz murów, żadna własność mężczyzny nie byłaby bezpieczna ani też honor jego kobiet.

Jakiś mężczyzna wszedł w światło pod podium. Był odziany w ubranie robotnika, stare, ale nie złachmanione, a na butach miał kościane klamry. Rzemieślnik, nie zamożny, ale także nie *dezpohblado*.

– Masz na myśli to, że twoje dobra będą bezpieczne, Haffizie bin-Daudzie – powiedział.
– Ja... – de Roors dawał znaki. – Ja jestem jednym z syndyków wytwórców żagli, Filipie de Roors – warknął mężczyzna na bruku. – Mam takie samo prawo do przemawiania jak każdy *riche hombe*. – Jego twarz zwróciła się znowu ku Arabowi. – A jeśli chodzi o honor naszych kobiet, to jak bezpieczna była Therhesa Donelli przed waszym człowiekiem Khaledem al'Assadem?

Kolejny dygnitarz na podium przepchnął się do przodu. Był starym człowiekiem, bogato ubranym, z nosem jak dziób i zwisającym podbródkiem. Zamachał gniewnie trójkątnym kapeluszem.

– Pilnuj swego miejsca, Placeedo, i trzymaj się tematu – ostrzegł. – Ta sprawa została załatwiona i zadośćuczynienie przyznane.

Wytwórca żagli Placeedo skrzyżował ramiona i zerknął do tyłu. Odezwały się za niego głosy z ciemności – Zadośćuczynienie? Nasze córki nie są dziwkami!

– Wy *riche hombes* jesteście w zмовie z nie wierzącymi w Ducha i barbarzyńskimi heretykami!

– Łajdaki *riche hombe* wyciskają nas, a kiedy się skarżymy, posługują się żołnierzami. Teraz oczekują, że umrzemy, żeby oni mogli zachować swoje jedwabie.

– Tak, i sprowadzają niewolników i wyrobników, żeby wykonywali pracę wykwalifikowanych robotników, by zniszczyć nasze cechy!

Widocznie był to od dawna punkt zapalny. Ryk tłumu wypełnił noc, a de Roors musiał wielokrotnie machać, aby zmniejszyć hałas na tyle, by go słyszano.

– Obywatele! Wojsko stoi u naszych bram i nie możemy się poróżnić między sobą.

Syndyku Placedo Anarenzie, czy pragniesz jeszcze coś powiedzieć?

– Tak, *alcalle* de Roors. Moje pytanie jest skierowane do syndyka Haffiza bin-Daуда i *Jamaat-al-Islami*. Mówi on, że jego pobratymcy mają dosyć żywności w magazynach. Czy da swoje słowo honoru, że ziarno będzie wydawane za darmo w czasie oblężenia? Albo chociażby za cenę sprzed miesiąca? Czy miasto wykarmi rodziny ludzi wyrzuconych z pracy, bowiem zamknięto bramy, a flota *Gubernio Civil* zablokowała zatokę? Są tu mężczyźni, których kobiety i dzieci idą dziś spać głodne, bo handel został zakłócony. Biedni ludzie nie mają oszczędności, żadnych magazynów z żywnością, materiałami czy opałem. Nadchodzi zima, która jest dla nas wystarczająco trudna w czasie pokoju. I co?

Haffiz wykonał gest wspinałomyślności. – Oczywiście, że my...

Zanim mógł przemówić dalej, otoczyła go gromada innych mężczyzn w turbanach i szatach, kłócących się zajadle i wymachujących ramionami. Z urywków wysyczanego arabskiego Raj zrozumiał, że polityczna hojność, jaką tamten miał na myśli, nie była powszechnie uznawana przez jego pobratymców.

Syndyk wytwórców żagli uśmiechnął się i odwrócił, dając znak tłumowi. Dało się słyszeć skandowanie – Otworzyć bramy! Otworzyć bramy! – Anarenz uśmiechnął się szeroko. Uśmiech zmienił się w skrzywienie i gorączkowe machanie rękoma, gdy kolejne zawołania popłynęły po pierwszym.

– Zabić bogatych! Zabić bogatych! *Wykopać ich kości!*

– *Na pohybel heretykom!*

Tym razem poleciały kamienie. Pośród wrzawy i zamieszania Raj zobaczył, jak stary syndyk podchodzi do skraju platformy. Wydał rozkaz stojącemu tam człowiekowi, najemnikowi z Oddanych w mundurze-liberii. Mężczyzna oddalił się. Kilka sekund później coś wyleciało ze świstem z ciemności i walnęło Anarenza w łopatkę. Był to topór do rzucania, takiego samego typu, jakiego kapitan Lodoviko użył, aby ocalić Rajowi życie na wyspie Stern. Ten tutaj wykończy wytwórcę żagli, jeśli ten nie dostanie się do uzdrowiciela, i to szybko.

– Wygląda na to, że spotkanie dobiega końca – rzucił w napięciu Gerrin.

Raj potrząsnął głową, a jego oczy wędrowały po falującym morzu ruchu poniżej. Milicja – w większości – obróciła się i stawiała czoła tłumowi. Grupy domowych wojów robiły wypadki w skraj tłumy, aresztując lub pałując ludzi, wyraźnie zgodnie z jakimś planem. Raj

zobaczył, jak Anarez jest wynoszony przez tuzin mężczyzn wyglądających na jego przyjaciół, a tłum spowolniał pogoń na tyle, że udało mu się uciec.

– Sądzę, że uda im się opanować sytuację – powiedział Raj.

– Cisza w szeregach – rzekł z roztargnieniem Cabot. Jego oczy skupione były na czymś innym niż obecne niebezpieczeństwo.

Zadudnił bęben kotłowy i dał się słyszeć grzmot łąp. Na plac wpadła kolumna kawalerii Brygady, a ludzie rozbiegli się przed nią. Żołnierze rozciągnęli się wzdłuż placu, z jasnymi mieczami w dłoniach i warczącymi psami pobłyskującymi obnażonymi zębami.

Powoli powróciła cisza z masowym powarkiwaniem jak odległy grzmot w tle. De Roors wszedł na podium. – Przystąpmy do głosowania! – powiedział.

Poszło prędko. Głosowano cechami. Bogaci kupcy i każdy z cechów wytwórców miał po głosie, tyle samo co organizacje mechaników z ich licznymi członkami, i jeden głos dla robotników. Za nieobecnych głosował automatycznie de Roors jako *alcalle* miasta.

W końcu burmistrz zwrócił się do Cabota i skłonił się. – Wasza Czcigodność, z głębokim żalem muszę poprosić cię, abyś opuścił nasze miasto. Maszerujcie dalej, bowiem Miasto Lwa będzie broniło murów przed każdym atakiem.

* * *

– Pogońmy je do klusa – rzucił Raj, jak tylko znaleźli się za bramą.

– Panie – odparł sztywno Cabot. – Nasza godność...

– ... nie jest warta naszych tyłków – stwierdził, uśmiechając się Raj. – Klusem, a potem galopem, jeśli łaska, messerowie.

Dotknął piętami Horace'a. Nad nimi furkotał sztandar Rządu Cywilnego, złoto-srebrny Rozbłysk Gwiazdy błyszczący w świetle księżyców.

Rozdział czternasty

Fatima cor Staenbridge splotła ręce na fartuchu z nawoskowanego płótna, okrywającym przód jej ciała. W namiocie do operacji panowała cisza przepelniona głębokim napięciem. Ze strachem oczekiwano na to, co znane. Lekarze, kapłani i umartwione siostry czekali wraz z asystentkami przy stołach. Obok nich rozłożono piły, dłuta, skalpele i noże o dziwnych kształtach, ketgut i zakrzywione igły oraz stosy wygotowanych płóciennych bandaży. Słoje błogosławionej destylowanej wody zmieszanej z karbolem czekały koło stołów, a jeszcze więcej w spryskiwaczach razem z jodyną, a także pleśń z prochem oraz butle płynnego opium wraz ze szklaneczkami do odmierzania. Większość batalionów miała własnych kapłanów-uzdrowicieli. Ci, którzy byli z Korpusem Ekspedycyjnym, służyli razem na tyle długo, że generał Whitehall zorganizował ich w korpus pod przywództwem przeora-sysupa.

– Czy będzie źle? – spytała Mitchi. – Kaltin powiedział mi, żebym się nie martwiła.

Konkubina Kaltina Grudera miała niespełna dziewiętnaście lat oraz długie, jasnorude włosy, teraz związane, zaś mleczna cera, piegi i jasnozielone oczy wskazywały, iż były one naturalne. Wraz z Fatimą czekała na czele pozostałych pomocników. Wojsko Rządu Cywilnego miało mniej towarzyszących mu ludzi niż większość armii, a te prowadzone przez Raja Whitehalla jeszcze mniej

– jeden służący na ośmiu kawalerzystów, inni dla oficerów i nie dające się uniknąć, tolerowane, ale niezgodne z przepisami osobniki. Raj nalegał na to, żeby wszyscy nie mający przypisanych wojskowych obowiązków robili *coś* pożytecznego, a Suzette zorganizowała kobiety, na których można było polegać do służby w szpitalu w trakcie dwóch poprzednich kampanii, z Fatimą jako jej zastępczynią.

– Będzie gorzej niż poprzedniego roku – powiedziała Fatima. Mitchi stanowiła dar od kupca Reggiriego, ofiarowany tuż przed opuszczeniem przez Korpus Ekspedycyjny wyspy Stern w drodze ku ziemiom Eskadry. W Południowych Terytoriach poniesiono lekkie straty. Lekkie jak na siły Rządu Cywilnego.

– Mam nadzieję, że nie tak źle jak pod Sandoralem – ciągnęła Fatima. A cicho – Proszę, niech nie będzie tak źle jak wtedy. – Koryta u stóp stołów operacyjnych były pełne tego dnia,

pełne amputowanych kończyn.

Znała teraz z doświadczenia tę litanię: wnieść rannych i posortować ich. Psia dawka opium dla beznadziejnych przypadków i zabrać ich do umieralni. Zabandażować lekko rannych i odsunąć ich na bok, aby zająć się nimi później. Poważne przypadki – poszukać kuli, usunąć ciała obce, pozszywać tętnice i żyły, zdezynfekować i zabandażować. Przyszyć z powrotem na miejsce płaty mięśni i mieć nadzieję, że się zagoją. Złożone złamania były powszechne, kości rozwalone w drzazgi ciężkimi, grubymi pociskami używanymi w większości broni to była norma. Tych z takimi urazami kierowano do amputacji i pozostawało tylko mieć nadzieję, że w ranę nie wda się gangrena. Podawano dawkę opium przed operacją, ale nie było czasu, żeby czekać, więc znieczulenie czasami nie działało. Wtedy silne ręce musiały przytrzymać ciało na stole, a chirurg ciął tak szybko, jak to tylko możliwe, ścigając się z szokiem, wywołanym przez ból atakiem serca, jak i z utratą krwi.

Dłoń pociągnęła za rękaw Mitchi. – Czy będzie strzelanina? – spytał po nameryjsku cichy głosik.

Obydwie kobiety spojrzały zaskoczone w dół. Była to dziewczynka, którą przy wiózł Kaltin – bardzo cicha, dostawała napadów dreszczy, miewała koszmary i nie lubiła być sama.

– Nie tutaj – powiedziała łagodnie Fatima. – Tutaj jesteśmy bezpieczne.

Dziecko zamrugało, rozglądając się, jakby strach wyrwał ją z oszołomienia. – Było dużo strzelania, kiedy mama i tata odeszli – powiedziała. – Zostawiliśmy farmę i poszliśmy do jakiegoś miejsca w lesie z mnóstwem innych ludzi. Tata powiedział, że będziemy tam bezpieczni, ale potem była strzelanina i oni odeszli. Powiedzieli mi, żebym czekała i ukryła się pod tobołkami.

Mitchi spotkała się wzrokiem z Fatimą ponad głową dziecka, a potem wzięła ją na kolana. – Ciii, malutka – powiedziała, przytulając ją mocno.

– Oni nie wrócą, prawda? – spytała pośpiesznie Jaine. Fatima potrząsnęła głową. Dziecko westchnęło.

– Tak naprawdę to nie sądziłam, żeby mieli wrócić – powiedziała. Jej twarz drgnęła. – A potem nadeszli Skinnerzy. Myślałam, że Skinnerzy tylko przyjdą i dopadną złe dzieci, a ja nie byłam zła. Byłam naprawdę cicho, jak tata powiedział. Naprawdę. – Łzy zaczęły ciec z kącików niebieskich oczu.

Allahu – Duchu Człowieka – dlaczego teraz? – pomyślała Fatima. A może to był dobry

moment. Gerrin jeszcze nie opuścił miasta. Ludzie czekali, aż emisariusze będą bezpieczni, to był sygnał. Raj i Gerrin byli tam w przebraniu, pośród wrogów. Wszystko było lepsze niż czekanie, kiedy nie miało się o czym myśleć.

Dziecko ciągnęło dalej – Nie obłupił mnie ze skóry ani nie zjadł mnie, jak to Skinnerzy mieli robić ze złymi dziećmi. Próbował na mnie wejść, jakbym była dużą, dorosłą panią. – Jej głos wciąż był cichy, ale lekko piskliwy. – Zrobił mi *krzywdę*.

– Nikt nie może cię tutaj skrzywdzić, mały wróbelku – powiedziała Fatima, gładząc dziewczynkę po twarzy.

– Wiem – przytaknęła Jaine. – Pan Gruder zastrzelił go. – Jej twarz odprężyła się nieco. – A potem go ze mnie odkopnął i strzelał do niego jeszcze wiele razy.

Dwoje dorosłych wymieniło kolejne spojrzenie, o *tym* nikt im nie powiedział.

Odgłosy obozu dobiegały przytłumione, ale ryk dochodzący od miasta był niczym odległe morze. Fatima znowu zadrzała, przypominając sobie dźwięk, kiedy Piąty wdarł się do El Djem jak woda przez kruszącą się tamę. Świtało wówczas. Dzień był jak każdy inny. Tego dnia, w którym wszystko się zmieniło.

Minęło kilka minut i wtedy Jaine znowu się odezwała, rozmazując rączkami po twarzy częściowo wyschnięte łzy. – Czy jesteście niewolnicami? – spytała i podniosła ręce, żeby dotknąć szyi. Mitchi zrozumiała ten gest. Zgodnie z prawem Brygady niewolnicy zobowiązani byli do noszenia metalowych obrożi.

– Tak, ja jestem – w *Gubernio Civil* nie musimy nosić obroży – powiedziała. – Fatima była niewolnicą, ale teraz jest wolną kobietą.

Dziewczynka zmarszczyła brwi. – Czy ja jestem teraz niewolnicą? – spytała. – Tata... tata czasem bił niewolników.

Mitchi się zawahała. Fatima skinęła głową i przemówiła uspokajająco – Należysz do pana Grudera, ale nie martw się, malutka. On jest bardzo miłym człowiekiem. Jeśli będziesz dobrą dziewczynką i będziesz robić to, co każą ci Mitchi i messer Gruder, nic ci się nie stanie.

Przez klapę wejściową do wielkiego namiotu zobaczyła raketę leącą łukiem w noc. Wybuchła z głośnym *pop* i czerwoną iskrą.

– Mitchi, zabierz Jaine do miejsca dla dzieci – rzuciła z napięciem Fatima. *Zaczęło się*.

Dziecko zaczęło robić nadąsaną minkę. Fatima uprzedziła wybuch. – Chcę, żebyś

pomogła opiekować się małym Bartonem i Suzetką, dobrze? – powiedziała. i

Jaine skinęła główką i dała się wziąć Mitchi za rękę.

Zza okopów wokół obozowiska huknął stworzony przez człowieka grom. Coś zacisnęło się w żołądku Fatimy, gdy rozpoznała ten dźwięk, ale pierwsza była ulga. Gerrin znajdował się bezpiecznie poza zasięgiem strzału. Taki był sygnał.

* * *

– Chodźmy, ludzie! – krzyknął pułkownik Jorg Menyez. – Pokażcie tym psim chłopaczkom, z czego was ulepili. Naprzód Siedemnasty!

Sześciuset ludzi z 17 Piechoty z hrabstwa Kelden podniosło się z ziemi i ryknęło, gnając do przodu na dźwięk trąbki. Utrzymywali szyk, biegnąc z dudnieniem stóp, jeden szereg za drugim. Szeregi chwiały się, ale nie rozpadły na skupiska, jak mogliby zrobić niewyszkoleni ludzie. Pułkownik biegł z nimi pod trzepoczącym sztandarem. Z przodu lśniły blado w świetle księżyców południowe mury Miasta Lwa. Nawet w ciemnościach nocy było sporym osiągnięciem doprowadzenie tak wielu ludzi tak blisko do murów bez przyciągania uwagi. Jednakże nawet milicja nie mogła przeoczyć dwóch batalionów ludzi biegnących ku niej w pełnym natarciu. Nawet przy wciąż rozbrzmiewających w ciemnościach niczym ryk morza odgłosach zamieszek.

Oficera minęła drabina niesiona na ramionach przez pochrzążujących, dyszących mężczyzn. Ich buty uderzały jednocześnie o ziemię, a wolne ręce wybijały rytm. Flegmatyczne twarze wyrobników wykrzywione były z wysiłku. Rozdziawione usta oznaczały ludzi, którzy skupiali się jedynie na zadaniu do wykonania. Pułkownik miał niewiele ponad trzydziestkę i był w dobrej formie, ale nie było mu łatwo dotrzymać kroku swoim ludziom.

Na Ducha, pomyślał. Widział, jak ludzie biegli mniej chętnie ku beczce darmowego wina.

* * *

Major Haldolfo Zahpata machnął szablą do przodu. – *Dehfenzo Lighon!* – zawołał. *Bron wiary*. Motto 18 Pograniczników z Komar.

– *Aur! Aur!* – wrzasnęli jego ludzie, nacierając biegiem. – *Despert Staahl!* Był to starożytny okrzyk bojowy południowego pogranicza Rządu Cywilnego: *Obudźcie żelazo!*

Zahpata szczerzył się w uśmiechu, biegnąc, i czując, jak kolczugowy ochraniacz na szyję uderza go o ramiona. Jorg miał dobry pomysł. Słyszał, jak oficerowie i podoficerowie krzyčeli do swoich ludzi – *Czy pozwolicie piechocie dotrzeć do murów przed wami?*

Drabiny, które nieśli, miały dziesięć metrów długości i były szerokie na tyle, aby dwóch mężczyzn mogło się na nie wspiąć obok siebie. Pospieszne szkolenie nauczyło ludzi zluźowywania oddziałów niosących nieporęczne, ciężkie przedmioty w pełnym biegu. Tym sposobem, mimo ich ciężaru, można je było przenieść całą drogę do murów biegiem.

Zahpata znowu wyszczerzył się w uśmiechu, tym razem obnażenie zębów nie miało nic wspólnego z rozbawieniem. Dwa bataliony dorosłych mężczyzn gnały ku działom wypchanym kartaczami i odsłaniały swoje bezbronne ciała przed nieprzyjaciółmi chronionymi przez kamienne mury, dla honoru związanego z tym, kto pierwszy zasadzi szmacianą flagę na szczycie murów.

Wiara to cudowna rzecz, pomyślał, przebijając nogami. Wierzę w siebie, Dinnalsyn. Nie zawieźdź mnie.

* * *

– Teraz! – powiedział Grammeck Dinnalsyn i wbił pięty w psa.

Trzydzieści dział wyskoczyło do przodu. Zbliżyły się powolnym tempem, z wyciszonymi kołami i jasnym metalem przykrytym szmatami. Teraz toczyły się do przodu w galopie, a załogi pochylały się w siodłach. W odległości tysiąca dwustu metrów od murów zatrzymały się i ustawiły w baterie. Psy zaprzęgi obróciły się tak ostro, że niemal przewróciły działa. Iskry wystrzeliły w noc, gdy ludzie na jaszczach zaciągnęli dźwignie hamulców. Psy przysiadły na tylnych łapach, aby wytracić pęd, jak tylko obróciły się lufy. Zarówno na pierwszym jak i na ostatnim psie w zaprzęgu siedział człowiek i to on wyciągał zawleczkę mocującą łańcuchowy postronek uprzęży do jaszczaka. Zaprzęgi pokłusowały do przodu kolejne pięć metrów, na tyle, aby usunąć się z drogi, lecz pozostać blisko w razie szybkiej ucieczki, a potem opadły na ziemię w swoich uprzężach.

Kanonierzy zeskoczyli i rzucili się ku swojej broni. Szczęk żelaza wypełnił powietrze, gdy odpięli i wyciągnęli mocujący pręt i zdjęli każdą z prowadnic z przodu działa. Tym razem nie pozwolili końcówkom prowadnic upaść na ziemię. Każdy jaszcz miał dzisiejszej nocy dwa żelazne trójkąty z jednym bokiem wygiętym do wewnątrz. Przybili je kołkami z przodu każdego koła, a potem podciągnęli koła w górę i przymocowali je do trójkątów. Inni machali

pospiesznie z tyłu kilofami i łopatami, wykopując dziury na końcówki prowadnic. Kiedy prowadnice wpadły w dziury, działa nie mogły zjechać do tyłu po żelaznej nawierzchni. Zamki szczękały i dzwoniły, gdy ładowacze wpychali pociski na miejsce, a dźwignie zamykały za nimi blokujące rygle.

Dinnalsyn skrzywił się, poganiając ludzi przekleństwami. Był to sposób uzyskania z dział polowych dodatkowego zasięgu lub wyniesienia. Normalnie wymagały one długich, prostych trajektorii. Poddawał on także ramy niszczącym naciskom, bowiem nie mogły cofnąć się wraz z odrzutem w zwykły sposób. *Powinniśmy mieć więcej haubic, lekkich*, pomyślał: przysadziste działa o wysokim wyniesieniu uważano oficjalnie za użyteczne głównie przy oblężeniach; przy dużych kalibrach były ciężko zbudowane.

Inni kanonierzy ustawiali mocne karbidowe lampy na trójnogach, z zakrzywionymi lustrami z tyłu. Normalnie stanowiły one sprzęt sygnalizacyjny, na dzisiejszą noc jednak zostały zmodyfikowane. Knoty zapaliły się z sykiem, płuciem i chemicznym smrodem, skąpały szańce w ostrym żółto-białym świetle. To pozwoliło dostrzec plecy setek Skinnerów, którzy na sunących susami psach minęli artylerię, a potem zsiadli i wbili w ziemię swoje podpórki do strzelania.

Podobne, krzyżujące się światła zapalały się na murach miejskich pośród chaotycznego hałasu bębnow, rogów i napędzanych ręcznymi korbami syren. Armata huknęła długim, białym kłębem dymu, i potężna żelazna kula przeorała ziemię kilkadziesiąt metrów od najbardziej wysuniętych do przodu żołnierzy. Szabla Dinnalsyna powędrowała w dół.

– Ognia – wykrzyknął.

Potężne POUMPF, powtórzone trzydziestokrotnie. Pociski świsnęły ponad głowami żołnierzy. Wybuchały przy zetknięciu z obiektem, dzisiejszej nocy nikt nie miał ochoty na wypadki. Niektóre poszybowały ponad murami, roztrzaskując się z błyskiem i hukiem w leżącym za nimi mieście. Inne nie doleciały i zaryły w ziemię, wzbijając kolumny pyłu i kamieni w kształcie topoli. Większość uderzyła w mur. Wybuchowe ładunki nie uczyniły mu nic więcej poza zadrapaniami, ale potrzęsnęły ludźmi na platformach strzelniczych powyżej. Kilka trafiło dokładnie tam, gdzie je wymierzono, w rząd otworów strzelniczych i blanki na samym murze. Jednemu niesamowicie się powiodło i pocisk wpadł prosto przez otwór strzelniczy, gdy armata miała właśnie wypalić. Olbrzymi żółty płomień wystrzelił z hukiem przez otwór, gdy wybuchła amunicja spiętrzona koło działa i odłamki kamienia poleciały w niebo. Strzępki załogi także. Lufa z kutego żelaza prawdopodobnie spadła do tyłu z muru.

Niektórzy kanonierzy zakrzyknęli radośnie. – Obsadzić swoje cholerne *działa* – wrzasnął Dinnalsyn, poganiając psa klusem wzdłuż linii ognia. – To był kurewski *cud*.

Wokół ich pozycji unosiły się śmierdzące siarką kłębiaste chmury prochowego dymu. Pierwszych kilka sondujących odległość strzałów miało podstawowe znaczenie, bowiem potem często strzelało się na ślepo we własny dym.

– Zaznaczać, gdzie upadł pocisk, jest prosto przed wami. Bateria trzecia – wszyscy *nie dosięgacie*. Wysokość, wysokość, niech wam Duch wyżre oczy!

Zainteresowane załogi obróciły podnoszące śruby pod swoją bronią. Ich kolejna salwa poszła górą, świszcząc na wysokości głów ponad blankami i wpadając do miasta. Działa podskoczyły szaleńczo na dźwigni czopu uformowanej przez prowadnice, wzlatując prawie prostopadle z lufami wymierzonymi w niebo, a potem opadając z powrotem z rozdzierającym uszy chórem okutych żelazem kół na żelaznych ramach. Za każdym razem, gdy Dinnalsyn to słyszał, czuł, jak jego ręce zaciskają się bezwiednie na rękojeści szabli, czekając na głośny, niemelodyjny trzask łamiącej się prowadnicy, roztrzaskującego się koła albo – niech Duch broni – pękającego czopu zrzucającego lufę z łoża i ciskającego ją w załogę. Każdy z tych pocisków skracał życie działa bardziej niż pięćdziesiąt normalnych wystrzałów.

Coraz więcej armat strzelało z murów. Potężne wystrzały były liczne i wymierzone w *niego*. Taki był plan. Żywił spory szacunek dla strzelców miejskiej milicji. Ćwiczyli oni na umocowanych działach o ściśle określonym zasięgu i mogli poznać obie te rzeczy całkiem dobrze. Nie mieli szerokiego zakresu umiejętności i zdolności przystosowawczych, jakimi dysponowali pełni zawodowcy w jego załogach, ale ich nie potrzebowali. Mimo to byli amatorami i ich instynkt kazał im uderzać w broń, która w *nich* strzelała, a nie w o wiele bardziej groźną piechotę. Nie mógł wygrać wymiany ogniowej z działami na murach przy pomocy baterii. Tamtych chronił kamień, a jego ludzie byli nadzy niczym tancerki na stołach w barze w dokach.

Na Ducha, był *kozłem ofiarnym*.

Przed nimi Skinnerzy otworzyli ogień. Nie była to salwa, ale wszystkie dwumetrowe karabiny wystrzeliwały miarowo cztery lub pięć pocisków na minutę. Błyski z długich luf olbrzymich karabinów na sauroidy przebijały noc niczym szkarłatno-białe włócznie. W przeciągu sekund zgasły wszystkie światła reflektorów na murach. Wówczas nomadzi zmienili cel, mierząc w szczeliny strzeleckie i otwory na działa. Zaczęli również posuwać się do przodu, aby trzymać się z dala od własnego dymu prochowego, strzelając co tuzin kroków.

Wokół celów tryskały iskry i odłamki kamieni, ale niezbyt często. Większość strzałów przedostawała się, odbijając się od metalu armaty, rykoszetując od kamienia, rozdzierając ciało i roztrzaskując kości.

Armaty wciąż huczały z wałów obronnych. Niektóre z nich strzelały okrągłymi pociskami, których prymitywne lonty kreśliły czerwone linie na nocnym niebie, dopóki nie wybuchły, obsypując ziemię odłamkami. Taki pocisk walnął z potężnym brzękiem w jedno z dział połowych Rządu Cywilnego. W sekundę później dobiegł dźwięk wrzeszczących ludzi, gdy rozwalone działo i odłamki pocisku skosiły załogę. Nadbiegali noszowi...

– No *dalej* – wyszeptał do siebie. – Ruszcie się. Niech was, no *ruszcie się*. – Kolejne działo zostało wyłączone z działań bojowych, zepchnięte z trójkątnych podpórek z pękniętą przewodnicą, przewracając się do tyłu. Załoga dała nura, usuwając się z drogi.

Oparto pierwszą drabinę o mur.

– Maksymalne wyniesienie – zawołał Dinnalsyn głośno, ale spokojnie. Dowódcy baterii powtórzyli to zawołanie. – Maksymalne wyniesienie, ładunek trzy czwarte. – Wcześniej tego dnia przygotowali na to ładunki. Na tyle, żeby przerzuciło pociski przez mury tak, by wpadły w otwartą przestrzeń za nimi.

* * *

– Dalej, chłopaki, ruszać się! – krzyczał Jorg Menyez.

Kartacze przeorały szeregi koło niego, na tyle blisko, że usłyszał złośliwy świst ołowianych kul niczym bzyczenie osy. Ludzie padali, rozerwani na strzępki przez dziesiątki trafień. Inni, znajdujący się na skraju, zataczali się, krzyząc z bólu, przewracali się albo posuwali dalej. Pocisk uderzył tuż przed rzędem niosącym drabinę i podskakiwał po ziemi, przewracając ludzi jak kręgle... tyle że roztrzaskiwał nogi i odrywał je w kolanie. Skosił dziesięciu ludzi. Jednak ich towarzysze po drugiej stronie drabiny byli nietknięci, choć impet uderzenia wytrącił im drewno z rąk. Jakiś oficer uniósł szablę, aby pognać ludzi naprzód, a w chwilę później wpatrywał się z niedowierzaniem w kikut ramienia. Na moment ukazała się różowa, postrzępiona kość ramieniowa, zanim przykryła ją wzbierająca krew.

Gówno, krew i siarka, zawsze to samo, pomyślał Jorg. Stał, przypatrując się szeregowi, z szablą opartą o ramię i chorągwią Siedemnastego obok. Znajdzie się pierwszy punkt zaczepienia i...

– Do góry z tym, do góry!

Znajdowali się teraz pod murami. Zaczęto podnosić drabinę. Spadły rozpryskowe, ciskane ręcznie bomby, w tym jedna u stóp drabiny. Pocisk wybuchł, rozrzucając naokoło drewniane drzazgi. Chorobliwe, żółte światło zmieszane z czerwonym blaskiem armaty odbijało się od gałek ocznych, obnażonych zębów, ostrzy długich bagnetów. Armaty powyżej strzelały nieprzerwanie pośród furkoczących pocisków Rządu Cywilnego grzmocących o mury, a potem przelatujących ponad nimi. Skinnerzy strzelali wzdłuż całej linii wsparcia, nie zważając na nic poza swoimi celami – nie zważając na rykoszety wpadające w znajdujących się poniżej żołnierzy Rządu Cywilnego. Ludzie wrzeszczeli, z bólu, z czystego przerażenia albo perwersyjnego upojenia.

– *Salwą* pal.

Coraz więcej drabin opierało się o mury. Ci ludzie, którzy ich nie podnosili, strzelali w górę, celując w szczeliny w parapecie, w obrońców, którzy wychylali się, żeby wystrzelić z karabinów i wielkich strzelb oblężniczych. Drabiny, podparte u podstawy, zagrzechotały o kamień. Ludzie w wymyślnych mundurach milicji wychylili się z zaopatrzonymi w haki dragami, aby spróbować zepchnąć je w dół, i spadali z murów, gdy trafiały ich kule Skinnerów albo piechoty. Karbidowe reflektory prześlizgiwały się po ich twarzach, oślepiając ich, a rozświetlając ciemność przed atakującymi. Poleciały łukiem kolejne miotane ręcznie bomby. Jedna z nich wybuchła w powietrzu, gdy Skinner trafił ją cudem w locie. Większość wylądowała na dole. Wybuch na parapecie cisnął z tuzin ludzi w powietrze. To jakiś grenadier został postrzelony w głowę w trakcie zamachu pociskiem, a ten wylądował pod jego osuwającym się ciałem.

– Naprzód Siedemnasty! – zawołał kapitan, wdrapując się po drabinie.

Jego trębacz stał u podnóża drabiny, wygrywając raz po raz „do ataku”. Ryk, i krzepy wyrobniczy w mundurach podążyli za nim, wspinając się obiema stopami i jedną ręką, w drugiej trzymając karabiny. Fala niebieskich płaszczy, miskowatych hełmów i stalowych ostrzy. Dotarli aż do szczytu i oficer poleciał w tył. Miał jeszcze tyle czasu, żeby obrócić się do góry nogami, zanim uderzył o ziemię. Podążający za nim ludzie, znajdujący się na szczytowych szczeblach, strzelali, a potem wymieniali pchnięcia bagnetami z ludźmi na parapetach. Byli tam także kanonierzy, wymachujący wyciorami niczym olbrzymimi pałkami. Ludzie w drugim szeregu na drabinach strzelali obok swoich towarzyszy, a Menyez miał, *kurna*, nadzieję, że wybierali cele. Jakiś porucznik przepchnął się do góry, opróżnił bębenek rewolweru i skoczył w górę... przez parapet i w dół, na platformę bojową, a nad nim

powiewał proporzec kompanii. Na Ducha!

Nie tak źle jak na cholerną piechotę, pomyślał Menyez, szczerząc się w uśmiechu niczym rekin.

Rozejrzył się na prawo i lewo. W tej części murów postawiono trzy czwarte drabin. Podobnie było z prawej, gdzie 18 z Komar Zahpaty wydawał swój przyprawiający o zgrzytanie zębów ujadający okrzyk.

Menyez znowu podniósł wzrok. Ludzie wciąż wspinali się na drabinę obok niego. Proporzec wciąż powiewał z umocnień... Oficer widział ramiona i kolby karabinów ponad blankami, gdy jego ludzie walczyli o powiększenie punktu zaczepienia.

Wziął głęboki oddech. – Zatkniemy na murach sztandar 17 z Kelden! – zakrzyknął i dobył pistoletu. Kora chropawych sosnowych drągów, z których wykonano drabinę była szorstka i lepka pod jego dłonią. – *Za mną!*

* * *

– Panie!

Raj wciąż był w tunice podoficera, ale sztab, sygnaliści i kurierzy zbierali się wokół niego niczym koral dokoła muszli. Generał stanął w strzemionach i spojrział przez lornetkę.

– Na umocnieniach jest flaga batalionu, na Ducha! – rzucił rozradowany. – Siedemnasty... a Hadolfo też zatknął tam sztandar 18 z Komar!

– Czy mam posłać batalion rezerwowy? – spytał ktoś za nim. Jeden z podwładnych Jorga...

– Nie, oczywiście, że nie – powiedział Raj, zduszając chęć obrócenia się i zdzielenia mężczyzny lornetką po głowie. – Nie ma na to miejsca, dopóki nie przedostaną się przez mury. – Nie miało też zupełnie sensu pakowanie ludzi w strefę śmierci, kiedy nie było miejsca do walki.

Nadjechał jeździec z wiadomością. – Ponie. Major Gruder mówi, że otwierają się bramy wypadowe koło głównej i północnej bramy, ponie. Wypad siłą batalionu z każdej, mówi, a może i więcej.

Scramento! – pomyślał Raj. Pod osłoną murów i dział dragoni Brygady mogli się skupić, a potem próbować uderzenia na flanki jego nacierających sił. Bez powodzenia, ale...

– Nadpułkownik Strezman myśli zdecydowanie za szybko – stwierdził ponuro. – Gerrin,

bierz Piąty i Siódmy, i pognaj ich.

Teraz wszystko zależało od tego, co się stanie na murach. Rozpościerała się przed nim przecinana płomieniami ciemność, a z wieży oraz z murów po lewej i prawej od jego wysuniętej pozycji wciąż strzelały nieprzyjacielskie armaty. Frustracja była nie do zniesienia, pragnienie, aby dostać się tam [przewodząc... ale jeśli zatknąłby swój porzecz na tym murze, to nic nie powstrzymałoby całej armii od podążenia za nim. Kotłująca się masa ciał wystawiona na nieprzyjacielskie strzały. Nie.

>>Nie.<< zgodziło się Centrum. >>Przy takiej ewentualności prawdopodobieństwo klęski, a potem zniszczenia Korpusu Ekspedycyjnego wynosi 79% plus minus 3.<<

- Zrób mi przyczółek na murach, Jorg – powiedział cicho Raj.
- Zrób mi miejsce.

* * *

Jorg Menyez dał nura za armatę na platformie bojowej na murach miasta. Kule odbijały się z trzaskiem od parzącego metalu, a on znalazł się tuż obok twarzy martwego kanoniera milicji. Menyez rozejrzał się dokoła wyłomu. Kolejny oddział próbował dostać się z torbą na ładunki do obitych żelazem drzwi wieży wznoszącej się na tym fragmencie muru. Jakiś człowiek padł, ale kolejny przeskoczył ponad nim i pochwycił torbę. Języki ognia wypełzły ze strzelnic wokół drzwi i piechurzy na zewnątrz wypalili w odpowiedzi zza osłony dział lub trupów. Rykoszety były prawdopodobnie równie niebezpieczne dla biegnących mężczyzn jak znajdujący się wewnątrz strzelcy. Mężczyzną szarpnęło, został trafiony, a potem znowu, upadł na kolana i pchnął węzełek z woreczkami prochowymi te ostatnie dwa metry.

KRAMP. Większość wybuchu poszła na zewnątrz, po linii najmniejszego oporu. Dostyc jednak uderzyło o drzwi, aby rozwalić w drzazgi żelazną blachę i grube drewno... ale nie na tyle, aby udało się prześliznąć człowiekowi. Ze szczytu wieży poleciały łukiem ręczne bomby, a z otworów strzelniczych dobiegł trzask mniejszej broni. Piechota Rządu Cywilnego rzuciła się ku potrzaskanym drzwiom, strzelając przez szczelinę...

– *Do tyłu.* – krzyknął Menyez. Za późno albo potężny zgiełk bitewny zagłuszył jego głos.

Ze szczytu wieży spłynął kaskadą strumień płonącego łożu. Uderzył i przylgnął niczym podgrzany klej. Nawet w samym wirze walki rozbrzmiewały głośno wrzaski ludzi, którzy zeskoczyli z murów, płonąc.

Głowa Menyeza zwróciła się ku miastu. Pomiedzy murem a domami znajdował się otwarty pas, szeroki na pięćdziesiąt metrów. Do tej pory był częściowo zabudowany lekkimi chatami i zagrodami dla psów, które mogły uchodzić za prowizoryczne. Teraz pas ten *był* pusty, a śmieci i resztki drewna ze zburzonych chat spiętrzone na wewnętrznym skraju, tworząc sięgającą piersi barykadę. Za nią znajdowały się ulice. Widział tam ludzi na psach, całą kolumnę. Pociski spadały i paliły się na oczyszczonej przestrzeni i na skraju rozciągających się za nią domów. Kolumna zatrzymała się. Ludzie zsiadli z siodeł i pobiegli do przodu, aby zająć pozycje za barykadą. Światło ognia lśniło na ich hełmach. Byli to dragoni generała.

Rozejrzał się na prawo i lewo. Leżący ludzie, ludzie strzelający ku wieżom albo zbliżającym się dragonom. Problem nie tkwił w liczbie ludzi, ale w wieżach i braku osłony od tyłu na parapetach – zaprojektowanych właśnie z myślą o takiej sytuacji. Gdyby spróbował posłać ludzi w dół na sznurach, byłiby wystawieni na atak ze strony wież i dragonów. Nie mógłby wypuszczać ich dość szybko przez ten wąski, zajęty odcinek. Nie dość szybko, aby zrobili cokolwiek innego poza ginieniem jeden po drugim, jak robili to teraz.

Łzy wyrzeźbiły koryta na jego pokrytej prochowym dymem twarzy. Łzy żalu i czystej wściekłości.

* * *

– Penie.

Goniec z 17 Piechoty z Kelden ścisnął się prawym ramieniem za lewe, starając się powstrzymać krwawienie.

– Penie, pułkownik Menyez mówi, że nie może zdobyć przyczółka za murami. Dragoni Brygady za barykadą, zbyt wielu. Nie może też zająć wież, nie z parapetu.

Przez chwilę Raj siedział w milczeniu, przyglądając się błyskom ognia z luf na parapecie, przypominających świetliki wiosną.

– Niech ci to opatrzą, żołnierzu – powiedział. A potem – Zagraj odwrót. Pułkownikowi Dinnalsyn, przygotuj się do otworzenia znowu ognia na parapet. Chcę, żeby trzymali głowy w dole, kiedy będę wycofywał swoich ludzi.

* * *

Żołnierz wygiął się łukiem na stole operacyjnym z okrzykiem bólu, który sprawił, że

krew trysnęła mu ze spieczonych ust.

– *Przytrzymajcie go, niech was cholera* – warknął doktor.

Fatima chwyciła ramię i przycisnęła je ku dołowi przez materiał, który ścisnęła obiema rękami. Mitchi zapięła ponownie pas. Jej naturalnie mleczna cera przybrała szarawy odcień, który uwidaczniał jej piegi, jakby płonęły. Opium niewiele pomagało temu pacjentowi. Mieszanka płonącej smoły i łoju trafiła go w pierś, rozbryzgując się w górę i w dół. Jedno pryśnięcie zmieniło całe jego czoło w pęcherz, który pękł i pokrył twarz lśniąca limfą. Lekarz posługiwał się skalpelem, aby oddzielić resztki tuniki od skóry i upieczonego mięsa, do którego przywarła w ogniu. Ten tutaj był krańcowym przypadkiem, niemal skierowano go do umieralni.

Ręce lekarza poruszały się z bezgraniczną zręcznością, szybkie i pewne, choć pot spływał po jego ogolonym skalpie duchownego na płótno maski na twarzy.

– Więcej karbolu – rzucił.

Fatima wykorzystała ten moment i wsunęła żołnierzowi w usta skórzany pasek, mający zastąpić ten, który wypłuł, krzycząc. Kiedy płyn antyseptyczny dotknął spalonej powierzchni, młodzieniec na stole wygiął się w łuk, opierając się jedynie na piętach i tyle głowy. Mięśnie na policzkach wystawały mu niczym żelazne pręty i bez paska mógłby sobie ukruszyć ząb albo odgryźć język.

Zemdlał. – Dobrze – powiedział lekarz. – Więcej karbolu. Zmoczcie go tutaj. A teraz nożyczki. *Na Ducha*. Będziemy musieli wyciąć tę tkankę, oczyścić aż do żywego mięsa.

Dobiegający z następnego stołu zgrzytliwy dźwięk piły uderzał ją w uszy. Rozedrgany krzyk wzniósł się dalej w wielkim namiocie, i szloch, który był trudniejszy do zniesienia.

Zapach sprawił, że przełknęła wzbierające wymioty. Fatimie, po tym, jak nawróciła się na wiarę Gwiazdy, udało się zmusić do zjedzenia pieczonej wieprzowiny. Nie sądziła, aby mogła to jeszcze kiedyś powtórzyć.

Rozdział piętnasty

– Kurna, *kurna* – rzucił Jorg Menyez. Mogło to być wynikiem bólu w ramieniu, które zwichnął, kiedy schodził po drabinie, ale Raj w to wątpił.

– Siedź spokojnie – odparł Raj.

Nienawidzę szpitali, pomyślał. Odwiedzanie rannych było najgorszym obowiązkiem i dziwiło go nieco, że ludzie to lubili – odwiedziny osoby odpowiedzialnej za ich ból. *Może pozwala to im się skupić*. Coś, na czym można skoncentrować wolą.

Świt wstawał zamglony. Wciąż dochodziło trochę hałasu z pawilonu szpitalnego po drugiej stronie *plaza commanante*, ale większość poważnie rannych albo umarła, albo do tej pory straciła przytomność odurzona narkotykiem. Ofiary poparzeń cierpiały najbardziej. Ból zdawał się być tak silny, że nawet opium niewiele mogło zdziałać.

– Kurna – rzucił znowu Menyez.

Hadolfo Zahpata sam znajdował się w namiocie szpitalnym z dwiema złamanymi nogami. Czyste złamania kości udowej, które pewnie dobrze się zagoją. Był jednak w gipsie i nagle stał się pierwszym kandydatem na dowódcę sił garnizonu Korony, kiedy reszta Korpusu Ekspedycyjnego ruszy dalej.

– Straciłem stu, stu dwudziestu ludzi, i byliśmy tak *blisko*. Gdybyśmy tylko dostali się na górę trochę wcześniej...

Raj przerwał gestem dłoni, stając u szczytu stołu i wyglądając przez otwór w namiocie.

– *Gdyby* to najbardziej bezsensowne słowo w sponglijskim – powiedział. – Wszystko poszło dobrze z wykonaniem planu, Jorg. To plan był niedobry, a za *to ja* jestem odpowiedzialny. Wycofałeś się w odpowiednim momencie. Gdybyś tego nie zrobił, to wraz z Hadolfo stracilibyście swoje bataliony.

– Szerszy front natarcia...

– ... powtórzyłby tylko to samo niepowodzenie, ale na większą skalą. – Westchnął ze znużeniem. – Chodzi o to, iż za bardzo polegałem na tym, że milicja jest zdezorganizowana po miejskim zgromadzeniu. Może wielu z nich chciało otworzyć bramy, ale *nie* chcieli, żeby

nasi ludzie przełazili przez mury z żądzą mordy w oczach, nie, kiedy mieli tam swoje rodziny.

– A Strezman czekał na nas – z siłami gotowymi do wypadu w rezerwie, żeby uderzyć w każdego, kto dostanie się na szczyt murów. Cholerny nadpułkownik, cholerny Strezman, jest po prostu za dobry, żeby dać się nabrać. – Zbyt długo walczyliśmy z głupimi barbarzyńcami. Nie doceniłem go.

Uśmiechnął się krzywo i zapalił dwa papierosy, podając jednego Menyezowi. – Jeśli to jakieś pocieszenie – choć wiedział, że nim nie było – to siły, które zrobiły wypad na naszą flankę, zostały nieźle poszatowane, zanim się z powrotem skryły. Przy okazji, dobra robota, Gerrin.

Staenbridge wzruszył ramionami. Jego oczy także miały czerwone obwódki zmęczenia. – Standardowa mała burda – rzucił. – A tak w ogóle, to jakbym się znalazł znowu na wyspie Stern. Ich regularna armia różni się od ludzi właścicieli ziemskich. Trochę powolna, jeśli idzie o zajmowanie pozycji, i niechętnie zsiada z siodeł.

– A jeśli chodzi o to, co zrobimy teraz... – zaczął Raj.

>>Obserwuj.<< powiedziało Centrum.

* * *

Tym razem wizja Miasta Lwa sprzed Upadku. Nie wiedział, że tak dawno temu było tu miasto. Niskie, kolorowe budynki, kilka wież, ulice w zieleni z pojazdami unoszącymi się w powietrzu na poduszkach. Więcej takich nowoczesnych jednostek znajdowało się w dokach za tymi samymi niezniszczalnymi falochronami co teraz, oraz inne z żaglami w jasnych podstawowych barwach, które zdawały się służyć jedynie przyjemności. Było ich jednak tak *wiele*, jakby miasto miało setki wielmożów na tyle bogatych, aby utrzymywać jacht. Ludzie przechadzali się po ocienionych przez drzewa alejach, bogato odziani na obcą modłę, wszyscy zdrowi, dobrze odżywieni i beztroscy. Nikt nie miał broni poza myśliwym z głową carnosauroida, unoszącą *się* obok niego na robocie-platformie. Ludzie kąpali się nago w zatoce, z dala od doków, w wodzie czystej jak kryształ i wolnej od wciągaczy. Jak woda w zatoce mogła nie śmierdzieć i nie przyciągać padlinożerców?

Wizja ustabilizowała się na obrazie z lotu ptaka, a potem wyświetliła schemat miejskiego systemu hydraulicznego. Woda z morza wpływała przez rury, w zakładzie przetwórczym zmieniała się w parę i wypływała przez rury rozrządowe do każdego domu, nieważne jak skromnego. Skupiając uwagę na rzucie, Raj podziwiał to. Najniższy statusem wieśniak miał

bieżącą ciepłą i zimną wodę w pomieszczeniu, w jakim chciał, jak jakiś wielki pan! Nie musiał posyłać swojej żony do publicznej fontanny po wodę ani z wiadrem pomyj do otworu kanalizacyjnego – a tylko zamożne, cywilizowane miasta w tych czasach po Upadku miały w ogóle coś takiego. Ścieki zbierały się w olbrzymiej rurze biegnącej na północ do jakiejś tajemniczej fabryki, która zajmowała się jedynie sterylizowaniem wody, choć w pobliżu był cały ocean, do którego można je było wlewać.

Nadszedł Upadek. Większość jasnych, lekkich budowli padła szybko ofiarą pożaru lub rozbiórki. Nie nadawały się do mieszkania dla ludzi, którzy ogrzewali się jedynie ogniem, a zbudowano je z niszczących materiałów. Przez całe pokolenia na miejscu Miasta Lwa stały tylko małe wioski zajmujące się rolą i rybołówstwem. Bogata ziemia i ładna, samooczyszczająca się zatoka z latarnią morską przyniosły rozrost. Kiedy ludzie byli na tyle liczni, że ich ścieki zaczęły stanowić problem, zbudowano długi rów i połączono go z odpływami burzowymi, by wypływały przy niskim przypływie przez niezniszczalny falochron. Od czasu do czasu spłukiwał go deszcz. Późniejsze pokolenie przykryło rów ceglanyimi łukami i wybudowało łączące się z nim odpływy z każdej ulicy. Zapomniano o starym ujściu kanalizacyjnym, głęboko pod ziemią. Kiedy ludzie wybudowali mury miejskie, pobudowali je nad rurą, aby bronić mniejszej, gęściej zabudowanej osady.

Ostatnia wizja: ujście rury kończące się w parowie na północ od miasta, z projekcją Raja stojącego koło niego.

* * *

>>Półtora metra średnicy.<< powiedziało Centrum.

Przez chwilę wszystko, co Raj czuł, to pałący gniew. *Pozwoliłeś moim ludziom umierać, kiedy był lepszy sposób?* – pomyślał. *Nawet Duch...*

>>Nie jestem bogiem.<< powiedziało Centrum. >>Rura może być zablokowana. Pewnie jest zablokowana tam, gdzie spoczywa na niej ciężar murów. Albo wlot może nie być połączony z powierzchnią wewnątrz Miasta Lwa. W każdym razie „nadprzyrodzone” interwencje takie jak ta zwiększają szum w systemie i zmniejszają rzetelność moich przewidywań. Nie wybrałem cię również, abyś został kukielką pod moich taktycznym przewodnictwem.<<

– Raj? – odezwała się z troską Suzette.

Wyrwał się z zamyślenia. Towarzysze przywykli do jego chwil retrospekcji, ale nie

takich, którym towarzyszył grymas wciąż jeszcze wykrzywający mu twarz.

>>Co więcej, uwaga garnizonu będzie teraz mocno skupiona na murach.<<

Zamknij się, pomyślał z wściekłością. Może była to lekkomyślna zniewaga anioła, ale w tej chwili nie obchodziło go to zbytnio.

Raj podniósł wzrok na mury Miasta Lwa. – Naprawdę pożałują poparzenia moich ludzi – rzekł cicho.

Jorg Menyez był normalnie łagodnym i wyrozumiałym człowiekiem. W tej chwili jego pokiereszowana twarz przypominała powierzchnię wzniesionego, ciężkiego młota – także pokiereszowanego, ale gotowego rozwalić wszystko, co stanęłoby mu na drodze, włącznie z kamieniem i żelazem. Bardzo dobrze pasowała do wyrazu twarzy dowódcy.

– Och, przysięgam, że tak – rzekł prawie szeptem Gerrin Staenbridge. Szmer czujności drapieżnika przebiegł przez krąg dowódców.

– Ehwardo – zaczął Raj. – Przeprowadź kawalerię wokół murów – spraw, żeby wyglądało, jakbyś zakładał porzrzućane obozy. – Niezbędny krok, jeśli chciało się utrzymać psy w zdrowiu w czasie dłuższego pobytu na ograniczonej przestrzeni. – Jorg. Zaczynj o świcie, udawaj najlepiej, jak się da, człowieka rozpoczynającego potężne prace oblężnicze; okopy, całe przedstawienie.

– Rozumiem, że to podstęp, Whitehall? – stwierdził Gerrin Staenbridge.

– Owszem. Reszta ma się przygotować do generalnego ataku, jeśli, i tylko jeśli, uda się coś, co zamierzam. Pułkownik Dinnalsyn, przygotuj też te cholerne wozy pancerne. A teraz, jeśli mi wybaczycie, messerowie? I Gerrin – ciągnął – przyślij mi M'lewis.

* * *

Antin M'lewis zwykle błogosławił los, który postawił go na drodze Raja Whitehalla. Od tego momentu życie nigdy nie było nudne, za to lukratywne – może nie bardziej niż w jego najśmielszych marzeniach, ale wykraczało poza rozsądne oczekiwania. Zwłaszcza po tym, jak był jednym z dwóch ludzi znajdujących się z Rajem, gdy ten zdusił spartaczoną próbę zamachu stanu. Gubernator Barholm był w stanie hysterii, kiedy obiecał uczynić dwóch obecnych towarzyszy najbogatszymi panami w Rządzie

Cywilnym, jeśli go uratują. Potem pamiętał dość, aby zmienić Antina M'lewis, wolnego człowieka z gminu i żołnierza rangi obserwatora, w członka klasy messerów i obdarować go

tysiącem hektarów ziemi – i to nie w kamienistym, posepnym hrabstwie Descott. Dobre, żyzne pola nad rzeką, koło stolicy. Tak, zwykle błogosławił dzień, kiedy ówczesny major Raj Whitehall przywłókł go oskarżonego o kradzież świniaka.

Były też chwile, gdy żałował, że nie pozwolił wieśniakom *zatrzymać* tej cholernej świni.

Rura była na tyle wysoka, że mógł w niej stać, gdy się nieco pochylił. Nie widział nigdy poza kapliczką czegoś takiego, jak ten gładki, jakby natłuszczony materiał, z którego została zbudowana. Prowadziła w dół, w ziemię, w bezgwiezdne ciemności, lodowate piekło ortodoksów, do którego Duch Człowieka Gwiazd zsyła nie mające się odrodzić dusze, niewarte nawet niskiego ponownego narodzenia, wrzucając ich programy rdzeniowe w chaos.

Dobrze, że moja mama była czarownicą, pomyślał. Mogłoby to stanowić prawdziwy problem dla pobożnego, szacownego, drobnego właściciela ziemskiego, ale wszyscy w rodzinie M'lewis'a uważali się i tak za potępionych, a z pewnością powieszonych, jeśli zostaną przyłapani. Tak jak i Czterdziestu Złodziei, ale nawet oni spoglądali z niepokojem na prawdopodobnie nadprzyrodzone i zdecydowanie złowieszcze wejście prowadzące w ziemię.

Przyglądali mu się w milczeniu, gdy zdejmował mundurową kurtkę i buty. W przeciwieństwie do większości poborowych, którzy woleli nosić latem pod spodem koszulki bez rękawów z nie bielonej bawełny, on nosił koszulę. W przeciwieństwie do większości oficerów, jego ufarbowana była na rudo-czarno. Z tyłu pasa zatknął w pochwie nóż do ściągania skóry i sprawdził, czy drewniane uchwyty jego garoty są gotowe, by znaleźć się szybko w jego dłoni. A potem obwiązał włosy zwyczajną, brązową opaską i wysmarował policzki błotem.

– Nie zostawicie swojego karabinu, co, ponie? – wyszeptał • jeden z ludzi.

Był to młody rekrut. M'lewis przypomniał go sobie z akcji na wyspie Stern, gdzie się zastanawiał, czy będzie miał okazję dostać kobietę z konwoju uciekinierów.

– Synu – zaczął M'lewis. Było to *właściwie* możliwe. Z pewnością byli kuzynami, a on przyjaźnił się z tą odnogą rodziny jako chłopak. – Kiedy się zakradosz, zakradosz się *cicho*. Z karabinem tylko bym sobie sprowadził na łeb cztery tysiące barbarzyńców. Jeno hałas i pokusa przy takim skradaniu.

Duchu. A z drugiej strony, pewno do tej pory zapiłby się i zajął na śmierć, gdyby osiadł, żeby prowadzić wiejskie życie w nowej posiadłości. Z pewnością inni tamtejsi messerowie nie zaakceptowaliby go towarzysko, jako obcego pochodzącego z gminu. Pewnie

jego synów, kiedy wreszcie będzie ich miał, zaakceptują, ale nie jego. I byłoby nudno.

Raj podszedł i chwycił go za przedramiona. – Ostrożnie i powoli, M’lewis – powiedział.
– Nie pozwól, żeby cię usłyszeli.

Nierówne zęby ukazały się w uśmiechu i M’lewis wysunął pięść do klepnięcia – może zbyt poufałość, cóż jednak można było zrobić człowiekowi idącemu na samobójczą misję?

– Żaden tupiący barbarzyńca nie usłyszy dziecka mej matki, ponie – rzucił.

Bose stopy M’lewisa poruszały się bezgłośnie po plastiku. Delikatny chłód materiału nie przypominał Descotczykowi niczego, czego kiedykolwiek dotykał, gdy pochylając się ruszył do przodu i w dół.

* * *

Raj Whitehall zastygł w bezruchu za swoim psem. Horace, mniej skrepowany potrzebą zachowania ciszy niż człowiek, poruszył się niespokojnie, przestępując z łapy na łapę, skamłając lekko. Ręka Raja automatycznie uspokoiła zwierzę. Rękawica zaskrzypiała w lekkim kołnierzu na jego karku, zaraz za kulą siodła. Inne psy poruszyły się, powarkując w ciemności, dwa kilometry od głównej bramy Miasta Lwa. Piętnaście tysięcy ludzi czekało, ściskając karabiny albo drabiny, zastanawiając się, czy kolejna godzina przyniesie chochlę płonącej smoły chluśniętą w twarz, utraconą kończynę, oczy, genitalia, czy to, czego konkretnie każdy z nich się obawiał. Powietrze wypełnione było zapachem kwaśnego potu i psów. Zarówno ludzie jak i psy znały dobrze strach.

Wszyscy pomyśleli, że przyszedł czas zapłaty. Wszyscy, niech Duch im pomoże, uważali, że messer Raj wyciągnie z kapelusza kolejny cud.

Było całkowicie ciemno. Żaden z księżyców nie wzejdzie przez następną godzinę. Ogień wartownicze paliły się na murach Miasta Lwa, lecz doświadczenie nauczyło ich, że Skinnerzy potrafili zestrzelić każdy reflektor... oraz obsadzających go ludzi.

Raj dawno już powinien otrzymać wiadomość od Gerrina. Kiedy nadjechał jeździec z wiadomością, zmusił się do tego, by nie odwrócić się gwałtownie.

– Ponie – odezwał się mężczyzna. *Coś jest nie tak.*

– Wypluj to z siebie – powiedział Raj. Koszmary: Piąty zniszczony w pułapce, płonąca smoła i łój wpompowywane do tunelu...

– Ponie – powiedział jeździec z oczami utkwionymi ponad głową generała. – Kapitan

Suharez melduje... wybaczcie, ponie... . Kap'tan melduje, że Piąty wycofał się z tunelu.

Raj podszedł do jeźdźca i uderzył psa w kaganiec. – *Leżeć* – powiedział. Zwierzę przysiadło posłusznie. To sprawiło, że jego oczy znalazły się na tym samym poziomie co mężczyzny.

– Od kapitana Suhareza? – spytał spokojnym głosem. Mężczyzna drgnął. Był to drugi rangą dowódca kompanii tej jednostki.

– Tak, panie. Pułkownik i jeszcze paru poszło za drugi spadek. Był jeszcze jeden, dziesięć metrów za tym, co go znalazł porucznik M'lewis. Reszta... reszta zawróciła, ponie.

Raj okręcił się na pięcie, ignorując jeźdźca z wiadomością. – Majorze Bellamy – rzucił. Szeroko otwarte oczy wpatrywały się w niego z ciemności, gdy wsiadł na siodło Horace'a. – W górę, chłopaczku... Majorze Bellamy, będziesz mi towarzyszył z 2 Kirasjerów. Majorze Gruder, dowodisz bramą. Pułkowniku Menyez, jesteś głównodowodzącym. Czekajcie na sygnał, a potem postępujcie zgodnie z planem.

* * *

Parów, gdzie wynurzało się ujście starego systemu kanalizacyjnego był wypełniony ludźmi. Psy przysiadły kilkaset metrów bardziej na północ, wraz z tymi żołnierzami dawnej Eskadry, których przyprowadził ze sobą Raj. Generał dostrzegł Piąty tylko jako cienie, posępną masę, która cofnęła się nieco, gdy podszedł do nich.

– Wycofałeś się bez rozkazów? – spytał kapitana.

– Tak, panie – powiedział mężczyzna. Stał na baczność i wpatrywał się przed siebie.

Przynajmniej nie rzuca usprawiedliwień, pomyślał Raj. Poruszał się ostrożnie, bardzo ostrożnie, aby nie roztrzaskać lodowej powierzchni skuwającego go opanowania.

– Ponie – odezwał się głos z ciemnej masy. – Ponie... to potępienie! Droga do bezgwiezdnych...

– Cisza w szeregach – powiedział Raj. Jego głos był czysty i wyraźny, niczym woda spadająca ze skalnej półki zanim tryśnie pyłem wodnym i zagrzmie. – Ty – ciągnął, zwracając się do chorążego jednostki. – Czy zawróciłeś?

– Nie, ponie – powiedział mężczyzna.

Mężczyzna był posiwiłym weteranem po trzydziestu latach służby. Niesienie sztandaru batalionu stanowiło zazdrośnie strzeżony przywilej, którym obdarzano tylko ludzi trzykrotnie

obdarzonych Złotem za Odwagę.

– Pułkownik Staenbridge, on rozkazał grupie flagowej pozostać tutaj. Jak zobaczył, że flaga się nie zmieści, ponie.

– Zatem możesz ponieść flagę z powrotem do centralnej kapliczki Gwiazdy w obozie – powiedział Raj. – Tam będzie bezpieczna przed niegodnymi jej ludźmi.

Cichy jęk wyrwał się ze zgrupowanych szeregów Piątego, a chorąży zapłakał. Łzy spływały mu po wyschniętych na podeszwę policzkach, gdy obrócił się zgrabnie i puścił psa klusem. I nie tylko on szlochał.

– Łzy są dla kobiet – ciągnął dalej Raj tym samym gładkim niby szkło głosem. – Starszy kapitanie Suharezie, weź tę jednostkę i zamelduj się u majora Grudera, oddając się pod jego rozkazy. Do wykonania jakiegokolwiek zadania, jakie uzna za właściwe.

Równie dobrze twarz Suhareza mogła być wyrzeźbiona z ciemnego drzewa. – Tak, panie. – Oficer zsalutował i obrócił się.

Raj zwrócił się ku ujściu tunelu. Szeregi 5 z Descott popłynęły za nim. Obrócił się znowu, wysuwając dłoń i pokazując w milczeniu do tyłu, ku głównym siłom. Oficer przełamał swoją szablę na kolanie, a ludzie stanęli w szyku i pokłusowali za Suharezem.

Słabe światło gwiazd załśniło w oczach i na zębach 2 Kirasjerów. Ludwig Bellamy postąpił do przodu i zsalutował zgrabnie.

– Jestem gotowy do przeprowadzenia moich ludzi, panie – powiedział.

– Nie, majorze – powiedział Raj. – Będziesz zamykał tyły. Nikomu nie wolno zawrócić, zrozumiano?

Uniósł lekko głos na tyle, żeby ten niósł się w ciszy wypełnionej ciężkimi oddechami. – Tak jak ja zachowałem wiarę w was, tak wy wiercie mi. Za mną, cicho i zachowując porządek.

Raj odwrócił się i pochylił, wchodząc do tunelu.

* * *

Podkute ówiekami buty ludzi dźwięczały o nawierzchnię rury. Dźwięk ten był przytłumiony, jakby szli po miękkim drewnie, ale żelazo nie pozostawiało żadnych zadrapań na plastiku Starożytnych. Powierzchnia pod palcami jego lewej ręki mogła być wygładzonym marmurem, gdyby nie lekkie poczucie tłustej gładkości. Na samym dnie okrągłej tuby leżał

stary brud i muł, śmierdziało rozkładem. Woda powodziowa musiała spływać z rynsztoków Miasta Lwa i przez tę rurę, kiedy było jej za dużo.

Za nim rozbrzmiewał szelest i pobrzękiwanie ekwipunku, dyszące oddechy, a od czasu do czasu wyszeptane po nameryjsku przekleństwo. Wyznawcy Ducha Ziemi nie znali mitu o wyłożonej plastikiem tubie prowadzącej do piekła. Środek Ziemi – tej Ziemi – był ich rajem. Jednak ten konkretny tunel był dla *każdego* przerażający jak piekło. A zwłaszcza dla ludzi wychowanych na otwartych przestrzeniach. W większości ludzi spod znaku psa i karabinu tkwiła odrobina klaustrofobii. Az pewnością tkwiła w *nim*, bo każdy oddech wydawał się trudniejszy niż poprzedni, jakby żelazna obręcz zacisnęła mu się wokół piersi.

>>To nie jest złudzenie.<< rzuciło pomocnie Centrum. >>Zawartość tlenu w powietrzu spada, bo przepływ powietrza jest niewystarczający przy obecności sześciuset ludzi. Nie będzie to stanowiło poważnego problemu, chyba że siły zatrzymają się na dłuższy czas.<<

Och, dziękuję ci, pomyślał Raj.

Nawet w tym momencie poczuł ponurą satysfakcję z tego, co wojskowa dyscyplina uczyniła z zeszlorocznej barbarzyńskiej hordy. *Wściekłe dzieciaki*, pomyślał. *Wściekłe, dorosłe dzieciaki*, których przodkowie zniszczyli cywilizację na połowie kontynentu – nie tyle ze złośliwości, ale zwykłej niemożności wyobrażenia sobie robienia czegoś innego. Podrzucali śliczne błyskotki w powietrze i klaskali, widząc, jak się rozbijają, nie zważając na pokolenia pracy i wysiłku, których wymagało ich wykonanie. *Trzynastolatki z ciałami dorosłych... ale mogą się nauczyć. Mogą się nauczyć.*

Czubkiem hełmu uderzył o dach. – *Halto* – zawołał cicho. Kolumna zatrzymała się za nim z szelestem.

Szybkie błysniecie przesłony latarni z półkolistą soczewką ukazało pierwszą zmianę w doskonałej regularności tunelu. Strop pochylał się i rozszerzał przed nim, dokładnie tak jak słomka do picia ściśnięta pomiędzy palcami.

>>Znajdujesz się pod zewnętrzną krawędzią murów miejskich po północnej stronie.<< powiedziało Centrum. >>0,63 kilometra od wejścia.<<

M'lewis doszedł do tego miejsca na swoich zwiadach. Sprawdził, że tunel otwierał się znowu za tym punktem, a potem zawrócił. Raj zgodził się z tą decyzją, jako że uniknięcie zdradzenia pozycji wejścia stanowiło największy priorytet. A mały zwiadowca miał rację. Tędy *plynęło* powietrze. Raj czuł chłodniejszy strumień powietrza na swojej spoconej twarzy.

Oczywiście powietrze mogło dochodzić przez dziurę wielkości męskiej pięści.

– Przezołgaj się – powiedział do znajdującego się za nim mężczyzny, gasząc światło. – Przewróć się na plecy i Przezołgaj. Dalej w tunelu jest kolejne zwężenie. Zejdź nim.

Raj opadł na muliste błoto na dnie tunelu i zaczął posuwać się dalej w głąb. Plastik wyginał się ku jego twarzy, dotykając skraju jego hełmu. Wciąż gładki, wciąż nieprzerwany. Opierał się tutaj na nim ciężar murów miejskich, robił to od pięciuset lat. Błoto zachlupotało mu pod łopatkami posuwającymi się z łatwością po powierzchni rury o małym tarciu. Ciężar murów wysokich na piętnaście metrów i grubych u podnóża na dziesięć, dwie warstwy kamieni trzy na trzy metry po obu stronach, otaczające rdzeń z łupka i betonu.

Nie mów mi, ile to waży, pomyślał/powiedział do Centrum.

Minał teraz najniższy punkt i nagle zdał sobie sprawę z tego, jak dyszy. Coś walnęło go w buty. To głowa podążającego za nim człowieka. Przynajmniej jeden podązał. Nie można było stwierdzić, co było dalej, ilu jeszcze się posuwało, czy ostatnich pięciuset albo pięciuset pięćdziesięciu ludzi nie odwróciło się i nie stratowało Ludwiga w pełnym przerażenia pośpiechu, aby wydostać się z tej śmiertelnej pułapki, z tego przedsionka piekieł. Plastik tłumiał dźwięki, wygłuszając nawet oddech. Pot ściekał mu po czole, wpływając do oczu, kiedy opadł na czworaka. Otworzył przesłone latarni, żeby się rozejrzeć, kiedy grunt zaczął mu skręcać pod nogami. Kolejne dziesięć metrów normalnej rury, a potem...

Duchu, pomyślał. Co mogło wytworzyć coś takiego?

>>Rura przechodzi pod murami pod kątem czterdziestu stopni od pionu. Ta część znajduje się pod skrajem wieży.<< stwierdziło Centrum z beznamiętną dokładnością.

Wieże były o wiele cięższe niż mury. Boczny występ fundamentów jednej z wież przepchnął rurę nieco w bok... i ścisnął tak, że pozostała tylko trójkątna dziura w dolnym, prawym rogu. Tym razem materiał *rozerwał się*. Długie, wąskie rozdarcie biegło w górę po lewej. Przedostała się przez niego ziemia – twarde, żółte bryłki gliny. Niedawno ktoś wykopał ją rękami i nożem, rozgarniając do tyłu.

Raj czekał, aż pojawi się podążający za nim mężczyzna. – Bez problemu – powiedział, gdy oczy w brodatej twarzy wciąż mrugały wpatrzone w dziurę. – Przechodźcie jeden za drugim. Zdejmij swój karabin, hełm i pas, a potem niech poda ci je człowiek za tobą. Przekaż to innym.

Posuwał się dalej, bo gdyby tego nie zrobił, to mógłby już nie zacząć od. nowa. Jeden

ogarnięty paniką człowiek tutaj i cała kolumna zostanie zatrzymana na resztę nocy.

Zdjął hełm i pas, zapiął pasek na kolbie rewolweru i upuścił węzełek na podłogę.

– Niech latarnia świeci – powiedział do znajdującego się za nim żołnierza.

Prawe ramię do przodu. Skręć w bok. W dół i do przodu. Ścianki ścisnęły go jak łapy imadła używanego do przenoszenia ciężkich pocisków. Światło zniknęło za stopami, które kopały, nie znajdując oparcia, aż znalazły się pod nimi szerokie dłonie żołnierza, dające mu coś, od czego mógł się odepchnąć. Brązowe guziki przy kurtce wpijały mu się w żebra na tyle mocno, że pewnie zostawią siniaki. Wdech, *pchnij*. Pogrzebany w piekle, pogrzebany w piekle...

Uwolnił prawą rękę. Macał naokoło, ale gładkie, rozszerzające się ścianki rury ofiarowały niewiele podparcia, jednak jego ramiona przeszły, a była to najszersza jego część.

Przez chwilę leżał, dysząc, a potem się odwrócił. – Przeszedłem – zawołał cicho. – Podaj mój sprzęt, żołnierzu. – Słabnące echo w rurze, gdy mężczyzna odwrócił się i wymruczał wieści do tego za *nim*.

Rura miała długość niewiele większą niż jego ciało. Trudne, ale nie tak trudne, jak gdyby to był beton albo kute żelazo, coś, co chwytalo za skórę i ubranie. Światło rzucało blask na lekko zakrzywioną ścieżkę wąskiego tunelu.

I znowu zaczekał, aż znalazł się za nim pierwszy mężczyzna, chwycił go za kurtkę pomiędzy łopatkami i wyciągnął.

– Drugie narodziny – rzucił.

Żołnierz Eskadr owiec potrząsnął głową. – Pierwsze zwięzienie było ciasniejsze, panie – powiedział. W słabym świetle twarz miał bladą jak u trupa, ale udało mu się uśmiechnąć. A potem odwrócił się i zawołał cicho w dół wąskiego przejścia – *Min gone, Herman*.

Niewiele dalej, pomyślał Raj, patrząc przed siebie. Ciemność zakrywała mu oczy niczym gruby aksamit.

>>0,21kilometra.<<

* * *

– Każę ich *zdziesiątkować* – wysyczał Gerrin Staenbridge. Raj nie wątpił, że mężczyzna zamierzał zrobić dokładnie tak, jak powiedział. Że ustawi swój batalion w rzędzie i wyciągnie jednego człowieka na dziesięciu z szeregu i zmusi innych do zatluczenia go na śmierć

wyciorami. Była to tradycyjna kara za masowe tchórzostwo w obliczu wroga.

– Nie sądzę, aby było to konieczne – stwierdził obojętnym tonem.

Gerrin się odwrócił i zaczął wykonywać ruch, który skończyłby się walnięciem pięścią w betonową ścianę.

– To też nie – powiedział Raj, chwytając gruby nadgarstek. – Mamy zadanie do wykonania, majorze.

– Tak, panie – powiedział Staenbridge, prostując się i przesuując dłonią pod ochraniaczem na szyi. Jego dłoń ucisnęła mocno mięśnie na karku. – Jak widzisz, improwizowaliśmy.

W ogromnej podziemnej komorze znajdowała się trochę ponad setka ludzi z 5 z Descott, większość kompanii A i dwudziestu zwiadowców, którzy ruszyli pierwsi. Komora była na tyle duża, że się nie tłoczyli, nawet kiedy coraz więcej ludzi z 2 Kirasjerów wyłaniało się z rury, zeskakując z dwumetrowego spadku na podłogę albo opuszczając się na rękach. Nie było całkowicie ciemno. Ryzyko zapalenia latarni było warte mniejszego hałasu, gdy ludzie mogli zobaczyć, co robią.

Komora miała prawie dwadzieścia metrów szerokości i około trzech wysokości. Pierwotnie była przykryta kopułą, jednak dach zapadł się dawno temu. Pogięte i poskręcane metalowe pręty wystawały z betonu, jak również ogromny poskręcany kształt korzenia wielkiego drzewa. Staenbridge nie próżnował. Żołnierze musieli ustawić ludzką piramidę, żeby podnieść tego, który przyczepił sznur z karabinowych pasów do jednego ze stalowych prętów. Dalej ziała ciemność.

– Łączy się ze starą studzienką odpływową – powiedział major, pokazując. – Za nią jest wyjście na ulicę. Jest tam M'lewis z paroma zwiadowcami. Pilnuje. Raczej pusto.

– Powinno być, minęła północ – powiedział Raj.

Podszedł do zwisających rzemieni. Te były wykonane z twardej skóry sauroida – były giętkie i bardzo mocne. W zbrojowni sprawdzano je, przyczepiając stukilowe odważniki do jednego końca i odrzucając każdy, który się rozciągnął lub pękł.

– Poślij wszystkich na górę, a potem idź za nimi – powiedział. Zgiął nogi i podskoczył. Jego dłoń od szabli zacisnęła się na klamrze tak mocno, że ją wygięła. Podciągnął się zgrabnie w górę ku światłu.

* * *

Ulice Miasta Lwa zostały wyznaczone przez krowy. Całkiem dosłownie, dawno temu, kiedy była to mała wioska rolnicza, do której czasem zawitał statek. Kiedy wzniesiono kamienne budynki, stały przy szlakach wydeptanych przez pastuchów pędzących swoje zwierzęta na noc na wybiegi i kiedy ten wzór został ustalony, to trudno go było zmienić. Było to zbyt trudne dla ludzi, którzy zarządzali Miastem Lwa. W Rządzie Cywilnym miasto tych rozmiarów miałoby wcześniej czy później narzucone coś przynajmniej przypominającego siatkę ulic. Chociażby dlatego, że wnosząc barykady i zrzucając dachówki na unieruchomione kolumny, zbyt łatwo można było bronić przed żołnierzami w czasie zamieszek pajęczynę wąskich uliczek otoczonych przez trzy albo i pięciopiętrowe budynki.

Mam podobny problem, pomyślał Raj. Wstała Maxiluna, w uliczkach wciąż jednak panowała ciemność. Miasto Lwa nie dorobiło się także lamp gazowych, choć nawet we Wschodniej Rezydencji taka dzielnica nie byłaby oświetlona. Było ciemno i cicho, tylko miauczenie bejszarskiego kota przerywało ciszę. Kiedy milicja trzymała wartę na murach, a ich rodziny trudziły się, przynosząc im jedzenie, wodę i wszystko inne, czego potrzebowało obleżone miasto, większość ludzi spała mocno. Pewnie kilkoro oczu wyglądało na niego zza okiennic, ale mężczyźni – i kobiety – widzą to, czego się spodziewają. Uświadomienie sobie, że to nie jest kolejna jednostka żołnierzy Brygady, wychodząca, aby zlizować część murów, zajmie im chwilę.

Raj miał dość czasu i jeszcze trochę, zanim ten cholernie czujny nadpułkownik Strezman otrzyma meldunek i ruszy swój garnizon. Jeśli stanie się to, zanim on znajdzie się tam, gdzie musi, to on i każdy, kto z nim jest, będzie martwy.

Mapa ulic Miasta Lwa wyświetlana przez Centrum była przestarzała o tysiąc sto lat, ale maszyna widziała wszystko to, co on. Przy pomocy jego oczu i dzięki raportom – Muzzafa, Abdullaha, ministerstwa. Jarzący się hologram pojawił się przed jego wzrokiem, a zielona nitka pokazywała mu najbliższą trasę do bram. Nie za dobrze. Będą musieli manewrować naokoło najbardziej na wschód wysuniętego czubka zatoki.

– Gerrin, Ludwig – powiedział.

Dwaj mężczyźni znaleźli się u jego boku. Jeden ciemny, jeden jasnowłosy, ale o podobnych rozmiarach.

– Uformujemy czwórkowe kolumny. – Tylko czterech ludzi w rządzie mogło precyzyjnie się przez wiele tutejszych ulic, a ludzie po zewnętrznej ocierali się o ceglano-drewniane

budynki po obu stronach – i biegiem ruszymy prosto ku głównej bramie. Ja poprowadzę.

Dwaj dowódcy batalionów spojrzeli po sobie. Jak *ktokolwiek* mógł prowadzić przez ten zaciemniony labirynt, oto było pytanie, ale nauczyli się, iż ten człowiek nie składa oświadczeń, jeśli czegoś nie potrafi zrobić.

– Gerrin, bierzesz wieżę po prawej. Ludwig, daj mi swoją kompanię A. Ja zajmę się lewą. Ty ustawiasz się na głównym placu, w bramie, i trzymasz z dala od nas siły odwetowe. Oni bowiem *uderzą* szybko i mocno. Zrozumiano?

Dwa krótkie skinienia głowy i oficerowie odwrócili się, aby przekazać rozkazy swoim podwładnym.

Raj lekko podniósł głos. – Cicho, ludzie, szybko i nie zatrzymujcie się, choćby nie wiem co.

Bruk zadudnił pod ich stopami, gdy rzucili się do biegu. Raj trzymał pochwę szabli lewą ręką, żeby nie obijała się o niego, gdy gnał susami. Nie był to subtelny sposób posuwania się, ale teraz szybko znaczyło o wiele więcej niż subtelnie. Siedmiuset cudzoziemskich żołnierzy stanowiło duży, widoczny element w każdym mieście, a szczególnie w mieście oblężonym. Biegli. Od czasu do czasu jakiś obszarpany żebrak uciekał z piskiem z ich drogi. Straż znajdowała się na murach wraz z innymi, na ulicach jej nie było. Budynki były w większości ciemne, czasami tylko żółty blask wypływał z otwartych okien. Raj uchwycił przez moment obraz trzymającej w dłoni świecznik kobiety, z twarzą wyrażającą pełne zaskoczenie.

– Szybciej! – zawołał.

Oddychał głęboko. Dzień należał do długich i ciężkich, ale przebiegnięcie kilometra nie powinno stanowić problemu dla człowieka w dobrej kondycji. *Lepiej*, żeby nie stanowiło problemu dla żadnego z jego żołnierzy, mimo iż byli kawalerzystami.

– Stać!

Trochę przepychanki, gdy niektórzy z tyłu nie usłyszeli rozkazu. Przed nimi rozpościerał się plac. Drewniany podest wciąż stał wokół fontanny, która nie działała, od kiedy odcięto zewnętrzne dostawy wody dla miasta. Raj przez moment zastanawiał się, co się stało z syndykiem wytwórców żagli, człowiekiem, który chciał otworzyć bramy. Po przeciwnej stronie znajdowała się tylko jedna ulica z domami przed otwartą przestrzenią utworzoną przed murami.

– Szybkim tempem – rzucił Raj do Staenbridge’a. – Spróbuj posłużyć się swoim

nameryjskim, Gerrin. Kapitanie Hortez – był to jeden z descotyjskich oficerów, których przydzielił do 2 Kirasjerów jako dowódców kompanii – powiedz ludziom, żeby nasadzili bagnety, załadowali karabiny i zarzucili je na ramiona. Niech zdejmą hełmy. – Pokaże to ich barbarzyńskie fryzury i kolor skóry. – Za mną.

Przed nimi rysowały się bryły wież. Przysadziste pary po obu stronach bramy połączone były mostkiem ponad jej łukiem, sprawiając, że wejście miało wysokość dwudziestu metrów. Były tam światła, jedno nad samą bramą i następne nad każdymi drzwiami prowadzącymi do tylnej wieży. Wewnątrz było niewiele światła, bo żołnierze obserwujący przedpole nie chcieli mieć w swym polu widzenia elementu rozpraszającego ich przyzwyczajonego do ciemności wzroku. Drzwi do każdej wieży znajdowały się na wysokości półpiętra i były szerokie na tyle, by przepuścić dwóch ludzi. – Były otwarte, a na schodach rozłożyli się żołnierze.

Kompania Gerrina oddzieliła się, kierując się ku prawej. *Ignoruj ich*, powiedział do siebie Raj. Nie mógł nic zrobić i jeśli nie mógł liczyć na Gerrina Staenbridge'a, to nie mógł liczyć na nikogo innego. W takim wypadku i tak zginie.

Coraz bliżej. Żołnierze byli w mundurach dragonów generała. *Cholera*. Miał nadzieję na miejską milicję, ale nadpułkownik Strezman zrobił to, co było rozsądne. Raj z pewnością by tak postąpił, gdyby to on utrzymywał miasto, którego władze publicznie rozwały poddanie się. Mógł się założyć, że pozostałe trzy bramy także znajdowały się w rękach regularnych żołnierzy Brygady.

W ustach miał sucho po biegu. Poruszył nimi, aby je zwilżyć, i skupił się na maszerowaniu. Maszerowali jak kompania żołnierzy, która zmierza tam, gdzie kazano jej iść. Szli swobodnym krokiem ludzi, którzy robili już to tysiąc razy, i zrobią to znowu. Nie było zbyt wiele światła. Tylko pojedyncza naftowa lampa wisiała nad wejściem. Było to zbyt mało, aby wróg mógł dostrzec szczegóły. Milicja obywatelska nosiła z tuzin różnych mundurów lub swoje normalne ubrania zależnie od kaprysu i zasobności kieszeni, więc charakterystyczne mundury Rządu Cywilnego może ująd, *ująd* aż będzie za późno.

– *Whier derę ko?* – zawołał po nameryjsku wartownik. *Kto idzie?* Głos młodego człowieka, prawdopodobnie podoficera. Strezman musiał mieć niedobory kadrowe, pilnując swoich teoretycznych sojuszników wzdłuż kilometrów miejskich murów i utrzymując w rezerwie odpowiednio duże siły gotowe do akcji odwetowej.

Ludzie przy bramie zgarnęli swoje kości do gry i wstali, zapinając kurtki. Sięgnęli po broń, niezbyt przejęci, po prostu wiedzeni odruchem weteranów.

– Kapitan straży Willi Kirkin – rzucił Raj.

Jego nameryjski miał coś z eskadrowego akcentu i pozwolił chropawym sylabom toczyć się po języku. Całkiem sporo uciekinierów Eskadry służyło jako najemnicy wśród domowych żołnierzy magnatów Miasta Lwa.

Odpowiedź mężczyzny brzmiała nerwowo, czego można się było spodziewać, zważywszy na zamieszki poprzedniego wieczora.

– Co zatem tu robisz, południowcu? Stój. Stój, powiadam!

– *Ni futz, greunt* – ciągnął Raj znudzonym głosem. *Nie denerwuj się, żołnierzu.* – Pułkownik uważa, że *grisuh* mogą spróbować czegoś dzisiejszej nocy, i przysłał nas, żeby wzmocnić bramę. Lepiej my niż ci tchórzliwi cywile.

Raj znajdował się u podnóża schodów. Wyciągnął z kieszeni kawałek zwiniętego papieru. Czas zwolnił, gdy kapral sięgnął po notę, a potem po raz pierwszy przyjrzał się lepiej twarzy Raja – jego pozbawionej brody, opalanej na brązowo twarzy Descotczyka, z chłodnymi, szarymi oczyma niczym lodowe szczeliny, pod skrajem miskowatego hełmu.

Młody Brygadowiec doczekał się dopiero rudawego puchu na swoich policzkach. Jego oczy były zielone i bardzo szeroko rozwarte. Wyszły z orbit, gdy kula z pistoletu Hortenza trafiła go pod szczęką i okręciła nim, jak kopniak wołu od pługu.

– *Dalej!* – wrzasnął Raj.

Jego ramię uderzyło w drzwi wieży, a dłoń wydobyła rewolwer z olstra. Raj nie był artystą pistoletu, a jedynie przyzwoitym strzelcem. Szabla była bronią, którą wybierał, i we władaniu nią był bardzo dobry.

Za drzwiami znajdował się pokój odpraw, a w nim pięciu mężczyzn – trzech siedziało wokół stołu z desek i grało w karty, dwóch leżało na ławkach. Siatka wyświetliła się Rajowi przed oczyma i rozjarzył mu się zarys jednego z mężczyzn. Mężczyzna sięgał po pistolety, odsuwając się jednocześnie od stołu. *Ten jest na tyle dobry, aby zapęłnić wejście ciałami, podczas gdy jego kompani zatrzasną okute żelazem tekowe drzwi.*

Zielona kropka ustawiła się na piersi mężczyzny, gdy Raj wymierzył z pistoletu. Broń podskoczyła i ryknęła, a na piersi strzelca wykwitł czerwony kwiat dokładnie tam, gdzie znajdowała się przedtem kropka. Kurz buchnął z szaro-zielonego materiału wokół dziury wlotowej i mężczyzna się osunął. Raj się obrócił. Kropka prześliznęła się na kolejną twarz. *Krak*, odbijające się od kamiennych ścian. Mężczyzna został trafiony w oko. *Krak*. Krew

tętnicza trysnęła na pobielone ściany i sufit. *Krak*. Kolejny mężczyzna przetoczył się za ławkę, gmerając przy kurku swojego karabinu. *Krak*, dostał w biodro.

Kurek trzasnął jeszcze dwa razy. Raj chwiał się przez chwilę, oddychając ze świstem przez usta w cuchnącym powietrzu. Generał popisał się wyjątkową szybkością i celnością, które przekraczały jego umiejętności. Ciało pierwszego zabitego wciąż drgało w wielkiej, rozprzestrzeniającej się kałuży krwi. Stojący za Rajem ludzie zawahali się na sekundę, a podziw wypisany był *na* ich twarzach.

– Dalej, *dalej* – rozkazał Raj ponad jękami umierającego Brygadowca.

Jego dłonie otworzyły rewolwer, wyrzuciły zużyte mosiężne łuski, przeładowały. Hortenz przemknął obok, przez znajdujące się na poziomie parteru drzwi, aby zabezpieczyć pierwsze piętro i zewnętrzne otwory strzelnicze. Raja wyminął oddział strzelców z najeżonymi bagnetami, zmierzając za porucznikiem ku schodom. Przerzucił rewolwer do lewej ręki, a prawą dobył szabli. Część jego umysłu wciąż wzdrygała się od lodowatego poczucia... obcości, od wrażenia bycia czyjaś bronią, bycia niczym karabin w czyjejś dłoni. Posłużyłby się tą sztuczką znowu, gdyby musiał, tak jak posługiwał się wszystkim, co miał pod ręką. Nie znaczyło to, że mu się to podobało.

Schody stanowiły wąską spiralę, czarną jak smoła. Żelazne ćwieki i blachy obcasów oddziału na przedzie i idących zaraz za nim ludzi zgrzytały i dźwięczały na kamieniu. Szkoda by było, gdyby się pośliznął i przewrócił do tyłu na ich bagnety. Ta myśl sprawiła, że usta zadrgały mu w uśmiechu. Ogień strzałów huknął mu nad głową, czerwony blask z luf oślepił w półmroku. Ludzie krzyczeli. Przeszedł przez drzwi, minął ciała Brygadowców i żołnierza Drugiego. Wszystkie ciała nieprzyjaciół miały rozliczne rany po bagnetach. Drugi nauczył się upewniać, co do pewnych spraw.

– Wnieście te ładunki na górę – krzyknął Raj.

Ludzie wrócili do schodów z karabinami przewieszonymi przez ramię i rękoma pełnymi płóciennych woreczków na proch. Jeden z nich miał na szyi zwój lontu. *Zapamiętaj tę twarz. Jeśli przeżyje, będzie sierżantem.* Więcej wystrzałów uderzyło w jego uszy, a echo odbijało się w wąskich korytarzach. Słysząc było wrzaski, okrzyki wściekłości, strachu i czystej żądzy mordy.

– DORWAĆ ICH! DORWAĆ! – To zapominali się jego eks-Eskadrowcy, wydając z siebie okrzyk bojowy admirała.

Schody przeszły w podest trzeciego piętra. Tylko drabina prowadziła w górę na szczyt wieży. Raj strzelił w otwór stropu i w dół zleciał mężczyzna, lecz zatrzymał się w połowie z nogami zaczepionymi o szczeble. Krew obryzgała Rajowi twarz. Oficer odsunął się na bok, przeklinając w myślach, i pozwalając następnemu znajdującemu się za nim tuzinowi ludzi wspiąć się na drabinę bez zatrzymywania się. Żołnierze odczepili trupa i wpadli na dach wieży. Raj słyszał wydawane na górze rozkazy, a potem *staccato* salwy ognia.

– Szybko – rzucił do mężczyzny z ładunkami.

Drzwi prowadzące do pomieszczeń ponad łukiem bramy były zaryglowane. Raj wsadził pistolet przez wizjer i pociągnął za cyngiel. Dał się słyszeć wrzask i ktoś zatrzasnął zaślepiającą go klapę. Płócienne węzłki z prochem potoczyły się u jego stóp.

– Dobry z ciebie człowiek – stwierdził Raj. – A teraz wepchnij je wzdłuż podstawy drzwi, pomiędzy kamienny próg a drzwi. Potnij je nożem i wsadź lont – dobra. – Podniósł głos. Coraz więcej ludzi tłoczyło się na schodach, niektórzy wspinali się na drabinę, a inni ustawiali wokół niego. – *Wszyscy za róg. Już!*

Raj, zmyślny żołnierz i jeszcze jeden porucznik – Wate Samzon, Eskadrowiec – rozciągnęli lont i przykleili się do ściany zaraz za rogiem. Raj przysłonił oczy ręką. Rozległ się straszny hałas. Whitehall sprężył się, by rzucić się ku drzwiom...

– ... i pochwyciły go silne ręce, łapiąc za nogi i ramiona.

– *Ni, ni* – rzucił mu ktoś w ucho głębokim, dudniącym głosem. – Jesteś naszym panem, wedle stali i żołądka. Nasza krew za twoją krew.

Porucznik Samzon poprowadził natarcie. W sekundę później został odrzucony w tył z rękoma przyciśniętymi do krwawej masy swojej twarzy. Oficer zatoczył się na ścianę i upadł. Podążający za nim ludzie wystrzelili w rozwalone drzwi i rzucili się do środka, bagnety przeciwko mieczom, podczas gdy ich towarzysze strzelali obok nich na tyle blisko, że wystrzały osmały im mundury. Kiedy przedarli się przez potraskane deski, mężczyźni trzymający Raja puścili go i ruszyli za kompanami, osłaniając go jedynie swymi szerokimi plecami.

Jedyni Brygadowcy, którzy pozostali w dużym, prostokątnym pomieszczeniu, byli martwi, ale żołnierze z 2 Kirasjerów wciąż wyglądali na przestraszonych – kołowrotami i zespołem kół zębatych wypełniających komnatę. Jeszcze rok temu wszystko bardziej skomplikowane niż młyn wydawało im się czarodziejstwem, a niektórzy wrzeszczeli ze

strachu, widząc po raz pierwszy silnik parowy. Przeszło im, ale musieli *coś* zrobić z tymi maszynami, z tymi złożonymi zębatymi kształtami z czarnego żelaza i mosiądzu.

Po latach studiów Raj znalazł się na fortyfikacjach i sprzęcie pomocniczym. – Ty, ty i ty – rzucił żywo. – Weźcie ten młot i wybijcie te kliny. Wyciągnijcie te rygle mocujące – te długie, żelazne pręty przechodzące przez koło z pierścieniami na końcach. Niech reszta oddziału złapie za korbę i przygotuje się do przyłożenia się do niej. Te korby też.

Wewnętrzne skrzydła bramy nie były zaryglowane. Z tej komnaty biegły w dół, przez pierścienie na wewnętrznej powierzchni, grube, żelazne słupy, wchodząc w głębokie zagłębienia w kamieniu poniżej, które przykrywano drewnianymi korkami, kiedy brama była otwarta. Kółka zębate podnosiły i obniżały masywne słupy, przesuwając się po nacięciach wyrżniętych na ich ściankach. Metal dźwięczał i stękał, gdy żołnierze ciągnęli za korby. Kołowroty obracające żelazne łańcuchy wciągnęły kratę w szczelinę wyrobioną przez drągi. Łańcuch zaklekotał na bębnach, wydając z siebie głuche dzwonienie, gdy wielka, żelazna siatka podniosła się nad tunelowym przejściem.

– Ponie! – Dyszący żołnierz z patkami Piątego wyraźnie miał dla niego wiadomość. – Pułkownik mówi, że zdobyli zewnętrzną bramę!

Która była kontrolowana z wież po prawej tak, jak ta wewnętrzna była kontrolowana z lewej. Raj skinął krótko głową i wyszedł z komnaty, wołając w górę drabiny wiodącej na szczyt wieży – Dwie białe rakiety!

Generalne natarcie. Wewnątrz pomieszczenia do podnoszenia kraty buchnął wystrzał, odbijając się bólem w uszach w tak ograniczonej przestrzeni. Po nim nastąpił zduszony wybuch.

– Strzeliłem przez drzwi – powiedział sierżant plutonu, gdy Raj powrócił. – Zaczęły się otwierać.

Wskazał głową na drzwi wychodzące na zewnątrz pomieszczenia, na środkową część łuku nad bramą i ciąg pokojów ponad wejściem, gdzie szczeliny strzelnicze wyglądały na przestrzeń poniżej. Drzwi były z drewna i żelaza. Na deskach i framudze widniał rozbryźnięty ołów. Pociski miały okropną moc ranienia, ale żadnej siły penetracji. Zakończone twardym mosiądzem pociski przebiły się, a potem wybuch po drugiej stronie wygiął cały portal.

– Myślałem, że ciepną przez to ręczną bombę – rzucił sierżant. Kilku jego ludzi leżało zranionych rykoszetami własnej broni. – Musiało im wybuchnąć w dłoni – ciągnął z

zadowoleniem.

Raj skinął głową. – Przyniescie łomy i otwórzcie drzwi – powiedział. – Szybko!

Będzie musiał wykurzyć stamtąd wroga, inaczej żołnierze przechodzący przez tunel spotkają się z paskudną niespodzianką. Gerrin będzie się przedzierał do środka, podczas gdy ludzie pod dowództwem Raja będą się przedzierać przez ciąg pokoi nad tunelem.

Nadszedł też czas, aby sprawdzić, co u Ludwiga. Teraz, gdy nieco zelżała jego koncentracja, usłyszał wymianę ognia odbywającą się na placu. Cała sprawa nie będzie miała sensu, jeśli Brygadowcy przedrą się do wież, zanim dotrą tu jego ludzie.

* * *

– Przygotować się do przyjęcia kawalerii!

Dowódca kompanii leżał z otwartą raną piersi, a Ludwig Bellamy wykonywał jego pracę, równocześnie starając się kierować bitwą.

Kawaleria Brygadowców znowu nacierała ulicą. A ta była szeroka jak na standardy Miasta Lwa, co oznaczało, że nadjeżdżali szeregiem po sześciu w rzędzie, głębokim na trzech. Przedni rząd 2 Kirasjerów przykleknął z karabinami wspartymi o bruk i czubkami długich bagnatów na wysokości piersi. Dwa dalsze szeregi stały z wymierzonymi karabinami. Wyglądali krucho na tle wielkich mężczyzn na wysokich psach, którzy gnali ku nim, wrzeszcząc, z długimi mieczami lśniącymi w bladym świetle księżyca. Jednak stos ciał przed ich pozycją zadawał temu kłam. Martwi ludzie i psy leżeli na jednej, wysokiej kupie.

Kiedyś Ludwig Bellamy wierzył, że nic poruszającego się piechotą nie jest w stanie zatrzymać dzielnych ludzi z kawalerii. Messer Raj wyprowadził go z błędu, jego i tych, którzy pozostali z Eskadry.

Natarcie zwolniło w ostatnim momencie. Psy bojowe mogły stawić czoła stali, ale ich instynkt nakazywał im przysiąść i skoczyć, a nie dać się przebić w pełnym galopie.

– Ognia!

Nastąpił huk, jak jeden niemożliwie długi i głośny, olbrzymi wystrzał. Błyski z luf przez chwilę rozświetliły ciemną ulicę światłem jasnym niczym od błysku pioruna. Rozpłomieniły ostrza mieczów Brygadowców i kły ich psów niczym światło pobłyskujące z piekła. Setka ciężkich, jedenastomilimetrowych kul wbiła się w przodujący szereg jeźdźców. Wszystkie pierwsze wierzchowce zostały trafione, większość z nich wielokrotnie, a muskularna gracia

bojowych psów zmieniała się w przeciągu ułamka sekundy w miotający się chaos. Półtonowe tusze koziółkując, wpadały na barykadę ciał albo nurkowały w nią głową do przodu, jeśli zwierzęta postrzelono w mózg. Odgłosy zderzenia były głośne, choć przytłumione. Niewielu ludzi zostało postrzelonych, ale większość z nich zniknęła pod tysiącami funtów wijących się ciał.

Ich wrzaski zginęły w odgłosach wydawanych przez ranne psy. Jeden ze zwierzaków przedostał się przez ciała, ciągnąc za sobą zwiotczące tylne łapy, zmierzając w kierunku żołnierzy. Wciąż warczał, kiedy dwa bagnety przebiły się przez jego gardło.

– Przeładować!

Brygadowcom w tylnych szeregach udało się zatrzymać psy na czas. Jeźdźcy próbowali podejść do przodu powolnym tempem, mierząc z rewolwerów. Gdy pistolety wypaliły, ludzie w przednim szeregu linii Kirasjerów padli. Za nim podniósł się okrzyk, a znad wież przy bramie poszybowały rakiety.

Brygadowcy zawrócili i pognali swoje psy, skręcając w boczne uliczki. Za nimi znajdował się potężny blok dragonów, którzy zsiadli z psów, wypełniając ulicę od brzegu do brzegu, i nacierali truchtem. Porucznicy 2 z Kirasjerów krzyknęli – Szereg: leżący, kłęczący, stojący. – Pierwszy szereg ludzi oparł karabiny na martwych Brygadowcach i martwych psach bojowych. – Plutonami, *salwą, pal!* BAM. BAM. BAM. BAM.

Nieprzyjaciel podniósł wrzask i natarł, z karabinami trzymanymi ukośnie, pochylając się do przodu, jakby w obronie przed deszczem. Ludzie z tylnych szeregów przepychali się do przodu, by wypełnić luki, jakie wybijała każda salwa. Nie zatrzymywali się, by wystrzelić, dopóki nie znaleźli się blisko, jako że ładowali znacznie wolniej od przeciwnika.

– To jest to, chłopcy! Przedostaną się przez nas albo zginą, próbując. Sprawcie, aby to się liczyło. Mierzcie nisko! *Ognia!*

BAM. BAM. BAM. BAM.

Bellamy odskoczył do tyłu, by przyjrzeć się reszcie placu. Utrzymanie dróg prowadzących do placu nie stanowiło większego kłopotu, ale zajmowało to zbyt wielu jego ludzi. Nawet z całą pięćsetką, minus kompania A, nie miałby dosyć ludzi, by utrzymać cały plac, a Strezman przysyłał wszystko, co miał – ponad trzy tysiące ludzi, strzelających z okien i dachów – ignorując wszystko inne, aby tylko odbić główną bramę, zanim atakujące siły dotrą do murów..

Messer Raj powiedział, że tak by zrobił.

Lada moment będzie musiał się wycofać, aby jego ludzie nie zostali wybici jeden po drugim. Jak długo linia batalionu wytrzyma na otwartej przestrzeni naprzeciwko pięciokrotnie przewyższających ich liczebnie sił, sam Duch tylko wie.

Wytrzymają tak długo, jak będą żyli.

* * *

– Niech to pochłoną ciemności – zaklął cicho Raj.

Armaty strzelały wszędzie wzdłuż murów Miasta Lwa, wstrząsając kamieniem pod jego butami, ale nierówno i mniej intensywnie niż by się spodziewał. Wielu musiało widzieć otwarte bramy, a jeszcze więcej musiało dostrzegać blask ognia świecącego z okien wieży przy bramie lub słyszeć strzały dobiegające z wnętrza murów.

Pomieszczenie z kołowrotami było wypełnione dymem. Dymem prochowym oraz tym płynącym od barykady płonących mebli, zza której obrońcy stawiali opór. Ranni mężczyźni wchodzili przez drzwi i coraz więcej żołnierzy z 2 Kirasjerów przepychało się ku walce. Rajowi łzawiły oczy i zakaszłał, wychylając się ze szczeliny okna, a tchnienie powietrza na jego pokrytej potem skórze przejęło go dreszczem. Tak samo jak to, co zobaczył. Większość 2 Kirasjerów wycofywała się przez plac, cofając się o trzy kroki, wystrzeliwując salwę, i znowu się cofając. Trzask plujących karabinów niósł się nawet ponad kanonadą dobiegającą z murów. Linia kirasjerów wygięła się do tyłu w kształt „C”, gdy Brygadowcy przypuścili zmasowany szturm. Atakowali nieprzejednanie pomimo ogromnych ofiar.

Światło było słabe i oczy mu łzawiły, ale widział flagę batalionu 2 Kirasjerów w środku wyginającej się linii. Nieprzyjaciel naciskał, nie zważając na następstwa uderzających z bliskiej odległości salw, jakich na dłuższą metę nie mogliby znieść żadni żołnierze. Szybkość strzałów dawnych Eskadrowców była o wiele większa, lecz nieprzyjaciół było tak *wielu*. Siła ich ognia była rozproszona, ale ogromna w porównaniu z celem. Roilo się od nich na flankach. W przeciągu paru minut Drugi będzie zmuszony uformować kwadrat i setki nieprzyjacielskich żołnierzy przepłyną obok, by bronić bramy. A wartownia przy bramie *wciąż* nie została zajęta.

Potężny hałas odbił się od wież przy bramie: krzyki ludzi i ujadanie psów. Raj zeszytywniał, ściskając kamienny parapet i wychylając się, aby popatrzeć. Udało mu się jedynie dostrzec otwartą, wewnętrzną bramę. Przebiły się przez nią czerwone błyski, a potem

zniecka wezbrana rzeka ognia – bomby ręczne i płonąca smoła wrzucane w przejście. Nie aż tyle, ile byłoby, gdyby wieże przy bramie były w pełni obsadzone, ale zbyt wiele, zbyt wiele. Niektórzy z pierwszych przechodzących ludzi padli, a inni jechali na psach o płonących futrach. Zwierzęta rozbiegały się po placu albo tarzały, nie zważając, czy ich jeźdźcy zeskoczyli, czy też nie.

Mimo to żołnierze byli opanowani, nie panikowali. Ci dostatecznie zdrowi przedarli się, potem ustawili po obu stronach bramy w szeregach grubych na trzech, a później klusem i galopem wpadli na plac w odpowiedzi na wezwanie trąbek. Rozdzielili się na dwa prostokąty ludzi, psów i jasnych szabel, i poszarżowali ku flankom 2 Kirasjerów, tam, gdzie Brygadowcy zalewali eks-Eskadrowców niczym fale piasek przy wysokim przypiływie. Nieprzyjaciel nie uformował szyku, skupiony na jednym zadaniu: posuwaniu się ku bramom. Brygadowcy nie mieli szansy ustawić się na przyjęcie szarży kawalerii, a kiedy zobaczyli wynurzający się z ciemności szereg czubków szabel i warczących psów bojowych, rozpierchli się. Wrzeszcząc, zawrócili i pognali pod osłonę budynków, przebiegając przez setki swoich zabitych.

– Piąty, na Ducha – rzekł cicho Raj. Głos miał chrapliwy od dymu. Głównie od dymu.

Coraz więcej ludzi przejeżdżało przez wylot bramy, wlewając się strugami niczym woda dostająca się przez dziurę w kadłubie tonącego statku. Żołnierze zsiadli z siodeł, a psy zostały odprowadzane przez opiekunów. Mężczyźni nasadzili bagnety. Dźwięki trąbek i wykrzyczane rozkazy posłały ich szybko do przodu, z długą falą przepływającą przez szereg, gdy szyki zwierzały się *wokół* miejsc, gdzie zabrakło ludzi. Dalej jechał pojazd pancerny z mechanicznym, świńskim pochrząkiwaniem, które odbijało się hukiem od kamienia. Jazgoczące działko wystawało z łuku bramy, w miejscu zwykłej lekkiej armaty. Mosiężne osie kół z drucianymi szprychami łśniły, gdy toczyło się z grzechotem po nierównym bruku w przerwie pomiędzy kompaniami 5 z Descott. W parę sekund później przetaczający się huk salwy plutonów pełnego batalionu odbijał się echem po placu wraz ze wściekłym *braaaaaap* nowej broni.

Kanonada z murów zamilkła. W chwilę później wybuch gdzieś głęboko w wieżach przy bramie pokarał mu bębenki i sprawił, że zatrząsł się kamień pod jego stopami. Błyski ręcznych bomb jeszcze do niedawna dobywające się z otworów strzelniczych ustały. Raj zobaczył po obu stronach wież łopoczące proporce. To nacierające siły zdobyły mury, a niektórzy z żołnierzy już zsuwali się po sznurach na wewnętrzną stronę. Kolumna pieszych ludzi wypadła ze znajdującej się pod nim bramy, a potem za psimi zaprzęgami wjechała

dudniąc para dział.

Strzelanina zamierała, ale światła zapalały się w całym mieście pośród przypominającej brzęczenie pszczoł paniki cywili. W zatoce statki odbijały od doków, chcąc spróbować swoich szans z parowymi taranami za falochronami. Z rykiem, niczym wielka fala opadająca na falochron w czasie sztormu, armia Rządu Cywilnego przedarła się przez mury i wpłynęła do znajdującego się za nimi bezbronnego miasta.

◆ * *

– Dotąd jest zabezpieczone – stwierdził Gruder.

Wszystkie pozostałe wieże poddały się dosyć szybko, kiedy żołnierze Rządu Cywilnego zawitali do tylnego wejścia z działami zamiast kołatek. Niektóre z nich opustoszały, jeszcze zanim przybyli żołnierze. Ich obrońcy z milicji zdierali z siebie mundury i pędzili do swoich domów. Wszyscy oprócz tych tutaj, w północno-wschodnim kwadracie, gdzie broniący się ludzie ściągnęli sztandar Miasta Lwa ze stojącym na tylnych łapach kotem i wciągnęli swoją własną flagę z białym półksiężycem na zielonym polu.

– Nie znoszę tracić ludzi na te szmaciane łby – stwierdził Gruder, drapiąc się po częściowo zasklepionym strupie na szyi.

Raj uśmiechnął się ponuro. – Nie sądzę, aby było to konieczne – rzekł cicho. – Posłałem...

Podjechał Juluk z fajką pomiędzy zębami. Jego ludzie nadjechali powoli za nim. Ich psy poszczekiwały zainteresowane zapachami w nocnym powietrzu.

– Hej, punie-mężczyzno, zrobiłeś sztuczkę *wheetigo*, przeleciałeś nad murami, eh?

– Nie chciałem zostawać w domu, iskając wszy z wami, leniami – odparł Raj. Horace i pies wodza Skinnerow zmierzyły się wzrokiem.

Raj wskazał na wieże przed sobą. – Wiesz, kto tam jest? – spytał.

Juluk przeciągnął się i beknął, wytrząsając resztki tytoniu z fajki o bosą, pokrytą odciskami piętę. – Ci-co-noszą-na-głowach-opaski-lędźwiowe – odparł.

Rodzinne strony Skinnerow dotykały północno-wschodniej granicy Kolonii. Tak nazywali Arabów. Ludzi z Rządu Cywilnego nazywali *podstępnyimi*, a zachodnich barbarzyńców *dlugowłosymi*. Albo też posługiwali się pospolitym, pogardliwym określeniem: rolnik.

– Myślą, że są bohaterami – powiedział Raj. – A ja mówię, że jeśli którykolwiek z nich

będzie żywy, kiedy wszędzie słońce, to wasze kobiety śmiechem wysiudają was z obozów, kiedy wrócić do domu. Dadzą wam spódnice i stołki do rodzenia.

Chichot Juluka przeszedł w pohukiwanie. Zwrócił się do swoich ludzi: – *L'gran wheetigo konai nus! Eel doni l'bun mut! Wielki diabeł nas zna! Dał nam swoje błogosławieństwo!*

– I to – powiedział Raj, gdy najemnicy odjechali ,z łoskotem, piszcząc niczym elektryczne piły tnące kamień – załatwia sprawę.

* * *

– Dalszy opór jest beznadziejny – zawołał Raj w górę ku oknu na drugim piętrze. – Pułkownik Strezmanie, nie poświęcaj niepotrzebnie odważnych ludzi. – *Choćby dlatego, że mogą się przydać Rządowi Cywilnemu*, pomyślał. W przeciągu dwóch lat będzie znowu wojna z Kolonią.

Miał gęsią skórę. Był zupełnie pewien, że nadpułkownik Strezman nie rozkaże zastrzelić go pod flagą rozejmu. Nie był jednak wcale pewien, iż jeden z jego ludzi tego nie zrobi.

Ostatni regularni żołnierze Brygady zabarykadowali się w kilku rezydencjach niedaleko placu. Jak większość domów bogatych ludzi wszędzie w niecce Morza Śródświatowego były to budynki mieszkalne skupione wokół dziedzińca, nie mające zbyt wielu otworów na zewnątrz. Ich życie skupiało się we wnętrzu, z dala od hałasu, kurzu, złodziei i poborców podatków. Ich grube, kamienne mury odbijały kule karabinu, a żelazne kraty w oknach czyniły je fortami w okresie zamieszek. Jak mało przypominały prawdziwe forty, widoczne było po roztrzaskanej bramie na podwórze i znajdujących się koło niej gruzom, tam, gdzie wylądował pojedynczy pocisk z działa. Większość okien była ciemna, ale było wystarczająco dużo światła, aby przykucnięci tam strzelcy mogli całkiem dobrze widzieć ulicę. Poza tym niedaleko płonął budynek.

Nastąpiła długa cisza. W końcu otworzyły się ze skrzypnięciem wychodzące na ulicę drzwi centralnego domu i wyszedł Strezman otoczony przez krąg starszych oficerów.

– Gratuluję wspaniałego podstępu – zawołał, zatrzymując się w odległości dziesięciu metrów. – Twoja reputacja cię wyprzedziła, a teraz widzę, że jest zasłużona.

Przemawiał głośno, nieco głośniejszym niż wymagała tego odległość. Na zbroi okrywającej jego prawe ramię widniała krew, a także na klindze jego miecza o pojedynczym ostrzu. Nie nosił hełmu, a jego długie, białe włosy łopotały wokół orlej twarzy w gorącym od ognia

wietrze. Światło pochodni barwiło ją czerwienią, mimo jej bladości.

– Gratuluja, nadpułkowniku, niezwykle umiejętnej i zdecydowanej obrony – rzekł szczerze Raj.

Biorąc pod uwagę karty, jakie otrzymał, Strezman zagrał nimi chyba najlepiej, jak mógł – tak jak każdy bez Centrum szepczącego mu do ucha.

– Czy poddasz resztą swoich ludzi? – spytał oficjalnie Raj. – Twoi ranni zostaną opatrzeni, a żołnierze i młodsi oficerowie otrzymają honorowe warunki zaciągnięcia się do sił Rządu Cywilnego na innym froncie. Starsi oficerowie zostaną zatrzymani do końca wojny, ale w sposób odpowiedni do ich rangi i pochodzenia.

Strezman przełknął śliną i znowu przemówił. Jeszcze głośniej, jakby przed większym kręgiem słuchaczy.

– Moje rozkazy pochodzące od Jego Eminencji nakazują mi stawianie oporu aż do ostatniego człowieka – oświadczył. – Dlatego też muszę odrzucić twą łaskawą propozycją, messer Whitehallu, choć opór nie służy żadnemu *wojskowemu* celowi. Aby uszanować rozejm, ostrzegam cię oto, co do mojego zamiaru ataku.

Ich oczy się spotkały. *Zakładnicy*, zrozumiał Raj. Rodziny tych ludzi tracą życie, jeśli oni się poddadzą... lub też jeśli będzie *wiadomo*, że się poddali. Mimo iż stawianie tutaj oporu nic nie da, nawet niczego nie opóźni.

Oficerowie znajdujący się ze Strezmanem dobyli mieczy i odrzucili pochwy. Unieśli klingi i zaczęli iść naprzód, z głowami uniesionymi i oczami patrzącymi ponad masę wymierzonych w nich karabinów.

Ręka Raja powędrowała w dół. Na chwilę dym przykrył tę scenę, gdy warknęło sto karabinów. Kiedy się rozwiął, każdy człowiek z grupy Brygadowców leżał na ziemi, trafiony z pół tuzina razy. Nadpułkownik klęczał. Krew wypływała mu przez zaciśnięte z wysiłku zęby, gdy osunął się do przodu. Czubek jego miecza skrzesał iskry, gdy wyleciał mu z dłoni i zawirował na bruku.

Raj wysunął dłoń, aby powstrzymać ogień. Głosem tak donośnym jak przedtem przemawiał pułkownik Brygady, zawołał – Niech ciała nadpułkownika Strezmana i jego oficerów zostaną zwrócone ich sługom – którzy poszli na wojnę za swoimi panami – aby dostarczono je ich księciu na znak tego, jak ich ludzie – ich *wszyscy* ludzie – zginęli wraz z nimi, posłuszni rozkazom generała Forkera.

Wrednego, małego kutasa, dodał w myślach. Miał nadzieję, że Brygada nie pozbawi Forkera władzy w najbliższym czasie. Ten człowiek był sam wart pięciu batalionów kawalerii dla Rządu Cywilnego. Jeśli poczucie wstydu nie powstrzyma go przed skrzywdzeniem rodzin żołnierzy garnizonu, to lęk przed pozostałymi dowódcami pewnie tak, po ostatnim geście Strezmana. Chociaż, jeśli istniała jakaś sprawiedliwość na tym upadłym świecie, to Brygada skróci go o głowę, i to wkrótce.

– Gerrin – ciągnął normalnym głosem. Tors mężczyzny obwiązany był bandażami wokół żeber, które *mogły* być pęknięte, ale wciąż był na chodzie.

– Wydostań resztę. Musi ich być jakieś osiem setek. Wyślij ich do doków przed wschodem słońca, pod odpowiednią strażą, i wsadź na te dwa statki kupieckie, które zarekwirował Grammeck. Niech zajmie się tym ktoś, na kim można polegać, powiedzmy Barton. Statki mogą zabrać po jednym pilocie i oficerze pokładowym z taranów, jak te wejdą do zatoki. Chcę, aby o świecie płynęli na wschód, zrozumiano?

* * *

Nie trzeba dziesiątkować, pomyślał ponuro Raj. 5 z Descott stracił jeszcze więcej ludzi, przebiegając przez ostrzeliwaną bramę i w szarzy, która oczyściła plac.

Spojrzał raz jeszcze w dół z podium wokół fontanny. Minęła jedynie doba, odkąd miało tutaj miejsce zgromadzenie miejskie... teraz plac był wypełniony żołnierzami. Piąty i 2 Kirasjerów wciąż stały przed nim w zgrabnych szeregach. Pozostałe jednostki były wymieszane w wyniku ataku przez mury i krótkiej walki ulicznej, która potem nastąpiła. Wielu żołnierzy brakowało, gdyż już rozeszli się pomiędzy domami. Jedyne strzały dobiegały z części murów wciąż bronionych przez kupców z Kolonii. Słychać było bulgotanie ich powtarzalnych karabinków i jezaili* w tle wściekłego walenia długich karabinów Skinnerów. Raj nie sądził, aby miało to długo potrwać. Widział stąd jedną z wież i przysadziste postacie, małe z tej odległości jak patyczki, tańczące na jej szczycie i strzelające w powietrze ze swoich monstrualnych broni.

Od czasu do czasu postać w kolonijnych szatach była zrzucana z parapetu i łopocząc leciała krótkim łukiem ku brukowi. Niektóre wrzaski słychać było aż tu.

– Bracia żołnierze – powiedział Raj. – Dobra robota. – Fala wiwatów przebiegła przez plac, cichych, ale płynących z serca. – Zostanie wam wydana darowizna wartości sześciomiesięcznej wypłaty. – Kolejne wiwaty pełne były energii. – Nie będę was

* Jezail – długi, ciężki karabin afgański [przypis tłum.]

zatrzymywał, chłopaki. Pamiętajcie tylko, że potrzebujemy, aby jutro to miejsce stało, a nie było spalone do cna. Wykonaliście swoje zadania, a teraz miasto – i wszystko co w nim jest – jest wasze aż do godziny po świcie. Wszystkie jednostki: rozejść się.

Wieża przy bramie, którą szturmował, została całkowicie ogarnięta przez ogień. Jeśli szczęście dopisze, to nie rozprzestrzeni się dalej...

5 z Descott wciąż stał w szeregach przed nim, nieruchomy niczym kamień. Pewne rzeczy trzeba było załatwiać zgodnie z regułami. Skinął głową i znowu przemówił – Pułkownikowi Staenbridge.

– Panie.

– Potrzebuję godnych zaufania ludzi, aby strzegli kluczowych miejsc i zatrzymali dzisiejszej nocy pewne osoby.

Tym samym ominie ich płądrowanie, jedna z rzadkich przyjemności w ciężkim, ubogim i zwykle nudnym życiu zwyczajnego żołnierza. Większość żołnierzy będzie uważała to za o wiele gorszą karę niż przechodzenie jako pierwszy przez bramę – do czego przydzielił Piąty Kaltin Gruder pod zgodnym naciskiem oficerów i ludzi.

– Czy 5 Gwardyjski z Descott jest gotowy do przyjęcia tego zadania?

– *Mi heneral*, Piąty jest zawsze gotów wykonywać swoje zadanie. – Dźwięk dobiegający z szeregów nie był okrzykiem radości, bardziej przypominał krótkie, donośne warknięcie.

– Doskonale, pułkowniku. – Przerwał. – Widzę, że nie ma sztandaru Piątego. Proszę dopilnować, aby natychmiast powrócił na swoje miejsce.

– *Mi heneral!*

* * *

Mitchi siedziała, trzymając w dłoni lusterko i strojąc się. Dziewczyna odrzuciła rękę do tyłu, za splątaną masę rudych włosów i wygięła grzbiet. Naszyjnik ze złota i szmaragdów lśnił w świetle lampy pomiędzy jej pełnymi piersiami o różowych sutkach. Namiot stanowił w nocy ciepłą jaskinię, przykryty lekkimi, mocnymi płachtami z wygarbowanego i zabarwionego żołądka titanosauroida. Wszystkie meble były podobne, łącznie z łóżkiem, które dzieliła z Kaltinem Gruderem – kosztownym, twardym i dającym się bardzo łatwo przenosić.

– Jesteś próżna niczym kot – powiedział Gruder, przesuając dłonią po *jej* plecach. Mężczyzna leżał z ramieniem pod głową. Zadrzała lekko pod twardym niczym skała dotykiem odcisków. Zostawiły czerwone ślady. – Czy nigdy nie zdejmiesz tej cholernej rzeczy?

– Ja mogę być próżna, ale ty śmierdzisz psem i prochem, Kaltin – rzuciła cierpko. – Mmmmm. – Zaczął masować nasadę jej smukłej szyi, kciukiem i palcem wskazującym.

– Cóż – stwierdził rozsądnie. – Zeszłej nocy walczyłem w wielkim, morderczym natarciu, ostro plądrowałem, a potem urobiłem się po łokcie, powstrzymując miasto przed spaleniem, biorąc ludzi z powrotem w karby. Zajęty człowiek nie pachnie jak róża.

– Ale nie na tyle zajęty, żeby nie znaleźć tego – powiedziała dziewczyna, odwracając się i kładąc mu się na piersi. Podparła brodę na łokciach i klejnoty zakołysały się pomiędzy nimi. – Albo tego małego pieska, którego znalazłeś dla Jaine.

– I jeszcze sporo innych rzeczy – zgodził się, śmiejąc. – Instynkt zawodowego żołnierza. Badzie potrzebowała psa do jazdy w czasie marszu... Uspokoila się?

– Jaine? Zupelnie. Ma zwinne rączki do układania moich włosów i ubrań, jest czysta i posłuszna. Słodkie maleństwo, i wszyscy ją lubią. – Przesunęła nogą po jego biodrze i zachichotała. – Ty wcale się nie uspokoiłeś. Myślałam, że wyszumisz się z miejskimi matronami.

– Lubię, jak moje kobiety uśmiechają się i biegną do mnie, a nie uciekają z wrzaskiem – powiedział, otaczając rękoma jej wąską talię i sadzając na sobie. Westchnęła, gdy opadła na pięty i zaczęła się poruszać.

– Poza tym – ciągnął, wędrując dłońmi w górę i ściskając jej piersi – jak mówią brudasy: *Skradzionych dóbr nigdy nie można sprzedać ze stratą*. Szukanie łupu wydawało się lepszym sposobem na spędzenie czasu z piętnastoma tysiącami ludzi biegającymi swobodnie wewnątrz murów. Tłok.

Mitchi zadrzała i odrzuciła głowę do tyłu, gładząc pieszczące ją ręce. – Co to za dźwięk? – spytała.

– To? – powiedział Gruder.

Ryk niczym wzburzone fale dobiegał z Miasta Lwa. Głośniejszy niż na miejskim zgromadzeniu, jako że wszystkie bramy były otwarte. – To rzadkość, dziewczyno. Pewni ludzie dostają to, na co zasłużyli. A teraz się zamknij.

* * *

Syndyk Placedo Anarenz wyglądał, jakby miał się wylizać z rany zadanej mu toporem, choć lewe ramię mogło nigdy już nie być równie silne co przedtem. Obecnie było przywiązane do jego piersi bandażami wojskowego kapłana. Syndyk stał tak prosto, jak pozwalał na to bandaż, patrząc Rajowi w oczy. Twarz generała mogła należeć do bożka z Obszaru Bazy, wyciosanego ze starego drewna. Oczy generała miały czerwone obwódki ze zmęczenia.

– Twój książę z pewnością akuratnie przepowiedział nasz los, *heneralissimo supremo* – rzucił z goryczą Anarenz.

Raj potarł swoją brodę; odciski od szabli zachręściły o sinawy zarost. – Nie sędzę, aby wiele niemowląt rzucono na bagnety – powiedział łagodnie.

Ani też, żeby wielu siwowłosym starcom rozwalono głowy, pomyślał. Chyba że byli na tyle głupi, aby znaleźć się pomiędzy żołnierzem a czymś, co temu się spodobało.

W Mieście Lwa panował teraz porządek. Piechurzy w opaskach *guardii* pilnowali, aby ich towarzysze nie udawali się nigdzie poza uzgodnionymi tawernami i burdelami. Niewiele pozostało z poprzedniej nocy gwałtu, plądrowania i rzezi poza wybebeszonymi co poniektórymi budynkami, a i tak nie było ich wiele. Straże broniły najważniejszych magazynów przed zniszczeniem, a także stocznię i inne ważne miejsca. Z reszty miasta zniknęła większość dających się upłynnić bogactw i drobnych kosztowności oraz kilkaset młodych kobiet, które przeszmuglowano do obozu. Za kilka dni pewnie zostaną sprzedane, po obniżonych cenach, wraz z domownikami kolonialnych kupców i magnatów, których pozbawił majątku.

– A poza tym – ciągnął – widziałem, jak twój cech zareagował na moje ostrzeżenie.

Placedo Anarenz drgnął nieco i wpatrywał się w niego przez chwilę. – Ty – wyszeptał. – Ty byłeś jednym ze strażników?

Raj skinął głową. – To jest – wskazał na podium i plac – swego rodzaju ponowne spotkanie. Nawet syndycy są tutaj.

Ci stali pod strażą przed zgromadzonymi obywatelami. Tłum był większy niż na miejskim zgromadzeniu. Stała tu większość dorosłej ludności Miasta Lwa. Ludzie zachowywali się również o wiele ciszej niż ostatnim razem, otoczeni pierścieniem żołnierzy trzymających bagnety karabinów niczym barykady. Wielu mężczyzn było rannych i ubranych

w resztki milicyjnych mundurów. Kobiety, wyglądające na równie pokiereszowane, stały w porozrywanych i poplamionych ubraniach, pospiesznie nareperowanych lub wciąż jeszcze rozdartych. Pochodnie na słupach oświetlały ich zwrócone w górę twarze, wpatrujące się w niego ze strachem.

Kolejny kamień budujący reputację Raja Whitehalla, pomyślał z goryczą.

– Byłem syndykiem – powiedział Anarenz. – Dlaczego nie jestem tam na dole z nimi?

– Bo optowałeś za otwarciem bram – wyjaśnił Raj. – Jesteś też następnym burmistrzem.

Anarenz zamruczał z szoku, zachwiał się, aż podtrzymało go dwóch krzepkich wytwórców żagli znajdujących się u jego boku. Wywołany bólem rany pot zalśnił na jego czole.

– Dlaczego ja? – spytał. – Myślałem, że będziesz miał jakichś urzędników... albo któregoś z naszych lizusowatych dupków, który wkupił się w twoją łaskę tak, jak było to z Brygadą. De Roors jest w tym dobry.

Anarenz był odważnym człowiekiem. Wciąż jednak przechodził go lekki dreszcz na widok uśmiechu Raja.

– Ty naprawdę troszczysz się o dobro obywateli – powiedział generał. – To czyni cię bardziej przewidywalnym. Ludzie jak de Roors nie dają się na długo kupić. Będę tu potrzebował stabilizacji. Nie martw się, pozostawię wystarczająco dużo służb administracyjnych, by cię nadzorowały. Poczynając od messera Historiomo, ale on przejmie całe okupowane terytorium. Poza tym poradziłem mu, aby się z tobą konsultował.

Raj zwrócił się twarzą ku rannemu mężczyźnie. – Jest takie powiedzenie na wschodzie, dobry człowieku, messor *alcalle* Anarenz: „Krzeseł gubernatora spoczywa na czterech wspierających je kolumnach: *stojącej* w gotowości armii żołnierzy, *siedzącej* armii urzędników, *kłęczącej* armii kapłanów i *skradającej się* armii informatorów”. Jest to ustalony sposób postępowania i sprawdza się... tutaj jednak potrzebne jest mi czynne wsparcie ludzi, których wyswobodziłem spod panowania Brygady.

Wskazał na gromadkę syndyków na dole podium. – Po tym, co tu się stało, nie sądzę, aby magnaci z innych miast próbowali przecześć wojnę za murami.

A głośno ciągnął – Obywatele Miasta Lwa!

Dał sygnał, na który żołnierze zdarli bogate szaty z byłych oligarchów miasta,

pozostawiając brzuchatych i chuderlawych starszych mężczyzn niemal nagimi. Była ich jakaś setka, czyli wszyscy dorośli mężczyźni z rodzin panujących.

– Oto są ludzie – ciągnął dalej Raj – którzy są prawdziwymi autorami waszych nieszczęść. Oto są ludzie, którzy odmówili otworzenia bram i wystawili wasze miasto na szturm i plądrowanie.

Zwierzęcy ryk podniósł się w tłumie. Oligarchowie nigdzie nie byli popularni, a teraz gmin Miasta Lwa potrzebował celu, by rozładować swój strach i wściekłość, celu, który nie jest uzbrojony. De Roors odwrócił się i przykląkł, zwracając się ku podium, wydając z siebie błaganie o miłosierdzie, ale jego głos zanikł we wzbierającym pomruku motłochu. Starszy syndyk, który kazał swojemu strażnikowi zabić Anarenza, splunął na tłum, wymachując pięściami, gdy ciosy spracowanych rąk wciągały go w objęcia cizby. Zamknął się wokół niego krąg kobiet, młocących obiema rękami wyrwanymi z bruku kamieniami. Pozostali zniknęli w natłoku ciał i tratujących stóp, ginąc, rozplaszczając się i rozlewając jak tłustawe plamy na bruku placu.

– Duchu *Człowieka* – zakrzyknął Anarenz, przepychając się do przodu. – Przerwij to, ty rzeźniku! *Powieś* ich, jeśli chcesz. To przestraszy syndyków w innych miastach.

– Nie – odparł Raj.

Jego głos przebijał się przez hałas o wiele lepiej niż głos wytwórcy żagli, a motłoch się teraz cofał – przed sobą samym, jak i przed tym, co pozostało z dawnych władców miasta.

– Nie. Zrobienie tego w ten sposób jest lepsze. Magnaci wszędzie indziej będą wiedzieć, że mam o wiele straszliwszą broń niż armia, jaką mogę się przeciwko nim posłużyć. – Wskazał na tłum. – A *oni* będą wiedzieć, że nie ma odwrotu, bo jeśli Brygada wygra, to uczyni przykład z Miast Lwa.

Anarenz patrzył na niego z wyrazem twarzy odpowiednim u człowieka, który natrafił na stado carnosauroidów pożerające niemowlę.

– *Na litość Ducha*, czyż istnieje coś, przed czym się nie cofniesz, aby wygrać tę cholerną wojnę? – wykrzyknął. – Cokolwiek?

Głowa Raja odwróciła się niczym armata obracana dłonią na celowniczej korbie. – Nie, messer *alcalle* – powiedział. – Nie istnieje nic, przed czym bym się cofnął, aby zjednoczyć cywilizację na Bellevue i zakończyć na zawsze wojny. Na litość Ducha.

* * *

Suzette opadła obok Raja i położyła mu głowę na ramieniu. – Zrobiłeś to, co musiałeś, mój kochany – rzekła miękko.

Jego ręce leżały splecione na stole, obok stała pusta butelka po *slyowtz*. Na jej etykiecie gałązka kwitnącej śliwy okręcała się wokół stylizowanej litery „H”. Była to własna odmiana z Hillchapel. Jak dawno już nie był w domu?

– Tylko to, *co* musiałeś zrobić.

Ramiona Raja poruszały się w poszukiwaniu żony. Suzette przyciągnęła jego głowę, aby spoczęła jej na piersiach. Zaczęła kołysać go w ramionach.

>>Pani Whitehall ma racje..<< powiedziało Centrum. >>Obserwuj...<<

Wiem! – przerwał Raj. Rebelia w Mieście Lwa, inne miasta zamykające bramy. Koszt w ludziach, koszt w czasie, a ani jednego, ani drugiego nie miał na zbyciu.

– Wiem – powiedział na głos.

– Ciii, kochanie. – W zajęтым pokoju było cicho, tylko syczenie latarni przerywało cisze.. – Jesteś teraz ze mną. Nie musisz być generałem. Spokój, kochanie. Spokój.

Przez chwilę ostry blask innego obrazu lśnił przed Rajem: Stara Rezydencja widziana z bliska, jej wysokie wieże i mury, ciche, lecz groźne *przez* samą swoją ogromną rozległość.

Wizja zbladła. >>Tak.<< powiedziało Centrum. >>Spokój. Na razie.<<

Koniec Księgi Trzeciej

